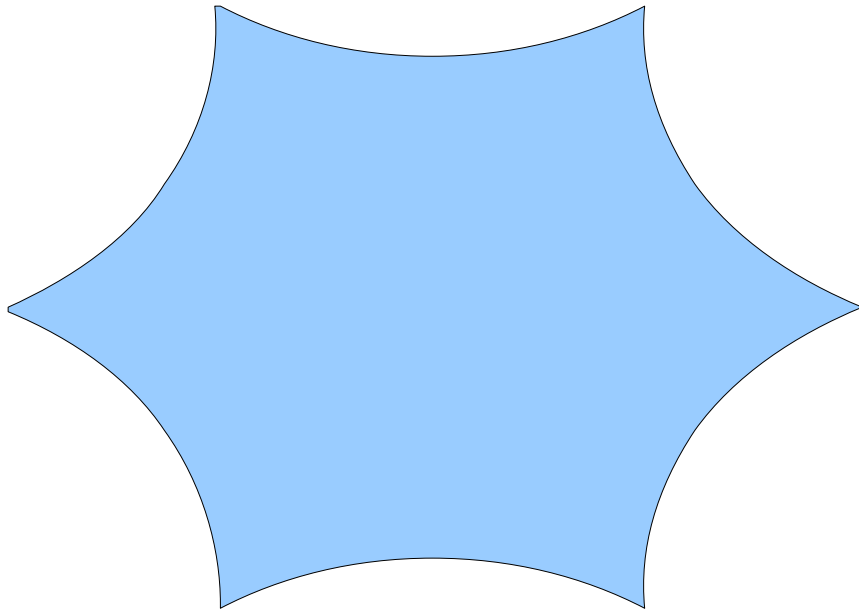


Z chomika Valinor

Wybór: Zbigniew Przyrowski

Drugi próg życia



Książka ta zawiera opowiadania, które w ostatnim ćwierćwieczu ukazały się w „Młodym Techniku”, popularnym miesięczniku naukowo–technicznym wydawanym od 1950 roku.

Utworky fantastyczno–naukowe redakcja postanowiła wprowadzić na jego łamy w połowie lat pięćdziesiątych. Decyzja ta wynikała z przekonania, że czytelnicy „Młodego Technika”, a więc młodzi ludzie zainteresowani nauką i techniką, przyszli kontynuatorzy postępu cywilizacyjnego, powinni odznaczać się nie tylko wiedzą i umiejętnościami naukowo–technicznymi, lecz także śmiałą a równocześnie wyostrzoną wyobraźnią, pozwalającą dostrzegać różne strony wybiegających w przyszłość pomysłów i koncepcji.

Z początku realizacja tego postanowienia nie była łatwa, tym bardziej że redakcja miała ambicję drukowania przede wszystkim opowiadań polskich autorów, a fantastyka naukowa nie cieszyła się wówczas w naszym kraju — ani wśród piszących, ani wśród czytających — taką popularnością, jak obecnie. Gatunek był kłopotliwy i dla redaktorów, i dla autorów. Rodzaj kłopotów charakteryzuje dość dobrze, jak sądzę, jedno z pierwszych w tym zbiorze opowiadań, zatytułowane właśnie „Kłopoty z fantazją”. Kiedy patrzy się na ćwierćwiecze powojennej polskiej fantastyki naukowej, widać wyraźnie, że sposób na przewycięzenie owych kłopotów znalazł Stanisław Lem. Łatwo to chyba będzie dostrzec i w tej książce.

Tak czy inaczej, od początku lat sześćdziesiątych redakcja kłopotów z fantazją już nie odczuwała i mogła co miesiąc przedstawiać czytelnikom nowe, po raz pierwszy ukazujące się w druku opowiadanie polskiego autora. Przy tym większość autorów opowiadań drukowanych w „Młodym Techniku” debiutowała właśnie w tym czasopiśmie. W sposób spontaniczny powstała przy miesięczniku jak gdyby „szkoła literacka”, prosperująca zresztą nadal, z której wyszło już sporo pisarzy mających obecnie w dorobku i liczne wydania książkowe swoich utworów, i nierzadko ich tłumaczenia na obce języki.

Ze względu na ograniczoną objętość książki nie można było w niej, oczywiście, zamieścić opowiadań wszystkich autorów, którzy występowali dotychczas w „Młodym Techniku”. Nie można też było zamieścić wszystkich najlepszych, w moim mniemaniu, utworów, ponieważ po pierwsze, przyjąłem zasadę „jeden autor — jedno opowiadanie”, po drugie, chciałem do książki wprowadzić różne wątki tematyczne oraz różne pomysły, i po trzecie, część bardzo dobrych opowiadań, drukowanych w „Młodym Techniku” w wyniku ogłaszanych przez to czasopismo konkursów literackich, weszła do zbiorów: „Posłanie z piątej planety” („Nasza Księgarnia”, 1964) i „Wołanie na Mlecznej Drodze” („Nasza Księgarnia”, 1976).

Układ antologii jest chronologiczny, to znaczy: kolejność utworów w tomie odpowiada kolejności pojawiania się ich w „Młodym Techniku”. Znajdujące się na początku książki opowiadania najwcześniejsze dzieli zatem od zamykających ją opowiadań najnowszych odstęp ponad dwudziestu lat. Taki przedział czasu występuje między dwiema ludzkimi generacjami. Można więc powiedzieć, że ukazując przeobrażenia powojennej polskiej fantastyki naukowej, książka ta stworzyła również okazję do spotkania się,—już dwóch powojennych generacji polskich twórców science fiction. Oto jesteśmy świadkami, jak na stronicach antologii następuje przekroczenie międzypokoleniowego progu. Tytuł zbioru — „Drugi próg życia” — zaczerpnięty z utworu jednego z najmłodszych autorów, ma więc znaczenie po trosze symboliczne.

Pozostawiając Czytelnikowi dokonywanie spostrzeżeń i snucie refleksji na temat poszczególnych opowiadań i całości zbioru, nie mogę powstrzymać się od paru własnych uwag. Otóż na przykład znalazły się tutaj opowiadania drukowane wszak nie tak znowu dawno jako fantastyczne, które jednak dla współczesnego czytelnika elementów fantazji już nie zawierają. Wieloma wyrazami z fantastycznego do niedawna słownictwa posługujemy się dzisiaj na co dzień. Wystarcza niekiedy kilkanaście lat, aby rzeczywistość dogoniła i wyprzedziła fantazję. A jednak te niefantastyczne już dzisiaj utwory dostarczają nam również pełnej czytelniczej

satysfakcji. Okazuje się, że i w science fiction nie takie znowu ważne są te wszystkie niezwykle — stanowiące, zdawałoby się, główny jej atrybut — aparaty, maszyny, urządzenia. Tym trwalsza jest ta literatura, im lepiej potrafi ukazać oczekiwania, fascynacje i niepokoje epoki, w której powstaje.

Zbigniew Przyrowski

ELMIS

Rembowski spojrział z łagodnym uśmiechem na puciołowatą twarz siostrzeńca.

— Nie boisz się?

— Ani trochę!

— Boś głupi!

— Niech sobie będę głupi, ale się nie boję.

— Nie znasz niebezpieczeństwa w całej jego rozciągłości — oczy profesora powoli wędrowały w kierunku fizjoskopu.

To było jądro tajemnicy. Jego osobiste dzieło, niespodzianka dla świata, nowe narzędzie wiedzy. Tylko bardziej fantastyczne od innych.

— Syga, a teraz słuchaj mnie uważnie. Zanim zapuścimy się w otchłanie małości, zanim nasze oczy, jako pierwsze ludzkie oczy, zaczną oglądać ów świat nie z góry, lecz jakby OD DOŁU, muszę dać ci kilka objaśnień co do mojego wynalazku i kilka wskazań, jak należy się zachować, gdy będziemy wewnątrz kropli wody. Przyrząd mój składa się z trzech części. Środkowa — to zwykły mikroskop, przez który obserwujemy drobne obiekty. Taki sam mikroskop, jakiego używają wszyscy na całym świecie. Ale... ale jest on włączony w pewną całość... w całość składającą się ponadto z elektro-mikroskafu i człowieka.

Syga zdumiał się.

— I człowieka? Przecież człowiek jest osobno... jak może się składać na...

Profesor kiwnął głową i powtórzył z naciskiem:

— I człowieka. Bo i on, jak zaraz się przekonasz, został włączony w mechanizm, przestał być elementem osobnym. Mój pomysł polega właśnie na tym, że stworzyłem aparaturę nie tylko fizyczną, mechaniczną, pneumatyczną, optyczną i elektronową, lecz także i... fizjologiczną.

— Ojej, fizjologiczną?

— Owszem. Krótko mówiąc: urządzenie techniczno-fizjologiczne. Stąd ta nazwa fizjoskop, czyli fizjologiczny mikroskop. To jest ta potężna rura... Popatrz no, Syga, odwróć się. Widzisz?

— Tak, to przecież...

— Otóż fizjoskop zmienia właściwości naszego mózgu...

Syga drgnął i położył odruchowo dłoń na ciemieniu.

— O, o, to nie przelewki!

— Szczegóły opiszę ci, i to dokładnie, ale nie teraz, lecz po eksperymencie, bo wtedy łatwiej i lepiej wszystko pojmiesz, teraz zaś wyjaśniam tylko, że celem moim było zmniejszyć widzenie człowieka, zmniejszyć je tak, by widział na przykład bakterię z punktu widzenia bakterii, by widział wirusa z pozycji jeszcze pięćdziesiąt razy mniejszej, a więc z pozycji wirusa, tak jakby człowiek był sam istotą należącą do tamtego „światka”. Ale nie zadowolilem się sytuacją obserwatora nieruchomo tkwiącego w jednym miejscu. Trzeba było jeszcze coś uczynić. Należało uzyskać swobodę ruchu. Wymyśliłem wtedy ów elektromikroskaf. Kiedy po włożeniu hełmu fizjoskopu spojrzysz w mikroskop, dostrzeżesz pod obiektywem jakiś mikroskopijny aparacik zanurzony w kropli wody. I to jest właśnie on, ów statek podwodny w kropli wody: elektromikroskaf. Ścisłej zaś mówiąc, dostrzeżesz swoje oko, oko zdolne do swobodnego poruszania się.

— Swoje oko? Oko zdolne do poruszania się? O retyl!

— Twoje, ale oczywiście tylko wtedy, gdy włączę fizjoskop, który zmieni właściwości twego

mózgu. Sprawa wygląda następująco: łączę owo sztuczne oko z fizjoskopem, ale... poprzez twój mózg i twoje oczy po drodze. Rozumiesz? Najpierw zatem zobaczysz normalnie elektromikroskaf, pod soczewką, zanurzony w kropli wody. Potem włączę prąd do fizjoskopu i uruchomię całe urządzenie. Rytm pracy twojego mózgu, a więc i właściwości twoich oczu, zaczną ulegać zmianie, przede wszystkim zaś sposób pracy ośrodka wzrokowego mózgu. Po upływie dwóch, trzech minut zaczniesz odczuwać gwałtowne doznania wzrokowe. Po czym będziesz już patrzył nie własnym okiem, ale okiem umieszczonym w elektromikroskafie, w tej małej łódeczce podwodnej. Jest ono nieco podobne do fotokomórki. Pobudzone promieniowaniem, płynącym z fizjoskopu, nabiera wrażliwości na światło. Twoje prawdziwe oko teraz, samo przez się, nic nie widzi, ale przekazuje do mózgu impulsy wysyłane przez owo oko fotoelektryczne zanurzone w kropli wody. A więc widzisz już okiem umieszczonym w elektromikroskafie. Pozostaje tylko puścić go w ruch. To już sprawa bardzo prosta. Kropla wody, w chwili włączenia całej aparatury, dostaje się w obszar pola elektrycznego. Elektromikroskaf tak jest urządzony, że steruje się nim na odległość, trochę inaczej, ale podobnie jak sterujemy na odległość samolotami, statkami czy pociskami, W rezultacie więc po dwóch, trzech minutach ujrzysz się w środku kropli wody. Będziesz widział ogromny firmament wodny i głęb wodną, będziesz widział, niczym swój nos, przód elektromikroskafu i ostrą lancę.

— Co?

— No, niekoniecznie taką, jaką masz na myśli, kawaleryjską. Nie zmieściłaby się chyba w kropli wody. Jest to po prostu włókienko, którym będziesz mógł atakować bakterie.

Profesor Rembowski spojrział raz jeszcze w okno, za którym błyszczało nasze, ludzkie, jasnoblękitne niebo, i rozkazał krótko:

— Zatem proszę do fizjoskopu!

Usiedli naprzeciw siebie. Potężny korpus aparatu rozdzielił ich. Syga wykonywał posłusznie polecenia profesora. Słuchając uważnie jego słów, manewrował przy tablicy rozdzielczej i przy kołach pneumatycznego mikromanipulatora.

— Aha, więc mam trzymać w dłoniach tylko te dwie błyszczące gałeczki. Prawa?... Do czego prawa?

— Do sterowania elektromikroskafem.

— A lewa?

— Do regulowania szybkości.

— W porządku, rozumiem. A tamte?... Mam się nimi na razie nie interesować? Proszę bardzo. Ale, ale, proszę wujka, a jak to się celuje z tego... tam... włókienka? Aha, całym elektromikroskafem. Dobra jest! Teraz co? Zakładać hełm? Już się robi!

Umocowawszy w kilka sekund hełm, Syga sprawdził, czy elektrody dobrze przylegają do czaszki, i włączył tubę hełmu do wziernika fizjoskopu.

Teraz gdy już „przykręcił” swą głowę do olbrzymiego aparatu, zrobiło mu się nagle nieswojo. Po krótkiej chwili dojrzał małe kółko, którego połowa ostro błyszczała. Pomyślał: „To owa kropla wody pod mikroskopem”. Potem dostrzegł i to, czego szukał, jakąś plamkę w środku pola widzenia. Niemal połowa kropli była w cieniu, jak to się często stosuje przy badaniach eksperymentalnych, zwłaszcza przy trenowaniu niektórych jednokomórkowych istot na odruch warunkowy.

Usłyszał:

— Ostrość!

Plamka przekształciła się zaraz w piękne, miniaturowe cacko podłużne, obłe niby kret podwodny, z ostrą kreską z przodu. Przycisnął mocniej okulary do oczu.

— Uwóżaj, zaczynamy, włączam prąd; teraz obserwuj i mów, co przeżywasz i co widzisz.

Zamilkli.

Syga uczył lekkie łaskotanie u korzonków włosów. Z dala błyszczała ciągle kropla leżąca na szkiełku przedmiotowym... Poczul się osamotniony, odcięty od świata.

I tak bez żadnych niezwykłych wrażeń minęła minuta lub więcej. Ale po chwili naprawdę coś się zaczęło dziać. Zrobiło się ogromnie jasno, potem ciemno czy może na odwrót, nie był tego pewny, ale miał uczucie, że te osobliwe zjawiska zachodzą w nim, a nie na zewnątrz.

— Wujku, zrobiło mi się jasno i ciemno.

— Dobrze, znaczy to, że szybkość impulsów nerwowych biegnących wzdłuż nerwów ulega już zmianie. U mnie było to samo.

— Wujku, tracę wzrok...

— Dobrze, wszystko w porządku..

— Ojej, już nic nie widzę... ciemno...

Poczul, że robi mu się trochę niedobrze, ponieważ jednak nie wiedział, czy to przypadkiem nie ze strachu, nie rzekł nic.

Znów milczenie.

Naraz Syga wycedził powoli:

— Widzę mały, żółty punkcik... jaśniej...

Usłyszał jakby z oddali głos profesora:

— Nie przestrasz się teraz...

W tym momencie świat zawirował tak gwałtownie, że Syga omal nie wypuścił z rąk obu gałek sterowniczych.

I oto... raptem odzyskał wzrok! Otoczyła go łagodna, opalizująca jasność... Nie mógł tylko zdać sobie z niczego dokładnie sprawy... wysiłał się... wysiłał się... Nic, tylko falująca jasność... obejmująca go zewsząd... Powoli wracała równowaga psychiczna, zamęt ustępował.

Przed nim, nad nim i pod nim rozciągał się w jakiś niewytłumaczony sposób obszar wody przesycony światłem.

Krzyknął:

— Widzę... widzę... widzę! Jestem w wodzie... Jakby w wodzie... Mam uczucie, że mnie otacza...

— Czy widzisz mnie?

— Jak to: wujka?

— Nie, to teraz niemożliwe, ale czy widzisz mój elektromikroskaf, czyli elmis, bo tak będę go w skrócie nazywał.

Poruszył prawą gałką i świat znów zawirował, tylko tym razem powoli i przyjemnie.

Nie, to nie świat, to on, Syga, obraca się wraz ze swym elektromikroskafem. Widzi teraz dokładnie jego przód i ową lancę roztrącającą wodę przy silnym półobrocie. Z prawej strony, w dość znacznej odległości, ujrzał elektromikroskaf profesora, który w pięknym wirażu zbliżał się szybko do niego. Widział wyraźnie, jak olbrzymie masy wody rozstępują się przed elmisem wuja. Upłynęło sporo czasu, zanim zbliżył się zupełnie. Syga zdziwił się, że odbyło się to w zupełnej ciszy.

— Ach, wujku! Jakie to piękne, jakie to zachwycające, ale dlaczego ja nic nie słyszę?

— Jak to: nie słyszysz? Nie słyszysz mego głosu?

— Racja, co za idiota ze mnie, przecież uszy mamy NA GÓRZE, a tu, NA DOLE, tylko oczy. Och, jak tu pięknie...

Wchłaniał chciwie ten dziwny krajobraz, usiłując zorientować się w całkowicie nowej sytuacji. Raptem ogarnęła go ostra podejrzliwość.

— Wujku, to chyba tylko jakiś sprytny kawał?

— Co masz na myśli?

— No, że to jedynie przywidzenie. Przecież całkiem jestem tam, NA GÓRZE.

— Rozumiem. Chcesz wiedzieć, dlaczego zdaje ci się, że jesteś w wodzie, w jakim stopniu to jest realne i w ogóle co to znaczy?

— Tak.

— Popływamy sobie teraz trochę dla wprawy i porozmawiamy. Trzymaj się mego kursu, ale nie za mną, lecz obok, z lewej strony, abym mógł skontrolować, czyś uczciwie opanował teorię kierowania elmisem.

— Już się robi, wujku.

W tej chwili oba elmisy ruszyły w głąb świetlistej przestrzeni wodnej, posuwając się zgodnie łagodnym spadem. Szły umiarkowanym ruchem, kursem niemal prostym, po czym skrzyły w lewo, ku przestrzeni nie oświetlonej.

— Widzisz, sprawa jest niesłychanie prosta, choć przyznaję, wygląda fantastycznie. Najlepiej będzie, kiedy zacznę od pytania. Czy wiesz, dlaczego odczuwasz ból?

— Oczywiście, że wiem, nauczyliśmy się tego. Nerwy przewodzą sygnały od uszkodzonego miejsca, na przykład od nogi, do mózgu i ten alarmuje uczuciem bólu.

— Dobrze. A jeśli zablokuję nerw zastrzykiem znieczulającym, to co wtedy?

— Nie będę czuł bólu, jak przy operacji na przykład.

— Dlaczego? Przecież noga jest nadal uszkodzona.

— Tak, wujku, lecz ból odczuwa mózg, a nie noga. Bez mózgu nie ma bólu. O tym uczyłem się już i wujek mnie nie przyłapie.

— Świetnie! W takim razie, dlaczego czujesz ból w nodze, a nie w mózgu! Dlaczego zdaje ci się, że jest on w nodze, kiedy naprawdę nie ma go tam.

— Jak to? Nie rozumiem...

— No tak, powtarzam: dlaczego w nodze, a nie w mózgu? Pytanie chyba proste?

— Oj, nie bardzo — westchnął Syga. — Widocznie mózg tak funkcjonuje, iż ból odczuwam w miejscu uszkodzenia.

— Brawo! Widzę, że jesteś inteligentnym chłopcem. Rzeczywiście, mózg tak funkcjonuje, że ból odczuwasz w miejscu uszkodzenia, zdaje ci się, iż to noga cię boli. Taki sobie kawał natury. Jeden z wielu. No, a jak jest z widzeniem? Czy słyszałeś coś o tym?

— Tak, wujku, teraz pojmuję, to podobna historia. Widzimy w gruncie rzeczy mózgiem, oczy są tylko aparatem fotograficznym. Przecież w mózgu nie robi się widno, gdy otwieram oczy, a ciemno, gdy zamykam. Nie dochodzą do niego żadne obrazy ani żadne światło.

— Muszę przyznać, że nie traciłeś czasu w szkole. Zapytam cię teraz o coś innego, a ty dobrze słuchaj... Eee, fujaro, uważaj na zakrętach, jak sterujesz?!... — Elmis profesora gwałtownie skrzył w prawo.

— Przepraszam, wujku, ale jakoś nie czuję swoich rąk. To pewnie jeszcze ślady wstrząsu po włączeniu mózgu do fizjoskopu.

— Więc uważaj! No, dlaczego zatem widzimy oczami, a nie mózgiem?

— Tak się nam zdaje, tak funkcjonuje nasz mózg — zgadywał Syga.

— No, to myślmij dalej. A czy obrazy, które widzisz, które tworzą ci się w mózgu, widzisz jako będące w nim?

— Nie, widzę je na zewnątrz, tam gdzie rzeczywiście znajdują się przedmioty widziane. Przecież to oczywiste.

— Zatem, chłopcze, sytuacja jest następująca: mózg nasz umiejscawia ból w punkcie uszkodzenia, a obrazy w miejscu położenia widzianych przedmiotów. Czy tak?

— Rzeczywiście.

— A zatem?

— Ojej, wujku, zaczynam rozumieć! Jeśli to fotochemiczne oko w elmisie funkcjonuje i przesyła obrazy do siatkówki, a ta z kolei przesyła je do mózgu, to mózg umiejscawia teraz obraz przedmiotu tam, gdzie on jest naprawdę, w środku kropli wody, i ja nie czuję już tego widzenia tak, jak bym patrzył własnym okiem, tylko jak bym patrzył tamtym — pływającym.

— Właśnie, stąd pochodzi owo uczucie obecności w kropli wody. I nie jesteś przeze mnie oszukany ani odrobinę więcej niż przez naturę.

Zbliżali się właśnie do granicy cienia. Przed nimi rosła szybko ściana mroku, prostopadła, ginąca w górze i ginąca w dole. Na ziemi nigdy czegoś podobnego nie widział, takich układów jasności i cienia na ziemi nie ma.

— Wujku, czy damy nura w tę ciemność?

— Nie, nie dziś. Mówiłem ci już, że podróże tu, NA DOLE, są ogromnie ryzykowne.

— Tak, domyślam się, domyślam, pewnie spotkanie z bakteriami.

— Nie, nie z bakteriami, z tymi damy sobie radę względnie łatwo.

— Wujku, wszystko jedno, bakterie czy nie bakterie, przecież my naprawdę znajdujemy się NA GÓRZE, a tu, NA DOLE, jesteśmy tylko wzrokiem, więc jakie może być niebezpieczeństwo?

— Niebezpieczeństwo śmierci, chłopcze.

— Co?!

— Nawet jeszcze gorzej!

— Jeszcze gorzej? A co może być gorszego?

— Na przykład ślepotą.

— Ślepotą?

— Tak, albo jeszcze gorzej.

— Jeszcze gorzej? Co takiego?

— Obłąd.

— Ojej, to doprawdy... — Syga poczuł dreszcz wzruszenia i natychmiast spytał; — Jakim sposobem? Przecież nas tu naprawdę nie ma. Siedzimy tam, na stołkach.

— Bardzo prostym sposobem. Elmis ma tylko pół mikrona, to znaczy jedną dwutysięczną milimetra, i wykonany jest ze szkła. Jeśli ulegnie gwałtownemu uszkodzeniu, to i obwód elektryczny zostanie gwałtownie wyłączony, a mózg tego nie znieśie. Tak jak nurek po pracy w głębinach musi bardzo powoli wynurzać się na powierzchnię, robiąc częste i długie postoje, bo inaczej dostanie krwotoku płuc i umrze, tak i mózg musi mieć okres przejściowy dla nieszkodliwego przestawienia się z jednego rodzaju pracy na inny. Okres ten jest dość długi, wynosi co najmniej dwie minuty.

Właśnie w tym momencie Syga płynął bokiem do ściany ciemności. Mały manewr w tę stronę i roztoczyła się przed nim panorama półmroków szybko gęstniejących w głębi. Zupełnie jakby zwieszały się tam niezliczone zasłony muślinów. Błądził sekundę nieuważnym wzrokiem, zatopiony raczej w myślach niż w wodzie,

Doznał raptownego wstrząsu!

Ujrzał obraz, który przejął go nieopisaną trwogą. Z mroku wylaniał się jakiś kształt potwornej wielkości. Widać było tylko jego przednią część, obitą jakby pancerzem aluminiowym, uzbrojoną w niezliczone ni to maszty, ni to wiosła, lekko drgające. Sam kształt trwał, nieporuszony, ale groza biła z niego tak osobliwa, że Syga krzyknął:

— Wujku! Tam! Tam!

Na dźwięk tego wezwania elmis profesora zadygotał i zatoczył łuk w jego kierunku.

— Wujku!... Tu... tu... coś jest...

Głos uwiązał mu w gardle. Kształt trwał na granicy cienia i jasności. Syga rachował — bezwiednie i głupio — płyty pancerza pokrywające powierzchnię zjawy. Setki, setki ich były na tym małym, widocznym kawałku.

Usłyszał głos wujka, ale ledwie go rozpoznał, taki był zmieniony chrypką.

— Boże! Co to ma znaczyć? Jak to się stało?

— Wujku, wujku...

— Cicho, Syga, cicho, chłopcze, to straszne!

— Wujku, co to jest?

— PARAMECIUM CAUDATUM

— Czy... czy... jakie niebezpieczeństwo?

— Tak, niebezpieczeństwo, nawet... raczej... więcej...

— Wujku! Niech wujek mówi prawdę, ja się nie boję!

— Cicho, chłopcze. Jesteśmy w pułapce... jesteśmy bez wyjścia... zgubieni!

Kierowani instynktem — odskoczyli od ściany cienia, oba elmisy zaczęły oddalać się z największą szybkością. Syga miał ogromną ochotę odwrócić się i zobaczyć, co dzieje się za nim, ale nie śmiał tego zrobić bez rozkazu, więc pędził za nurkującym teraz elmisem profesora. Czas dłużył mu się okropnie; usiłował nawet określić, w jakiej proporcji jego czas fizjologiczny uległ zwolnieniu, dlaczego ułamki sekund wydają mu się nieznośnie długimi minutami, lecz dał spokój, albowiem dostrzegł coś na horyzoncie. To kończyła się woda. Domyślił się od razu, że owe potwornej wielkości budowle to zakończenie anody wtopione w parafinową ściankę naczynia. Czyli drut do ogniwa galwanicznego. Tędy biegł prąd do katody umieszczonej po drugiej stronie.

Elmis profesora zatoczył gwałtownie łuk i stanął pod anodą. Syga uczynił to samo. Odwrócili się.

Przed nimi rozciągał się przestwór przejrzystej jasnej, opalizującej wody, ale — na szczęście — przestwór jeszcze pusty. Syga czuł przestrach człowieka będącego w sytuacji zupełnie sobie nie znanej, ale bardzo groźnej. Przypuszczał, że umysł profesora huczy teraz myślami-błyskawicami. Wnet przekonał się o prawdzie tych przypuszczeń, bo Rembowski zaczął myśleć na głos, na wpół tylko mówiąc do Sygi, a na wpół do siebie samego:

— To asystent pomylił się. Sądził, że będę badał tego wymoczka. Co za nieszczęście! A ja nie sprawdziłem. Co robić? Co robić?... Słuchaj... Wyjaśniam... Ono, to znaczy Paramecium, czyli pantofelek, żywi się bakteriami, a więc istotami naszego rozmiaru. Nie zawsze odróżnia swój pokarm od martwych zawieszin... Chwyta pożywienie prądami wody, wytwarzanymi nieustannie naokoło wgłębienia gębowego. Prądy te muszą być teraz z naszego stanowiska niezmiernie potężne. Nie wiem, czy siła elmisów będzie dostateczna, by przewyciężyć je... Pamiętaj, unikaj za wszelką cenę tej strony wymoczka, gdzie znajduje się lejkowate wgłębienie — ów perystom: tam jest otwór gębowy. Pamiętaj, że pantofelek pływa z szybkością około pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, licząc naszymi ziemskimi miarami, nasze zaś aparaty mają szybkość tylko około trzydziestu pięciu kilometrów na godzinę. Choć nie ma oczu, prędzej lub później odnajdzie nas, a nawet sądzę, że już wie o naszej obecności... Raczej jednak prędzej... Tak, prędzej, bo jest głodny. Woda jest pozbawiona bakterii, a on żyje bez przerwy... żyje ciągle...

— Wujku, a dlaczego nie zaryzykować wyłączenia fizjoskopu? Może zdążymy?

— Ach, na tym polega nieszczęście! Właśnie tego nie możemy uczynić, tego jednego, najważniejszego zrobić nam nie wolno. Te osobliwe wymoczki, nad których badaniem spędziłem całe życie, mają zdumiewającą właściwość — są czułe na galwanotropizm. Gdy wyłączymy prąd, zgromadzą się szybko na katodzie, na biegunie ujemnym. Popychane są tam tajemniczą, a potężną siłą. Gdy odwrócimy kierunek prądu, one natychmiast popędzą w odwrotnym kierunku.

Okres orientacyjny wynosi zaledwie osiem dziesiątych sekundy. Otóż gdybym wyłączył teraz fizjoskop, zamieniłbym jednocześnie anodę, pod którą jesteśmy, na katodę i w ciągu krótkiego czasu mielibyśmy na karku tego potwora, którego wielkość w porównaniu z naszymi elmisami jest nieopisana, wynosi według stosunków ziemskich około półtora kilometra...

— Co, półtora kilometra?!

— Atak! Równa się to mniej więcej długości pięćdziesięciu wielorybów. Jest na pewno poirytowany, bo normalnie zjada do pięćdziesięciu tysięcy bakterii dziennie, a tu nie ma nic od kilku godzin. Zresztą raz już był uderzony prądem, a to rozdrażnia pantofelki ogromnie. Rozdrażnia zaś dlatego, że ta zabawa z prądami jest dla nich śmiertelna, giną w polu elektrycznym. A przedtem strzelają...

— Co robią?

— Strzelają.

— Czym strzelają?

— Zaraz. Jeśli więc tylko ruszę rączką wyłącznika, to już za chwilę ta rozwścieczona bestia wtoczy się na nas. Wyobraź sobie okręt długości półtora kilometra przytłaczający cię do ściany nabrzeża... Będzie też walić ze swych dwóch tysięcy pięciuset armat...

— Co też wujek wygaduje?... Jakich armat?

— Tak... tak... wyrzuca około dwóch i pół tysiąca pocisków, zwanych trichocystami. Jeśli da taką salwę w nas, to zginiemy. Wyłączenie fizjoskopu oznacza zatem niechybną śmierć. Dlatego powiedziałem, że znaleźliśmy się w pułapce. Wyłączać się nie możemy... Musimy przyjąć walkę. On ją nam narzuci! Ale... ale jaka to może być walka z bydłem wielkim jak kamienica trzystusiedemdziesięciopiętrowa. Z bydłem strzelającym ze wszystkich stron...

Nie dokończył, bo oto zakotłowała się potężnie wokół nich toń wody i w odległości jakby kilometra dojrzeli potwornie wielki kształt pędzący ku nim. Jakieś piekielne cygaro, którego końca nie było widać, kręcące się wirowo wokół własnej osi i sunące jednocześnie na oślep naprzód, zbliżało się do nich pracą około trzech tysięcy śrub, czyli owych masztów-wioseł. Były one gęsto rozmieszczone wokół okrągłego ciała i roztrącały wodę ruchem przypominającym falujący łań zboża.

Syga jak sparalizowany, jak zahipnotyzowany wlepił wzrok w ten niebywały widok. Czy to jest rzeczywiście istota organiczna? Żyjąca? Czy to może maszyna cudowna, zbudowana przez jakieś inteligencje mikrokosmiczne? Wtem cygaro stanęło dęba.

Woda zakotłowała się tak, że ich elmisy zatańczyły bezradnie niczym małe cacka rzucone w górę i w dół. Niedaleko, bo jakby w odległości dwustu lub trzystu metrów, oczom ich ukazał się zwierz w całej swej okazałości, z owym fatalnym wgłębieniem, zwanym uczenie perystornem, wyglądającym jak wielka dolina.

Wszystkie maszty-wiosła pracowały rytmicznie.

— Że też bydło nie pomyli się. Gdybym miał trzy tysiące rąk i nóg, nie dałbym rady... — mruknął wściekle Syga.

Urwał, bo oto jego elmis, porwany przemożnym wirem, drgnął i ruszył z miejsca. Jednocześnie usłyszał krzyk profesora:

— Uciekajmy, na miłość boską, uciekajmy!

Syga nacisnął rączkę kierunkową i rączkę szybkości. Bez widocznego wszakże skutku. Elmis dryfował powoli i bezwolnie, jak okręt pozbawiony motoru i steru.

Zimny pot oblał Sygę i ten prosty fakt przypomniał mu, że jego ciało jest gdzie indziej, w innym świecie, w innym wymiarze wielkości, tam, NA GÓRZE. Ale cóż z tego? Zginie wskutek przyczyny znajdującej się tu, W DOLE. Widział, że elmis profesora walczy także o swe istnienie i także bez powodzenia.

Usłyszał nagle wołanie:

— To do niczego, tak nic z tego nie wyjdzie! Poddajmy . się nieco... Gdy nabierzemy szybkości, spróbujemy wyłamać się, płynąc wzdłuż prądu... Wzdłuż, a nie przeciw niemu!

Zobaczył elmis profesora płynący ze wzrastającą szybkością ku potworowi. Uczynił to samo ze swoim. Wyczuwał teraz w rękę dwie składające się siły: siłę prądu i siłę popędową swego aparatu.

Nieprzeliczone piętra potwora zbliżały się gwałtownie... Już nie widział ani jego góry, ani dołu, tylko nie kończące się rzędy płyt pancernych z tymi wystającymi masztami, antenami czy diabli wiedzą czym... Rozmieszczone były symetrycznie na wielokątnych płaszczyznach. Zaczął też dostrzegać między nimi rzędy otworów. „To chyba — przemknęła mu myśl — owe wyrzutnie raketowe”.

Czuł, że szybkość wzrasta gwałtownie. Spróbował wyłamać się. Zaczął ostrożnie zwalczać śmiertelny prąd, wychylając się z niego po stycznej. Najwyższy czas, ściana biegła już ku niemu z szybkością zapierającą dech w piersiach. Czy?... Czy?... Z dziką radością zorientował się, że udało się, że napór zmalął, że wydostaje się z pułapki. Wystrzelił w bok, dał potężnego susa na oślep i — jak przypuszczał — w strefę bezpieczniejszą.

Gdzie wujek?

El mis profesora wykonał tymczasem doskonałą pętlę lotniczą, co prawda nie z własnej woli; na wirażu spróbował wyśliznąć się po raz drugi i udało mu się. Zawrócił szybkim skrętem i popędził ku Sydze. Lecz nagle... co to? Znowu dostał się w sieć niewidzialnych prądów, bo zaczął płynąć bokiem w kierunku wąwozu ciemniejszego w tej żywej i wrogiej ścianie. Raptem tempo jego ruchu wzrosło, zakreślił ostrą elipsę i popędził wprost w czeluść doliny gębowej. Syga zmartwiał z przerażenia, wpił wzrok z rozpaczą w oddalający się elmis i wrzasnął:

— Wujku, wujku, z powrotem!...

— Za późno, synu, za późno!... To koniec...

Nagle i on sam uczył uderzenie zdradzieckiego prądu. Jego własny elmis pofrunął teraz ciągnięty nie swoją siłą i zakotłował się jakby w przestrachu.

— Ach, te czarcie sieci!... Ach, ty!... — Wściekłość wezbrała w nim jak nagły orkan.

Płynął właśnie wzdłuż ciała (jeśli „to” w ogóle można było nazwać ciałem) i owych wiosel poruszających się z ponurym, złowrogim wdziękiem, niczym tysiące dobrze wyszkolonych baletnic. Niebezpieczeństwo zbliżało się do niego z każdą sekundą. Końce pracujących rzęsek, które dorównywały grubości elmisowi, prawie go dotykały, ale jednocześnie, niby siłą czarodziejską, nie dopuszczały go do siebie, tylko popędzały dalej i dalej — do miejsca przeznaczenia, do żywej trumny.

Szarpnął rączkę kierunkową i rozmyślnie wpakował elmisa na te przerażające macki. Niech się dzieje, co chce! Zdrzgotął jedną, drugą... Zakotłowało się i zawirowało... Świat zaczął się wywracać, koziółkować... „Koniec... koniec...” — przebiegło mu błyskawicą przez głowę.

Dojrzał jeszcze, jak drgnęła gwałtownie cała ściana, jak zawirowała szybciej antenami, w bólu lub przestrachu...

Wtem... nim się zorientował... zewsząd wykwitły pociski i biegły jak sygnały śmierci... Tam dalej... pod sobą... zdołał uchwycić wzrokiem, jak ta żywa ściana strzela... I w górze... I tu... Długie trichocysty eksplodowały setkami. Dlaczego jeszcze żyje? Dlaczego żadna nie trafiła w niego?

Z przerażeniem usłyszał nagle jeszcze coś, coś bardzo złego. Dolatywał go najwyraźniej jakby szatański śmiech profesora.

— Cha! Cha!... Cha! Cha! Cha!... Daj się zjeść, Syga, daj się połknąć! Cha! Cha! Cha!... Cha! Cha!...

A więc biedny profesor zwariował ze strachu, a więc jego elmis doznał uszkodzenia przy połknięciu... Elmis Sygi znów zakoziołkował i dostał się w mocny prąd, znoszący go z siłą wodospadu w dolinę śmierci.

— Cha! Cha! Cha!... Rozkazuję ci, daj się natychmiast zjeść, daj się połknąć! To jedyny ratunek!

Teraz już i tak na nic się zdały wszystkie wysiłki. Aparat zupełnie nie reagował na rączkę sterową. Sunął coraz prędzej do swego ostatecznego przeznaczenia.

Otworzyła się przed nim wielka dolina, otoczona symetrycznie lasem rzęsek, rytmicznie pracujących. Pędził do jej największego przewężenia. Znalazł się jakby w spokojnej zatoce. Spadał oto wreszcie na powierzchnię... Koniec... Głupio wszystko...

— Cha! Cha! Cha!... Cha! Cha! Cha!... — śmiech raptem urwał się, natomiast dobiegło go wołanie: — Syga! Syga!

Ale on bał się przemówić, tracił świadomość.

— Syga, Syga... odezwij się!

Zrobiło się zupełnie ciemno. Zrozumiał bardziej, niż wyczuł, że dostał się do wnętrza. Ustała piekielna jazda.

— Tu jestem, wujku! — wrzasnął. — Tu!...

— Nic nie widzę!

— Czy jesteś połknięty?

— Tak.

— Świetnie.

— Nie widzę w tym nic świetnego.

— Ależ w ten sposób jesteśmy uratowani!

— Uratowani?

— Ano tak. To proste, niepotrzebnie straciłem głowę w tym zamęcie. Przecież teraz, właśnie teraz mogę wyłączyć fizjoskop. Z Paramecium niech się dzieje, co chce. Nam nic złego już się nie stanie. Jesteśmy w środku, jesteśmy bezpieczni! Może sobie spadać na katodę. Wyłączam, uważaj!

Syga uczył przeogromne odprężenie. Na parę chwil zapomniał o wszystkim. Zawrót głowy. Jasno.. Ciemno...

Otworzył oczy.

Tam, daleko, była kropla wody, w niej — zniekształcony, przyklejony do katody — ćwierciomilimetrowy pantofelek, w którego wodniczku pokarmowym tkwiły dwa elmisy.

Zerwał hełm.

— Wujku! Uff! Gorąco było! Ale i pięknie! Kiedy następne nurkowanie?

— Smyku, za tydzień lub dwa, jak wykończę naszą ultradźwiękową artylerię!

CHI—HUA—HUA

To chyba on. Tak, ten sam zawsze zziębnięty, haczykowaty nos, szrama na policzku i miękki, falisty ruch ręki, kiedy przygląda kędzierzawą, dziś już siwiejącą czuprynę.

Politechnika w Liege. Ileż to lat temu? Ano, dwadzieścia.

„Ha, czas nie oszczędził tej twarzy” — myślałem patrząc na wysokie czoło zorane zmarszczkami, zapadnięte policzki i dwie głębokie bruzdy wbite w kąty zaciśniętych ust.

Wyjął chustkę i siąknął potężnie. Tak, to on — Francesco.

— Przepraszam, czy pan Castellani? — zwróciłem się do niego.

Siedziałem na skraju długiego rzędu krzeseł, w dużej sali znajdującej się w centrum miasta. Miał się tu zaraz zacząć konkurs „Zgaduj–zgadula”.

Zmuszony okolicznościami — od tygodnia już utknąłem w tym mieście, zabijając czas samotną włóczęgą po galeriach obrazów i muzeach. Na krótko przed wieczorem, zjadłszy obiad w sennej i brudnej, lecz taniej restauracji na peryferiach miasta, blisko miejsca, gdzie zamieszkałem, zapadałem w ciche, zalatujące pleśnią wnętrze hotelowego pokoiku.

Wczesna jesień objęła miasto, a z nią deszcze nadeszły uporczywe, trwające przez cały czas mojego tu pobytu. Patrząc przez okno na plac, pusty, chłostany szarugą, na rozkołysane lampy uliczne w mglistych aureolach, nie mogłem się zdobyć na ucieczkę z hotelu przed nudą samotnego wieczoru. Zostawałem w domu. Jakies tam dzieło literatury i słownik, to znów dzienniczek podróży w żółtym kręgu lampy biurkowej. Długie, ospałe wieczory nie próżnującego próżnowania, niepotrzebnych studiów nad językiem kraju, do którego nie mogła mnie chyba przygonić już żadna przygoda, niepotrzebnego spisywania wrażeń, których na pewno nikt czytać nie będzie.

Tydzień takiej mniszej izolacji od świata wystarczył, aby przyszła reakcja.

Pewnego ranka, kiedy odsunąłem zasłonę z okna i przez zapotniałe szyby dzień zajrzał do środka znów dżdżysty i chłodny, odczułem nagłą gwałtowną niechęć do samotnego błąkania się po mrocznych nawach bazyliki, gdzie miałem zamiar tego dnia skierować swe kroki. Objęło mnie niepoohamowane pragnienie towarzystwa ludzi, tego bujnego rytmu, jakim tętniło miasto, jakiejś wspólnej emocji w rozkrzyczanym tłumie. Podniosłem gazetę, która leżała na korytarzu, za drzwiami. Teatr, kino, wyścigi konne, Zgaduj–zgadula. Hm, niech będzie to ostatnie. A więc przedpołudnie w jakiejś gwarnej kawiarni, potem luksusowy obiad, a wieczorem właśnie ten konkurs. Francesco przyglądał mi się przez chwilę.

— Tak — potwierdził. — I ja również poznaję pana.

Wymienił moje nazwisko, tak samo jak przed laty kalecząc je niemiłosiernie.

Rzuciłem mu kilka szybkich pytań. Odpowiadając cichym, monotonnym głosem, rozesłał przede mną minione od studiów lata — równe, gładkie i szare, takie, jakimi rodziły je pragnienia naukowca, skupione jedynie na wąskim odcinku wiedzy.

— Czy interesują pana takie konkursy? — zapytałem nie ukrywając lekkiego zdziwienia.

— Ach, nie — odrzekł z niechęcią w głosie. — Jestem tutaj w innej sprawie.

Poklepał grubą, wypchaną teczkę, którą trzymał na kolanach, po czym zawahał się na chwilę, jakby chciał coś wyjaśnić, ale powstrzymał się i rzucił wzrokiem po sali.

Była wypełniona po brzegi. Wrzała równym, bez wybuchów, bulgotaniem rozmów, czekając niecierpliwie, bo nikt się nie zjawiał na scenie, choć pora rozpoczęcia konkursu była już bliska.

Być może przez kontrast do mojej zimnokrwistej natury i nerwów rozleniwionych

samotnością odczuwałem szczególnie mocno tę skupioną poza moimi plecami energię tłumu, którą prowadzący konkurs signor Sirola tak umiejętnie za chwilę przetworzy we wrzawę, śmiech i oklaski.

We wnęce dla orkiestry ucichło strojenie instrumentów. Nagle — głuszac gwar rozmów — wybuchł „Marsz gladiatorów”.

— Oni niemal wylazili ze skóry na ostatnich konkursach — zwrócił się do mnie Francesco.

Lekceważące machnięcie dłonią w stronę widzów i położenie nacisku na słowie „oni” podkreślały, jak dalece obojętne mu były tego rodzaju emocje.

— Zaczęło się to przed dwoma miesiącami — ciągnął dalej. — Pink, nazywa się Pink. Właśnie przyjechał wtedy z zagranicy. Nikt nie wie jednak, jakiej jest właściwie narodowości. Zresztą, kogo to tutaj obchodzi. Mówią, że jest znanym za granicą sportowcem–automobilistą, że często bierze udział w wyścigach samochodowych i że zwyciężył w kilku takich zwariowanych imprezach.

Francesco znów wyciągnął chustkę, wytarł nos i mówił dalej:

— Pink przyszedł tutaj po raz pierwszy właśnie przed dwoma miesiącami i wziął udział w konkursie. Dociągnął zaledwie do trzeciego pytania. Rozwścieczony niepowodzeniem urządził na scenie tak ordynarną awanturę, że siłą musiano go usunąć z sali. Miał widocznie złą passę tego wieczora, bo w kilka godzin potem zdarzył mu się wypadek. Upił się i, prowadząc samochód, ściał nim latarnię na autostradzie tuż za miastem. Oczywiście osmarowano go w gazetach nazajutrz. W dwa tygodnie po wypadku — z obandażowaną głową i w usztywniającym kręgosłup i szyję gorsecie, wypadek był widocznie dość poważny w następstwa — zjawił się tutaj znowu. I, jak gdyby nic się nie stało, wziął udział w konkursie. Tym razem spokojnie, bez awantur. Nic dziwnego, bo zaczął» wygrywać. I to jak! W trzech kolejnych konkursach zagarnął już sporą gotówkę, dochodząc za każdym razem aż do dziesiątego pytania. Zyskał sobie sympatię publiczności, której imponuje zarówno swoją wszechstronną erudycją, jak i nonszalanckim zachowaniem.

Jest teraz główną atrakcją konkursów. Z zapartym oddechem publiczność wyczekuje na jego trafne odpowiedzi, kiedy gra idzie już o grubsze stawki. Trzeba przyznać, że Pink jest pewnego rodzaju fenomenem, jakby chodzącą encyklopedią.

Umilkł i zwrócił się w stronę sceny.

— Otóż i Sirola — rzekł.

Na scenie wysoki, o atletycznej postaci brunet giął się w głębokim ukłonie. W głębi, przy stoliku jury, trzech starszych panów sadowiło się wygodnie w fotelach, tuż obok dużej szkolnej tablicy przykrytej szczelnie czarną zasłoną.

Suchym gestem ręki Sirola zgasił orkiestrę.

— Drodzy państwo — przemówił miękkim, aksamitnym głosem, który mu zdobył w mieście miano „księcia spikerów” — drodzy państwo. Otwieram jubileuszowy wieczór, którym kończymy pierwszą setkę naszych konkursów. Oto powód, który skłania mnie do powiedzenia kilku słów poważnych.

Zaczerpnął powietrza głęboko w płuca i podniósł głos o ton wyżej.

— Wiek energii jądrowej, elektronowych mózgow, naddźwiękowych szybkości, być może międzyplanetarnych podróży. To mózg ludzki wyniósł nas na te wyżyny, mózg, za który jak dotąd mało płaci Fortuna. Jakże rzadko przed swoją decyzją bada wnętrza ludzkich czaszek, ba, darzy swoim uśmiechem raczej zwykłych spryciarzy aniżeli posiadaczy mózgow w szlachetnym znaczeniu tego słowa. Proszę państwa, staramy się tutaj choć trochę wynagrodzić tę niesprawiedliwość. Zasadą naszą jest ucieczka od rzeczywistości, śmiech i wesołość dla szarych ludzi, a...

Sirola przerwał, gdyż w głębi sali trzasnęły drzwi i w tylnych rzędach pejdniósł się szmer. Usłyszałem czyjeś ciężkie, zbliżające się kroki.

— Pink — mruknął obejrzawszy się Francesco.

— Pink, Pink, Pink — tu i ówdzie strzeliło po sali jak rozgniatane kapiszony.

Sirola uprzejmie kiwnął ręką ze sceny.

— Witam, witam — rzucił. — Ach, drogi panie Pink, teraz już tylko na pana publiczność zwróci uwagę. Przepadł mój wspaniały patos i efekt przemówienia, ale witam, witam. Skąd jednak ten pośpiech? Czyżby nagle potrzeba gotówki?

Niski, barczysty, niedbale ubrany mężczyzna minął nasz rząd i skreślił w prawo, kierując się ku schodkom prowadzącym na scenę. Wielka łyśa czaszka w powijkach bandażu i na kryzie usztywniającego szyję gorsetu sunęła ponad głowami widzów.

— Ustawiczna, panie Sirola, ustawiczna — rzekł niskim i chrapliwym głosem.

Wszedł na scenę i skłonił się publiczności, która powitała go grzmotem oklasków. Jak zapaśnik w cyrku odpowiadał na nie potrząsaniem obu rąk złączonych nad głową.

— Stale poszukuję jej pilnie — zwrócił się do Sirola, kiedy sala umilkła. — Jak dotąd los rzucał mi tylko marne ochłapy. Mocuję się z nim o sytą starość i trochę złudzeń. — Stojąc z jedną ręką w kieszeni, gestykułował drugą, jakby podbijając zdania w kierunku górującej ponad nimi głowy Sirola. — Ale nie tylko pieniąż zwabia mnie tutaj. Uwielbiam grę dla samej gry, dla jej kolejnych zapadań się w strach i unoszenia w radość. Taki konkurs — to jakbym znajdował się przed stołem zapomnianych, pokrytych kurzem, kiedyś przeze mnie zapisanych szpargałów, notatek. Pada pytanie. Oto w ciągu półtorej minuty mam odszukać kartkę, na której znajdę właściwą odpowiedź. Szukam więc, spieszę się, nieraz wydaje mi się, że nie ma w tym stosie poszukiwanej notatki, zawsze odczuwam strach, że nie zdążę, że stracę wszystko, co zdobyłem przy poprzednich pytaniach. Uciekają szybkie sekundy i nagle... jest, jest! Przypomniałem sobie. Radość, triumf. Taka huśtawka, panie Sirola, jest uspokajająca.

Spojrzał na zegarek.

— Mój czas dzisiaj jest wyjątkowo ograniczony — ciągnął dalej głosem, w którym nie wyczuwałem podniecenia, jedynie spokój i pewność siebie. — Zaledwie pół godziny, panie Sirola. To mało, ale skoro mój mózg jak zwykle pracuje sprawnie, nie widzę przeszkody, aby nawet skromniejszy o jedno zero czek nie znalazł się w mojej kieszeni. Proponuję zaczynać od razu. Czy ma pan coś przeciwko temu?

„Co za góra tupetu” — pomyślałem.

— Gdybyś ty był taki, Pietro — zabrzmiał za mną cienki głos kobiety. — Taki męski i z taką głową.

— Nie przeszkadzaj — odparł gruby głos. Ktoś sapnął niecierpliwie.

— Santa Madonna, a w czym to ci przeszkadzam? — pisnęła kobieta. — Może w myśleniu? Czy ty to aby potrafisz?

— Ależ przeciwnie, jestem zachwycony — mówił Sirola. — Bo widzi pan, przygotowaliśmy coś ekstra, wspaniałą mieszankę. Szereg pytań z tych właśnie dziedzin, w których błysnął pan erudycją. Podniesie to jeszcze bardziej atrakcyjność zabawy. Ale pytania będą trudne, nieraz wymagające kilku odpowiedzi i...

— Jedźmy, jedźmy. Tempo, panie Sirola — zachrypiał Pink. — Szkoda czasu.

— Cudownie, wobec tego zaczynamy grę — zgodził się Sirola.

Podszedł do stolika, zamienił kilka słów z jurorami i powrócił z kopertą w rękę. Zwrócił się do publiczności.

— Drodzy państwo — rzekł — jak zwykle przypominam: odpowiedzi wymagają głębokiego skupienia się, proszę więc o zachowanie zupełnej ciszy. Uwagami będziemy dzielić się w

przerwach. A teraz...

Otworzył kopertę i wyjął z niej kartkę papieru. Zwrócił się do Pinka:

— Czterokrotnie będzie musiał pan napiąć swój umysł, panie Pink, ale wobec pańskiej erudycji na pewno nie napotkamy tutaj trudności. Uwaga, strzelam.

Przerwał na chwilę dla większego efektu, po czym rzucił:

— Cztery jabłka. Proszę wymienić cztery słynne jabłka. Czy pytanie jest zrozumiałe? — zapytał i kiedy Pink skinął głową, przycisnął guzik uruchamiający bieg stojącego na przodzie sceny wielkiego zegara.

Zaledwie długa jak szpada wskazówka ruszyła z miejsca, Pink powiedział:

— Jabłko Adama i Ewy.

I prawie natychmiast potem:

— Jabłko Parysa.

Siroła skłonił się dwukrotnie na znak zgody.

— Pietro, kto to Parys? — usłyszałem za sobą szept.

— Wiedziałem, ale w tej chwili nie mogę sobie przypomnieć — odpowiedź brzmiała jak prośba o wybaczenie.

— Widzisz, nie wiesz. Handlujesz owocami, a nie wiesz, kto to jest Parys — żaliła się kobiątka.

— Kiedy się dostaje tego typu pytanie, trudno jest odpowiedzieć, nawet mając pod ręką encyklopedię — szepnął Francesco. — Będzie miał kłopot z resztą jabłek.

Jakby zaprzeczając temu, Pink wykrzyknął triumfalnie:

— Newton. Jabłko Newtona.

Tu i ówdzie wybuchły brawa, zaraz przecięte sykaniem. Siroła podniósł proszaco ręce.

Sekundy uciekały szybko. Minuta, siedemdziesiąt, osiemdziesiąt. Wskazówka kosiła czarne znaki, a Pink patrzył na nią, ściskając skronie rękami. Wtem wyrzucił ramiona w górę i ryknął niemal w ostatniej chwili:

— Tell. Jabłko Tella, Wilhelma Tella.

— Załatwione! — krzyknął Siroła we wrzawę i oklaski. — Pierwsze pytanie załatwione. Orkiestra, tusz!

Orkiestra zdusiła hałas i po dłuższej chwili, na znak Siroli, urwała nagle.

— Drogi panie Pink — przemówił spiker — kilka kroków dalej, przy tej ulicy, znajduje się wielki sklep z kapeluszami, którego jestem współwłaścicielem. To drugie zajęcie pozwala mi na dowody osobistego uznania. Po wyjściu stąd proszę się tam zgłosić po odbiór wspaniałego borsalina dla ochrony tak cennej głowy. A teraz jedziemy dalej.

Rozerwał drugą, podaną mu od stolika jury kopertę.

— Przypominam, że zgodnie z regulaminem stawka zostaje podwojona — rzekł. — A teraz pytanie. Tego samego typu, co pierwsze. Proszę uważać.

Znów, jak poprzednio, przerwał na chwilę.

— Trzy znane z historii byki, panie Pink. Zrozumiałe? Proszę bardzo. Uruchamiam zegar.

Po upływie pierwszych dziesięciu sekund Pink spokojnie wymienił:

— Egipski Apis.

Siroła pokwitował odpowiedź ukłonem.

— Byk, który porwał Europę — rzucił Pink po następnych dziesięciu sekundach.

Utknął. Męczył się wyraźnie, na próżno szukając w pamięci. Minęła minuta.

— Antonino Siroła — zapał ktoś falsetem z głębi sali i publiczność gruchnęła śmiechem.

— O hi! hi! O hi! hi! — chichotała kobiątka.

— Byk z Milano, tak nazywano kiedyś Sirolę, kiedy występował w reprezentacji bokserskiej

tego miasta — wyjaśnił mi Francesco znaczenie niewybrednego dowcipu.

Czerwony jak burak spiker odwrócił się i podszedł do stolika jury. Coś tam wyjaśniał, gestykulował.

Pink stał z pochyloną głową i, znów ścisnąwszy skronie rękami, patrzył jak urzeczony na tarczę zegara. Osiemdziesiąt sekund... osiemdziesiąt pięć...

— Minotaur — rzekł wreszcie, tak samo jak poprzednio niemal w ostatniej sekundzie, ale już cichym, niepewnym głosem.

Tym razem Sirola nie skłonił się. Rzucił pytające spojrzenie na jurorów. Sala czekała w napięciu.

Trzy głowy na krótko skupiły się nad stolikiem, potem rozsunęły się i środkowa, łysa przemówiła:

— Pytanie było raczej łatwe, panie Pink. Byków w historii jest dużo. Można tu było wymienić choćby Byka Farnezyjskiego, który rozszarpał Dirke. Minotaur natomiast tylko w połowie był bykiem i dlatego odpowiedź jest połowiczna. Ale uznajemy ją. Proszę dalej.

— Wybrnął — rzekł Francesco uderzywszy ręką o teczkę. — Wybrnął!

Pochylił się w moją stronę, bo w orkiestrze rozszalały się mosiężne talerze i zaraz potem, jak stado spłoszonych ptaków, załopotaly oklaski.

— Jego mózg pracuje za kilka — rzucił mi w ucho — albo może odwrotnie.

Nie zrozumiałem tej uwagi, ale zanim zdążyłem zwrócić się o wyjaśnienie, Francesco rzekł:

— Ciekawe, jak się zachowa przy trzecim pytaniu. Z tablicy.

— Jak to? — zdziwiłem się. — Czyżby pan znał treść następnego pytania? I co to znaczy: „jak się zachowa”?

Francesco zmieszał się. Widziałem, że żałuje swojej mimowolnej, rzuconej w podnieceniu uwagi. A jednak mimo tego, co powiedział o konkursach, i on, zasuszony naukowiec, dał się również porwać emocji.

„Co tu się dzieje, u licha?” — pomyślałem.

Sirola, rozrywając trzecią kopertę, wyraźnie patrzył w naszą stronę. Zauważyłem to zresztą już po raz drugi. Czyżby istniała jakaś więź między tym, co się działo na scenie, a Francesco?

— I tak doszliśmy do trzeciego pytania — rzekł Sirola zwracając się do widowni. — Ze względu na niewyraźne, mogące wprowadzić w błąd brzmienie wyrazu, napisaliśmy go. Przypominam, panie Pink — mówił podchodząc do tablicy — że jest pan już właścicielem podwójnej stawki i teraz gra pan o jej utrzymanie i podwyższenie. Uwaga. Proszę powiedzieć, co oznacza... — ruchem fotografa odsłaniającego obiektyw podniósł w górę zasłonę — ...ten wyraz — zakończył zdanie i podbiegł do zegara.

Wskazówka ruszyła z miejsca.

— Popocatepetl! — zapluskala kobietka. — To chyba łatwo powiedzieć, kiedy się ma w ustach gorące spaghetti.

— Po-po-ca-té-petl — sylabizował Pietro.

— Popocatépetl, Popocatépetl — spieszył się Francesco, przerzucając tom encyklopedii, który wyciągnął z teжки.

Minęło dziesięć sekund. Nagle zobaczyłem, że Pink drgnął i, odwracając się od zegara, rzucił ręką w kierunku ustawionego na środku, w przodzie sceny, mikrofonu radiowego.

— Pan zapomina o swoim obowiązku, panie Sirola — rzekł. — Przecież miasto nas słucha. Pozwoli pan, że go zastąpię — dorzucił z nonszalancją. — Wyraz brzmi: Po-po-ca-té-petl, Po-po-ca-té-petl.

— Ach, ach! — podskakiwał na krześle Francesco. Wyraźnie się z czegoś cieszył.

„Do licha! O co mu chodzi? Co się tutaj dzieje? Nic nie rozumiem” — pomyślałem znowu.

Spojrzałem na tarczę zegara, dziesięć już tylko sekund dzieliło wskazówkę od czerwonego znaku. W tej samej chwili Pink efektownym ruchem, jak mazurzysta, kiedy przed tancerką otwiera przestrzeń, zawinął ręką od podłogi w stronę tablicy.

— Wulkan w Meksyku — wystrzelił.

Zatkałem uszy. Patrząc na orkiestrę, czekałem cierpliwie, aż rudy opętaniec z pałeczkami znieruchomieje.

Pink, któremu gorset uniemożliwiał ukłony, raz po raz wyrzucał ściśnięte dłonie w stronę widowni, dziękując za oklaski. W głębi sceny, przy stoliku, Sirola naradzał się z członkami jury.

Tu i ówdzie zrywały się jeszcze brawa, kiedy odsłoniłem uszy, ale już Sirola wyciągniętymi rękami prosił o ciszę.

— Nie ma rady na pana — rzekł zwracając się do Pinka. — Nie ma rady, doprawdy. Wie pan co? Te nasze konkursy są jak walki dwóch przeciwników, z których jednak tylko jeden, to znaczy ja, przegrywa stale i nieuchronnie. Nieraz, kiedy wskazówka podbiega pod czerwoną kreskę, myślę sobie: „No, nareszcie, panie Pink, nareszcie nokaut” — i w następnej chwili druzgoce mnie pan swoją odpowiedzią. Jak można zgromadzić tyle wiadomości?

— Czytało się coś niecoś w młodości, panie Sirola — zachrypiał Pink. — Książki, książki, mnóstwo książek. Z daleka od knajp, dansingów i sportu. Ten tryb życia polecam dzisiejszej młodzieży. To się, jak widać, opłaca. No, ale jedźmy dalej. Czwarte pytanie. Mam nadzieję, że tym razem nie będzie to coś do płukania ust, jak poprzednio.

— A jednak znowu trudne do wymówienia słowo — odparł śmiejąc się Sirola. — Musieliśmy je również podać na tablicy. Ale ułatwię panu zadanie. To nazwa czegoś w tym samym kraju, w Meksyku. Uwaga.

Podszedł do tablicy i jednym ruchem ręki obrócił czarny prostokąt naokoło osi.

— Czyta się to Cziuaua, a pisze, jak widać, Chihuahua — „ch” bezszelestnie wypadło z ust spikera i okaleczone słowo zabrzmiało: ihuahua. — Uruchamiam zegar — dorzucił przyciskając kontakt.

— Do licha! — warknął Pink. — Jak pan czyta? Ch, ch, przez „c” i „h”. Chi–hua–hua. Chihuahua.

— Co ten Sirola dzisiaj wyprawia? — mruknął Pietro. — To jest dykcja spikera? Wyleją go jutro.

— Ba, bo też to i nazwy — zauważyła kobietka. — W tamtym słowie pluskało, a tu świszcze i szczeka.

Kto to wymyślił? Wiesz co, Pietro? Pink zawali teraz. Spójrz, jaki czerwony i zdenerwowany.

Francesco gorączkowo przeszukiwał drugi, wyciągnięty z teczki tom encyklopedii, aż zatrzymał się wreszcie na jednej ze stron. Biegłem wzrokiem w ślad za jego palcem, zeskakując w dół, z nazwy na nazwę, jest. *Chihuahua. Stan w północnym Meksyku obejmujący...*

— Stan w Meksyku — zabrzmiało triumfalnie ze sceny.

— Proszę, niech pan zamieni się ze mną na miejsca! — krzyknął mi w ucho Francesco. — Szybko!

Spełniłem jego prośbę. Gdy tylko usiadł na skrajnym krześle, przechylił się w bok i przywołał ręką kogoś z tylnych rzędów. Niski, ale o barach szerokich jak szafa młody człowiek stanął przed nim.

— Za chwilę, panie Salvatore, za chwilę — podnieconym głosem rzucił mu Francesco.

Na widowni trwała jeszcze wrzawa. Sirola znów podszedł na brzeg sceny i znów popatrzył w naszym kierunku. Nagle ruchem cezara, który skazuje na dobiecie umierającego gladiatora, Francesco wyciągnął przed siebie pięść ze skierowanym w dół kciukiem. Sirola zatarł ręce.

— Proszę o ciszę! — wrzasnął. — Proszę o ciszę! — Jak baletnica, w krótkich lansadach,

podbiegł do Pinka.

— Pytanie piąte. Tym razem coś z techniki, z nowoczesnej techniki — głos jego nagle stał się słodki, miodowy. — Pytanie jest trudne. Tak, trudne, ambarasujące, kłopotliwe. Sprawa zarówno logiki, jak i wiadomości.

— Niechże pan nie czaruje — warknął Pink. — Proszę mówić.

— A więc mówię. That is the question*¹. Proszę odgadnąć — Sirola cedził słowa — proszę powiedzieć... Jaki to nowoczesny wynalazek ułatwić może wygrywanie Zgaduj-zgaduli? He?

Jakby ktoś żarzące węgle przysunął do Pinka, gwałtownym ruchem odrzucił w tył głowę i fala krwi napłynęła mu do twarzy.

— Carla. Dio mio!* Co oni wyprawiają? — zaniepokoił się Pietro.

Pink pochylił się. To samo zrobił stojący naprzeciw niego Sirola, który jednocześnie wyciągnął w bok obie ręce, jakby bawił się w „łapanego” albo... zagrażał Pinkowi drogę do prowadzących ze sceny schodków. Trwało to zaledwie dwie, trzy sekundy. W następnej chwili Pink runął pod ramię spikera i jednym skokiem znalazł się przy schodach.

— Za nim, Salvatore — zapiszczał podniecony Francesco — za nim, bo ucieknie bocznym wyjściem!

O kilka kroków od sceny czerniał prostokąt drzwi. Salvatore dopadł Pinka, w chwili kiedy ten przyciskał już klamkę, jedną ręką uchwycił go za kołnierz, a drugą — gwałtownym pociągnięciem — zdarł z głowy bandaż. Nagle, potężnie kopnięty w kolano, ryknął z bólu. Pink oswobodziwszy się znikł za drzwiami jak zdmuchnięty. Kuśtykający Salvatore usiłował go gonić, a w ślad za nim wybiegliśmy ja i Francesco. Ścigał nas wściekły wrzask tłumu i krzyk Siroli:

— Proszę o spokój... Spokój!... Wyjaśnię!... Oszustwo, oszustwo...

Na ulicy zawyła syrena policyjna.

Dopiero na drugi dzień zobaczyłem Francesca. Wczoraj pożegnał się ze mną, gdy tylko wybiegliśmy na ulicę.

— Proszę zajść do mnie jutro. Wieczorem — rzucił odchodząc i podał mi swój adres.

Mieszkał niedaleko mojego hotelu, na skraju willowej dzielnicy, gdzie miasto, schodząc w niebieskie półkole rzeki, zanurzało się w zieleń licznych ogrodów pociętych płataniną uliczek.

„Co tam się właściwie stało?” — myślałem idąc wolno mimo siąpiącego znów deszczu i próbując odnaleźć rozwiązanie wczorajszych wydarzeń.

Po kilku minutach drogi nagły jęk dzwonów, nadlatujący z pobliskiego kościoła przez półmrok i siapawicę, obudził mnie z zamyślenia. Stwierdziłem, że znajduję się w jakimś zagubionym zaułku. „Ech — z rezygnacją machnąłem ręką — i tak za chwilę opowie mi o tym wszystkim Francesco”.

To był mały, czarny i płaski aparacik wielkości zegarka na rękę, podobny do lilipuciej słuchawki telefonicznej, o pokrywce tak samo lejowato zapadającej się ku małemu otworowi w środku. Francesco wyplątał go z garści bandażu wyjętych z teczki i rzucił na stół między dwie parujące filizanki czarnej kawy.

— Ależ spryciarze! — rzekł podsuwając mi cukier i pudełko z papierosami. — Oto do czego doszła miniaturyzacja sprzętu — wskazał na aparacik. — Kiedyś skrzynki, potem skrzyneczki, aż przez wprowadzenie tranzystorów zastępujących lampy elektronowe, przez zmniejszanie wymiarów kondensatorów, oporników i innych części doprowadzono ten sprzęt do wymiarów pudełka od papierosów. Ale praca trwała dalej. Pamiętam, śmiałem się oglądając przed kilkunastu laty następujące obrazki w jednym z amerykańskich komiksów: jakiś mężczyzna stoi

¹* That is... (ang.) — oto jest pytanie (nawiązanie do monologu Hamleta: „Być czy też nie być, oto jest pytanie”)

* Dio mio! (wł.) — mój Boże!

przed wejściem do wielkiego baru, obserwując przez szybę kilku ludzi — szajkę gangsterów — siedzących przy stoliku. Potem podnosi rękę i przykłada do ucha zegarek, jakby chcąc sprawdzić, czy nie przestał chodzić. „Uważaj, Dick — powiadamiała chmurka wydobywająca się z zegarka, który, jak się okazało, był lilipucim radioodbiornikiem. — Już wyjeżdżamy. Za pięć minut będziemy na miejscu. Tylne wejście zabezpieczone. Musisz ich zatrzymać do naszego przyjazdu. Za wszelką cenę”.

Francesco zachichotał. Pociągnął łyk kawy.

— No i ma pan realizację. O, la, la. Ta technika! Co za tempo!

Umilkł na chwilę.

— Pracuję jako doradca naukowy w radio — ciągnął dalej. — Przed tygodniem wezwano mnie do dyrekcji. „Panie Castellani — zwrócono się do mnie — pan wie przecież o tych konkursach, o tym, że Pink strzyże nas jak barany. Oczywiście można mieć rozległą wiedzę i doskonałą pamięć, ale żeby aż do tego stopnia?... Powzięliśmy pewne podejrzenia. Proszę nam powiedzieć, czy to jest możliwe, aby Pink miał pod bandażem bardzo mały radioodbiornik. Bardzo mały, bo bandaż niemal gładko przylega do ucha”. Kiedy milczałem, padły dalsze wyjaśnienia: „Stwierdziliśmy przez policję, że Pink obraca się w towarzystwie kilku podejrzanych ludzi, no i, niech pan sobie wyobrazi, Hillmana”. Ach, Hillman, Hillman — to była prawie odpowiedź na ich pytanie, z czego oni nie zdawali sobie jeszcze tak dokładnie sprawy. Tylko kilka osób, a między nimi i ja, wiedziało, że Hillman pracuje nad tym zagadnieniem. „Czyżby należał do szajki, on, znany wynalazca?” — pomyślałem. Dziś już wiem, że Hillman raz lekko pośliznął się w życiu i że wydostano od niego ten pierwszy aparacik drogą szantażu. „Pan rozumie — mówili dalej ci z dyrekcji. — To sprawa delikatna. Pink jest cudzoziemcem. Nie możemy sobie pozwolić na skandal. Musimy mieć pewność. No więc, czy to jest możliwe? Otrzymałby pan nagrodę za wyjaśnienie sprawy”.

Francesco znów umilkł na chwilę.

— Ależ spryciarze! — rzekł wreszcie. — Siedziało ich kilku, w mieszkaniu o parę domów dalej, i słuchali konkursu przez radio. Mały nadajnik i duża encyklopedia, dla szybszego wyszukiwania podzielona między członków tego zespołu mózgow, oto całe wyposażenie tej tak dobrze zapowiadającej się spółki. No i to cudko techniki, ten aparacik pod bandażem Pinka, znanego sportsmena.

Francesco znów zachichotał.

— Czekali w napięciu — ciągnął dalej — aż usłyszą przez radio pytanie, i natychmiast po wyszukaniu w encyklopedii odpowiedzi nadawali ją Pinkowi. W domu i w czasie konkursu sprawdziłem, ile na to potrzeba czasu. Po trzecim i czwartym pytaniu, ułożonym zresztą przeze mnie, uzyskałem pewność. Proszę pana, czy człowiek, którego cała uwaga jest skupiona na znalezieniu odpowiedzi, zajmowałby się błędami popełnianymi przez spikera, a w dodatku, marnując czas, poprawiałby je? Nie! Chyba, że usłyszałby tuż przy uchu cichy, ale podniecony głos: „Wyraz. Jak brzmi wyraz?!”

— Co za spryciarze! — powtórzyłem za Francesco. — Co za pomysły! Jakiś cichy naukowiec męczy się nad wynalazkiem tyle lat po to...

— Cóż pan chce — przerwał mi Francesco. — Natura tworzy szeroki asortyment ludzi. I dlatego, choć wiedza jest bez twarzy, często dorabiamy jej podwójne, janusowe oblicze.

KŁOPOTY Z FANTAZJĄ

Wczoraj rano wezwał mnie do siebie redaktor naczelny.

— Panie Stefanie — rzekł, wyciągając ku mnie papierośnicę — czekają nas nowe i bardzo poważne zadania.

Nie lubię takich wstępów, zawsze kryje się za nimi coś niezbyt miłego. Niestety, nie myliłem się.

— Widzi pan — naczelny puścił kłęb dymu — musimy dać czytelnikowi coś zupełnie nowego. Nawet najciekawsze wiadomości naukowe, podawane w najbardziej dostępnym sposobie, mogą w końcu znużyć. Pan wie, jak bardzo cenię nasze propozycje popularno–naukowe, ale cóż, trzeba iść z duchem czasu.

— A ten wymaga? — poddałem.

— Beletryzacji! — triumfalnie oznajmił naczelny. — Beletryzacji, proszę pana. Oczywiście, utwór nie powinien rezygnować z naukowych treści, ale forma musi być zbeletryzowana. Tylko tego rodzaju utwory jeszcze mogą pociągać czytelnika, który na ogół nie bardzo lubi, kiedy go się uczy. Wiemy coś o tym, nieprawdaż, panie Stefanie?

— Niestety tak, panie redaktorze — westchnąłem.

— Widzi pan! — znów zatriumfował naczelny. — A więc chodzi o powieść, i to całkiem szczególnego rodzaju.

— Pan redaktor ma na myśli?... — wtrąciłem grzecznościowo.

— Oczywiście powieść fantastyczną — redaktor wycelował we mnie palec — czyż może być mowa o jakiegokolwiek innej?

Zimno mi się zrobiło, ale zdobyłem się na bohaterski uśmiech.

— Pan redaktor chciałby coś o podróży na Marsa czy inną planetę, coś w związku z energią jądrową czy jakąś techniką przyszłości?

— O, to, to — ucieszył się Stary — mądrej głowie dość dwie słowie.

Podziękowałem za komplement i ostrożnie przeszedłem do kontraktacji. Przede wszystkim postanowiłem powołać się na zagranicę. Co jak co, ale to na pewno powinno chwycić.

— O ile mi wiadomo, panie redaktorze, to w Stanach Zjednoczonych fantazja naukowa, czyli scientific fiction, już się znudziła publiczności.

— To nie dowód — odparł naczelny — u nas jeszcze tak nie jest. Ale do rzeczy, ma pan jakieś pomysły na ten temat?

Na wszelki wypadek, aby zyskać na czasie, powtórzyłem pytanie:

— A więc to koniecznie musi być jakiś fantastyczny pomysł?

— Koniecznie!

— Hm — bąknąłem — zdaje się, że miałbym coś takiego.

— No, to dawaj pan — zatarł redaktor ręce — dawaj pan!

— Czy odpowiadałoby panu wywoływanie duchów zmarłych osób?

— Naukowymi metodami? — roześmiał się naczelny. — Ależ, drogi panie, nauka nie ma takich możliwości i nigdy ich nie będzie miała. Niech pan pamięta, że w fantastycznej powieści naukowej nie wolno operować niczym, czego by nie usprawiedliwiał stan obecnej nauki.

— Zupełnie słusznie, panie redaktorze — przytaknąłem — a jednak niech pan posłucha. W roku dwutysięcznym — zacząłem — odbywa się gdzieś seans spirytystyczny. Ktoś z obecnych ubóstwa muzykę i koniecznie chciałby wywołać Toscaniniego, ktoś drugi znów pragnąłby ujrzeć

Einsteina, Fermiego i innych twórców epoki atomowej. Wtedy ja gaszę światło, wykonuję kilka ruchów magicznych i, proszę — Toscanini dyryguje w Metropolitan orkiestrą, wszyscy widzą jego uduchowioną twarz i czarodziejskie ruchy. A potem znów coś manipuluję i kolejno Einstein, Fermi i inni przemawiają na ważnym zebraniu naukowym. Czy to nie wspaniała fantazja, panie redaktorze, zmarli przemawiają i poruszają się.

Naczelny przyjrzał mi się badawczo.

— O czym pan właściwie mówi? Ale kawalarz z pana! — roześmiał się po chwili. — Przecież to film, magnetofon i telewizja. Gdzie tu fantazja? To najrzeczywistsza rzeczywistość. Doskonały kawał, ale żarty nie rozwiązują sytuacji.

Sprawa stawała się poważna. Wiedziałem, że jeśli Stary coś sobie wbije do głowy, nic go nie przekona. Trzeba było jakoś wykręcić się z tego wszystkiego.

— Nie wiem, czy się to panu będzie podobało — asekurowałem się — ale zdaje mi się, że miałbym coś innego.

— No, no — dodał mi otuchy naczelny.

— Do Nieświeża, na dwór Radziwiłła „Panie Kochanku”, przybywa ktoś z końca dziewiętnastego wieku. Książę, jak wiadomo, nie grzeszył zbytym wykształceniem ani krytycyzmem i łatwo wierzył w najrozmaitsze baśnie czarodziejskie. Korzystając z tego, przybysz opowiada o swym pobycie w krainie czarnoksiężników, przy czym zaręcza słowem honoru, że wszystko, co przedstawi, jest szczerą prawdą. Istotnie, jego relacja nie ma w sobie ani żdźbła łgarstwa, z tym jedynie zastrzeżeniem, że zdobycze wieku dziewiętnastego wytłumaczone są w sposób dostępny ówczesnym ludziom. A więc kolej żelazna przedstawiona jest w postaci karoc ciągniętych przez stalowego smoka, którego ujarzmili czarnoksiężnicy. Smok żywi się węglem i wodą, z jego nozdrzy bucha para, a jest tak silny i szybki, że potrafi przewieźć ze Lwowa do Krakowa tysiąc osób naraz, i to w ciągu zaledwie ośmiu godzin, inne smoki tego rodzaju poruszają okręty (które nie mają już żagli), tartaki, kuźnie, tkalnie, orzą, młóca, miela zboże i w ogóle zastępują człowieka w różnych pracach. Ale czarnoksiężnicy nie tylko ujarzmili smoki, potrafili oni również wziąć w niewolę piorun i błyskawice. Za pomocą iskry piorunowej przesyłają w ciągu godziny wiadomości na odległość wielu mil i w ciągu godziny otrzymują odpowiedź. Błyskawice wsadzili do lamp i oświetlają nimi ulice i mieszkania. Ba, czarownicy potrafią jeszcze coś innego — mówią do jakiegoś niewielkiego pudełka, a słychać ich na setki mil. Przyłożą do tego pudełka ucho — i w Warszawie wiedzą, co ktoś mówi w Krakowie. Radziwiłł i jego dworzanie słuchają nieznajomego z zaciekawieniem. Trudno im w to wszystko uwierzyć, ale — kto wie — może istotnie gdzieś na świecie są tacy czarownicy. Kiedy jednak obieżyświat zapewnia, że owi czarownicy zaprzęgli do swej służby nawet samo słońce, które w ciągu kilku chwil maluje im wszelkie portrety — nieświeżanie mają dość tych bajek. „Wykluczone, aby czarnoksiężnicy potrafili uczynić coś takiego” — oświadcza książę „Panie Kochanku” i nieszczęsny, prawdomówny gość z wieku dziewiętnastego publicznie zostaje uznany za łgarza.

— Cha, cha, cha! — zaniósł się śmiechem naczelny. — Kapitalne, wspaniałe!

— Prawda, że to dobry pomysł? — zauważyłem skromnie.

— Pomysł — spoważniał naczelny — pomysł jest bez wątpienia doskonały. Rozśmieszyło mnie jednak coś innego. Przecież to, co pan opowiedział, dawno już temu napisał Włodzimierz Zagórski. Streścił pan jego nowelkę, którą Tuwim umieścił w zbiorze „Polska nowela fantastyczna”.

— Ano trudno, przed panem redaktorem nic się nie uda ukryć — polechtałem ambicję naczelnego. — Nie miałem jednak zamiaru popełniać plagiatu, pomyślałem tylko, że tę akcję można by przenieść w nowsze czasy. Czy pan sobie wyobraża widok, kiedy w roku tysiąc

osiemset dziewięćdziesiątym z Tamizy wynurza się łódź podwodna napędzana energią atomową i wysiada z niej gość z promieniami Roentgena, radiem, filmem, radarem, telewizorem i innymi naszymi hokusami-pokusami?

— Hm — mruknął naczelny — w owym czasie Verne już był bardzo poczytny.

— Właśnie dlatego — podchwyciłem. — To były młodzieńcze czasy współczesnej techniki, czasy zachwyty dla nowych maszyn i wynalazków. Ówczesne powieści fantastyczne były wyrazem niecierpliwości, chęci przyspieszenia przyszłości, od której oczekiwano cudów.

— A terazniejsze fantazje się panu nie podobają? — przyjrzał mi się spod oka naczelny.

— Bardzo mi się podobają, tylko wydaje mi się, że zmienił się dla nich klimat. Interesują, ale nie zachwycają. Przenoszą w przyszłość, ale nie są wyrazem niecierpliwości. Czy pan zauważył, panie redaktorze, że z naszego słownika znikło wyrażenie „cud techniki”, tak popularne w wieku dziewiętnastym?

— Może pan ma i rację — zaciągnął się dymem naczelny — przekroczyliśmy już młodzieńczy wiek techniki i wynalazków. Mamy pewne prawo do zblazowania. Ale mimo wszystko fantastyczność ciągle jeszcze jest w modzie.

— Fantastyczność!... — porwała mnie gorączka. — Raczej niech pan powie: sensacja. Diabła kogo obchodzi, jak będzie wyglądał świat za pięćdziesiąt, sto czy dwieście lat! Diabła kogo obchodzi, do czego zdolna jest obecna technika! Co im pan napisze? Odmrozić lody podbiegunowe? To tylko kwestia dostatecznej ilości energii. Zaludnić Saharę, napelnić ją kipiącym życiem? Widziało się już takie rzeczy w mniejszym wydaniu. Podróż na Marsa? No, skoro krążą już sztuczne satelity... Wie pan, co jeszcze ciągnie w powieściach fantastycznych? Niech pan przeczyta amerykańskie bestsellery. Ona — w postaci galarety, on — w postaci mgławicy, a ten trzeci — zamieniony w promienie. Ja osobiście wolę Agatę Christie.

— Ależ pana poniosło! — śmiał się redaktor. — I to wszystko dlatego, aby wymigać się od pisania fantazji naukowych? Nie, panie Stefanie, nie pomogą żadne niby to zasadnicze wymówki ani żadne kluczenie. Musimy wydać powieść fantastyczną i wydamy ją. Niech pan się nad tym zastanowi.

Wyszedłem od naczelnego zupełnie zgnębiony. Sprawa była przegrana. Trzeba zabrać się do powieści fantastycznej, choć nie miałem na to żadnej ochoty. Lecz o czym pisać i jak?—Może wrócić w przeszłość? Ale w jaką? Do średniowiecza jak Andersen w „Kaloszach szczęścia” lub Mark Twain w „Jankesie na dworze króla Artura”?

Ba, ci mieli łatwo, tak samo jak Verne. Żyli w okresie, kiedy ludzkość aż zachłystywała się ze szczęścia, że ma koleje, telefon, gazety, kalosze. A niech ja — biedny — napiszę coś takiego o naszych czasach!

Chodziłem z tymi myślami przez cały dzień, a w nocy nie mogłem zasnąć. Przewracałem się z boku na bok, aż Marysia zapytała:

— Może jesteś chory? Na pewno ci zaszkodził ten pasztet z zająca. Przyrządzić ci ziółek?

— Ziółka nie pomogą — westchnąłem. — Widzisz, tu chodzi o odpowiedni wybór czasu. Terazniejszość naczelnemu nie wystarcza, na przeszłość się nie zgadza, a znów z przyszłością niełatwo. Nie wiem, co mam gdzie przenieść — terazniejszość do przyszłości czy do przeszłości. A może przeszłość do przyszłości lub przeszłość do przeszłości — toby była ciekawa kombinacja! Co o tym myślisz?

— Nabiłeś sobie głowę bzdurami i teraz ani sam nie możesz spać, ani mnie nią dajesz. Weź waleriany.

„Ach, te kobiety — pomyślałem sobie — kategoryczny rozkaz naczelnego mam leczyć walerianą!”

Cóż było robić, udałem, że zasypiam. Ale kiedy Marysia już od dawna chrapała, ja wciąż

jeszcze leżałem z otwartymi oczami. Wreszcie jednak i mnie się powieki zamknęły.

Chyba nie ma na świecie lepszego urzędnika niż sen. Na jawie długo jeszcze męczyłbym się nad zadaniem postawionym mi przez naczelnego, a kilka minut snu natychmiast je rozwiązało.

Wcale się nie zdziwiłem, kiedy pan Vieuxtemps, jegomość w krótkich spodenkach i z wielkim, białym kołnierzykiem wyłożonym na surdut, odezwał się do mnie:

— A czytał już pan o wielkim wynalazku tego Niemca z Magdeburga, jak go tam zowią, von Guericke? To wielki uczony, ale wybaczyć, panie, nazwisko ma prawdziwie barbarzyńskie. G—rrr—kk — aż mnie w gardle zadrapało.

Chyba naprawdę tak było, bo dźwignął cynową kwartę z winem, która stała przed nim, i oczyścił sobie gardło połową jej zawartości.

Poszedłem za tym zaraźliwym przykładem, potem odstawiłem dzbanek na stół, wytarłem wąsy i powiedziałem:

— Pewno, że czytałem. Chodzi panu oczywiście o pompę do wytwarzania próżni?

— A jakże, panie. Przecież to, co ten Guericke pokazał w Magdeburgu, jest po prostu niezwykle. Osiem par koni nie potrafi rozerwać próżnej kuli miedzianej, którą jeden człowiek łatwo otwiera, gdy jest napełniona powietrzem. Kto by się tego spodziewał jeszcze pięćdziesiąt lat temu — zachwycał się mój sympatyczny sąsiad. — Panie, nawet sam cesarz i księżęta podziwiali ten niezwykle wyczyn!

— A cóż tu mają do gadania cesarz czy księżęta — mruknąłem. — To ignoranci.

— Co pan powiedział? — spojrzał na mnie ze zdziwieniem monsieur Vieuxtemps.

Mimo woli spojrzałem przez okno. Na tle nieba wyraźnie rysowały się wieże Bastylii.

„Hm — pomyślałem sobie — lepiej nie poruszać tego tematu”.

— Nie mam zamiaru obniżać zasług Guerickego — powiedziałem — ale niewiele on by uczynił, gdyby Torricelli i inni uczeni przedtem nie wykazali, że próżnia istnieje i że można ją wytworzyć doświadczalnie.

— Ależ, oczywiście, oczywiście — zgodził się ze mną mój sąsiad. — Guericke to bardziej technik niż uczony, ale jego pompa próżniowa z kolei stała się ważnym przyrządem dla innych uczonych. Z jej pomocą zdobędziemy nowe wiadomości o przyrodzie. To idzie jak lawina.

„Po co on plecie te komunały? — pomyślałem sobie. — Przecież każde dziecko wie, że nauka i technika wzajemnie się wspomagają”.

Znów jednak spojrzawszy przez okno, zauważyłem, że w panoramie Paryża brak wieży Eiffla.

„Aha, oni dopiero zaczynają” — zrozumiałem.

— Proszę pana — entuzjazmował się tymczasem monsieur Vieuxtemps — co za czasy, co za niezwykle wydarzenia! Mamy teraz rok tysiąc sześćset sześćdziesiąty piąty, akurat kończę sześćdziesiąt pięć lat i pomyśl pan, co za mego krótkiego życia zdobyła nauka i technika. Nie było jeszcze lunet, kiedy się urodziłem, a teraz mamy tak doskonale przyrządy astronomiczne, że trudno sobie wyobrazić lepsze. Dopiero niedawno widziałem rysunek i opis lunety Hooke'a ze śrubą mikrometryczną i noniusem. Panie, przecież to cudo techniki i wynalazczości! Miałem zaszczyt i szczęście znać Keplera. Kiedy ogłosił swe prawa ruchu ciał niebieskich, wydawało się wszystkim, że to już szczyt nauki. A przecież doczekałem się jeszcze później tak wielkich wydarzeń, jak opis krążenia krwi dokonany przez Harveya, doczekałem się odkryć Pascala i Torricellego. A mikroskop, proszę pana, czy pan czytał, co widzieli pod mikroskopem Malpighi i inni?

Pan Vieuxtemps przygasił swe uniesienie nową kwartą wina.

— To rośnie z roku na rok, to naprawdę przypomina lawinę! W matematyce: logarytmy Napiera, geometria analityczna Descartes'a. W chemii: genialne dzieło Boyle'a, które na zawsze

kończy z alchemią. Jak na jedno krótkie życie ludzkie, to chyba dosyć, mój panie.

„Nie zaimponujesz mi, przyjacielu — pomyślałem sobie — mógłbym ci wyliczyć, że za mego życia powstała teoria kwantów, teoria Einsteina, stworzono model atomu i rozbito atom, wyzwolono energię jądrową. A gdzie parę tysięcy drobniejszych odkryć, jak wirusy, antybiotyki, hormony, witaminy, gdzie kilka tysięcy takich wynalazków, jak radio, film, telewizja, mózg elektronowy?”

Byłem jednak w tej doskonałej sytuacji, że wszystko wiedziałem, lecz z niczym się nie zdradzałem. Stanowczo mądrzej się urządziłem niż Jankes z czasów króla Artura albo gość z Nieświeża. Mojemu sąsiadowi nie wpadło nawet na myśl, że nie jestem mu współczesny. Co prawda byłem zupełnie inaczej ubrany niż on, dość cudacznie jak na owe czasy, ale pan Vieuxtemps jakoś się nie dziwił. Ja za to nie pytałem go, skąd tak dobrze zna nowoczesny język polski.

Byliśmy obydwaj dobrze wychowani i zachowywaliśmy się taktownie.

Mój sąsiad dolał sobie wina z wielkiej kruży stojącej na stole i, dokładnie znów przepłukawszy gardło, mówił dalej:

— To były odkrycia niezwykle ważne dla nauki, ale niech pan pomyśli, ile korzysta na tym technika i człowiek pospolity. Czy były kiedyś zegary tak dokładnie chodzące, jak te obecne, gdy Huygens dodał im wahadło? Mamy barometry, które przepowiadają pogodę, mamy rozmaite maszyny, które spełniają setki pożytecznych czynności. Czy ktoś uwierzy, że za czasów mojej młodości nie było jeszcze maszyn do wytłaczania monet? A widział pan maszynę do liczenia wynalezioną przez Pascala? Jest jeszcze trochę niezdarne, ale przyszłe wieki na pewno ją ulepszą. Kto wie, może doczekamy się maszyny do pisania! Dopiero niedawno pewien mój znajomy przywiózł z Londynu ołówek wykonany z plumbago. Panie, nasze, dawne, napełniane ołowiem, to wobec niego narzędzie barbarzyńcy.

„Ma na myśli grafit” — pomyślałem sobie i z udaną naiwnością zapytałem:

— A jak pan przypuszcza, czy pióro gęsie, którego teraz używamy do pisania, też zostanie zastąpione przez coś innego?

— Nie ulega wątpliwości! — zawołał Vieuxtemps. — Dlaczego nie miano by wyrabiać piór z jakichś innych materiałów? Ot, choćby z tych, które obecnie przywożą z Ameryki. Jeśli rośnie tam tak dziwne drzewo, jak chinowe, to dlaczego nie miałyby rosnać takie, z których można by robić pióra?

„A widzisz, bracie! — roześmiałem się skrycie. — Szukasz piór w Ameryce i nie możesz przewidzieć, że będą stalowe, natomiast nie domyślasz się, że Ameryka da nam kartofle i kauczuk. Twoje fantazje naukowe są do kitu. Trzeba by o tym powiedzieć naczelnemu”.

Mój rozmówca znów łyknął kwartę wina (nie pamiętam już dokładnie którą, bo i sobie ich nie liczyłem) i popadł w zadumę.

— Niestety — podjął po chwili — jestem już stary. Zapewne nie potrafiłbym napisać tego dzieła, a poza tym nie mam talentu literackiego. Ty, przyjacielu, jesteś młodszy ode mnie, nie brak ci wiadomości, mam takie przekonanie, że dobrze władasz piórem. Tyś to powinien...

— Co pan ma na myśli? — spojrzałem na niego podejrzliwie.

— Powinieneś opisać, jak świat będzie wyglądał za dwieście albo trzysta lat. Możesz to łatwo uczynić, jeśli się oprzesz na obecnych, wielkich odkryciach. Napisz powieść fantastyczną.

Serce uderzyło mi gwałtownie. Przyjrzałem mu się dokładniej i poznałem... Oczywiście — przecież to był naczelnik! Ale teraz nie on mnie, lecz ja jego miałem w rękę.

„Poczekaj — pomyślałem sobie — już ja cię tak urządzę, że popamiętasz ruski miesiąc”.

Przede wszystkim udałem, że go nie pojmuję, a następnie zdobywszy się na maksimum słodczy w głosie, zapytałem:

— A czy zna pan również najnowsze doświadczenia Guerickego?

— Jakie? Nie przypominam sobie, żeby po pokazie z kulami magdeburskimi dokonał czegoś poważniejszego — odrzekł monsieur, potrząsając głową.

— Mam na myśli jego doświadczenia z kulą siarkową, wykonane dwa lata temu.

— Ach to! — machnął lekceważąco ręką. — Przecież wiadomo, że kula siarkowa przyciąga papier, gdy się ją potrze ręką.

— Podobno z kuli Guerickego leciały iskry — próbowałem mu poddać myśl.

— Phi, i co z tego? — wydał pogardliwie wargi. — Zabawka!

„Zabawka! — pomyślałem. — Zjawiska elektryczne to dla ciebie zabawka, natomiast ołówek: wielki wynalazek! I ty marzysz o fantazji z roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego piątego! Poczekaj, ty... naczelny!”

Uśmiechnąłem się szatańsko (oczywiście tylko wewnętrznie, bo na zewnątrz zachowałem powagę i obojętność).

— Pańska propozycja powieści fantastycznej — stwierdziłem — nie jest zła. Muszę się nad tym zastanowić. Dam panu odpowiedź, powiedzmy, za miesiąc. Spotkamy się w tej samej gospodzie — dodałem wyciągając kiesę z pieniędzmi i wołając szynkarza, aby uregulować należność.

Mój plan zemsty na naczelnym był bardzo prosty. Chciałem mu wykazać, że to, co obecnie uważa za zabawkę, w przyszłości może się stać fundamentem nauki i techniki.

„Takie maleńkie ćwierćkonne dynamo doskonale by się teraz przydało” — wpadło mi na myśl.

Natychmiast jednak aż zarżałem od śmiechu. Dynamy w 1665 roku? A gdzie te fabryki i warsztaty, które by wykonały rotor, stator, uzwojenie i wszystkie inne detale? A gdyby nawet istniały, skąd wzięłyby odpowiednie materiały? A przypuśćmy nawet, że udałoby mi się stworzyć to maleńkie dynamo, czym bym je napędzał? Maszyną parową, którą z takim trudem zbudowano dopiero sto lat później? Łatwo to miał Mark Twain, który pozwolił swemu bohaterowi budować w szóstym wieku koleje, telefony — nie obowiązywała go prawda naukowa. Ale niechbym ja spróbował napisać coś w tym rodzaju!

Cóż mi więc pozostało? Może zbudować maszynę tarciovą, jaką jeszcze teraz pokazują w szkole? To leżało w granicach moich możliwości, chociaż musiałbym przeskoczyć około osiemdziesięciu lat, po których tę maszynę naprawdę zbudowano. Ale co bym przez to uzyskał? Prawie te same efekty, które dawała siarkowa kula Guerickego.

Gdyby monsieur Vieuxtemps zobaczył moją maszynę, może by ją i podziwiał, ale czy mógłby na tej podstawie osądzić, jaką rolę będzie pełniła elektryczność w wieku dwudziestym?

Po długich rozważaniach doszedłem do wniosku, że najmądrzej będzie zbudować elektryczne ogniwo Volty. Jest ono proste w konstrukcji, materiałów do wykonania go nie powinno zbraknąć, a mając takie źródło prądu, potrafię zaświecić żarówkę lub dokonać innego rewelacyjnego pokazu z energią elektryczną.

Natychmiast zabrałem się energicznie do roboty. Z miedzią nie miałem trudności, używano jej powszechnie do wyrobu naczyń kuchennych i po paru dniach kotlarz przyniósł mi kilka płytek miedzianych. Znacznie trudniej było z kwasem siarkowym. Podobno gdzieś trzymali go aptekarze, ale właściwiej mówiąc, mieli z nim dotychczas do czynienia głównie alchemicy. Otrzymywali oni kwas siarkowy przez prażenie koperwasu i chwywanie powstających par do naczynia z wodą, ja jednak postanowiłem dokonać wynalazku i w tej dziedzinie. Postarałem się o siarkę, o którą zresztą było znacznie łatwiej niż o koperwas, zmieszałem ją z saletrą, zapaliłem, a uchodzące gazy spalinowe przepuszczałem do wody. W ten sposób otrzymałem sporą ilość wiotrioleju, który wystarczyło wlać do wody destylowanej, aby otrzymać rozcieńczony, potrzebny

mi do ogniwa kwas siarkowy. Byłem bardzo dumny z siebie, bo przy sposobności odkryłem zasadę fabrycznej produkcji kwasu siarkowego.

Ale cóż z tego! Już w rok po mnie, w roku 1666, to samo odkrycie zrobił Francuz Lemery i jemu to, a nie mnie, przypadł cały zaszczyt. Jak to niedobrze urodzić się zbyt późno!

Miałem więc już miedź i kwas siarkowy, brakło mi jeszcze cynku, ale zdobycie go nie wydawało mi się zbyt trudne — przecież w owym czasie mosiądz był już doskonale znany. A jeśli znano mieszaninę cynku z miedzią, to dlaczego by miano nie znać cynku? Okazało się jednak, że czystego cynku nie mogłem dostać za żadne skarby, po prostu nie używano jeszcze tego metalu w czystym stanie. Mosiądz wytwarzano wtedy nie przez bezpośrednie stapianie obu składowych metali, lecz przez wyprażanie miedzi z rudą cynkową i węglem drzewnym.

Nie było rady, trzeba było samemu wyprodukować kawałek cynku. Miałem do wyboru albo wytopić go z rudy, albo wydzielić z mosiądzu, lecz i jedno, i drugie było prawie niewykonalne za pomocą środków, którymi wówczas dysponowano. Zniechęciło mnie to tak bardzo, że chciałem w pewnej chwili rzucić cały ten kram i uciec z powrotem do wieku dwudziestego, ale zacisnąłem zęby i w końcu, po niesłychanych trudach, otrzymałem kawałek metalicznego cynku. Nie pamiętam, ilu odkryć dokonałem w tym celu, chyba ze dwudziestu albo i więcej.

Mając już chemikalia, zacząłem szukać szklanego naczynia. W swej wielkiej naiwności sądziłem, że nietrudno będzie o słoik lub szklanekę. Ale kiedy wyszedłszy na ulicę zobaczyłem szyby tylko w oknach bogaczy, zrozumiałem, że — mówiąc po prostu — wypadłem z epoki. Jakoś jednak dałem sobie radę. Dwoma wykwintnymi pucharami zdobytymi od szklarzy weneckich i kosztującymi bajońskie sumy zastąpiłem zwykłe, szklane słoiki.

Pozostało jeszcze tylko zdobycie cienkiego drutu miedzianego, owinięcie go jedwabną nitką (zrobiłem to ręcznie), przylutowanie płytek — I dwa ogniwa były gotowe.

Zajęło mi to wszystko razem ni mniej, ni więcej, tylko pełny rok, w ciągu którego nie próżnowałem ani chwili. A ile kosztowało! Tyle pieniędzy można mieć tylko we śnie!

Ale grunt, że ogniwa były gotowe. Nietrudno sobie wyobrazić, jak się ucieszyłem, kiedy — po przyłożeniu do języka drutów od nich wiodących — poczułem charakterystyczne szczypanie. Mam źródło prądu i pokażę teraz temu Vieuxtemps coś, co mu zaimponuje. Zaraz jutro rano pobiegnę do niego. Nareszcie dojdzie do spotkania, które już tyle razy musiałem odkładać w ciągu ubiegłego roku.

Ale co mu pokażę? Szczypanie w język? To niepoważne. „Nie, mój panie, nie tędy droga — powiedziałem sobie — trzeba mu czymś zaimponować. Zaświecę żarówkę!” — I aż podskoczyłem na myśl o wrażeniu, jakie to na nim zrobi.

— Hm — powiedział szklarz wenecki, do którego się zwróciłem, aby mi wydmuchał szklaną banieczkę — to nie przedstawia dla nas wielkiej trudności.

— A potrafi waćpan tak uczynić, żeby kończyła się cieniutką rurczką?

— Owszem, I to da się zrobić.

Widziałem już w myśli moją żarówkę, ale dla ostrożności zapytałem jeszcze:

— A czy potrafi pan również wtopić w nią dwa druciki a następnie zalutować rurkę?

Szklarz spojrział na mnie, jakby nie rozumiał, o co mi chodzi, więc wytłumaczyłem mu to dokładnie.

— Ależ w takim razie — zawołał — trzeba by gotową banieczkę jeszcze raz rozgrzać, tak aby szkło stało się miękkie!

— No tak, oczywiście — odpowiedziałem.

— Lecz jak to zrobić, proszę pana, nie znam takiego sposobu.

Rzeczywiście — nie znał, przecież do tego potrzebny był płomień gazowy. Byłem tak wściekły, że postanowiłem wynaleźć gaz i zbudować sobie maleńką gazownię, ale zaraz opadły

mnie inne wątpliwości. Skąd wezmę azot do napełnienia żarówki? „Fracjonować powietrze?” — roześmiałem się gorzko. „Można by z azotynu amonu — podpowiedział mi upór. — Od biedy można by go sobie przygotować z materiałów, które istnieją”. Zredukować saletrę, podziałać kwasem siarkowym (musiałbym zrobić nową porcję), zubożyć amoniakiem, przekrystalizować — przebiegałem szybko w pamięci. Brrr!

A może wypompować z bańki powietrze, zamiast napełniać ją azotem? Drobiazg, lecz jak połączyć rurkę bańki z pompą? „Może kauczukowym węzłem?” — zadrwiłem sam z siebie.

Kiedy jeszcze na dodatek zastanowiłem się nad cieniutką spiralką, którą trzeba by wykonać i wtopić do bańki, ręce zupełnie mi opadły. To było niewykonalne! Nie można było stworzyć żarówki w roku 1665, choćby się doskonale wiedziało, jak to należy robić.

Rzadko kiedy kapituluję w mym życiu (chyba że chodzi o napisanie powieści fantastycznej), więc porażka z żarówką nie potrafiła mnie całkowicie zniechęcić.

„Czy koniecznie musi być żarówka — powiedziałem sobie. — A gdyby tak dzwonek elektryczny? Pokażę panu Vieuxtemps nie tylko prąd z ogniwa, lecz i elektromagnes”.

Dobra nasza! Pobiegłem do Francuza, znów poprosiłem o kilka miesięcy zwłoki i wpadłem w wir gorączkowej pracy. Zamęczałem rozmaitych rzemieślników swoimi zleceniami, ale najważniejsze, że były one wykonalne — trzpień żelazny, zaciski, przycisk, solenoid, sprężynka, dzwonek z młoteczką. Biegałem, pilnowałem, pomagałem i po upływie pół roku miałem już wszystkie części. Wtedy zamknąłem się w pokoju, własnoręcznie zmontowałem dzwonek, z biciem serca włączyłem prąd z obu połączonych ze sobą ogniw. Usłyszałem słabe brzęczenie i nie wiem, kto wtedy mógł się ze mną równać — chyba Fermi, w chwili gdy włączał swój pierwszy stos atomowy.

Zaraz pobiegłem do pana Vieuxtemps i zaprosiłem go do siebie. Przyszedł o oznaczonej godzinie, siadł przy dzbanie wina, który kazałem przed nim postawić, i zaraz na wstępie zapytał:

— No, więc jak, zdecydował się pan wreszcie napisać o tym, co będzie za trzysta lat? Już ponad półtora roku jest mi pan winien odpowiedź na to pytanie.

Nic na to nie odrzekłem, tylko nacisnąłem przycisk dzwonka, który przezornie umieściłem pod stołem.

— A to co takiego? — zdziwił się Francuz.

— Przecież pan słyszy: dzwonek.

— Słyszę, ale głos pochodzi spod stołu, a tam nie ma chyba niczego, co by dzwonkiem poruszało.

— Owszem, jest. Porusza go siła elektryczna, ta sama, którą Guericke otrzymał w swej kuli siarczanej.

Bardzo głupią minę miał szanowny pan Vieuxtemps, to fakt, a kiedy pokazałem mu dzwonek i wytłumaczyłem jego działanie, był po prostu wstrząśnięty.

— To niezwykle odkrycie — zawołał — naprawdę niezwykle! Siła płynie z metalu, a żelazo pod jej wpływem staje się magnese! Któż by się tego spodziewał. Serdecznie gratuluje, pozwoli pan, że go uściskam — i rzucił mi się na szyję.

Pocziwy był z niego chłop i wcale nie zazdrosny.

— Wie pan co — powiedział ochłonawszy nieco z wrażenia — musi pan ten dzwonek jak najprędzej przedstawić ogółowi uczonych. Kto wie, czy sam najjaśniejszy pan nie zainteresuje się tym ciekawym aparacikiem. Może go nawet zainstaluje w swojej sypialni! Jestem przekonany — dodał — że najjaśniejszy pan potrafi to ocenić i wynagrodzić. Widzę już pana w pełni zaszczytów.

Chciałem mu powiedzieć, że mam w nosie najjaśniejszego pana razem z jego zaszczytami. Nie po to wynalazłem prąd galwaniczny, aby najjaśniejszy pan mógł dzwonić na swych dworzan.

Ugryzłem się jednak w język, trochę także dlatego, że musiałem monsieur Vieuxtemps przyznać rację. Do czegoż innego mogły się wtedy przydać te moje wynalazki? Kto mógł sobie pozwolić na dzwoniącą zabawkę, która kosztowała prawie dwa lata pracy i bez mała fortunę?!

— Czemu pan zamilkł — przyglądał mi się Vieuxtemps — czy tak zachwyciły pana perspektywy, które mu wskazałem?

— Nie — odrzekłem — zakreśliło mi się w głowie od zupełnie innych perspektyw. Myślę o tym, że siła, która teraz porusza tą zabawką, za trzysta lat będzie rządzić światem. Znikną z ulic i mieszkań kaganki oliwne i świeczki łojowe, w nocy będzie widno jak w dzień. Ta siła oświetli miasta jaskrawymi, kolorowymi światłami, będzie poruszała olbrzymie wozy na ulicach i po drogach między odległymi miejscowościami, będzie obracała maszyny, pędziła młyny.

No i tak dalej, i tak dalej... Nietrudno sobie przedstawić obraz, jaki przed nim rozwinąłem, łącznie z telewizją, radiem, i najnowszymi mózgami elektronowymi.

Vieuxtemps słuchał mnie uważnie, lekko się uśmiechając i potakując głową.

— Ależ pan ma fantazję! — powiedział. — I to wszystko zamierza pan wstawić do swego opisu przyszłego świata, świata za trzy wieki?

— Nie, nie mam zamiaru wstawiać — uniosłem się — on naprawdę tak będzie wyglądał!

— Cha, cha, cha! — roześmiał się Vieuxtemps. — Ależ blagier z pana!

Gdzież to ja słyszałem? Oczywiście, przecież ten Vieuxtemps to przebrany Radziwiłł „Panie Kochanku”, że też od razu nie poznałem! Ale tamten był nieuk, a ten jest uczonym, i to podobno nawet poważnym. W głowie mi się mąciło, nic nie rozumiałem.

— Przepraszam najmocniej — sumitował się tymczasem Vieuxtemps — widzę, że pana uraziłem. Jeśli wspominałem o bładze, to oczywiście nie w zwykłym znaczeniu tego słowa. Mam tylko na myśli fantazje pseudonaukowe, nie oparte na żadnych realnych możliwościach. Pańskie odkrycie jest niezmiernie ciekawe, ale jeśli pan chce z niego wyciągać aż tak dalekie wizje, to, przepraszam, ale powiedziawszy szczerze, porusza się pan w obszarach pseudonaukowej blagi. Owszem, chciałbym, aby pan napisał powieść o tym, co będzie za trzysta lat, ale nie wolno nam operować niczym, czego nie usprawiedliwia stan obecnej nauki.

— Do stu tysięcy diabłów!... — wyrwało mi się. I wcale się nie zdziwiłem, kiedy pan Vieuxtemps wyciągnął do mnie papierośnicę, uśmiechnął się i powiedział:

— A więc, panie Stefanie, wracając do naszych zadań...

— A jak ja mogę przewidzieć, co teraz jest dzwonkiem, a co za pięćdziesiąt lat stanie się mózgiem elektronowym! — krzyknąłem z rozpaczą.

— Dzwonek? — zdziwił się naczelny.

— A właśnie że dzwonek! — wrzasnałem i, przycisnąwszy guzik, zacząłem dzwonić, dzwonić, dzwonić...

— Otwórz, to na pewno mleczarka — szturchnęła mnie Marysia — znów nie wystawiliśmy flaszki na mleko.

TEST

1

— Kadet Pirx!

Głos Ośleji Łączki wyrwał go z głębi marzeń. Wyobraził sobie właśnie, że w kieszonce od zegarka starych cywilnych spodni na dnie szafki leży dwukoronówka. Srebrna, dźwięcząca, zapomniana. Przed chwilą jeszcze wiedział dokładnie, że nie było tam nic, najwyżej stary kwit pocztowy, ale powoli doszedł do przekonania, że mogła być, i kiedy Ośla Łączka wymienił jego nazwisko, był już całkiem pewien. Można powiedzieć, że wyraźnie czuł jej krągłość i widział, jak rozpiera się w kieszonce. Mógł pójść do kina — i jeszcze zostałyby mu pół korony. A gdyby poszedł tylko na aktualności, zastałoby półtora, z tego koronę by odłożył, a za resztę pograłby na automatach. Jeśliby automat zaciął się i zaczął bez końca wysypywać miedziaki prosto w otwartą dłoń, a on ledwo by nadązał z pakowaniem ich do kieszeni, i znowu podstawiałby rękę... zdarzyło się to przecież Smidze! Uginał się pod ciężarem zdobytej nieoczekiwanej fortuny, kiedy wyrwał go Ośla Łączka.

Wykładowca założył po swojemu ręce do tyłu i stając na zdrowej nodze, zadał pytanie:

— Co kadet zrobiłby, natrafiwszy w patrolu na statek obcej planety?

Kadet Pirx otworzył usta, jakby w ten sposób chciał wygonić znajdującą się w nich odpowiedź. Wyglądał, jak ostatni na świecie człowiek, który wie, co trzeba robić, spotykając rakiety obcych planet.

— Zbliżyłbym się — powiedział głuchym, dziwnie zgrubiałym głosem.

Cały kurs zamarł. Wszyscy wietrzyli coś mniej nudnego niż wykład.

— Bardzo dobrze — rzekł ojcowsko Ośla Łączka — i co dalej?

— Zastopowałbym — wybuchnął kadet Pirx, czując, że znajduje się już daleko poza przednią linią swych wiadomości.

Gorączkowo poszukiwał w opustoszałej głowie jakichś paragrafów „Postępowania w Przestrzeni”. Miał wrażenie, że w życiu nie widział go na oczy. Spuścił skromnie wzrok i zobaczył wtedy, jak Śmiga mówi coś w jego stronę — samymi ustami. Odczytał to i powtórzył głośno, zanim jeszcze sens tych słów dotarł do niego:

— Przedstawiłbym się im.

Cały kurs ryknął jak jeden człowiek. Ośla Łączka walczył sekundę, ale też wybuchnął śmiechem. Bardzo szybko spoważniał.

— Kadet zgłosi się do mnie jutro z książką nawigacyjną. Kadet Boerst!

Pirx usiadł, jakby krzesło było ze szkła, nie całkiem jeszcze ostygłego. Nie miał nawet wielkiego żalu do Smigi — on już taki był, nie mógł przepuścić okazji, jeśli się nadarzyła. Nie słyszał ani słowa z tego, co mówił Boerst — rysował na tablicy krzywe, a Ośla Łączka ściszał po swojemu odpowiedzi elektronowego Kalkulatora, tak że odpowiadający gubił się na koniec w obliczeniach. Regulamin zezwalał na korzystanie z pomocy Kalkulatora, ale Ośla Łączka miał w tej sprawie własną teorię: „Kalkulator też człowiek” — mówił — i może się popsuć”. Pirx nie miał nawet żalu do Ośleji Łączki. Nie miał żalu do nikogo. Prawie nigdy. Po pięciu minutach stał już przed sklepem na Dyerhoffa i oglądał na wystawie gazowe pistolety, z których można strzelać patronami ślepymi, kulowymi lub gazowymi — komplet sześć koron, z setką naboii. Oczywiście na Dyerhoffa był w wyobraźni.

Po dzwonku kurs opuścił salę, nie z krzykiem i tupaniem jak pierwszy czy drugi — nie byli w końcu dziećmi! Niemal połowa pociągnęła do jadalni — nie było tam o tej porze nic do jedzenia, ale można było spotkać nową kelnerkę. Podobno ładna. Pirx szedł wolno między szklanymi szafami, pełnymi gwiazdowych globusów, i z każdym krokiem tracił nadzieję, że w kieszonce znajdzie się dwukoronówka. Na ostatnim schodku wiedział, że jej tam nigdy nie było.

Pod bramą stali Boerst, Śmiga i Payartz, z którym siedział pół roku przy jednym stole na kosmodezji. Wszystkie gwiazdy watał zasmażoną tuszem.

— Masz jutro próbny lot — powiedział do niego Boerst, kiedy ich mijali.

— W porządku — odparł flegmatycznie. Nie dawał się tak łatwo nabierać.

— Nie wierzysz — to przeczytaj! — stuknął Boerst palcem w szkło tablicy ogłoszeń.

Chciał iść dalej, ale głowa jakoś sama mu się wykręciła. Na liście były tylko trzy nazwiska. „Kadet Pirx” — stało tam jak wół, na samej górze.

Przez chwilę nie widział nic.

Potem usłyszał z daleka własny głos, który mówił:

— To co? Powiedziałem przecież: w porządku.

Minął ich i poszedł alejką między klombami. W tym roku była na nich masa niezapominajek, zasadzonych przemyślnie w kształcie lądującej rakiety. Jaskry wyobrażały ogień wylotowy, ale już przekwitły. Nie widział klombów, ścieżki, niezapominajek ani Ośleji Łączki, który pospiesznym krokiem wyszedł z bocznego skrzydła Instytutu. O mało nie wleciał na niego przy bramie. Zasalutował mu przed samym nosem.

— A, Pirx! — powiedział Ośla Łączka. — Kadet leci jutro? Dobrego odrzutu! Może kadetowi uda się spotkać tych — z innych planet.

Internat znajdował się w parku, po przeciwnej stronie, za wielkimi płaczącymi wierzbami. Stał nad stawem, a boczne skrzydło wznosiło się nad samą wodą, podstemplowane kamiennymi kolumnami. O tych kolumnach ktoś puścił bajkę, że przywiezione zostały z Księżyca — oczywiście bujda — ale pierwszy kurs rzeźbił na nich swoje inicjały i daty ze świętym wzruszeniem. Nazwisko Pirxa też gdzieś tam było — wyrzył je pracowicie przed czterema laty.

W swoim pokoju — miał tak mały, że nie dzielił go z nikim — dłuższy czas wahał się, czy otworzyć szafkę. Dokładnie pamiętał, gdzie leżą stare spodnie. Nie wolno ich było mieć, dlatego je miał. Poza tym nie było z nich żadnego pożytku. Zamknął oczy, kucnął przy szafie, spoza uchylonych drzwi wsadził rękę do środka — i namacał kieszonkę. Naturalnie — od razu wiedział. Była pusta.

2

Stał w nie nadętym kombinezonie na stalowej desce pomostu, pod samym stropem hali, trzymając się łokciem rozpiętej jako poręcz liny, bo obie ręce miał zajęte. W jednej trzymał książkę nawigacyjną, w drugiej — bryk. Była to ściągaczka, którą pożyczył mu Śmiga — mówiono, że latał z nią cały kurs. Co prawda nie było jasne, w jaki sposób wracała, bo po próbnym locie opuszczało się Instytut i szło na Północ, do Bazy, gdzie zaczynało się wkuwanie do końcowych egzaminów. Widać jednak jakoś wracała — może zrzucali ją na spadochronie? Oczywiście był to tylko żart.

Stał na sprężynującej desce, zawieszony nad czterdziestometrową otchłanią i, skracał sobie czas wyobrażaniem tego, czy będą go macać — to się, niestety, zdarzało. Kadeci brali na próbne loty najdziwniejsze i najsurowiej zakazane rzeczy: poczynając od płaskich flaszek z wódką — a

kończąc na tytoniu do zucia i fotografiach znajomych dziewcząt. Nie mówiąc naturalnie o brykach. Pirx długo szukał na sobie miejsca, w którym by go ukryć. Chował go też z piętnaście razy — do buta pod piętę, między obie skarpetki, do cholewki, do wewnętrznej kieszeni kombinezonu, do małego atlasiku gwiazd taki atlasik był dozwolony — niezły byłby też futerał od okularów, ale, po pierwsze, musiałyby to być olbrzymi futerał, a po wtóre — nie nosił okularów. Trochę później przypomniał sobie, że gdyby nosił, nie przyjęliby go do Instytutu.

Stał więc na stalowej desce i czekał na obu instruktorów oraz na Szeфа, a wszyscy trzej nie wiadomo czemu się spóźniali, chociaż start był wyznaczony na dziewiętnastą czterdzieści, a była już dziewiętnasta dwadzieścia siedem. Pomyślał, że gdyby miał kawałek plastra, mógłby przylepić sobie bryk pod pachą. Mówiono, że tak zrobił mały Yerkes, a gdy go instruktor dotknął, zaczął piszczeć, że ma łaskotki, i udało mu się. Ale Pirx nie wyglądał na takiego, co ma łaskotki. Wiedział o tym i nie miał co do tego żadnych złudzeń. Trzymał więc całkiem zwyczajnie bryk w prawej ręce i dopiero gdy przyszło mu do głowy, że będzie ją musiał podać na przywitanie wszystkim trzem, przełożył go do lewej, a książkę nawigacyjną — z lewej do prawej. Manipulując tak, rozbijał niechęć stalowy pomościk, który chwiał się jak trampolina. Naraz usłyszał ,po drugiej stronie kroki. Nie od razu ich zobaczył, bo pod stropem hali było ciemno.

Byli wszyscy, jak zwykle w mundurach, bardzo wymuskani, zwłaszcza Szeф. On zaś, kadet Pirx, miał na sobie kombinezon, który, choć jeszcze nie nadęty, wyglądał niby dwadzieścia razem złożonych kostiumów, jakie nosi bramkarz w rugby, ponadto z obu stron wysokiego kołnierza zwisały mu długie końcówki interkomu i zewnętrznego radiofonu, przy szyi bimbał się wąż zakończony pokrętełem aparatu tlenowego, na plecach czuł ucisk rezerwowej butelki, było mu cholernie gorąco w podwójnej przeciwpotnej bieliźnie, a najgorzej we znaki dawało mu się urządzenie, które sprawia, że lecąc nie musi się wychodzić z potrzebą (zresztą w rakiecie pierwszego stopnia, na której robi się próbne loty, nie bardzo byłoby gdzie wyjść na stronę).

Naraz cały pomost zaczął skakać. Ktoś szedł z tyłu — to był Boerst w takim samym kombinezonie, zaszutował ostro wielką rękawicą i stanął tak, jakby miał najlepszą wolę zepchnąć Pirxa na dół.

Kiedy tamci poszli przodem, Pirx spytał zdziwiony:

— Ty też lecisz? Nie było cię na liście.

— Brendan zachorował. Lecę za niego — odparł Boerst. Pirxowi zrobiło się na chwilę trochę głupio. To była w końcu jedyna, ale to jedyna rzecz, dzięki której mógłby się wznieść choć o milimetr wyżej ku niebotycznym regionom, na których żył sobie Boerst, jakby specjalnie się o to wcale nie starając. Był nie tylko najzdolniejszy na kursie, co Pirx stosunkowo łatwo mu wybaczał, a nawet żywił dla matematycznych talentów Boersta pewien szacunek — od czasu kiedy był świadkiem, jak Boerst zmagał się dzielnie z elektronowym Kalkulatorem i stracił tempo dopiero przy pierwiastkach czwartego stopnia — i nie tylko miał zamożnych rodziców, tak że wcale nie musiał oddawać się marzeniom o dwukoronówkach, zapodziejających się w starych portkach — ale miał świetne wyniki w lekkoatletyce, skakał jak szatan, świetnie tańczył i, co tu dużo gadać, był bardzo przystojny, czego niepodobna było powiedzieć o Pirxie.

Szli długim pomostem, między kratowymi wspornikami stropu, mijając ustawione kolejno rakiety, aż zalała ich jasność, bo ta część stropu była już odsunięta na przestrzeni dwustu metrów. Na betonowych, ogromnych lejach, które chwytały w siebie i odprowadzały ogień odrzutu, stały obok siebie dwa stożkowate kolosy — przynajmniej wyglądały w oczach Pirxa jak kolosy — każdy miał czterdzieści osiem metrów wysokości i jedenaście metrów średnicy u samego dołu, w boosterze.

Do włazów, już odśrubowanych, przerzucone były małe mostki, przejścia zagradały jednak

ustawione pośrodku, ołowiane przyciski, każdy z małą czerwoną chorągiewką na giętym proporczyku. Pirx wiedział, że sam odstawi na bok chorągiewkę, kiedy na pytanie, czy gotów jest podjąć się wykonania zadania, odpowie, że tak — i że zrobi to pierwszy raz w życiu. I nagle opanowało go przeświadczenie, że kiedy będzie odsuwał proporczyk, potknie się o linkę i na pewno przewróci się jak długi — takie rzeczy się zdarzały. A jeżeli komukolwiek zdarzały się takie rzeczy, to jemu powinno się być coś takiego przytrafić, bo myślał czasem, że nie ma szczęścia. Wykładowcy określali to inaczej — że jest gapą, niezgułą i myśli w każdej chwili o wszystkim oprócz tego, o czym akurat trzeba myśleć. Prawda, że Pirxowi było o wiele rzeczy łatwiej niż o słowa. Między jego działaniem a myśleniem, odzianym w słowa, ziała może nie przepaść... w każdym razie była tam jakaś przeszkoda, która utrudniała mu życie. Wykładowcy nie wiedzieli, że Pirx jest marzycielem. O tym nikt nie wiedział. Sądziło, że on w ogóle o niczym nie myśli. A to nie było prawdą.

Zerknął kątem oka i zobaczył, że Boerst ustawił się już, jak należy, o krok od wejścia na przerzucony do wjazdu mostek, wyprężył się i czekał z rękami przyciśniętymi do nie nadętych, gumowych obręczy kombinezonu.

Pomyślał, że Boerstowi jest do twarzy nawet w tym dziwnym stroju, jakby wykrojonym ze stu piłek futbolowych naraz, i że kombinezon Boersta naprawdę jest nie nadęty, podczas kiedy jego kombinezon miejscami jak gdyby ma jeszcze w sobie sporo powietrza — i dlatego tak niedobrze mu się chodzi, i musi tak szeroko stawiać nogi. Zebrał je razem, jak mógł, ale obcasy nie chciały mu się zejść. Dlaczego Boerstowi chciały? To było niejasne. Gdyby nie Boerst, zapomniałby zresztą na śmierć o tym, że trzeba przybrać zasadniczą postawę tyłem do rakiety, a frontem do trzech ludzi w mundurach. Podeszli najpierw do Boersta — dajmy na to dlatego, że był on na B, ale to też nie był zupełny przypadek albo raczej: był to przypadek na niekorzyść Pirxa, ponieważ zawsze musiał długo czekać na „wyrwanie” i denerwował się, bo wołał, aby złe wydarzyło mu się od razu.

Słyszał piąte przez dziesiąte z tego, co mówili do Boersta, a Boerst wyciągnięty jak struna odpowiadał szybko, tak szybko, że Pirx nic nie zrozumiał. Potem podeszli do niego, a kiedy Szeff zaczął mówić, Pirxowi naraz przypomniało się, że miało ich dziś lecieć przeciw trzech, a nie dwóch, gdzie więc podział się ten trzeci? Na szczęście usłyszał słowa Szeffa i w ostatniej chwili zdążył wypalić:

— Kadet Pirx gotów do odbycia lotu.

— M... tak — powiedział Szeff. — I kadet Pirx oświadcza, że jest zdrow na ciele i umyśle — ehem — w granicach swoich możliwości?

Szeff lubił doczepiać takie kwiatuszki do stereotypowych pytań i mógł sobie na to pozwolić, bo był Szeffem. Pirx powiedział, że jest zdrow.

— Na okres trwania lotu mianuję kadeta pilotem — wypowiedział Szeff sakramentalną formułę i ciągnął:

— Zadanie: start pionowy na boosterze połową mocy. Wejście na elipsę B 68. Na elipsie poprawka do orbity trwałej z okresem obrotu 4 godziny 26 minut. Oczekiwanie na orbicie dwu statków bezpośredniej łączności typu JO 2. Prawdopodobna strefa kontaktu radarowego — sektor III, satelita PAL z możliwym odchyleniem dopuszczalnym sześć sekund łuku. Nawiązać kontakt na fonii celem uzgodnienia manewru. Manewr: zejść z orbity trwałej kursem 60 stopni 24 minuty szerokości północnej, 115 stopni 3 minuty 11 sekund długości wschodniej. Przyspieszenie początkowe — 2,2 g. Przyspieszenie końcowe po 83 minutach — O. Nie odrywając się poza zasięg fonii, pilotować oba JO 2 w szyku trójkowym do Księżyca, wejść w jego strefie równikowej na orbitę tymczasową według wskazań Luna PELENG, upewnić się, że oba pilotowane statki znajdują się na orbicie i, schodząc z niej przyspieszeniem i kursem według

własnego uznania, wrócić na orbitę trwałą w obrębie satelity PAL. Tam oczekiwać dalszych rozkazów.

Na kursie mówiono, że wkrótce pojawią się — zastępując dotychczasowe ściągaczki — bryki elektronowe, to jest mikromózgi wielkości pestki od wiśni, które można będzie nosić w uchu albo pod językiem, i które podpowiedzą zawsze i wszędzie wszystko, co okaże się akurat potrzebne. Ale Pirx nie wierzył w to, uważając, nie bez słuszności, że kiedy się pojawią, nie będzie już trzeba kadetów. Na razie musiał sam powtórzyć cały tenor zadania — i zrobił to, raz jeden tylko pomyliwszy, ale to gruntownie, minuty i sekundy czasu z sekundami i minutami długości i szerokości. Po czym, spocony jak mysz w swojej przeciwpotnej bieliźnie, pod grubą powłoką kombinezonu, czekał na dalszy rozwój wypadków. Powtórzyć zadanie — powtórzył, ale treść jego nie zaczęła jeszcze docierać do jego świadomości. Jediną myślą, jaka w nim bez przerwy krążyła, było: „Ale mi dali łupnia!!”

Zaciskał w lewej garści bryk, podając prawą ręką książkę nawigacyjną. Ustne recytowanie zadania było zwyczajną szykaną — i tak dostawało się je napisane, z wykreślonym pierwszym kursem. Szef włożył kopertę z zadaniem do kieszonki pod okładką książki, oddał mu ją i spytał:

— Pilot Pirx gotów do startu?

— Gotów! — odpowiedział pilot Pirx. W tej chwili miał już tylko jedno życzenie: znaleźć się w sterowni. Marzył o rozpięciu kombinezonu, przynajmniej pod szyją.

Szef cofnął się o krok.

— Do — pocisku! — krzyknął wspaniałym, stalowym głosem, który, jak dzwon, przeciął głuchy, nieustający hałas olbrzymiej hali. Pirx zrobił zwrot w tył, złapał czerwoną chorągiewkę, potknął się o jej linę, w ostatniej chwili chwycił równowagę i wmaszerował jak Golem na cienki pomost. Kiedy był w jego połowia, Boerst (widziany z tyłu przypominał jednak piłkę futbolową) wchodził już do swojej rakiety.

Wpuścił nogi do środka, chwycił się masywnego ocembrowania włazu, zjechał elastyczną rynienką w dół, nie stawiając stóp na szczebelkach (szczebelki są tylko dla umierających pilotów — mawiał Ośła Łączka), i zabrał się do zamykania kłapy. Ćwiczyli to na „fantomach” i na prawdziwej klapie — tyle że wyjętej z rakiety i zamocowanej na środku sali ćwiczeń — setki i tysiące razy. Niedobrze się od tego robiło — lewa korba, prawa korba, do połowy drogi, kontrola oszczelnień, druga połowa obrotu obu korb, docisk, kontrola na szczelność pod ciśnieniem, zagłuszenie włazu wewnętrzną pokrywą osłony, nasunięcie osłony przeciwmeteorytowej, wyjście ze studzienki włazu, zamknięcie drzwi kabiny, docisk, korba, druga korba, rygiel, koniec.

Pirx myślał sobie, że Boerst na pewno dawno już siedzi w swojej szklanej kuli, kiedy on dopiero zakręca koło zamachowe docisku — i przyszło mu do głowy, że i tak przecież nie wystartują razem, startowało się w odstępach sześciominutowych i nie było się czego spieszyć. Ale lepiej jednak siedzieć już na miejscu i włączyć swój radiofon — przynajmniej słyszałby komendy, jakie wydają Boerstowi. Ciekawe, jakie on dostał zadanie?

Światła automatycznie zapaliły się w środku, kiedy tylko przymknął zewnętrzną klapę. Zaryglowawszy cały kram, po wysłanych bardzo szorstkim i miękkim zarazem plastikiem stopniach malutkiej pochylni przeszedł na miejsce pilota.

Diabli wiedzą, dlaczego w tych małych jednoosobowych raketkach pilot siedział w wielkiej szklanej bani trzymetrowej średnicy. Bania ta, choć zupełnie przezroczysta, nie była oczywiście ze szkła — w dodatku prężna, o elastyczności grubej, bardzo twardej gumy. Ten pęcherz, z rozkładanym fotelem pilota pośrodku, wpasowany był dopiero w głąb właściwej sterowni — pomieszczenia z lekka stożkowatego, tak że siedząc w swoim „fotelu dentystycznym” — tak go nazywano — i mogąc obracać się na jego pianowej osi, pilot widział, poprzez szklane ściany pęcherza, w którym był zamknięty, wszystkie tablice zegarów, wskaźniki, ekrany przednie, tylne,

boczne, tarcze obu kalkulatorów i astrografu oraz — najświętszy z świętych — trajektometr, który grubą, mocno świecącą wstęgą rysował na matowej, wypukłej tarczy drogę pocisku względem tła nieruchomych gwiazd w projekcji Harelsbergera. Elementy tej projekcji trzeba było znać na pamięć i umieć je odczytywać z aparatu w każdej pozycji, nawet wisząc do góry nogami. Kiedy już pilot ułożył się na fotelu, miał po obu bokach cztery rękojeści główne reaktora i sterowniczych dysz odchylających, trzy awaryjne, sześć dźwigni małego pilotażu, pokrętła rozruchu i biegu jałowego oraz regulator mocy, ciągu, przedmuchu dysz, a nad samą podłogą — wielkie szprychowe kółko aparatury klimatyzacyjnej, tlenowej, rączkę instalacji przeciwpożarowej, wyrzutni reaktora (gdyby rozpoczęła się w nim reakcja łańcuchowa nie kontrolowana), linkę z pętlą, przymocowaną do wierzchu szafki z termosami i jedzeniem, pod stopami zaś — wymoszczone miętko i opatrzone strzeziennymi pętlami pedały hamownic i bezpiecznik wyrzutowy, którego naciśnięcie (pierwej trzeba było nogą rozbić jego kołpak i pchnąć go do przodu) wyrzucało pęcherz razem z fotelem i pilotem oraz wylatującymi za nim strunami spadochronu pierścienno-wstęgowego.

Poza tym celem głównym — ratowania pilota w wypadku nie dającej się opanować awarii — miał jeszcze szklany pęcherz coś osiem bardzo ważnych powodów, dla których został skonstruowany i Pirx w pewnych pomyślnych okolicznościach potrafiłby je nawet wszystkie wyrecytować, ale żaden nie trafiał jemu (ani innym kursantom) do przekonania.

Ułożywszy się należycie, z wielkim trudem zginając się w pasie, aby wkręcić wszystkie wystające i zwisające z niego rurki, kable i przewody w końcówki, sterczące z fotela (przy czym za każdym razem, kiedy pochylał się do przodu, kombinezon pchał go miękką bułą w brzuch), naturalnie pomylił kabelek fonii z grzejnym; na szczęście miały różny gwint, ale o pomyłce przekonał się dopiero, gdy zaczęły bić na niego siódme poty — i w szmerze sprężonego powietrza, które błyskawicznie wypełniło cały kombinezon, opadł z westchnieniem w tył, przekładając lewą i prawą ręką oba udowo—barkowe pasy.

Prawy zaczepił się od razu, a lewy czegoś nie chciał. Wydęty jak opona kołnierz nie pozwalał mu zerknąć w tył, więc tylko mordował się, tkając na oślep szerokim karabinkiem pasa — jednocześnie dobiegły go stłumione głosy w słuchawkach:

— ...Pilot Boerst na AMU 18! Start według fonii w chwili zero. Uwaga — gotów?

— Pilot Boerst na AMU 18 gotów do startu według fonii w chwili zero! — padła jak wystrzelona odpowiedź. Pirx zaklął — karabinek zaskoczył. Opadł w głąb miękkiego fotela, tak zmęczony, jakby właśnie powrócił z bardzo długiego, śródgwiezdnego lotu.

— Dwadzieścia trzy — do startu. — Dwadzieścia dwa — do startu. Dwa... — mamrotało w słuchawkach.

Podobno raz zdarzyło się, że usłyszawszy gromowe zero, wystartowało dwu kursantów naraz — ten właściwy i ten, który czekał obok na swoją kolejkę — i szli w odległości dwustu metrów pionowymi świecami, mogąc w każdym ułamku sekundy zderzyć się — przynajmniej opowiadano tak na kursie. Od tego czasu — podobno — kabel zapłonowy włączano w ostatniej chwili, zdalnie, robił to sam komendant lotniska ze swojej nawigatorni — i całe to liczenie było zwykłym bluffem. Nikt jednak nie wiedział, jak jest naprawdę.

— Zero!! — rozległo się w słuchawkach. Jednocześnie Pirx usłyszał stłumiony, przeciągły łoskot, jego fotel zadrgał leciutko, odbite iskierek światła delikatnie poruszyły się w szklanej osłonie, pod którą leżał rozpostarty, patrząc w sufit — to znaczy w astrograf, wskaźniki cyrkulacji chłodzenia, ciągu dysz głównych, dysz pomocniczych, gęstości strumienia neutronów, wskaźnik zanieczyszczeń izotopowych i jeszcze osiemnaście innych, których połowa zajmowała się wyłącznie samopoczuciem boostera — drganie osłabło, ściana głuchego huku przesunęła się gdzieś obok i zdawała się rozplýwać w górze, jak gdyby w niebo podniesiona została jakaś

niewidzialna kurtyna, grom był coraz dalszy i coraz bardziej, jak zwykle, podobny do odgłosu dalekiej burzy, aż zrobiło się cicho.

Coś syknęło i zabzyczało — nawet nie zdążył się przestraszyć. To samoczynny bezpiecznik włączył zablokowane dotychczas ekrany — były zamknięte od zewnątrz, kiedy startował ktoś w pobliżu, żeby oślepiający płomień atomowego odrzutu nie uszkodził obiektów.

Pirx pomyślał sobie, że takie automatyczne urządzenia są bardzo pożyteczne — i tak się zastanawiał nad tym i owym, aż nagle poczuł, że wszystkie włosy wstają mu na głowie pod pękatą haubą.

— Jezus Maria, ja lecę, ja, ja teraz lecę!!! — przemknęło mu.

Zaczął błyskawicznie przysposabiać dźwignie do startu — to znaczy dotykać ich wedle właściwej kolejności palcami, licząc: raz — dwa — trzecia — a gdzie czwarta? — potem ta — tak, to ten wskaźnik — i pedał — nie, nie pedał — aha, jest — czerwona — zielona rękojeść — potem na automat — tak — czy zielona przed czerwoną?!

— Pilot Pirx na AMU27! — wyrwał go z głębi tego dylematu silny głos bijący prosto w ucho. — Start według fonii w chwili z e r o ! Uwaga — pilot gotów?

— Jeszcze nie!!! — chciało coś krzyknąć ustami pilota Pirxa, ale powiedział:

— Pilot Boe... pilot Pirx na AMU 27 gotów... e... do startu według fonii w chwili z e r o !

Chciał powiedzieć „pilot Boerst”, bo sobie dobrze zapamiętał, jak Boerst mówił. — Idioto! — ryknął na siebie w ciszy, która zapadła. Automat (czy wszystkie automaty muszą mieć głos podoficera?) wyszczeniwał:

— Do startu szesnaście — piętnaście — czternaście...

Pilot Pirx pocił się. Usiłował przypomnieć sobie coś szalenie ważnego, o czym wiedział, że jest po prostu sprawą życia i śmierci, ale w żaden sposób nie mógł.

— ...sześć, pięć do startu, cztery...

Zacisnął mokre palce na rękojeści startowej. Była na szczęście chropawa. — Czy wszyscy się tak pocą? Widocznie — przemknęło mu, gdy słuchawka warknęła:

— Z e r o !!!

Jego ręka sama — zupełnie sama — pociągnęła dźwignię, pchnęła ją do połowy i tak pozostała. Ryknęło. Jakby elastyczna prasa zleciała mu na piersi i głowę. — Booster — zdążył pomyśleć i pociemniało mu w oczach. Tylko trochę i tylko na chwilę. Gdy już mógł dobrze widzieć, choć ten sam nieustępliwy ciężar czuł rozlany w całym ciele, wszystkie ekrany — przynajmniej te trzy, które miał na wprost — wyglądały jak wybiegające z miliona garnków mleko.

— Aha, przebijam chmury — pomyślał. Myślało mu się teraz jakby wolniej, nieco ospale, ale w pełnym spokoju. Po dłuższej chwili zrobiło się tak, jakby był jedynie świadkiem całej tej sceny, trochę śmiesznej — facet leży rozwalony w „fotelu dentystycznym”, ani ręką, ani nogą, chmury znikły, niebo jest jeszcze trochę niebieskie, ale jak farbka fałszowana tuszem, coś jakby gwiazdy widać — gwiazdy czy nie?

Tak, to były gwiazdy. Wskaźniki chodziły sobie po suficie, po ścianach, każdy inaczej, każdy coś pokazywał, wszystko trzeba było widzieć, a on miał tylko dwoje oczu. Niemniej lewa jego ręka na krótki, powtarzający się gwizd w słuchawkach sama — znowu sama — pociągnęła wyrzutnik boostera. Od razu zrobiło się trochę lżej — szybkość 7,1 na sekundę, wysokość 201 kilometrów, zadana krzywa startu kończy się, przyspieszenie 1,9, można siadać i w ogóle teraz dopiero będzie cała masa roboty! Siadał powoli, naciskając poręcz, przez co oparcie fotela podnosiło się — i nagle cały ścierpł. — Gdzie jest bryk?!

To była ta szalenie ważna rzecz, której nie mógł sobie przypomnieć. Rozglądał się po podłodze, jakby na świecie nie było chmury mrugających ze wszystkich stron wskaźników. Bryk

leżał pod samym fotelem — pochylił się, pasy oczywiście nie puściły, nie było już czasu, i z uczuciem, jakby stał na szczycie bardzo wysokiej wieży i walił się z nią razem w przepaść, otworzył książkę nawigacyjną, którą miał w nadkole—nowej kieszeni, wyjął zadanie z koperty — nic nie rozumiał: gdzie jest, do cholery ciężkiej, orbita B 68? Aha, to będzie ta! — skontrolował trajektometr i zaczął powoli wykręcać. Dziwił się trochę — jakoś to szło.

Na elipsie Kalkulator podał mu życzliwie dane do poprawki, znowu manewrował, wyskoczył z orbity, zahamował zanadto gwałtownie, przez dziesięć sekund miał minus 3 g, ale nic mu to nie zrobiło, fizycznie był bardzo odporny („żebyś miał taki mózg jak biceps” — mówił mu Ośła Łączka — „to może by z ciebie coś było”), z poprawką wszedł na orbitę trwałą, podał na fonii dane Kalkulatorowi, Kalkulator nic nie odpowiedział, na jego tarczy wyskakiwały fale jałowego biegu, ryknął dane jeszcze raz — oczywiście zapomniał się przełączyć — poprawił to, na tarczy natychmiast wyskoczyła pionowa migocąca linia, a wszystkie okienka zgodnie pokazały same jedynki. — Jestem na orbicie! — ucieszył się. Tak, ale czas obrotu był 4 godziny 29 minut, a miało być 4 i 26. Teraz już naprawdę nie wiedział, czy odchylenie jest dopuszczalne, czy nie. Szukał w głowie, zaczął rozważać, czy nie odpiąć pasów — bryk leżał pod samym fotelem, ale cholera wie, czy to jest w bryku — nagle przypomniał sobie, co mówił profesor Kaahl: „orbita są obliczone z błędem 0,3 procent” — podał na wszelki wypadek dane Kalkulatorowi: siedział w granicy dopuszczalnego błędu. — No, to by było — powiedział sobie i teraz dopiero rozejrzał się na dobre.

Ciążenie znikło, ale był przypięty do fotela, jak się patrzy — tyle że czuł się bardzo lekki. Ekran przedni — gwiazdy, gwiazdy i białawobury rąbek na samym dolnym skraju, ekran boczny — nic, tylko czarno i gwiazdy. Ekran spodni — aha! Z uwagą przyglądał się Ziemi — pędził nad nią na wysokości od 700 do 2400 km, w granicach swojej orbity — była olbrzymia, wypełniała cały ekran, akurat leciał nad Grenlandią — Grenlandia chyba? — zanim doszedł tego, co to jest, był już nad północną Kanadą. Dokoła bieguna jarzyły się śniegi — ocean był czarnofioletowy, wypukły, gładki, jak odlany z żelaza, chmur dziwnie mało, jakby ktoś rzadką papkę rozchlapał tu i ówdzie na wypukłości — zerknął na zegar.

Leciał już siedemnaście minut.

Teraz należało złapać sygnały radiowe PAL-a i uważać przy przejściu jego strefy na radary. Jak się nazywają te dwa statki? RO? Nie, JO — a numery? Zajrzał do karty z zadaniem, wetknął ją razem z książką nawigacyjną do kieszeni i poruszył regulatorem kontrolki na piersi. Było słycać masę pisków i trzasków, PAL — jaki on ma sygnał? Morse — aha — natężył słuch, zaglądał w ekrany, Ziemia powoli obracała się pod nim, gwiazdy przesuwały szybko w ekranach, a PAL-a jak nie było, tak nie było słycać ani widać.

Naraz posłyszał brzęczenie.

— PAL? — pomyślał i odrzucił natychmiast tę myśl. — Idiotyzm, satelity nie brzęczą przecież — co brzęczy?

— Nic nie brzęczy — odpowiedział sam sobie. — Więc co to jest?

Awaria?

Jakoś wcale się nie przestraszył. Co za awaria, kiedy leci z wyłączonym silnikiem? Puszka rozsypuje się sama od siebie — czy co? Może zwarcie? A, zwarcie! Kochany Boże! Instrukcja przeciwpożarowa III A: „Pożar w Przestrzeni na Orbicie” — paragraf — niech to szlag trafi! — brzęczało i brzęczało, ledwo słycał popiskiwanie dalekich sygnałów.

— Zupełnie jak mucha w szklance — pomyślał ogłupiały, wodząc błyskawicznie oczami od zegara do zegara — i wtedy ją zobaczył.

Była to mucha—olbrzym, zielonkawoczarna, z obrzydliwego rodzaju, który stworzony został jakby tylko po to, żeby uprzykrzać ludziom życie, nachalna, natarczywa, kretyńska, a

jednocześnie chytra i bystra mucha, która cudem jakimś (bo jak inaczej?) wlaźła do rakiety i latała sobie teraz na zewnątrz szklanego pęcherza, trykając bzycząca kulka oświetlone tarcze zegarów.

Kiedy zbliżała się do Kalkulatora, słyszał ją w słuchawkach jak czterosilnikowy samolot, Kalkulator miał nad górną ramą mikrofon rezerwowy, żeby go można osiągnąć bez laryngofonu, spoza fotela, kiedy kabelki pokładowej fonii są rozłączone. Po co? Na wszelki wypadek. Więcej było takich urządzeń.

Przeklinał ten mikrofon. Bał się, że nie usłyszy PAL-a. Co gorsza, mucha zaczęła robić wypadki w różne inne miejsca. Wodził za nią mimo woli wzrokiem ładnych parę minut, zanim sobie surowo powiedział, że go ta mucha cholere obchodzi. Szkoda, że nie można napuścić tam jakiegoś DDT.

— Dosyć!!

Zabręczało, aż się skrzywił. Łaziła sobie po Kalkulatorze. Ucichło — pielęgnowała skrzydełka. Co za ohydna mucha!

W słuchawkach narodził się miarowy, daleki pisk — trzy kropki, kreska, dwie kropki, dwie kreski, trzy kropki, kreska — PAL.

— No, a teraz trzeba wytrzeszczać oczy! — rzekł sobie, podniósł trochę fotel — tak miał na oku trzy naraz ekrany — sprawdził jeszcze raz, jak kręci się fosforyczny promień wodzący radaru, i czekał. Na radarze nie było nic. Ale ktoś wołał:

— A siedem Terraluna, A siedem Terraluna, sektor III, kurs sto trzynaście, woła PAL PELENG, Proszę o namiar. Odbiór.

— Niestety, i jak ja teraz usłyszę moje JO! — stropił się Plirx.

Mucha zawyla w słuchawkach i znikła. Za chwilę cień nakrył go z góry — jakby nietoperz przysiadł na lampie. To była mucha. Łaziła po szklanym pęcherzu, jakby badała, co tkwi w jego środku. Tymczasem w eterze robiło się gęsto — PAL, który już widział (rzeczywiście wyglądał jak pal, był to osiemsetmetrowy cylinder z aluminium, zakończony kulą obserwacyjną), leciał nad nim, może w odległości czterystu kilometrów, może w nieco większej, i pomału go wyprzedzał.

— PAL PELENG do A siedem Terraluna, sto osiemdziesiąt koma czternaście, sto sześć koma sześć. Odchylenie rosnące liniowo. Koniec.

— Albatros cztery Aresterra, woła PAL Główna, PAL Główna, schodzę tankować sektor II, schodzę tankować sektor II, idę na rezerwie. Odbiór.

— A siedem Terraluna, woła PAL PELENG...

Reszty nie słyszał, połączyła ją brzęczenie muchy. Ucichła.

— Główna do Albatrosa cztery Aresterra, tankowanie kwadrant siódmy. Omega Główna, tankowanie przeniesione Omega Główna. Koniec.

— Oni się tu umyślnie zebrali, żebym nic nie słyszał — pomyślał Pirx.

Przeciwna bielizna pływała na nim. Mucha, brzęcząc, zataczała wściekle kręgi nad tarczą Kalkulatora, jakby usiłowała za wszelką cenę dogonić własny cień.

— Albatros cztery Aresterra, Albatros cztery Aresterra do PAL Główna, wychodzę na kwadrant siódmy, wychodzę na kwadrant siódmy, proszę pilotaż interkomem. Koniec.

Słychać było oddalający się pisk interkomu, który utonął w rosnącym brzęczeniu. Wyłoniły się z niego słowa:

— JO dwa Terraluna, JO dwa Terraluna, woła AMU 27, AMU 27. Odbiór.

— Ciekawość, kogo on woła? — pomyślał Pirx i aż podskoczył w pasach.

— AMU — chciał powiedzieć, ale zachryple gardło nie przepuściło nawet dźwięku. W słuchawkach brzęczało. Mucha. Zamknął oczy.

— AMU 27 do JO dwa Terraluna. Jestem kwadrant cztery, sektor PAL, włączam pozycyjne. Odbiór.

Włączył swoje pozycyjne światła — dwa czerwone z boków, dwa zielone na dziobie, jedno niebieskie z tyłu, i czekał. Nic nie było słychać oprócz muchy.

— JO dwa bis Terraluna, JO dwa bis Terraluna, wzywam... — brzęczenie.

— Chyba do mnie? — pomyślał z rozpaczą.

— AMU 27 do JO dwa bis Terraluna, jestem kwadrant cztery, brzegowy sektor PAL, mam wszystkie pozycyjne. Odbiór.

Teraz oba JO odezwały się równocześnie — włączył selektor kolejności, żeby wyciszyć tego, kto odezwał się drugi — ale brzęczało dalej, naturalnie — mucha.

— Ja się tu chyba powieszę — pomyślał. Nie wpadło mu do głowy, że wobec braku ciężenia nawet takie wyjście nie jest możliwe.

Nagle zobaczył w radarze oba swoje statki — szły za nim równoległymi kursami, oddalone od siebie nie więcej niż o dziewięć kilometrów, to znaczy w strefach wzajemnie zakazanych: jego obowiązkiem, jako pilotującego, było nakazać im odejście na odległość dopuszczalną — 14 kilometrów. Sprawdzał na radarze położenie plamek, oznaczających statki, kiedy mucha siadła sobie na jednej. Cisnął w nią książką nawigacyjną, nie doleciała, uderzyła w szkło pęcherza i, zamiast się ześliznąć po nim, odleciała z powrotem, w górę, uderzyła o strop szklanej bani i tak fruwała na wszystkie strony — brak ciężenia. Mucha nie raczyła nawet odlecieć — odeszła sobie pieszo.

— AMU 27 Terraluna do JO dwa JO dwa bis. Widzę was. Macie zbliżenie burtowe. Przejść na kursy równoległe z poprawką zero koma zero jeden. Po wykonaniu manewru przejść na odbiór. Koniec.

Obie plamki zaczęły się wolno rozchodzić, być może mówili coś do niego, ale słyszał już tylko muchę. Urządzała sobie brzękliwe spacerki na mikrofonie Kalkulatora. Nie miał już czym w nią rzucać. Książka nawigacyjna pływała nad nim, trzepocąc łagodnie kartkami.

— PAL Główna do AMU 27 Terraluna. Wyjść z kwadrantu brzegowego, wyjść z kwadrantu brzegowego, przyjmuję transsolarny. Odbiór.

— Bezczelność, transsolarny się napatoczył — co mnie obchodzi transsolarny?! Statki w szyku mają pierwszeństwo! — pomyślał Pirx i zaczął krzyczeć, wyładowując w tym krzyku całą swoją bezsilną nienawiść do muchy:

— AMU 27 Terraluna do PAL Główna. Nie schodzę z kwadrantu, transsolarny nic mnie nie obchodzi, idę w szyku trójkowym. AMU 27, JO dwa, JO dwa bis eskadra Terraluna, prowadzący AMU 27. Koniec.

— Niepotrzebne było o tym, że mnie ten transsolarny nic nie obchodzi — pomyślał — ma się rozumieć — karne punkty. Niech ich wszystkich cholera weźmie. A za muchę kto dostanie karne? Też ja.

Pomyślał, że to z muchą tylko jemu mogło się zdarzyć. Mucha! Wielka mi rzecz! Wyobrażał sobie, jakby Smiga pękał z Boerstem ze śmiechu, gdyby dowiedzieli się o tej idiotycznej musze. Po raz pierwszy od startu pomyślał o Boerście. Nie miał jednak ani chwili czasu — PAL zostawał coraz wyraźniej z tyłu. Lecieli trójką już pięć minut.

— AMU 27 do JO dwa, JO dwa bis Terraluna. Godzina dwudziesta zero siedem. Manewr wejścia na kurs paraboliczny Terraluna rozpoczynamy godzina dwudziesta zero dziesięć. Kurs sto jednaście... — wyczytywał kursy z kartki, którą udało mu się przed chwilą akrobatycznie ściągnąć z powietrza ponad głową. Jego statki odpowiedziały. PAL-a nie było już widać, ale go wciąż słyszał — albo jego, albo muchę. Naraz brzęczenie jej jak gdyby się rozdzieliło. Chciał przetrzeć oczy. Tak. Były już dwie. Skąd wylazła druga?

— Teraz wykończą mnie — pomyślał całkiem, ale to całkiem spokojnie.

Było nawet coś przyjemnego w przekonaniu, że nie warto się już szarpać, zrywać nerwów — one i tak dadzą mu radę. To trwało sekundę — potem popatrzał na zegar, była właśnie godzina, którą sam wyznaczył na początek manewru, a on nie miał jeszcze rąk na dźwigniach!

Mordownia tysięcy ćwiczeń robiła jednak widać swoje — złapał obie rękojeści na oślep, poruszył lewą, potem prawą, wpatrzony w trajektometr. Silnik odezwał się głucho, potem zasyczało, poczuł uderzenie w głowę, aż jęknął z zaskoczenia. Dostał kantem książki nawigacyjnej w czoło — tuż pod okapem hauby! Zakryła mu twarz, nie mógł jej trącić — potrzebował obu rąk. W słuchawkach brzęczało i kotłowało się miłosne życie much na Kalkulatorze. — Powinni dawać rewolwer — pomyślał, czuł, jak książka nawigacyjna wskutek rosnącego przyspieszenia zgniata mu nos. Rzucił głową jak szalony — musiał widzieć trajektometr!! Ważyła chyba ze trzy kilogramy, naraz spadła z trzaskiem na podłogę — no tak; było prawie 4 g. Natychmiast zmniejszył przyspieszenie, utrzymywał je w granicach manewru, ustawił zapadki na rękojeściach — miał teraz 2 g przyspieszenia. Czy muchom nic nie robi takie przyspieszenie? Nic im nie robiło. Czuli się świetnie. Miał lecieć tak 83 minuty. Spojrzał na tarczę radaroskopu — oba JO szły za nim, odległość między jego rufą a nimi wzrosła do jakichś siedemdziesięciu kilometrów, to przez to, że przez parę sekund miał 4 g i wyskoczył do przodu. Nie szkodzi.

Teraz miał trochę wolnego czasu — aż do końca lotu z przyspieszeniem. 2 g — to nie było nic takiego. Ważył teraz — wszystkiego — sto czterdzieści dwa kilogramy. Siedział nieraz i pół godziny w laboratoryjnej karuzeli na 4 g.

Inna rzecz, że to nie było przyjemne — ręce, nogi jak z żelaza. Głową nie można było nawet ruszyć — oślepiało.

Jeszcze raz sprawdził położenie obu swoich statków za rufą i pomyślał, co teraz robi Boerst. Wyobraził sobie jego twarz — musiała wyglądać jak na filmach. Szczękę miał ten chłopak! Nos prosty, oczy szare — stalowe — na pewno nie wziął z sobą żadnego bryka! Chociaż — jemu na razie też nie okazał się potrzebny. W słuchawkach osłabło brzęczenie — obie muchy łąziły nad nim po szklanym wierzchu bani, ich edenie muskały jego twarz, aż się za pierwszym razem wzdygnął. Spojrzał w górę — miały plackowate rozszerzenia na końcach czarnych łapek, ich odwłoki błyszcząły metalicznie w świetle lamp. Ohyda!

— Poryw osiem Aresterra woła Trójkąt Terraluna, kwadrant szesnasty, kurs sto jednaście koma sześć. Mam was na kursie zbieżnym jednaście minut trzydzieści dwie sekundy, proszę odchylić kurs własny. Odbiór.

— Masz ci los! — jęknęło w nim. — Bałwan, pcha się prosto — przecież widzi, że idę w szyku!

— AMU 27 prowadzący Trójkąt Terraluna JO dwa JO dwa bis woła Poryw osiem Aresterra. Idę w szyku, nie zmieniam kursu, wykonaj manewr mijania. Koniec.

Mówiąc to, szukał tego bezczelnego Porywu na radarze — był! Nie dalej niż o półtora tysiąca kilometrów!

— Poryw osiem do AMU 27 Terraluna, mam przebity rozrząd grawimetryczny, wykonajcie niezwłocznie manewr mijania, punkt przecięcia kursów czterdzieści cztery zero osiem, kwadrant Luna cztery, pas brzeżny. Odbiór.

— AMU 27 do Poryw osiem Aresluna, JO dwa, JO dwa bis Terraluna, wykonuję manewr mijania godzina dwudziesta trzydzieści dziewięć, manewr zwrotny równoczesny za prowadzącym na odległości optycznej, odchylenie północne sektor Luna jeden zero koma sześć, włączam silniki małym ciągiem. Odbiór. Mówiąc to, jednocześnie włączył obie dolne dysze odchylające. Oba JO dwa odpowiedziały natychmiast, skręcili, gwiazdy przesuwwały się w

ekranach, Poryw podziękował, leciał do Luny Głównej, Pirx nabrał nagle fantazji, życzył mu szczęśliwego lądowania, to było w dobrym stylu, zwłaszcza że tamten miał awarię, widział go na tysiącu kilometrów z zapalonymi pozycyjnymi — potem znowu wezwał swoje JO, zaczęło się wchodzenie na stary kurs — okropność! Jak wiadomo, nie ma nic łatwiejszego niż zejść z kursu — odnaleźć potem ten sam kawałek paraboli wydaje się prawie niemożliwością. Inne przyspieszenie, nie mógł nadążyć z rzucaniem współrzędnych Kalkulatorowi, łączyły po nim muchy, potem zaczęły się gonić po radarze — cienie ich zamiatały tylko ekran. Skąd te bydlęta brały tyle siły? Po dobrych dwudziestu minutach znaleźli się w końcu na pierwotnym kursie.

— A Boerst ma na pewno drogę jak wyczyszczaną odkurzaczem — pomyślał. — Zresztą — co mu tam! Zrobi wszystko i tak jedną ręką.

Włączył automat reduktora akceleracji, żeby na 83 minucie mieć przyspieszenie zero, jak nakazywała instrukcja, i zobaczył coś, od czego jego mokra przeciwpotna bielizna zrobiła się jak uszyta z lodu.

Nad tablicą rozdzielczą zesuwała się z zacisków biała pokrywka — milimetr po milimetrze. Była, widać, słabo wsadzona i podczas targania statku przy manewrach zwrotnych (targał nim rzeczywiście gwałtownie) zatraskowe rygielki puściły. Tymczasem przyspieszenie wciąż jeszcze wynosiło 1,7 g, pokrywka zesuwała się powolutku, jakby ją ktoś ciągnął w dół niewidzialną nitką — aż zeskoczyła i spadła. Uderzyła w szkło bani od swojej strony, osunęła się po nim i leżała nieruchomo na podłodze. Obnażone, zabłyśły cztery miedziane przewody wysokiego napięcia i bezpieczniki pod nimi.

— No — i czego ja się właściwie tak zestrachalem? — pomyślał. — Spadła pokrywka, to spadła, wielkie rzeczy. Z pokrywką, bez pokrywki, nie wszystko jedno?

Był jednak niespokojny — takie rzeczy nie powinny się zdarzać. Jeżeli może spaść pokrywka bezpieczników, to może odlecieć i rufa.

Już tylko dwadzieścia siedem minut lotu z przyspieszeniem było przed nim, kiedy pomyślał, że po wyłączeniu silników pokrywka stanie się nieważka i zacznie tam latać. Czy może narobić coś złego? Raczej nie. Za lekka. Nawet szybki żadnej nie stłucze. E, nic.

Poszukał wzrokiem much — goniąc się, kołując, bzyzcząc, latały dokoła całej bani, aż siadły pod bezpiecznikami. Stracił je z oczu.

W radaroskopie odnalazł swoje oba JO — na kursie. Przedni ekran ukazywał wielką na pół nieba tarczę księżycową. Mieli kiedyś ćwiczenia selenograficzne w kraterze Tychona, wtedy gdy Boerst obliczył za pomocą zwykłego, przenośnego teodolitu... — e, do licha, czego on nie potrafił! Usiłował odnaleźć Lunę Główną na zewnętrznym stoku Archimedesza. Była słabo widoczna, bo prawie cała zaryta w skałach, można było dojrzeć tylko wygładzony wierzch lądowiska ze światłami sygnałowymi, naturalnie kiedy leżała w strefie nocy, ale teraz świeciło tam słońce. Sama stacja spoczywała wprawdzie w smudze cienia, który rzucał krater, ale kontrast z oślepiająco oświetloną tarczą dokoła był taki, że słabiutkie płomyczki sygnalizacji nie były w ogóle widoczne.

Księżyc wyglądał, jakby na nim nigdy noga ludzka nie stała — od księżycowych Alp kładły się długie, długie cienie na równinę Morza Deszczów. Przypomniał sobie, jak przed lotem na Księżyc — z całą grupą, wtedy byli jeszcze zwykłymi pasażerami — Ośła Łączka poprosił go, aby sprawdził, czy gwiazdy siódmej wielkości są jeszcze z Księżycza widoczne, a on, osioł, podjął się tego z największym zapalem! Zapomniał na śmierć, że żadnych gwiazd z Księżycza w ogóle w dzień nie widać — wzrok jest zbyt olśniony blaskiem słońca, odbitym od powierzchni gruntu. Ośła Łączka długo jeszcze prześladował go tymi gwiazdami z Księżycza. Tarcza puchła powoli w ekranach — niedługo wyprze resztki czarnego nieba poza obręb przedniego.

Dziwne — nic nie brzęczało. Spojrzał w bok — i struchlał.

Jedna mucha siedziała na wypukłości bezpiecznika i czyściła sobie skrzydełka, a druga zalecała się do niej. Kilka milimetrów obok niej lśnił najbliższy kabel. Izolacja kończyła się trochę wyżej — wszystkie cztery kable były gołe, grube prawie jak ołówek, napięcie nie tak znów wysokie, 1000 Volt, i dlatego odstęp między nimi nie były duże — jeden od drugiego o siedem milimetrów. Przypadkowo wiedział, że siedem. Rozbierali raz całą instalację elektryczną i za to, że nie znalazł odstępów między przewodami, nasłuchiwał się od asystenta różności. Mucha dała spokój zalecankom i łaźła teraz po gołym przewodzie. Oczywiście nic jej to nie szkodziło. Ale gdyby tak zachciało się jej przeleźć na drugi... — widocznie właśnie się zachciało, bo zabręczała i siedziała teraz na skrajnej miedzianej żyłce. Jak gdyby w całej sterowni nie było innego miejsca! Gdyby sobie stanęła tak, że przednie łapki na jednym przewodzie, a tylne na drugim...

No, więc co? W najgorszym razie zrobiłoby się zwarcie, zresztą mucha nie jest chyba tak wielka. Jeżeli nawet, to będzie zwarcie przez moment, automatyczny bezpiecznik wyłączy prąd, mucha spali się, automat z powrotem włączy prąd i wszystko zagra znowu — aż muchą będzie spokój! Patrzył jak zahipnotyzowany na szafeczkę wysokiego napięcia. Jednak nie życzył sobie, żeby bydlę próbowało. Krótkie spięcie — cholera wie, co może z tego być. Niby nic — ale po co?

Zegar: jeszcze osiem minut na malejącym stopniowo ciągu silników. Zaraz będzie koniec. Patrzył właśnie na ten zegar, kiedy błysło — i światła zgasły. Trwało to może trzecią część sekundy. — Mucha! — pomyślał, czekając z zapartym tchem, żeby automat na powrót włączył prąd. Włączył.

Światła zapaliły się, ale pomarańczowo, słabo, i natychmiast znów strzelił bezpiecznik. Ciemno. Automat znowu włączył. Wyłączył. Włączył. I tak ciągle — bez końca. Światła błyskały w pół prądu, co się stało? Zobaczył z trudem, w momentalnych, następujących po sobie miarowo rozjaśnieniach: po musze — weisnęło się bydlę pomiędzy dwa przewody — pozostało truchelko, zwęglony słupek, który dalej łączył oba kable.

Nie można powiedzieć, żeby się za bardzo przestraszył. Był podniecony, ale czy w ogóle od chwili startu uspokoił się na dobre? Zegar źle było widać. Tablice miały własne oświetlenie — radar też. Prądu było akurat tyle, że awaryjne światła ani rezerwowe obwody nie włączały się — ale znów nie aż tyle, żeby było jasno. Do wyłączenia silników brakło czterech minut.

Nie musiał się o to troszczyć — automat reduktora sam powinien wyłączyć silnik. Lodowaty potoczek pociekł mu wzdłuż kręgosłupa — jakże automat wyłączy, jeżeli jest zwarcie?

Przez chwilę nie był pewny, czy to ten sam obwód, czy nie. Uprzytomnił sobie, że to są główne bezpieczniki. Dla całej rakiety i dla wszystkich obwodów. Ale stos, stos jest przecież osobno?...

Stos — tak. Ale nie automat. Sam go przecież przedtem nastawił. No, więc trzeba go wyłączyć. Czy lepiej nie ruszać? Może jednak zagra?

Konstruktorzy nie uwzględnili tego, że do sterowni może się dostać mucha — że przykrywka może spaść i będzie zwarcie — takie zwarcie!

Światła migają bez przerwy. Trzeba było coś zrobić. Ale co?

Proste — należy przerzucić główny wyłącznik, który jest pod podłogą, za fotelem. Wyłączy główne obwody i uruchomi awaryjne. I wszystko będzie w porządku. Rakieta nie jest jednak tak głupio skonstruowana, wszystko przewidzieli z należyтым zapasem bezpieczeństwa.

Ciekawe, czy Boerst też wpadłby na to tak od razu? Należy się obawiać, że tak. Nawet może... ale zostały już tylko dwie minuty!! Nie zdąży przeprowadzić manewru! Podskoczył. Na śmierć zapomniał o tamtych!

Myślał chwilę z zamkniętymi oczami.

— AMU 27 prowadzący Terraluna do JO dwa, JO dwa bis. Mam zwarcie w sterowni. Manewr wejścia na orbitę tymczasowo trwała nad strefą równikową Księżyca wykonam z opóźnieniem... e... nieokreślonej długości. Wykonajcie manewr sami w ustalonym czasie. Odbiór.

— JO dwa bis do prowadzącego AMU 27 Terraluna. Wykonuję manewr łączny razem z JO dwa wejścia na orbitę tymczasowo trwała nad strefą równikową. Masz dziewiętnaście minut do Tarczy. Powodzenia. Powodzenia. Koniec.

Ledwo dosłuchał, odkręcił kabel radiofonii, wąż tlenowy, drugi kabelek — pasy miał już rozpięte. Gdy się podnosił, automat reduktora zapłonął rubinowo — cała kabina to wyskakiwała z ciemności, to pograżała się w mętнопomarańczowym świetle osłabionego napięcia. Silnik nie wyłączył się. Czerwone światelko patrzyło na niego z półmroku, jakby pytając o radę. Rozległo się miarowe buczenie — sygnał ostrzegawczy. Reduktor nie mógł wyłączyć automatycznie silników. Łapiąc równowagę, skoczył za fotel.

Wyłącznik siedział we wpasowanej w podłogę kasecie. Kaseca — zamknięta na klucz. Tak, na pewno zamknięta. Szarpał pokrywę — nie puszczała. Gdzie klucz?

Klucza nie było. Szarpał jeszcze raz — nic.

Skoczył na równe nogi. Ślepo patrzył przed siebie — w przednich ekranach płonął już nie srebrzysty, ale biały, jak górskie śniegi, gigantyczny Księżyc. Zębate cienie kraterów sunęły po tarczy. Altimetr radarowy odezwał się — czy szedł już od dawna? Cykał miarowo — zielone cyferki wyskakiwały z półmroku: dwadzieścia jeden tysięcy kilometrów odległości.

Światło bezustannie migało, bezpiecznik wyłączał miarowo prąd. Gdy gasło, w kabinie nie zapadał już mrok — upiorny blask Księżyca wypełniał ją po brzegi i tylko nieznacznie słabł, kiedy lampy błyskały swoim półprzytomnym żarzeniem.

Statek leciał prosto, wciąż prosto, i wciąż zwiększał szybkość na szczątkowym przyspieszeniu 0,2 g — zarazem Księżyc przyciągał go coraz mocniej. Co robić? Co robić?! Skoczył jeszcze raz do kasecy, uderzył nogą w pokrywę — stal ani drgnęła.

Zaraz! Boże! Jak mógł tak ogłupieć!! Trzeba — trzeba po prostu dostać się tam, na drugą stronę pęcherza! Można przecież! Przy samym wyjściu, tam gdzie szklana bania przechodzi zwężającym się tunelem w lej kończący się u kłapy — jest specjalna dźwignia, polakierowana na czerwono, pod tabliczką TYLKO W RAZIE AWARII ROZRZĄDU. Wystarczy ją przełożyć, a szklana bania uniesie się o metr prawie w górę — i będzie można przeleźć pod jej dolnym brzegiem na drugą stronę! Tam jakimś kawałkiem izolacji oczyści przewody i... Jednym susem znalazł się przy czerwonej dźwigni. — Idioto! — pomyślał, złapał stalową rękojeść, pociągnął, aż mu chrupnęło w stawie barkowym. Rękojeść wyskoczyła na całą długość błyszczącego olejem, stalowego pręta — a bania ani drgnęła. Ogłupiały, patrzył na nią — widział w głębi ekrany, pełne płonącego Księżyca, światło migało mu wciąż ponad głową — jeszcze raz targnął rękojeść, chociaż była już wyciągnięta... Nic.

Klucz! Klucz do kasecy wyłącznika! Rzucił się płasko na podłogę, zajrzał pod fotel. Leżał tam tylko bryk...

Światła bezustannie migały, bezpiecznik miarowo wyłączał prąd. Gdy gasły, wszystko wokół stawało się białe jak wystrugane z trupich kości.

— Koniec! — pomyślał. — Dać się wyrzucić razem z banią? Wystrzelić z fotelem, w osłonie? Nie można, spadochron nie zahamuje, Księżyc nie ma przecież atmosfery. Ratunku!!! — chciał krzyżeć, ale nie było do kogo wołać — był sam. Co robić?! Musi być jakiś ratunek!!

Skoczył jeszcze raz do rękojeści — omal ręka nie wyskoczyła mu ze stawu. Chciało mu się płakać z rozpacz. Tak głupio, tak głupio... Gdzie jest klucz? Dłaczego mechanizm się zaciął? Altimetr — jednym spojrzeniem ogarnął zegary: dziewięć i pół tysiąca kilometrów. Od rozpalonego tła wyraźnie odcinała się skalna piła Timocharisa. Zdawało mu się, że widzi już

miejsce, w którym wryje się w pokrytą pumeksem skałę. Będzie grzmot, błysk i...

Naraz jego skaczące szaleńczo oczy padły, w sekundzie rozbłysku światel, na poczwórny rząd miedzianych żył. Wyraźnie czerniała tam grudka, łącząca kable, pozostała po spalonej musze. Wystawiając bark, jak bramkarz w robinsonadzie, skoczył przed siebie, uderzenie było straszne, wstrząs omal nie pozbawił go przytomności. Ściana bani odrzuciła go jak nabita samochodowa opona, upadł na podłogę. Ani drgnęła. Zerwał się na równe nogi, dysząc ciężko, z pokrzwawionymi ustami, gotów ponownie rzucić się na szklany mur. Spojrzał w dół.

Dźwignia małego pilotażu. Dla wielkich, krótkotrwałych przyspieszeń, rzędu 10 g, ale tylko na ułamek sekundy. Pracowała bezpośrednio, na ciągłach mechanicznych. Dawała momentalny, awaryjny ciąg.

Ale mógł nią tylko zwiększyć przyspieszenie, to znaczy — jeszcze szybciej dolecieć do Tarczy. Nie — zahamować. Odrzut był zbyt krótkotrwały. Hamowanie musi być ciągłe. Mały pilotaż — na nic?

Rzucił się na dźwignię, padając złapał ją, targnął, pozbawiony amortyzującej osłony fotela miał uczucie, że wszystkie kości mu się rozlatują, tak uderzyła go podłoga. Pociągnął jeszcze raz. Taki sam straszny, momentalny skok rakiety! Uderzył głową o ziemię, gdyby nie pianoplastik — roztrzaskałby się.

Bezpiecznik brzęknął — miganie ustało nagle. Sterownię zalał spokojny, normalny blask lamp.

Podwójne uderzenie błyskawicznych przyspieszeń małego pilotażu wytrąciło strupieszwały węgielek spomiędzy przewodów. Zwarcie było usunięte. Czując słony smak krwi w ustach, skoczył w fotel, jakby dawał nurka z trampoliny — ale nie wpadł w jego objęcia, przeleciał wysoko nad oparciem, okropne uderzenie o strop, ledwo co osłabione haubą.

W momencie kiedy odbijał się do skoku, czynny już automat reduktora wyłączył silnik. Resztką ciężenia znikła. Statek, teraz już tylko rozpędem, spadał jak kamień prosto ku skalnym ruinom Timocharisa.

Odbił się od sufitu. Krwawa ślina, którą wypluł, płynęła obok niego w powietrzu czerwono-srebrzystymi bąbelkami. Rozpaczliwie wiał się wyciągając ręce ku oparciu fotela. Wyrwał z kieszeni wszystko, co w nich tkwiło, cisnął za siebie.

Ten odrzut pchnął go łagodnie, powoli, sunął coraz niżej, palce, wyciągnięte tak, że ścięgnię pękały, najpierw zgrzytnęły paznokciami po nikłowej rurze, aż wpiły się w nią. Nie puścił: już. Ściągnął się całym głową w dół, jak akrobata robiący odwróconą stojkę na poręczach, złapał pas, po pasie zjechał w dół, owinał go wokół ciała, karabinek... — nie tracił czasu na zatrząskiwanie go, zagryzł go tylko w zębach — trzymało. Teraz ręce na rękojeści, nogi w pedały!!

Altimetr: tysiąc osiemset kilometrów do Tarczy. Czy zdąży zahamować? Wykluczone! 45 kilometrów na sekundę! Musi skręcić — wykonać głębokie wyjście z pikującego lotu — tylko tak!

Włączył dysze odchylające — dwa, trzy, cztery g! Mało! Mało!!

Dał pełny ciąg na odchylenie. Rtęcią płonąca tarcza w ekranie, dotąd jak gdyby wmurowana weń z zewnątrz, drgnęła i coraz szybciej poczęła sunąć w dół. Fotel skrzypiał pod rosnącym ciężarem jego ciała. Statek wchodził w łuk nad samą powierzchnią Księżyca, o wielkim promieniu — promień musiał być taki, bo miał ogromną szybkość. Rękojeść stała twardo, dociśnięta do końca. Wtłaczało go w gąbczaste oparcie, tracił dech, kombinezon nie był połączony z tlenową sprężarką, czuł, jak gną mu się żebra, szarawe plamy pokazały się w oczach. Czekał na black-out, patrząc ciągle w ramkę radarowego altimetra, który miał w swoich okienkach cyferki, jeden rząd wyskakiwał po drugim: 990 — 900 — 840 — 760 kilometrów...

Choć wiedział, że ma za sobą całą moc, parł rękojeść dalej. Wykonywał najciaśniejszy skręt,

jaki był w ogóle możliwy — a mimo to nie przestał jeszcze tracić wysokości — cyfry wciąż malały — choć coraz wolniej — leżał jeszcze w zstępującej części wielkiego łuku. Spojrzał — samymi oczami, gałki ich ledwo mógł obrócić — na trajektometr.

Jak zwykle w groźnej strefie ciał niebieskich, tarcza aparatu pokazywała, oprócz krzywej, którą zakreślał pocisk — i migającego słabo jej domyślnego przedłużenia — także profil wypukłości Księżyca, nad którym odbywał się cały manewr.

Obie te krzywe — lotu i księżycowej powierzchni — schodziły się prawie. Czy przecinały się?

Nie. Ale brzuch jego łuku był niemal styczną. Nie było pewne, czy prześliznie się tuż nad samą Tarczą — czy wyrznie w nią. Trajektometr pracował z błędem siedmiu — ośmiu kilometrów i Pirx nie mógł wiedzieć, czy krzywa przechodzi trzy kilometry ponad skałami — czy też popod nimi.

Ciemniało mu w oczach — 5 g robiło swoje. Przytomności nie stracił. Leżał, ślepy, z rękami zaciśniętymi mocno na dźwigniach, czując, jak powoli poddają się amortyzatory fotela. Nie wierzył, że jest zgubiony. Jakoś nie mógł w to uwierzyć. Wargami nie był zdolny ruszać — więc, w swojej ciemności, w myślach tylko liczył powoli: dwadzieścia jeden — dwadzieścia dwa — dwadzieścia trzy — dwadzieścia cztery...

Przy pięćdziesięciu zapełgała myśl, że to już zderzenie — jeśli w ogóle musiałyby nastąpić. Mimo to nie puszczał dźwigni. Zaczynało mu się robić słabo: duszność, dzwon w uszach, w gardle pełno krwi, w oczach — krwawa czerń...

Palce same rozwarły się — rękojeść odsunęła się powoli, nie słyszał nic, nie wiedział. Powoli robiło się szaro — oddychać było coraz lżej. Chciał otworzyć oczy — ale były, przez cały czas były otwarte, piekły teraz: spojówki wyschły!!

Usiadł.

Miał 2 g na grawimetrze. Przedni ekran — pusty. Gwiazdowe niebo. Ani śladu Księżyca. Gdzie się podział Księżyc?

Leżał w dole — pod nim. Wystrzelił w górę ze swojej śmiertelnej piki — i oddalał się teraz od niego z malejącą szybkością. Jak nisko prześliznął się nad samą Tarczą? Musiał to zarejestrować altimetr, ale miał w tej chwili co innego na głowie niż wypytywanie go o dane cyfrowe. Teraz dopiero zorientował się, że alarmowy sygnał, który buczał przez cały czas, umilkł. Dużo wart taki sygnał! Już raczej jakiś dzwon powinni powiesić pod stropem. Jak cmentarz, to cmentarz. Coś zabzyczało cichutko — mucha! Druga mucha! Żyła — bydlę jedno! Latała nad samą banią. Miał w ustach coś wstrętnego, szorstkiego, o smaku płótna — koniec pasa bezpieczeństwa! Cały czas zginał go w zębach! Pojęcia o tym nie miał.

Zapiął pas, położył ręce na dźwigniach — trzeba wyprowadzić raketę na właściwą orbitę. Oczywiście, po obu JO nie będzie już śladu — ale musi dociągnąć, gdzie trzeba i zameldować się Lunie Nawigacyjnej. Czy może Lunie Głównej — dlatego że miał awarię? Diabli wiedzą! Czy siedzieć cicho? Wykluczone! Jak wróci — zauważą krew, nawet szklany sufit jest pochłapany czerwono (teraz to zauważył), a zresztą rejestrator zapisał na taśmie wszystko, co się działo — szaleństwa bezpiecznika i jego walkę z awaryjną dźwignią. Niezłe są te AMU, nie ma co! A ci, co podstawiają człowiekowi taką trumnę na start, też są dobrzy!

Trzeba się było jednak meldować, nie wiedział dalej komu, więc pochylił się, popuszczając naramienny pas.

Sięgnął po bryk, leżący pod fotelem. — Ostatecznie, dlaczego nie mam zaglądnąć? Przynajmniej teraz się przyda. Usłyszał wówczas, że coś trzasnęło — zupełnie, jakby się otworzyły jakieś drzwi.

Żadnych drzwi za nim nie było, doskonale o tym wiedział, nie mógł się zresztą odwrócić,

przypięty pasami do fotela, ale smuga jasności padła na ekrany, gwiazdy zbladły w nich i usłyszał stłumiony głos Szefa:

— Pilocie Pirx!

Chciał się zerwać, pasy go przytrzymały, upadł z powrotem, zdawało mu się, że zwariował. W przejściu między ścianą sterówki a szklaną powłoką ukazał się Szef. Stał przed nim w swoim szarym mundurze, patrzył na niego szarymi oczami — i uśmiechał się. Pirx nie wiedział, co się z nim dzieje.

Szklana powłoka uniosła się w górę — odruchowo zaczął rozpinąć pasy, wstał — ekrany za plecami Szefa zgasły nagle, jak zdmuchnięte.

— Zupełnie dobrze, pilocie Pirx — powiedział Szef. — Zupełnie dobrze.

Pirx w dalszym ciągu nie wiedział, co się z nim dzieje. Stał w postawie zasadniczej przed Szefem i zrobił okropną rzecz — odwrócił głowę, o ile pozwolił mu na to na wpół wydęty kołnierz.

Całe przejście, razem z klapą, było odsunięte — jakby rakieta pękła w tym miejscu na dwoje. Widać było w smudze wieczornego światła pomost hali, stojących na nim ludzi, liny, kratownice — Pirx z nie domkniętymi ustami popatrywał na Szefa.

— Chodź, chłopcze — powiedział Szef. Powoli podał mu rękę, którą Pirx ujął — wzmacniając uścisk, Szef dodał: — Wyrażam ci uznanie w imieniu Lotów, a we własnym — przepraszam cię. To... jest... konieczne. Teraz chodź, przejdiesz do mnie. Będziesz się mógł umyć.

Ruszył do wyjścia. Pirx poszedł za nim, stąpając ciężko i niezgrabnie. Na dworze było chłodno i wiał słaby wiatr — wpadał do hali przez odsuniętą część stropu. Oba pociski stały na tych samych miejscach co przedtem — tylko kilka długich, grubych kabli, zwisając łukiem nad pustą przestrzenią, dochodziło do ich dziobów. Przedtem tych kabli nie było.

Instruktor stojący na pomoście mówił coś do niego. Źle słyszał przez haubę.

— Co? — spytał odruchowo.

— Powietrze! Wypuść sobie powietrze z kombinezonu!

— A, powietrze...

Nacisnął wentyl — zasyczało. Stał na pomoście. Jakichś dwu ludzi w białych fartuchach czekało przed linami bariery. Jego rakieta wyglądała, jakby miała rozpękły dziob. Ogarniało go z wolna uczucie dziwnej słabości — zdumienia — rozczarowania, które przemieniało się coraz wyraźniej w gniew.

Otwierali klapę drugiego pocisku. Szef stał na pomoście, ludzie w białych fartuchach mówili coś do niego. We wnętrzu drugiej rakiety rozległ się słaby trzask...

Jakiś brązowy, pręgowany, wijący się kłęb wypadł stamtąd, niewyraźną plamą latała głowa bez hauby, dławiła się rykiem...

Nogi ugięły się pod nim.

Ten człowiek...

Boerst zderzył się z Księżycem.

WRÓBLE GALAKTYKI

Nadleciał z gwiazd... Nie zatoczył nawet jednej elipsy dokoła planety jak nasze ziemskie kosmoloty... Radary księżycy zarejestrowały jego obecność, gdy był już zupełnie blisko... na parę sekund wcześniej, zanim lądował na Ganimedzie...

— Ależ profesorze... — to krzyknął ktoś z ostatnich rzędów audytorium, a w pierwszych zaczęto szeptać, tym szeptem, który doskonale słychać na katedrze.

— O, wiem, wiem... Nie wierzycie mi...

Toren podszedł do sterowania ekranami wideotronicznymi sali. Oparł się o pulpity...

— Nie wierzycie mi, bo zasięg naszych radarów wynosi pięćdziesiąt milionów kilometrów... a w ciągu dziesięciu nawet sekund można przemierzyć najwyżej trzy miliony kilometrów...

— To już udowodnił Einstein... — powiedział ktoś za mną. Odwróciłem się.

— Słusznie, kolego — Toren popatrzył na młodego blondyna siedzącego dwa rzędy za mną. — Słusznie... ale zapominasz, kolego, o efekcie Dopplera... Radar mógł zarejestrować obecność statku, gdy składowa wektora jego prędkości w kierunku V Księżyca zmniejszyła się o tyle, że częstotliwość fal odbitych zmieściła się w zakresie odbiornika...

Tym razem mówili już wszyscy.

— ...Tak, tak... — Toren podniósł głos — on leciał z szybkością podświetlną...

— I zderzył się z tą szybkością z Ganimedem...? — zapytał ktoś z sali.

— W każdym razie nie zmniejszył szybkości do ostatniej chwili — to wiemy na pewno.

— Więc spłonął?

— Wybuchł raczej...

— Nie... i dlatego to jest statek kosmiczny, a nie międzygwiazdny bolid.

— Teraz mamy na to bardziej bezpośrednie dowody...

— Tak, torusy... — zgodził się profesor.

— Profesorze, prosimy o szczegóły, właściwie nikt nic o nich nie wie. Dlaczego robicie z tego tajemnicę?

— Będziemy ją badać czy nie?

— Ostatecznie po to wysłano nas z Ziemi... — Profesor poczekał i wreszcie, gdy było znowu cicho, powiedział:

— Rzeczywiście nie ogłaszaliśmy żadnych szczegółów. Najpierw musimy zbadać całą sprawę... Po to zresztą tu jesteście... i w końcu wy zadecydujecie, co zrobimy... urwał na moment. — Przed kilku dniami... zespół roboczy docenta Romowa wysunął hipotezę inwazji torusów... — Skończył. Przez chwilę było cicho.

— Inwazji? — zapytał ktoś niezbyt pewnie.

— Tak, torusy uznano za agresję z obcego układu...

W sali wszyscy krzyczeli. Mój sąsiad zerwał się z krzesła i pobiegł w kierunku katedry.

Po chwili profesor był otoczony zwartym kręgiem krzyczących ludzi... Przepychał się z trudem ku wyjściu...

— ...Tak, atakują... Wszystko zobaczycie sami... już tu, na Ganimedzie — powtarzał. Wreszcie dobrnął do drzwi i zniknął w korytarzu...

Zjeżdżaliśmy windą w podziemie bazy. Opuszczaliśmy się równomiernie, bez wstrząsów, i tylko zapalające się kolejno wraz niższe światelka kondygnacji zaprzeczały wrażeniu bezruchu.

Każde światelko oznaczało piętnaście metrów dalej do powierzchni księżyca, piętnaście metrów więcej skał nad naszymi głowami. Gdzieś w głębi, na samym dnie szybu, pod ogromnym półkolistym sklepieniem, osłonięty ekranem grawitomagnetycznym, spoczywał torus.

Obok mnie stał ten sam blondyn, który mówił Torenowi o Einsteinie, chłopak niemal, z nikłymi śladami zarostu. Milczał jak inni i tylko jego twarz, poważna chyba od urodzenia, wyrażała napięcie, a ostre cienie rzucane przez jarzącą się ścianę potęgowały to wrażenie.

Drzwi rozsunęły się bezszelestnie. Byliśmy na miejscu. Z całego kilkadziesiąt metrów w górze wiszącego sklepienia sączył się błękitnawy blask. Ekran grawitomagnetyczny założono prowizorycznie i po posadzce wiły się zwoje przewodów. Wokół jednostajnie mruzczały agregaty zasilające. Ekran był niewidoczny i tylko tęczne załamanie się światła świadczyło o jego obecności. Wewnątrz, oświetlony jaskrawym reflektorem, na podstawie z białego plexigitu leżał torus, ogromny, gruby, czarny wąż, który połknął swój ogon. Podeszliśmy do grających światłami pulpity sterujących. Stała tam kobieta, zgrabna, ciemnowłosa, w żółtym swetrze, wyglądającym w tym świetle brudnozielono. Gdy odeszła na bok, by zrobić nam miejsce, spostrzegłem coś znajomego w jej ruchach.

— Gay! — odwróciła głowę. Znałem ją dawniej, na Ziemi, zanim odeszła z Anodo... Anodo... także kiedyś znałem.

— Serg — uśmiechnęła się — przyleciałeś z nimi?

— Tak. Obcięłaś włosy, najdłuższe włosy w całym Instytucie w Mort. Czyżby klimat Ganimeda...?

— Serg — powiedziała mi — Anodo nie żyje, wiesz już?

Milczałem chwilę, nie wiedząc, co powiedzieć. Nie, nie wiedziałem o tym.

— Kiedy... kiedy to się stało? — zapytałem w końcu.

— Niedawno, był jednym z nich... z tych, co badali torus.

— Zginął przypadkowo — przysunęła się do mnie tak blisko, że czułem jej oddech na policzku — ...ale wiesz przecież, on zawsze był taki. Pchał się tam, gdzie inni się wahali... jakiś zły błysk zapalił się w jej oczach.

— Gay, uspokój się.

— Ależ ja jestem spokojna. Tylko nie mogę obojętnie myśleć o tym, że on zginął tu, w tej sali... niepotrzebnie... zupełnie niepotrzebnie... Poszedł zbadać powierzchnię torusa... w lekkim skafandrze ochronnym. Bohater. Nie wierzył, że to inwazja, i chciał to innym udowodnić...

Pomyślałem, że to chyba było w nim właśnie najcenniejsze, ale nie powiedziałem nic. Wolałaby, żeby żył — to jasne. Wziąłem ją za ramię i podeszliśmy do grupy skupionej przy pulpicie. Nikt nie patrzył w ekrany kontrolne. Wzrok wszystkich spoczywał na androidalnym automacie zbliżającym się do ekranu. Ekran zafalowawszy rozszerzył się, pochłonął androida. W tej samej chwili nad torusem wzniósł się obłoczek opalizującej mgiełki. Ekran zamigotał barwami tęczy, wytrzymując impulsowe uderzenie.

— Parametry androida zostały ustalone na wielkościach charakteryzujących człowieka. On już nie żyje...

Przez chwilę zdawało mi się, że tam, kilkanaście kroków ode mnie, za lekko falującą powłoką ekranu leży rozciągnięty czarną sylwetką na białej posadzce nie android, lecz człowiek. Tak musiał leżeć Anodo i tu samo białe światło reflektora migotało na jego skafandrze ochronnym jak teraz na pancernych płytach androida. Spojrzałem na Gay. Jej oczy, trochę zmęczone, obojętne, błędziły po sali. Nagle spotkały mój wzrok i nie wiem, czy zrozumiała, ale powiedziała:

— On... on upadł w ekran: Rozumiesz, prądy wirowe w metalu skafandra. Zanim skurczyli ekran, metal rozżarzył się do białości...

W dolinie było ciemno i tylko gdzieniegdzie sterczały czarne szczyty skał. Dolinę utworzył uskoki tektoniczny w czasach, gdy Ganimed stawał się dopiero księżycem; kończyła się u stóp niewielkiego krateru, tam właśnie znaleziono jeden z pierwszych torusów.

— ...i nic, inwazja nie posunęła się dalej — Wera powiedziała to jakby z żalem.

— Widocznie śmierć tych w bazie zaspokoila mordercze żądze torusów. — Dor, rozparty w fotelu za drążkami steru, wpatrywał się z uwagą we wskazania automatów nawigacyjnych. Nie mówił tego poważnie, ale Wera nie zorientowała się widocznie.

— Naprawdę sądzisz, że nie pójda dalej? — zapytała.

— Same na pewno nie. Nawet do stosunkowo tak prostej czynności jak poruszanie się trzeba posiadać odpowiednie zespoły. Mechanicznych nie mają na pewno, a sądząc z zachowania się naszego więźnia, grawitacyjnych też nie. Inna rzecz, że ja na ich miejscu zaopatryłbym taki agregat bojowy w jakiś napęd.

— Trzeba natomiast im przyznać nadzwyczaj trafny dobór impulsu, stuprocentową śmiertelność wśród wszystkich ssaków — wtrąciła się do rozmowy Gay.

— Za duże natężenie. Działanie torusa jest śmiertelne na dystansie kilkakrotnie przewyższającym odległość, z jakiej w ogóle może on coś spostrzec.

— Ale po co oni nas zabijają?

Nikt Werze nie odpowiedział. Przez chwilę słyszałem tylko monotony szum gazów wyrzucanych dyszami w próżnię. — Nie wiemy... — Dor mówił cicho jakby do siebie. Jeśli zrozumiemy ich, zrozumiemy i to... Tylko najpierw musimy się spotkać.

— No a torusy?

— Nie, to byłoby zbyt łatwe. To tak jakbyś z automatami przeznaczonymi do kopania rowów chciał rozmawiać o ludzkości. Tam... tam musi być coś więcej niż dążenie do naszej śmierci...

— I dlatego, że Toren i jeszcze kilku innych rozumuje podobnie, my będziemy ginąć zamiast pokryć cały teren wybuchami termojądrowymi? — zapytała Gay.

— Tak. Właśnie dlatego.

Silniki huczały monotonnie. Dolina została za nami. Lecieliśmy nad równiną i patrzyłem na dobrze widoczną z tej wysokości krzywiznę horyzontu, poszczerbioną dalekimi łańcuchami górskimi. Dor zaczął właśnie coś mówić, gdy głośnik zachrypiał głosem Wardena, pilota pierwszej z naszych trzech rakiet.

— Mam nowy torus. Zaraz go zniszczę.

Spojrzałem w kierunku, w którym powinny się były znajdować obie rakiety. Nie dostrzegłem nic w monotonii brunatnych skał. W dali zza horyzontu czarnym masywem przesłaniającym gwiazdy wznosił się Tukopatatan, najwyższa góra Ganimeda. Pomyślałem, że przypomina gigantyczny cokół. Wtem odezwał się brzęczyk wykrywacza.

— Torus! — Dor manipulował powiększeniem ekranu, aż ujrzałem charakterystyczny kształt torusa spoczywającego na płaskiej skale.

— Wygląda na to, że jest ich tu tyle, ile diod w automacie. Podam współrzędne Wardenowi i Woleyowi... — Dor urwał i wpatrzył się zdezorientowany w ekrany.

— Co się stało? — Milczał chwilę.

— To dziwne, ale nie ma sygnału namiarowego z rakiety Wardena...

— Jak to nie ma?

— No nie ma. Popatrz, jak nie wierzysz...

— A automat?

— Sprawdziłem.

— ...to znaczy, że rozbili rakiety...

— Wiem to bez ciebie, Serg — powiedział Dor.

— Spróbuj mówić z Woleyem. Jego rakiетка wysyła przecież sygnały.

Dor przerzucił przełącznik.

— Woley, tu Dor. Słyszysz mnie dobrze?

— Doskonale, natrafiliśmy przed chwilą na torus. Chciałem to przekazać Wardenowi, ale odezwałeś się pierwszy.

— A odbierasz jego sygnał namiarowy?

— Co... Nie! Rzeczywiście nie. Ale to znaczy... to przecież znaczy, że on się rozbił.

— Może wszedł w obszar zaniku fal...

— Niemożliwe. Ja słyszę dobrze i tu nic nie ma... Chociaż czekaj... Coś tu widzę poniżej... Przesuwa się na tle skał... Woley zamilkł i w głośniku słychać tylko było jego oddech. — Dor... to chmura — membrana głośnika wibrowała głosem Woleya — chmura, tu, na Ganimedzie... Popatrzyłem w kierunku lotu, rzeczywiście, w dali na tle stożka wisiała nisko czarna chmura kształtu ogromnego dysku.

— Należałoby nadać komunikat do bazy — powiedział Dor. — Nadaj... Ona pędzi na mnie...

— Woley zająknął się.

— Co?

Woley nie odpowiedział.

— Podaj moim automatom nowe współrzędne lotu. Słyszysz mnie, Woley?

— ...nie ucieknę... jest już blisko...

Chwila ciszy i nagle zmieniony przerażeniem głos Woleya zmieszany z nawalą trzasków.

— Dor... ona... — słowa rozpoczęły się i równocześnie zgasła biała kreska sygnału namiarowego. Patrzyłem w kierunku chmury i dostrzegłem krótkotrwały fioletowy błysk. A może tylko mi się zdawało...

Obok stała Gay. Ona także patrzyła na chmurę, potem powiedziała:

— Tak samo zginął Warden, ale...

— Jak sądzicie? Dlaczego oni zginęli, nie my?

— Może po prostu dlatego, że byli pierwsi.

— Tak, to jedyne, co w tej chwili możemy przyjąć — zgodziła się. — Ale wobec tego wydaje mi się, że jeżeli nie zawrócimy natychmiast, narażamy się na podobny koniec. A więc...?

— Nie, Gay, musimy sprawdzić, co się z nimi stało. Nieprawdaż, Serg? — Dor zwrócił się wprost do mnie. — W zasadzie teren mogłaby przeszukać ekspedycja ratunkowa, ale wtedy może być za późno. Chyba jednak musimy tam polecieć.

— Zgoda. Jesteście w większości. Ale ja nie zmieniam zdania.

Patrzyłem na czarną chmurę wiszącą teraz trochę w prawo od masywu Tukopatata. Wydawała się nieruchoma, lecz gdy wróciłem do niej po chwili wzrokiem, odniosłem wrażenie, że powiększyła się nieco. Chwila uważnej obserwacji. Tak, to nie było złudzenie.

— Zawracamy — starałem się mówić spokojnie. Napotkałem nic nie rozumiejące spojrzenie Dora. — Chmura — wyjaśniłem — zbliża się.

Gwałtowny ruch rąk Dora na sterach i siła odśrodkowa rzuciła mnie na ścianę. Roztarłem stłuczony łokieć i obróciłem się do tylnego ekranu, którego środek po obrocie zajął Tukopatatan. Obok mnie, schwyciwszy moje ramię w czasie zwrotu, stała Gay. Mimo że lecieliśmy już zupełnie spokojnie, nie rozluźnili uchwytu i czułem jej palce zgniatające mi mięśnie. Ona także widziała, jak rośnie i powiększa się chmura.

— Nie zdążymy... — powiedziała to spokojnie. Potem nagle zwróciła się do Dora.

— Ładuj — zdecydowała, spojrzała na mnie, jakby szukając aprobaty dla swojej decyzji. Zobaczyła swoje zbiegające z wysiłku palce i puściła moje ramię. — Ładuj — powtórzyła.

— W dole są skały, rozbijemy się.

— Szybciej, Dor — ponagliła. — Musimy zaryzykować.

Rakieta runęła w dół. Teraz, gdy znaleźliśmy się poniżej chmury, można było dopiero ocenić jej prędkość. Pędziła, wirując jak ogromny czarny dysk, rzucony w naszym kierunku. Oderwałem od niej wzrok. W dolinie między skałami dostrzegłem niewielką platformkę, ku której spadła rakietka. Za mała. Nie zmieści się. Dor pomyślał widocznie to samo. Zawahał się.

— Na co czekasz, Dor? Ładuj natychmiast! — Gay powiedziała to tonem wykluczającym sprzeciw.

— Trzymajcie się — Dor z determinacją pchnął stery. Silnik ryknął pełną mocą wyrzucając ku skałom ogień z dysz. Pierwsze uderzenie rzuciło mnie na podłogę. Metalowa poręcz fotela wysunęła mi się z ręki i potoczyłem się pod ścianę. Padając słyszałem trzask pękających dysz i łomot łamanych amortyzatorów. Nad wszystkim górował jednak zgrzyt pancerza obsuwającego się po skałach. Jeszcze dwa drobne wstrząsy i rakietka znieruchomiała. W uszach przyzwyczajonych do wycia silnika dzwoniło. Dur wstał zza sterów. Spod ściany podniosła się Wera. W przygasającym świetle widziałem krew kapiącą z jej rozbitego nosa. Jeden po drugim gasły ekrany i żarówki kontrolne, nie zasilane z rozbitych akumulatorów.

— Jednak żyjemy — Dor uśmiechnął się szeroko.

W słabym, wpadającym z zewnątrz świetle dalekiego Słońca twarz jego wyglądała jak ruchoma maska. Wera zaśmiała się głośno i nagle urwała. Słońce oświetlające wierzchołki skał zgasło. Ponad nami wisiała chmura. Poruszała się teraz wolno i nagle zaczęła się zniżać. Rosła, pęczniała, aż pokryła całe niebo ponad nami, zakrywając gwiazdy i tarczę Jowisza. Narastał mrok, w którym zaledwie rozróżniałem zarys skał. Stałem pod ścianą i czekałem... — a więc to koniec. Zauważyli nas jednak. Żadnych możliwości ratunku — myśli jedna po drugiej przebiegały mi przez głowę. Umrę tak jak Anodo, przypadkiem. Powiedziałem:

— On przy torusie... a my w chmurze. To niewielka różnica, Gay...

— Jeszcze żyjesz... — nie widziałem jej. Słyszałem tylko jej głos.

Poszedłem za nim. Siedziała przy ekranach z głową opartą na rękach. Nad jej włosami fosforyzowało oko altimetru raz po raz odbierającego sygnał, ciągle zerowy, ten sam, bez sensu. Objąłem ją ramieniem. Opuściła głowę jeszcze niżej. Zrozumiałem, że lata spędzone przez nas na różnych planetach się nie liczą. Chciałem jej to powiedzieć:

— Gay... — urwałem. W ekranie, obok jej głowy, ujrzałem mały, szybko powiększający się skrawek gwiazdzistego nieba. Chmura odplynęła...

Przecisnąłem się z trudem na zewnątrz i pomogłem wyjść Dorowi. On jako ostatni zatrzasnął właz rakiety. Pojazd stał przekrzywiony, jednym bokiem oparty na skale. Zaraz przy wejściu leżało skrzydło sterowe wyłamane z dysz, a dalej pogięte amortyzatory. Przy nich stały Gay i Wers podobne do siebie w szarych skafandrach i okrągłych hełmach jak dwie lalki seryjnej produkcji. Wokół wznosiły się brunatne, chaotycznie porozrzucone głazy, spoza których w dali wyzierał szczyt Tukopatatana. Właśnie w tej stronie powinny być leżeć szczątki rozbitych rakietek. Wyruszyliśmy w tym samym kierunku, w którym poprzednio lecieliśmy — wprost na Tukopatatan.

— Gdybym mógł dostać próbkę zawartości tej chmury, sprawa byłaby o wiele prostsza. Wydaje mi się, że cała chmura to jakieś pole siłowe, zdalnie kierowany obłok, kierowany stamtąd, z Tukopatatana. — Dor zamilkł na chwilę, a potem dodał innym już tonem. — Ta chmura zjawia się nieomylnie tam, gdzie tylko jesteśmy... Może oni nas obserwują... może patrzą właśnie na nas...

— Bzdury. Jak mogą nas obserwować? Czym? A może sądzisz, że są wszechwiedzący... — nie czułem wcale tej pewności, z jaką mówiłem, ale nastrój i tak nie był najlepszy, a

przypuszczenia Dora na pewno go nie poprawiły.

— Zresztą zawsze możemy wrócić do rakiety, a wtedy wyprawa ratunkowa znajdzie nas bez trudu — beztrudko dorzuciła Wera.

— ...bez trudu... — powtórzył za nią Dor, wzruszył ramionami i wszedł pierwszy w wąskie gardło między dwoma blokami skalnymi. Głazy rozrzucone były w promieniu wielu kilometrów, ale zniknęły prawie, gdy weszliśmy na rozległą równinę opadającą tarasami ku masywowi. Widoczność była dobra, bo Słońce i Jowisz świeciły jednocześnie, tak że dostrzegałem najmniejsze nawet nierówności terenu w promieniu wielu kilometrów. A jednak krajobraz wydawał się nierealny. Trzeba długich lat spędzonych na księżycach Jowisza, żeby się do niego przyzwyczaić. Mnie w każdym razie przypominał scenerię ponurego opowiadania wideotronicznego, w którym bohaterowie giną i kamera nie mając się na czym zatrzymać utrwała skały i gwiazdziste nie kończące się płaszczyzny kosmicznego tła. Pozostałem trochę w tyle i przyspieszyłem kroku, aby ich dogonić. Dochodziliśmy do następnego tarasu. Zanim jednak zeszliliśmy w dół, usłyszałem krzyk, który niemal natychmiast przeszedł w zduszony charkot. Spojrzałem. Dor osunął się na kolana i podparł rękoma. Chwilę znieruchomiał w tej pozycji, a potem przewrócił się na bok. Skoczyłem ku niemu. W biegu zderzyłem się z Gay. Schwyciła mnie za ramiona i zatrzymała.

— Dokąd? Przecież to torus. — Zrozumiałem. Osłonięty przed działaniem torusa przez głaz, patrzyłem na siwe, krótko przystrzyżone włosy Dora, bielejące wewnątrz przezroczystego hełmu. Gay przywarła skafandrem do nierównej, brązowej powierzchni głazu i ostrożnie wysunęła głowę, tak by widzieć torus. Potem zdjęła z pleców dezintegrator i przyłożyła go do ramienia. Dwa błękitne wyładowania oślepiły mnie na moment. Buchnęło gorąco. Gay wyszła zza głazu i patrzyła na to, co zostało z torusa. — ...a gdyby on cię uprzedził... — wskazałem głową szczątki.

— ...wtedy ja bym wyglądała tak jak on albo raczej tak jak Dor... — wzruszyła ramionami. Spojrzałem na Dora. Klęczała przy nim Wera. Potem wstała i razem przenieśliśmy jego ciało tuż pod głaz i ułożyli w niewielkim zagłębieniu.

— ...wracamy? — Wera powiedziała to niewyraźnie, a może jej nadajnik źle pracował.

— Nie, pójdziemy dalej.

— Zginiemy tak jak on. Zobaczysz.

— Jego śmierć to w końcu przypadek.

Spuściła głowę i nie odpowiedziała. Gay przyglądała się nam z boku.

— Chodźmy więc. Na co czekamy? — powiedziała. Uszliśmy nie więcej niż kilkadziesiąt kroków, gdy ściemniło się nagle. Oboje z Gay pomyśleliśmy to samo. Kilka szybkich skoków i przywarliśmy do skał. Chmura opadała na nas jak ogromny czarny liść, zbyt ciężki, by wirować z wiatrem. Potem zrobiło się zupełnie ciemno. Wera straciła nas widocznie z oczu, bo chwilę stała niezdecydowana, a potem zaczęła biec.

— Serg... Serg... — słyszałem jej wołanie.

— Padnij na skały. Natychmiast padnij na skały. — Starłem się mówić spokojnie, nie krzyczeć.

— Serg, gdzie jesteś?

Widziałem zarys jej sylwetki; potknęła się, z trudem złapała równowagę i biegła dalej. Wtedy na tle nieba i skał łączących się linią horyzontu zobaczyłem ramię, ogromne, czarne ramię chmury przypominające trąbę, a może raczej wirującą wieżę. Wyciągało się wolno w kierunku Wery! — Uciekaj! Uciekaj! — krzyknąłem.

Nie zdążyłem. Zniknęła na moment w czarnym słupie, podniósł się on prawie natychmiast w górę. Lecz tam, gdzie przed chwilą jeszcze znajdowała się Wera, nie było nikogo. Chmura

odpływała. W ustępującym stopniowo mroku dojrzałem jej dezintegrator porzucony na skale. Chciała się bronić, chciała strzelać do czegoś...

— Wracamy — powiedziałem.

— Nie.

— Dlaczego? — spojrzałem na Gay.

— Ona... ona też chciała wracać. Zmusiłeś ją, żeby szła dalej. A zresztą nie jesteśmy na majówce, żeby wracać, jak tylko nam się znudziła zabawa. Z takiej wyprawy wraca się z czymś konkretnym... z czymś więcej poza krótką informacją o śmierci innych...

— Tak, ale teraz wiemy, że ich śmierć to nie przypadek. Chmura... chmura nadchodzi wtedy, gdy natkniemy się na torus...

— To chciałeś sprawdzić i teraz już wiesz... — Ale ja jeszcze nie jestem tego pewna. Chodźmy dalej, to się... upewnimy — wyraźna kpina brzmiała teraz w jej głosie.

— Zginie — powiedziałem to spokojnie, zupełnie spokojnie.

— ...ale prawdopodobnie pojedynczo. Jeśli ja zginę... ty wrócisz. Jeśli ty... to ja może się przekonam.

— Gay... — urwałem. A jeśli ona nie chce wracać do bazy, nie chce wracać nigdzie. Absurd. Była zawsze stuprocentowo normalną dziewczyną. Lubiła tańczyć, jeździć łódką po jeziorze... całować... Ale tak było dawniej. Potem lata na Ganimedzie z Anodo, dla którego śmiech był zawsze podejrzaną mistyfikacją. Czy po tym można jeszcze pływać na wyścigi do boi i śmiać się tak głośno, aż zielone brzegi odpowiadają echem? Nie wiem...

— Nie wiem... — powiedziałem głośno. Spojrzała pytająco, ale nic nie powiedziała i poszliśmy w dół ku masywowi Tukopatatana. Przejście na niższe tarasy nie było specjalnie trudne. Leżało tam wiele głazów. Gay wyprzedziła mnie i szła pierwsza. Po chwili zrozumiałem. Podejrzewała obecność torusów. Ale torusów nie było.

Niższy taras ciągnął się jednostajną równiną za horyzont. Równina była tak monotonna, że nie mogłem znaleźć punktu oparcia dla wzroku. Szliśmy i tylko Jowisz w miarę upływu czasu przesuwiał się ku Słońcu. Po kilku godzinach poczułem zmęczenie. Gay dotrzymywała mi kroku tak jak dawniej podczas najcięższych wspinaczek w Andach, gdzie kiedyś chodziliśmy razem. Masyw Tukopatatana z bliska wydawał się jeszcze wyższy, sięgnął niemal tarczy Jowisza. Patrzyłem właśnie w tę stronę, gdy u podnóża raz po raz trzykrotnie błysnęło. Był to niebieski błysk, którego źródło leżało poniżej krawędzi tarasu, gdzieś u stóp masywu...

Do krawędzi doszliśmy po godzinie marszu. Tam znowu leżały kamienie, dużo kamieni. Nagle kamienie się skończyły i Gay złapała mnie za rękę. Przywarliśmy do skał. Przed nami była kotlina, zwykła kilkumetrowej średnicy kotlina. Pośrodku niej stał stożek. Wysoki, idealnie polerowany stożek. W jego powierzchni odbijały się gwiazdy, Jowisz i skalne ściany. To był ich statek, ich baza, ośrodek inwazji... W kotlinie panował ruch. Ze wszystkich stron zdążyły do stożka pojazdy niknące w białej mgłę u jego podstawy. Większość z tych pojazdów miała kształt lejka zakończonego kulistym zbiornikiem. Unosiły się tuż nad powierzchnią, przelatując od skały do skały jak motyle wśród kwiatów na łące. Dwa z nich rozbijały błękitnym oślepiającym płomieniem ogromny głaz i błyski ich palników widzieliśmy dochodząc do kotliny.

— Co oni robią? — zapytała Gay.

— Oni? To są automaty. One zbierają głazy. Spójrz, jak ten jest blisko.

Rzeczywiście, w odległości najwyżej dwustu metrów przelatował jeden z automatów. Z lejka szerokim snopem, jak światło reflektora, emitowało jakieś pole siłowe. Głazy wpadające w ten niewidoczny snop podrywały się z podłoża i znikwały w gardle lejka. Nagle pojazd zmienił kierunek i zaczął wznosić się ku nam, bez trudu pokonując spadziste zbocze. Poderwałem się do ucieczki.

— Stój! Nie zdążysz... — Gay zsunęła z ramienia dezintegrator. Mierzyła starannie, lekko przekrzywiwszy głowę.

— W podstawę. Tam muszą być zespoły napędowe — mówiła to z taką pewnością, jakby sama konstruowała ten dziwny pojazd. Strzeliła. Ściągnąłem z ramienia swój dezintegrator, lecz nie zdążyłem go jeszcze odbezpieczyć, gdy pojazd niespodziewanie uniósł się kilkanaście metrów nad skały i skierował wprost na nas swój dziwny lejek. Gay krzyknęła coś, czego nie zrozumiałem. Stała nieruchomo z wzniesionym dezintegratorem. Nagle wszystko stało się czerwone, jakbym włożył czerwone okulary.

— Uciekaj, uciekaj, Gay — krzychałem, lecz w słuchawkach słyszałem tylko urywane trzaski, pomimo że stała kilkanaście kroków ode mnie. To wszystko trwało, oczywiście, kilka sekund. Chciałem podbiec do Gay i wyciągnąć ją z zasięgu tego automatu, ale wtedy właśnie zobaczyłem, jak najpierw dezintegrator, a za nim Gay unoszą się nad skały i mkną ku wejściu leja. Nie zdążyłem się nawet zdziwić, gdy sam doznałem uczucia zmiany przyspieszenia, tak jak w ruszającej w dół windzie, i nim się zorientowałem, leciałem już ku lejowi. — Kierunkowe pole grawitacyjne — pomyślałem i byłem w środku. Lej kończył się ogromnym zbiornikiem i poczułem, że osuwam się gdzieś w głąb. Było tam zupełnie ciemno. Odruchowo, nie zastanawiając się nad tym, zapaliłem lampę w głowicy hełmu. Zobaczyłem Gay. Leżała kilka metrów ode mnie... Równocześnie zobaczyłem kamienie, poukładane równo, tak by zajmowały minimum miejsca. Zrzucano nas na nie. Zerwałem się natychmiast w obawie, że za chwilę posypią się na nas skały wrzucane z leja. Skał jednak nie było.

— Przerwał pracę... — Gay nasłuchiwała rumoru kamieni, ale panowała cisza.

Skinąłem głową.

— ...i co gorsza, z naszego powodu...

— Sądziś? Jeśli tak, to chyba teraz ten automat melduje im o tym, co się stało.

— Tak by zrobił ziemski automat. U nich może być zupełnie inaczej.

— Jak inaczej?

— No, jakieś samodecydujące automaty.

— Niemożliwe.

— A to pole...?

— Pole to co innego. On w ten sposób pracuje. Ale nikt nie wyposaży automatu do zbierania kamieni w sprzężenia samodecydujące...

— Mówisz co najmniej tak, jakbyś uczestniczyła w konstruowaniu tego automatu...

W tej chwili poczuliśmy wstrząs, ledwo wyczuwalny, delikatny wstrząs.

— Wylądował — powiedziała Gay.

— Chyba tak — skinąłem głową.

— Teraz nas urządzają...

— Mamy dezintegratory.

— Nie sądzę, żeby nam to cokolwiek pomogło — powiedziała to raczej do siebie niż do mnie.

— Spróbujemy się stąd wydostać? — zapytałem.

— Próbować możemy... ale to się nam nie uda.

— Od kiedy zostałam pesymistką? — próbowałem jakoś rozproszyć ten przygnębiający nastrój „piwnicy” z kamieniami, jak w myśli określiłem pojazd. — Dawniej widziałaś zawsze wszystko w różowych kolorach...

— Dawniej byłam młodsza... i to było na Ziemi. Chodź chwyciła mnie za rękę — obejdzimy to rumowisko!

Ale kamienie były wszędzie. Wyłaniały się z mroku, gdziekolwiek skierowałem promień latarki.

— Zupełnie jak wtedy na usypisku w Andach. Także wszędzie były kamienie.

— Ale w górze było niebo. A poza tym pospiesz się. Musimy obejść „brzuch” tego automatu.

Dalej szliśmy w milczeniu. Brnąc przez kamienie, zataczaliśmy koło, ale nie bardzo mogłem się zorientować, jaką część obwodu mamy już za sobą.

Nagle stało się zupełnie jasno. Byliśmy w wielkiej hali. Ściany automatu, w którym znajdowaliśmy się dotąd, gdzieś zniknęły. — Widocznie zbiornik automatu jest rozkładany pomyślałem. Spojrzałem w górę. Ta hala w ogóle nie miała sklepienia. To, co było w górze, wyglądało jak mgła, różowa mgła.

— To... to jest wewnątrz stożka... — powiedziała Gay.

I wtedy stało się coś najzupełniej nieoczekiwanego. Kamienie, wszystkie kamienie uniosły się w górę. Oddalały się ku sklepieniu i nagle momentalnie zniknęły. Ale najdziwniejsze było to, że myśmy zostali. Staliśmy zanurzeni po pas w różowawej, opalizującej mgle. Nie widzieliśmy własnych stóp.

— ...sposzregli nas.

— Może automat segregujący odróżnił nas od kamieni...

— Bzdury. To oni... Serg... uciekajmy, Serg. — Gay straciła swój dotychczasowy spokój. — ...uciekajmy... uciekajmy stąd... — powtarzała w kółko.

— Ale dokąd?

— Wszystko jedno — zaczęła oddalać się, brodząc wśród mgły.

— Stój, po co tam idziesz?! — krzyknąłem.

Nie zatrzymała się. Teraz biegła już prawie. Nagle mgła zafalowała. Nie czułem wiatru, ale mgła zafalowała tak, jakby dołem powiał wiatr...

— Gay... Gay! — wołałem.

Mgła zaczęła się podnosić i jej strzępy sięgały mi do piersi. Po chwili widziałem już tylko hełm Gay. Może coś mówiła nawet, ale fale radiowe jej nadajnika nie dochodziły do mnie.

Potem mgła znienacka strzeliła do góry i otoczyła mnie bezpostaciowym różowym oparem. W pewnej chwili zorientowałem się, że na niczym nie stoję. Wiszę w bezgrawitacyjnej przestrzeni, w której kierunek, góra czy dół nie ma w ogóle fizycznego sensu.

Nie wiem, jak długo to trwało. Straciłem rachubę czasu. Podświadomie wykonywałem rękoma i nogami krótkie ruchy, starając się znaleźć jakiś punkt oparcia. Wydawało mi się, że przez izolację hełmu, przez materiał skafandra słyszę wysoki, zająkliwy dźwięk. Potem dźwięk obniżył się, przeszedł w buczenie. Zamilkł w końcu i równocześnie poczułem pod stopami oparcie... Mgła zaczęła z wolna opadać... Wynurzyły się z niej ogromne kilkumetrowej średnicy kule i wyższe od nich, smuklejsze paraboloidy obrotowe, podobne do ogromnych kielichów. Wydawały się przezroczyste, lecz gdy patrzyłem na którąkolwiek wprost, jakby matowiała... Zdawały się poruszać, falować i dopiero po chwili zrozumiałem, że to przezroczysta substancja gazowa, która została po opadnięciu mgły, łamie światło podobnie jak latem rozgrzane powietrze nad głazami. To, na czym stałem, było elastyczne, lecz gdy spojrzałem w dół, nie dostrzegłem własnych stóp. Moje nogi „rozmywały się” w okolicy kostek w tym, na czym stałem.

— Chyba znowu jakieś pole siłowe — pomyślałem. Chodzić jednak po tym można zupełnie dobrze. Zrobiłem kilka kroków, potem chciałem podejść do jednej z kul... i nie mogłem. Na pół metra przed kulą zaczynało się pole siłowe, od którego się odbijałem.

Chciałem obejść kulę, gdy nagle spostrzegłem, że kilkanaście metrów ode mnie ktoś stoi. Gay!

Pobiegnę do niej, ale ona mimo że się nie poruszała, zaczęła odpływać tak, że dystans między nami pozostawał bez zmian. Nagle zatrzymałem się. Ależ tak, to nie była Gay... to była Wera! Zatrzymała się także... Wtedy spostrzegłem, że jest przezroczysta i poprzez nią widać

zarysy stojących w głębi kul i paraboloid... Stałem tak może pół minuty. Ona także się nie ruszała, czekając jakby na mnie. A więc oni chcą mnie w ten sposób dokądś zaprowadzić... A może to pułapka? Nie, gdyby rzeczywiście chcieli, mogliby mnie przecież bez trudu przenieść jakimś polem siłowym... Zdecydowałem się. Poszedłem za Wera. Jej obraz uciekał ode mnie tak długo, aż nagle pomiędzy jedną a drugą kulą zobaczyłem raketkę, prawdziwą ziemską raketkę z otwartym włazem, w którym zniknęła Wera. Wszedłem za nią i... zobaczyłem Gay.

— Czy ty jesteś Serg? Jak tu wszedłeś? — zapytała. Potem zobaczyłem w jej oczach strach i odsunęła się ode mnie pod ścianę..

— Tak. To ja, Serg. Wszedłem zwyczajnie...

— Odwróciłem się, by pokazać jej właz, ale za mną była tylko ściana.

— A może ty już umarłeś jak Wera i jesteś tylko obrazem Serga...

— Ależ, Gay, ja żyję... naprawdę żyję... — schwyciłem ją za rękę. — Widzisz przecież, że żyję...

— Żyjesz... A widziałeś Wera? — zapytała nagle.

— Widziałem. Tak, to był jej obraz.

— I prowadziła cię wśród kul...

— Prowadziła...

— Ale po co, Serg?... Po co?...

— Nie rozumiem...

— Po co nas tu zamknęli... — skuliła się w kącie kabiny i zaciśnięła powieki...

Nie wiedziałem, co jej odpowiedzieć. Rozejrzałem się po kabinie i spostrzegłem... ekran... Nie był podobny do ziemskich ekranów, ale to musiał być właśnie ekran, bo świeciły w nim gwiazdy.

— Gay! Gay! — szarpnąłem ją za rękaw skafandra. Przez szybę hełmu widziałem, jak wolno uniosła powieki.

— Co się stało? — zapytała po chwili.

— Nie wiem. Jakieś gwiazdy...

— Gwiazdy?

— Tak, w ekranie, spójrz sama, przecież to gwiazdy. — Chwilę patrzyliśmy w ekran. Nagle Gay poderwała się i spostrzegłem jej źrenice rozszerzone przerażeniem. — Serg, a jeśli oni nas wystrzelili...

— Nie rozumiem.

— No, wystrzelili nas w Kosmos.

— Po co? Po co mieliby to zrobić, wytłumacz mi — starałem się mówić spokojnie, ale już także się bałem.

— Skądże mam wiedzieć... a te kamienie... po co zbierali kamienie i przynosili je w różowej mgle...

— Ale nas przecież zostawili...

— Może właśnie po to, by nas wyrzucić w próżnię. Może oni wszystkich ludzi albo zabijają, albo wyrzucają w próżnię.

— ...

— Wystrzelili nas z Ganimeda jak pocisk, bez możliwości kierowania tym pojazdem.

— Uważasz, że eksperymentują na nas...

— Nie. Oni na pewno w ten właśnie sposób pozbawiają życia istoty swego gatunku. Może ich nie można inaczej zabić...

Nie odpowiedziałem. Jeżeli Gay ma rację... to naprawdę nosimy umrzeć. Żadne obserwatorium nas nie dostrzeże... co najwyżej radar jakiejś przelatującej rakiety. Ale my nie

udajemy sygnałów rozpoznawczych, więc potraktuje nas jak meteor. Wyemituje w nas pełny ładunek ze swego anihilatora i wyparujemy...

— Wyparujemy, jeżeli...

— Nie — Gay przerwała mi — umrzemy tutaj. Tutaj, w tej kabinie. Słyszysz?

— Spokojnie, Gay, spokojnie...

— Popatrz — Gay wskazywała na ekran. — Oni go skonstruowali specjalnie, żebyśmy musieli o tym myśleć...

— O czym?

— Że umrzemy.

— Gay!

Zaśmiała się tylko.

— Będziemy umierać i patrzeć na gwiazdy...

Wtedy spojrziałem w ekran. Gwiazd w nim nie było, zniknęły z ekranu wyparte potężniejszą z każdą chwilą, dobrze znaną bryłą Ganimeda. Nasz pojazd podchodził do lądowania.

Śledziłem słoneczną plamę przesuającą się wolno po posadzce. Przez otwarte okno słyszałem szum automatu strzygącego trawę w ogrodzie. Na błękitnym prostokącie nieba przesuwały się obłoki gnane zimnym wiatrem od gór. Przy oknie stała Gay... Gay bez skafandra... To była Ziemia, naprawdę Ziemia!

Skończyliśmy właśnie opowiadać i Toren w zamyśleniu pocierał dłonią swe wysokie, łysawe czoło.

— ...i mówicie, że tam była mgła, różowa mgła... a potem kule... — powtarzał.

— A inwazja zlikwidowana? — zdecydowałem się w końcu go zapytać.

— Inwazja? — z roztargnieniem spojrział na mnie. — Inwazji w ogóle nie było.

— Nie było?

— Oczywiście, to nasz wymysł, następstwo megalomanii naszego gatunku. — Teraz patrzył na Gay. Spozrzegł widocznie, że nic nie rozumie. — Widzicie, to tak, jakby ktoś chciał ogrodzić swoje pole przed szkodnikami. Można po prostu wznieść płot. Ale jeśli ktoś dysponuje odpowiednią techniką i nie chce zabijać, to... po prostu zakłada siatkę sygnalizacyjną z torusów, wzywającą obłok sterowany. Obłok wynosi to wszystko, co się tylko porusza, poza poletko, poza strefę, która jest strzeżona... To, że torus zabijał... widocznie nie wiedzieli, iż taki właśnie impuls jest dla nas śmiertelny. Pewnie nie przeszło im to nawet przez myśl.

— Więc Warden, Woley, Wera... wszyscy oni żyją?

— Oczywiście, chmura wyrzuciła ich na skały poza pierścieniem torusów.

— A my... co oni z nami zrobili...?

— To możemy tylko przypuszczać. Ich pojazd wystartował. Wystartował prawdopodobnie natychmiast po waszym tam przybyciu...

— Ależ myśmy nic nie czuli. Żadnych przeciążeń, żadnych wstrząsów.

Toren uśmiechnął się.

— Oni napędzają swój pojazd polem grawitacyjnym. Wytwarzają to pole przed pojazdem. Wyście razem z całym kosmolotem spadali w tym polu... A ktoś, kto spada, nic nie waży. Problem człowieka w spadającej windzie — uśmiechnął się. — Tak więc nie mogło być mowy o przeciążeniach. Najwyżej mogłeś odczuwać...

— Rzeczywiście odczuwałem nieważkość...

— Widzisz, że mamy rację — ucieszył się Toren. Dostaliście się więc — ciągnął dalej — do automatycznego pojazdu zbierającego paliwo dla ich agregatów napędowych. Mielicie szczęście. Może oni są jakoś podobni do nas, a może was zauważyli, w każdym razie nie

podzieliliście losu kamieni zamienianych w silnikach na energię. Odsegregowali was od kamieni... ale potem mieli trudności z odesłaniem was na księżyc, bo już wystartowali. Zbudowali więc specjalny statek. Zbudowali — sędzę — w ciągu niecałej godziny, przystosowali go do waszych potrzeb, zwabili was do środka obrazem Wery i wystrzelili z powrotem na Ganimeda... Tak, nie chcieli was zniszczyć. Odesłali was, mimo że sami w tym czasie przemierzyli już miliony kilometrów.

— A teraz, gdzie oni są teraz?...

— Gdzieś w próżni międzygwiazdnej... znikli z ekranów najczulszych radarów...

— I nic nam nie zostawili, nic nie przekazali?

— Tylko was. Nic poza tym. Was nie chcieli zabierać. Dostaliście się do ich statku przypadkiem... a oni najpierw nie zauważyli... a potem wysłali was na Ganimeda.

— Jak to, a te mgły... to unoszenie kamieni... obraz Wery...

— To działały ich automaty. Ich technika wyprzedza naszą o setki, może tysiące lat... nikt nie chciał się z wami porozumieć... Rozetniecie, co to znaczy...?

— Nam się zdawało, że oni niczym innym prócz nas się nie interesują...

— Nie tylko wam — Toren mówił cicho, jakby do siebie. — Myśmy wszyscy tak sądzili. Wymyśliliśmy nawet inwazję i uwierzyli w nią bez zastrzeżeń. Wymyśliliśmy inwazję, bo przez myśl nam nie przeszło, że oni przylecieli do nas tylko po zapas paliwa. Że potraktowali nas jak wróble...

— Nie rozumiem. Dlaczego jak wróble...?

— Czy zatrzymałeś się kiedykolwiek, żeby popatrzeć na wróble? Na pewno nie. Jeśli je nawet czasem spostrzegłeś, to przypadkiem. Są zbyt pospolite, by zwrócić naszą uwagę... i może my właśnie jesteśmy takimi wróblami w naszej galaktyce...

NIE DAŁEM SIĘ UŚPIĆ...

Na pokładzie „Euforii” znalazłem się raczej przypadkowo. Żadnemu jeszcze dziennikarzowi nie dane było stanąć na Srebrnym Globie — uczeni nie lubią, gdy prasa depcze im po piętach i patrzy na ręce. Dzięki jednak protekcji pewnej wysoko postawionej osobistości — moje nazwisko znalazło się na liście pasażerów „Euforii” mimo ostrego sprzeciwu profesora Krassnera.

W komunikacji Z–K panowały wówczas dziwne zwyczaje. Wieloletnia praktyka jakoby wykazała ujemny wpływ lotu na psychikę pasażerów. Dlatego każdy człowiek udający się na Księżyc wprowadzany był w stan uśpienia i tak przemierzał przestrzeń około czterystu tysięcy kilometrów. Przez wrodzoną ciekawość, a także przez przekorę obiecałem sobie, że nie dam się uśpić. W tym celu odbyłem ściśle poufną rozmowę z jednym z moich przyjaciół–lekarzy, w rezultacie której otrzymałem od niego małą ampułkę z zieloną cieczą o silnym działaniu antysomnicznym i dodatkowo kilka pastylek w blaszanej tubce.

W dniu startu wstrzyknąłem sobie tę ciecz, po czym udałem się do Portu Kosmicznego. Po dokładnym skontrolowaniu tożsamości wszystkich podróżnych wywoływano kolejno przez megafon poszczególne nazwiska. Wezwany zniknął za jakimiś drzwiami. Wreszcie przyszła moja kolej. Znalazłem się w gabinecie lekarskim. Biało ubrany mężczyzna uśmiechnął się do mnie życzliwie i kazał mi podwinąć rękaw. Zastrzyk trwał może sekundę i nie był bolesny.

Zaprowadzono mnie potem do sali przypominającej pomieszczenie w domu noclegowym. Stało tu mnóstwo kozetek, a moi przyszli towarzysze podróży spali rozwaleni w malowniczych pozach. Położyłem się jak wszyscy i przymknąłem powieki. Zaczynała się przygoda...

Nagle poczułem, że jestem niesiony. Dwaj mężczyźni, z których jeden trzymał mnie pod ramiona, a drugi za kostki nóg, rozmawiali głośno w pomieszczeniu o dziwnym rezonansie.

— Nieś uważnie tego redaktora. Jakby się obudził przed perangustacją, byłaby lepsza awantura.

— Dlaczego miałby się obudzić? Jeszcze nikomu się to nie zdarzyło, a perangustowaliśmy przecież ładnych parę tysięcy ludzi.

Ułożyli mnie na czymś miękkim i odeszli. Uniosłem nieco powieki i spojrzałem dokoła. Znajdowałem się w dużej sali, której ściany i sufit wyłożone były jakąś, fosforyzującą materią. W niebieskiej poświacie zobaczyłem leżącego koło mnie Krassnera. Jego bródka błyszczała metalicznie. W sali brak było jakichkolwiek sprzętów, a liczne postacie, których sylwetki zobaczyłem uniósłszy głowę, spoczywały — podobnie jak ja — na miękkiej podłodze. Czyżby to było wnętrze rakiety, którą będziemy przeniesieni na „Kopernika”, okołoziemską stację przesiadkową, skąd dopiero wystartuje „Euforia”? Coś mi się jednak w tym nie zgadzało. Nie mogłem ani rusz przypomnieć sobie momentu, kiedy mnie podniesiono z kozetki i wniesiono do tego pomieszczenia. „Ejże — pomyślałem sobie — wygląda na to, że jednak się zdrzemnąłem. Czyli że ten zielony zastrzyk nie działał w stu procentach. Trzeba było jeszcze połknąć pastylki. Ci ludzie coś mówili o jakiejś perangustacji. Co to za diabeł?”

Nie musiałem długo czekać na rozwiązanie tej zagadki.

Wniesiono jeszcze kilka osób, usłyszałem trzask drzwi i równocześnie zgasła niebieska poświata. Poczułem się nieswojo, ogarnął mnie nieokreślony lęk. Podłoga zadrgała lekko, jak szyba w bliskości przelatującej rakiety. To drganie udzieliło się memu ciału. Było ledwo wyczuwalne, a jednak bardzo nieprzyjemne. Poczułem ogarniający mnie chłód zwiększający się

z każdą sekundą. Cóż to znowu? Zamrażają?! Zęby zaczęły mi kłapać z zimna, a skóra ściągnęła się na policzkach. W tym momencie uzmysłowiłem sobie, że salę wypełnia jakiś wibrujący szum. Minęło może pół minuty. Przeżyłem je, klnąc w duchu cały świat. Potem drgania zaczęły powoli ustawać, szum przycichł, a temperatura wyraźnie się podniosła.

Rozbłysło znów niebieskie światło i wtedy spostrzegłem, że pomieszczenie, w którym się znajdowałem, rozrosło się do rozmiarów monstrualnej, nie kończącej się przestrzeni. Szczęknięły jakieś rygle, przymknąłem więc szybko oczy. Rozległ się głos, jakby wzmocniony przez megafon:

— Ależ chłodno na tym naszym „Koperniku”! Nie umiem się do tego przyzwyczaić.

Na „Koperniku”? Nieśmiało uchyliłem jedno oko. Gdzieś, na znacznej wysokości, zamajaczyły dwa olbrzymie ciała ludzkie. Jeden z wielkoludów trzymał w potwornych łapach przezroczyste pudło wielkości trzypiętrowego domu.

W tej chwili dopiero zrozumiałem: perangustacja oznaczała zmniejszenie człowieka do rozmiarów kilku czy kilkunastu centymetrów! Byłem perangustowany...

Leżałem półprzytomny z przejęciem i z zapartym oddechem czekałem, co będzie dalej.

Po chwili przeniesiono nas w owym przezroczystym pudle na pokład „Euforii”. Każdy z perangustowanych leżał w osobnej przegródce, mocno przytwierdzony do elastycznego podłoża. Nie była to pozycja wygodna.

Nagle piekielny łoskot wstrząsnął kadłubem statku, równocześnie przygasły światła i poczułem, jak przed oczami zaczynają mi wirować koła. Stałem się ciężki, jak gdybym był z ołowiu. Pulsująca krew rozsadzała skronie, a żołądek i serce znalazły się tuż przy kręgosłupie. Z trudem chwytalem powietrze i z jeszcze większym trudem wydychałem je. Dlaczego te silniki tak długo pracują? Powinny już dawno zamilknąć. Nie, to tylko złudzenie — w istocie nie lecimy dłużej niż minutę. Jeszcze kilkadziesiąt sekund, jeszcze kilkanaście, no już, już, wystarczy!

Jakby na mój rozkaz, silniki przestały działać. Po obłędnym ryku zaległa cisza tak absolutna, że własny puls wydał mi się waleniem w pusty bęben.

Jak to jednak dobrze, że zasnąłem w Porcie Kosmicznym. Zaoszczędziłem sobie „przyjemności” jeszcze jednego startu.

Powoli, ruchem robaczkowym, wysunąłem się z mojego kokona. W pierwszej chwili uczucie nieważkości rozbawiło mnie, ale kilka dotkliwych uderzeń, które odniosłem na skutek nawet nieznaczących ruchów, zmusiło mnie do większej ostrożności.

Pierwszym kształtem, który rozróżniłem, była głowa profesora Krassnera. Oddzielony ode mnie przezroczystą ścianką spał snem sprawiedliwego. Biedny uczony, nigdy się nie dowie, że trasę Ziemia—Księżyc przeleciał jako liliput!

Postanowiłem wydostać się na zewnątrz pudła. Bez trudu wyważyłem klapę zamykającą otwór, przez który mnie tu wsunęto, i wychyliłem głowę.

W odległości, która wydała mi się wielka, a w rzeczywistości nie przekraczała zapewne półtora metra, siedział tyłem do mnie olbrzym w santulitowym skafandrze. Prawą dłonią manipulował przy jakimś wyłączniku, w lewej trzymał mikrofon.

Nagły, potężny ryk przeraził mnie.

— Halo, Ziemia, Ziemia! — wołał nawigator. — Tu „Euforia”, „Euforia”... Ziemia, Ziemia...

— Tu Ziemia, tu Ziemia — odpowiedział mu niewidzialny megafon. — Halo, „Euforia”.

Podać namiar Ro! Podać namiar Ro, literuję: Roman, Olgierd.

— Halo, Ziemia, tu „Euforia”, podaję Ro: zero, zero, zero, siedem, zero, cztery, jeden.

— Zero, zero, zero, siedem, zero, cztery, jeden, przyjęto. Jak się leci?

— Dziękuję, dobrze.

Nawigator odłożył mikrofon, przekreślił czerwony wyłącznik i pochylił się nad swoim

pulpitem.

Poczułem nagłą chęć porozmawiania z tym człowiekiem, zaczynała ciążyć mi samotność, w dodatku połączona ze świadomością mych groteskowych wymiarów. A jak tu dotrzeć do niego? Pofrunąć czy posuwać się, czepiając się czegośkolwiek? Po chwili namysłu zdecydowałem się na podróż powietrzną — zawsze to ciekawsze i chyba łatwiejsze.

Wygramoliłem się na ścianę pudła i stanąłem w linii równoległej do podłogi. Swoją drogą to zabawne, gdy nie ma grawitacji. Nie ma pojęć: dół, góra, równowaga. Nie można spaść, wyrzucić się, upuścić czegośkolwiek. Wycelowałem głową w miękkie obicie ścianki ponad nawigatorem i, wyciągnąwszy ręce, lekko odepchnąłem się stopami od pudła. Minąłem głowę siedzącego, a w chwilę później moje dłonie osiągnęły ścianę.

Nawigator podniósł oczy i — zbaraniał. Usiadłem na ścianie i uśmiechnąłem się życzliwie. Zamachałem też przyjacielsko ręką i zawołałem:

— Niech pan się nie przejmuj!

Och, gdybym mógł przewidzieć jego reakcję!... Nawigator zbladł, otworzył usta, mrugnął powiekami i... zamknął je. Ładna historia — umarł, a w najlepszym wypadku zemdlął! Człowiek kierujący lotem statku kosmicznego!

Zbliżyłem się do jego nosa i z ulgą przekonałem się, że oddycha. A więc żyje! Należy go ocucić. Nie miałem jednak pojęcia, w jaki sposób ja — ze swoją dziesięciocentymetrową wielkością — mogę to uczynić. Bezradnie sięgnąłem do kieszeni po papierosa. Dłoń natrafiła na coś gładkiego i podłużnego. Doznałem nagłego objawienia: pastylki antysomniczne! Tylko czy jedna wystarczy? Przecież one wraz ze mną zostały perangustowane. Dotarłem do ust nawigatora. Szczęśliwie, były otwarte.

„Tego się nie połyka, wystarczy włożyć pod język” — przypomniałem sobie uwagę lekarza-przyjaciela. Z wysiłkiem uniosłem język nawigatora i na wilgotnej błonie śluzowej ułożyłem trzy pastylki. Potem obiema rękami przyklepałem język i szybko wysunąłem się na zewnątrz.

Uczepiony wielkiego ramienia — z napięciem obserwowałem twarz zemdlonego. Bładość policzków ustępowała. Powieki powoli uniosły się, załopotwały i znowu opadły. Usta zamknęły się, a szczęki zaczęły wykonywać ruch przeżuwania. Rozległ się głęboki, świszczący oddech. Wyglądało na to, że w organizmie nawigatora następowała zmiana — jakby ze stanu omdlenia przechodził w głęboki sen. Wydało mi się to nieprawdopodobne, wszak pastylki miały działać rozbudzające! Przyjaciel-lekarz wyraźnie powiedział: „A to miej przy sobie na wszelki wypadek. Zażyj, gdybyś nie mógł wytrzymać”. To znaczy, gdybym czuł, że mimo zielonego zastrzyku grozi mi uśnięcie. Tak wtedy zrozumiałem jego słowa. A jeżeli oznaczały one coś zupełnie przeciwnego? Jeżeli są to pastylki nasenne, które miałem połknąć, gdybym nie mógł wytrzymać stanu świadomości? Ależ tak, to nie mogło być nic innego, tylko pastylki nasenne!

Jedyne, co w tej sytuacji można było teraz zrobić, to nawiązać kontakt z Ziemią. Zbliżyłem się do czerwonego wyłącznika, którym posługiwał się nawigator, i z dużym wysiłkiem przekręciłem go. Następnie podszedłem do mikrofonu i krzyknąłem z całej mocy:

— Halo! Halo! Halo!

Megafon milczał. Poczułem całą tragikomedię sytuacji: oto mały człowieczek z lilipucim głosem chce rozmawiać w eterze, na odległość dziesiątek czy setek tysięcy kilometrów, za pomocą aparatury przeznaczonej dla normalnych ludzi.

— Halo! Halo! Halo! — wołałem zrywając sobie gardło.

Wreszcie w megafonie rozległy się suche trzaski i pośród donośnego szumu usłyszałem głos:

— Halo, „Euforia”, „Euforia”! Tu Ziemia, tu Ziemia. O co chodzi?! O co chodzi?

— Tu „Euforia” — krzyczałem z nagle rozbudzoną nadzieją. — Tu „Euforia”, tu „Euforia”. Halo!

— Halo, „Euforia”. Nic nie słyszę. Nie słyszę. Przejdź na kontakt BW. Kontakt BW!

Myśla, że tu nawaliło coś w nadajniku, i każą przejść na jakiś inny typ łączności. Ale co to za lichy to BW! Jak to wygląda i gdzie tego szukać?

— Halo, „Euforia”? Czy coś się stało? Nadawaj BW! Nie będę szukał BW! Nie wiem, co to jest i do czego służy. Spróbuję natomiast sygnalizacji Morse’a, waląc czymś w mikrofon. Szybko zdjąłem but i z całej siły po trzykroć wałęnałem w siatkę mikrofonu. Bum... Bum... Bum...

— „Euforia”. Nadawaj BW! Nadawaj BW! Bum... Bum... Bum...

— Dlaczego nie nadajesz BW?

Bum... bum... bum...

— Czyś ty zwariował? Po co stukasz w mikrofon? Jeżeli masz coś do powiedzenia, to gadaj i nie zwracaj nam głowy.

A więc usłyszeli. Ale myśla, że to nawigator się wygłupia, i gotowi się za chwilę wyłączyć. Jak oszalały zacząłem wystukiwać sygnał s.o.s. Raz, drugi, trzeci... Zrozumieli.

— „Euforia”, co się stało? Dlaczego nie mówisz?

Wystukałem moje nazwisko. Konsternacja. Po chwili:

— To pan sygnalizuje, redaktorze?

„Tak — odpowiedziałem — nawigator śpi, a ja nie”.

Znowu konsternacja.

Czułem, że ręka zaczyna mnie boleć.

— Jak to się stało?

„Obudziłem się, nawigator zobaczył, zemdlał. Ratując, pomyłkowo dałem mocny środek nasenny”.

— Bravo! — głos nabrzmiały był ironią i zdenerwowaniem. — Proszę czekać na dyspozycje. Nic nie robić samemu.

Minęło moje trzydzieści sekund, które spędziłem na rozmyślaniu o swojej kompromitacji i o zwichnięciu swojej kariery.

— Halo, redaktorze, słyszy pan? W tej chwili nic „Euforii” nie grozi, gdyż jest ona sterowana przez nas z Ziemi. Lot przebiega prawidłowo. Nawigator potrzebny będzie w czasie zbliżania się do księżycowej stacji satelitarnej. Jeżeli się nie obudzi, statek minie Księżyc w odległości około dwóch tysięcy kilometrów i polecą dalej w kosmos. A więc — proszę dobrze uważać. Na wysokości głowy nawigatora w lewej ścianie kabiny jest kłapa. Wewnątrz są pudła z zastrzykami do budzenia uspijonych pasażerów, a także strzykawki. Proszę sprawdzić i odpowiedzieć.

Dostałem się do klapy i z trudem ją odsunąłem. Znalazłem mnóstwo ampułek długości mojej łydki. Obok, w uchwytach, tkwiły cztery strzykawki, z których każda sięgała mi do wysokości piersi.

„Nie dam rady — zasygnalizowałem butem — jestem za mały”.

— Racja! — w głosie z Ziemi poczułem nutkę rozbawienia. — Ale to tylko chwilowo, na czas podróży, proszę się nie przejmować. Panie redaktorze, teraz musi pan natychmiast zbudzić profesora Krassnera! Zrobi to pan, podając mu do ust kroplę płynu, który jest w tych ampułkach.

Odbiłem się od pulpitu i znów poszybowałem ku otwartej klapie. Przebicie miękkiej gluatanowej fiolki za pomocą pióra nie przedstawiało specjalnych trudności. Gorzej było z wydobyciem cieczy, która w warunkach nieważkości nie miała zamiaru wylewać się na zewnątrz. Rozszerzyłem otwór, posługując się piórem niczym dłutem, i palcami wyciągnąłem sporą kroplę. Podrzucając ją przed sobą jak dziecinny balonik, rozpocząłem trudną i pełną przygód wędrówkę do śpiącego profesora. Gdy wreszcie dotarłem do niego, odciągnąłem mu dolną szczękę i wepchnąłem do ust kroplę płynu. Krassner niemal natychmiast otworzył oczy i

poderwał się próbując usiąść.

— Co to ma znaczyć? — wybełkotał. — Po co pan mnie budzi? Czy to już Księżyc?

Chciałem mu wszystko wyjaśnić, ale zaraz po pierwszych słowach przerwał mi ze złością:

— A więc pan samowolnie zbudził mnie przed końcem pod różą?

— Niech pan posłucha, profesorze — zawołałem z rozpaczą — stała się tragedia i musiałem pana zbudzić!

— Ciekawym, co to za tragedia — warknął nieufnie.

Zacząłem opowiadanie od tej nieszczęsnej perangustacji, ale znowu mi przerwał.

— Jak to? Więc ja i pan, i oni wszyscy mamy po dziesięć centymetrów wzrostu? Czy pan zwariował? To pan mnie budzi tylko po to, aby opowiadać podobne bzdury?

— Pokażę panu zatem człowieka nie zmniejszonego — powiedziałem. — Uwolnię pana tylko z tych uchwytów.

Nie oponował i po chwili wydostaliśmy się na zewnątrz pudła, przy czym Krassner parokrotnie uderzył się boleśnie różnymi częściami ciała o ścianki i sufit. Na widok olbrzymiej postaci nawigatora złapał mnie kurczowo za ramię.

— Rzeczywiście! — stęknął ze zgrozą. — Więc nas naprawdę zmniejszono! Zmniej-szo-no! — dygotał ze złości. — To jest skandal! To kryminał! Jak można zmieniać wielkość człowieka bez jego wiedzy i woli! — krzyczał cały w wybiekach, potrząsając bródką. — Proszę zawołać tego osobnika — wskazał nawigatora — a powiem mu, co o tym wszystkim myślę.

Przestraszyłem się, że Krassner dostanie z przejęcia ataku serca.

— Nie mogę go zawołać — powiedziałem ostrożnie — bo ten człowiek śpi. W tym cała tragedia.

— Tragedia, powiada pan? To jest zwykła farsa! Zmniejsza się ludzi, ładuje do pudełka jak sardynki, a samemu się spokojnie śpi. Proszę go natychmiast obudzić!

— Nie mogę tego zrobić bez pańskiej pomocy. Niech pan zrozumie, błagam! Nawigator zjadł pomyłkowo środek nasenny, a jeżeli się szybko nie zbudzi, miniemy Księżyc i bezpowrotnie polecimy w przestrzeń.

Profesor był nieprzejednany.

— Nic mnie to nie obchodzi — oświadczył.

Ogarnęła mnie złość. Pozostawiłem Krassnera własnemu losowi i poleciałem do mikrofonu. Parę razy grzmotnąłem weń butem.

— Halo, redaktorze — powiedziała Ziemia — polecenie wykonane? Pan profesor wprowadzony w całą sprawę?

— Proszę im powiedzieć — krzyknął uczony — żeby mnie nie nagabywali! Nie mam zamiaru rozmawiać z ludźmi, którzy bezczelnie dysponują sobie moim ciałem.

„Zły! — zastukałem butem. — Wyjaśnić zmniejszenie, przeprosić, nie chce gadać”.

— Panie profesorze, proszę wybaczyć zmianę wielkości, ale to jest podyktowane względami ekonomicznymi. Zmniejszanie uspiomych pasażerów, czyli tak zwana perangustacja, pozwala na używanie jednoosobowego statku zamiast stuosobowego, dzięki czemu loty kosztują czterdzieści siedem i trzy dziesiąte razy mniej. Na księżycowej stacji satelitarnej przywraca się pasażerom ich normalną wielkość. Zachowujemy ten proces w ścisłej tajemnicy, zdając sobie sprawę, jak wielkim przeżyciem dla człowieka musiałaby być świadomość wielokrotnej zmiany wymiarów. Panie profesorze, nawigator „Euforii” śpi, pomyłkowo połknął środek nasenny. Jeżeli się go nie zbudzi, statek pomknie w kosmos, a was wszystkich czeka okrutna, powolna śmierć. Proszę nam pomóc.

Krassner w skupieniu wysłuchał tej grzmiącej tyrady. Błysnął w moją stronę niezycliwym okiem i powiedział:

— Niech im pan tym butem zakomunikuje, że pomogę. Tylko niech oni powiedzą, co, u licha ciężkiego, mam robić. Sterować statkiem? Łaskotać tego nawigatora, aby się zbudził?

— Dziękujemy panu profesorowi! — ryknął megafon. — Jedyna możliwość zbudzenia nawigatora to zastrzyk. Aby go zaaplikować, potrzeba czterech ludzi, jednym z nich będzie redaktor. Pana profesora zaś, jako najlepiej znającego swych współpracowników, prosimy o wytypowanie dwóch mężczyzn, których się następnie obudzi do pomocy. Proszę zastanowić się i podać nam nazwiska.

— Nie! — krzyknął profesor i, z furią odbiwszy się stopami od pudła, leciał w moją stronę. — Nie, nigdy, nigdy!

Wyciągnąłem ręce i schwyciłem go w powietrzu.

— Mogę zrobić różne rzeczy, ale nikt nie namówi mnie, abym budził tych ludzi! Czy pan na moim miejscu zgodziłby się, aby podwładni oglądali pana w paradoksalnym wymiarze dziesięciu centymetrów?

— Ależ przecież...

— Żadne „przecież”! Jestem zbyt poważnym człowiekiem, uczonym, członkiem Akademii, dyrektorem Instytutu, abym dał się oglądać w stanie per-an-gus-ta-cji! Żeby później wytykano mnie palcem, wołając: „Idzie ten liliput, ten krasnal”? Przekreślę moje nazwisko i będą mnie nazywać „Krassnałem”.

Biedak nie wiedział nawet, jak dobrze trafił. Ta trzęsie, półkolista bródka, puciołowe policzki, równie zaczerwienione, jak dość okazały nos, a przy tym owa łysina ozdobiona nabitym przed chwilą guzem — toż to wykapany krasnoludek z dziecięcej bajki!

— Panie profesorze — powiedziałem, z trudem opanowując śmiech — teraz nie czas na ambicje. Chodzi o życie.

— Nie! Niech im pan powie, że kategorycznie sprzeciwiam się budzeniu kogokolwiek!

Przez głowę przemknęła mi myśl, żeby udusić Krassnera i potem, już bez przeszkód, obudzić pierwszych z brzegu ludzi, ale spróbowałem jeszcze raz.

— Tak nie wolno robić — powiedziałem stanowczo. — Od pańskiej decyzji zależą losy całej wyprawy. Może pan dysponować własnym życiem, ale nie życiem swoich współpracowników, moim i nawigatora.

Ten argument podziałał jak kubeł zimnej wody. Zacietrzewiony profesor nie brał pod uwagę losu otoczenia. Teraz wyraźnie się skonfundował.

Z prawdziwą przyjemnością obserwowałem błyskawiczną metamorfozę Krassnera — ze zgryźliwego, o przerośniętej ambicji uczonego przemienił się natychmiast w aktywnego organizatora pełnego inicjatywy i werwy.

— Proszę im podać, że zdecydowałem się na obudzenie mojego asystenta... — rzucił nazwisko. — Wystarczy obudzić tylko jego, będzie nas trzech. To dosyć. W jaki sposób trzeba to zrobić?

Wskazałem kłapę i wyjaśniłem sposób obchodzenia się z płynem. Nie tracąc czasu, wyruszył w podróż powietrzną.

Dalej wypadki potoczyły się szybko. Po chwili obaj mężczyźni wylądowali obok mnie. Asystent był blady i wystraszony, starał się jednak panować nad sobą. Krassner energicznie objął kierownictwo.

— Najpierw wyciągamy igłę i strzykawkę — zakomenderował. — No, lecimy!

Przekłuliśmy ampułkę i wsunęliśmy do wnętrza igłę, po czym profesor z całych sił odciągnął tłoczek, zapierając się nogami o pulpit, a my dwaj, oburącz, trzymaliśmy strzykawkę. I wreszcie sam zabieg. Ręka nawigatora spoczywała na pulpicie. Ustawiliśmy igłę pod kątem prostym do poduszki dłoni.

— Raz... dwa... — liczył profesor. — Uwaga: trzy!

Z całej siły wbiliśmy igłę. Uczony znowu zaparł się nogami, tym razem pchając tłoczek plecami. Z największym wysiłkiem, postępując ze zmęczenia, pchał i pchał, a my, trzymając strzykawkę, patrzyliśmy z zachwytem, jak ilość płynu zmniejsza się w niej z każdą chwilą.

Na tym skończyła się przygoda. Nie muszę chyba dodawać, że potem już bez kłopotów dotarliśmy do celu podróży, a wszystko, co przeżyliśmy, pozostało naszą ścisłą tajemnicą.

Dzisiaj, po wielu latach, gdy perangustacja nikogo już nie szokuje, mogę wreszcie opowiedzieć tę historię.

FANTOM

A ja ci mówię, że zdarzają się przypadki, których nie wtłoczysz w żadną szufladę. Myślisz: albo—albo i wydaje ci się, że jedno wyklucza drugie, tymczasem w rzeczywistości to jest i jedno, i drugie, a nawet czasem i trzecie. Choćby taka sprawa Baldera: nieszczęśliwy wypadek, morderstwo i samobójstwo.

Nie znasz tej sprawy? No pewnie... Zadaję niedorzeczne pytanie. Przecież byłeś jeszcze wówczas pędrakiem. Zresztą do prasy nie podano nawet dziesiątej części prawdy. „Nikt by tego i tak nie zrozumiał, a po co szargać pamięć zmarłego” — takie było zdanie pewnych wpływowych osobistości... Nie masz się czemu dziwić. To były inne czasy. Oficjalnie stwierdzono, że to był wypadek, i już...

Nie, nie! To nie było kłamstwo. Rzecz w tym, że był to, jak mówiłem, i nieszczęśliwy wypadek, i morderstwo, i samobójstwo...

Ach, nie rozumiesz? Balder był jednocześnie i mordercą, i ofiarą. Tu nie chodzi o różny punkt widzenia — dosłownie: zamordował samego siebie. A jeśli chcesz znać moje zdanie, był to może jedyny ludzki odruch w jego życiu... Ależ mówię zupełnie poważnie. Chyba wiesz, kim był Balder? W jaki sposób zrobił karierę? No tak, generał, w chwili śmierci zresztą już emerytowany. Słyszałeś o doktrynie Baldera? To właśnie on! Kiedy ją tworzył, był u szczytu kariery politycznej. Ale przed samą śmiercią już nie odgrywał żadnej poważniejszej roli. Czasy się zmieniły... Lecz jeszcze ciągle wierzył w słuszność swej doktryny. Mówisz: maniak? Gdybyż to był tylko maniak...

Widzę, że wiesz o nim bardzo niewiele. Pewne światło na mentalność tego człowieka rzuca jego młodość. Były to czasy burzliwe. Druga połowa dwudziestego wieku. Balder pochodził z Południowej Afryki. Syn plantatora czy urzędnika. To zresztą nie takie ważne. Ważniejsze, że już jako dwudziestoletni młodzik dowodził oddziałem komandosów w pewnych niezbyt zaszczytnych akcjach. W parę lat później szuka szczęścia w służbie, wielkich zjednoczeń górniczych.

Nie należał jednak do awanturników uprawiających profesję kondotiera z zamiłowaniem do przygód. Był odważny, czasem nawet skłonny do ryzykanctwa, ale potrafił także kalkulować na zimno. Gdy wyczuł, że akcje jego zwierzchników spadają, rzucił swe bardzo popłatne zajęcie i zniknął na pewien czas z widowni, aby ukazać się znowu, już jako doradca do spraw politycznych i wojskowych przy rządzie jednego z większych państw afrykańskich. Wówczas to nawiązał bliższe kontakty z naszym przedstawicielstwem dyplomatycznym. Nie ulega wątpliwości, że współpraca ta musiała być owocna. Po sześciu latach opuszcza na zawsze Afrykę i robi nową błyskawiczną karierę wojskową, tym razem u nas. Jest ekspertem w zakresie długofalowych akcji prewencyjnych. Mając trzydzieści osiem lat, zostaje generałem. W marzeniach widzi się nowym Clausewitzem*. Jego autorytet rośnie. Ówczesny prezydent powołuje go do grona najbliższych doradców. Wtedy właśnie występuje ze swą słynną doktryną „trzech uderzeń”, która przez blisko siedem lat trzymała naszych polityków w ślepym zaułku...

No, jasne — świat nie stoi w miejscu. Kiedy realizm w polityce zwycięża, tacy ludzie, jak Balder, muszą zejść ze sceny. Oczywiście i on nie ustąpił łatwo. Jeszcze przez kilka lat różnymi sposobami próbował wskrzesić, w zmienionych nieco wersjach, swą doktrynę. Lecz

* Karl von Clausewitz (1780–1831) — pruski generał, pisarz i teoretyk wojskowości, którego prace wywarły duży wpływ na rozwój, przede wszystkim niemieckiej, myśli wojskowej XIX i XX w.

nieuniknienie nadszedł koniec jego kariery: zwolnienie ze służby i emerytura. Co prawda — dzięki poparciu przyjaciół z kół niegdyś bardzo wpływowych — obejmuje stanowisko prezesa BEC, ale nie jest to już dawny generał Balder. Nie może pogodzić się z myślą, że to, czemu poświęcił najlepsze lata życia, zostało raz na zawsze przekreślone. W tym czasie coraz wyraźniej przejawia chorobliwą nienawiść do całego świata... Skąd wiem o tym? Przez ostatnie lata życia Baldera byłem jego domowym lekarzem. Właśnie dlatego znam prawdę...

Nie, to nie był człowiek, z którym mógłbyś nawiązać bliższe, przyjacielskie stosunki. Umiał stwarzać „właściwy” dystans. Co mówisz?... Oczywiście, miał kilku przyjaciół, przeważnie z kół wojskowych i przemysłowych. Żonę? Umarła, gdy był jeszcze u szczytu powodzenia. Chyba nigdy jej nie kochał. Naprawdę przywiązany był do swej córki, chociaż zewnętrznie tego nie okazywał. Dał jej imię — Nike. To imię też rzuca pewne światło na jego mentalność. Dziewczyna miała piętnaście lat w chwili śmierci Baldera. Nie była ładna, trochę przypominała ojca, ale tylko zewnętrznie, gdyż usposobienie miała łagodne i nie umiała narzucać swej woli.

Nike po swoim kochała ojca, lecz jednocześnie bała się go trochę. Balder nie był łatwy we współżyciu. Zawsze starał się być surowym ojcem, lubił narzucać swoje zdanie, a po odejściu z wojska często był rozdrażniony i wybuchał z byle powodu. Potem żałował, jeśli ofiarą tych humorów była Nike, i starał się jej wynagrodzić przykrość, lecz przeważnie robił to niezręcznie, bo jednocześnie nie chciał okazywać swej słabości. Czasami...

Proszę cię bardzo, nie przerywaj w pół zdania. Jeśli mówię tyle o Nike Balder, to nie bez powodu. Stosunek Baldera do córki ściśle wiąże się ze sprawą jego śmierci.

Pierwsze sygnały o tym, że z generałem nie wszystko jest w porządku, dotarły do mnie na parę miesięcy przed katastrofą. Pewnego dnia zjawiała się u mnie Nike Balder. Prosiła, abym pod jakimś pretekstem odwiedził jej ojca i spróbował go zbadać. Jej zdaniem bowiem, czuł się on źle i przypuszczalnie był chory, lecz lekarza nie chciał wezwać. Dziewczyna podejrzewała, że generał próbuje się sam leczyć, niestety — z odwrotnym skutkiem. Kazał zainstalować w swoim gabinecie jakiś automat medyczny i poddaje się zabiegom codziennie przez kilka godzin. W tym czasie zamyka się na klucz i zupełnie nie reaguje na pukanie. Gdy pytała, do czego ten automat służy, początkowo nie chciał w ogóle odpowiedzieć, dopiero gdy nalegała, odrzekł, że to prototyp nowego złudnika, w co dziewczyna nie uwierzyła, gdyż nie zgodził się zademonstrować jego działania.

Podejrzenia Nike pogłębiał fakt, że po każdym dłuższym zabiegu ojciec wychodził z pokoju niezwykle podniecony i jakby odmłodzony, dzwonił do dawnych kolegów, mówił o jakichś projektach, ale po paru godzinach ogarniała go apatia, gasł w oczach, a ostatnio zaczął przejawiać niepokój i potęgujące się coraz bardziej rozdrażnienie. Z zewnętrznego opisu urządzenia wywnioskowałem, że jest to jakaś aparatura bioelektroniczna, wyposażona w receptory odbierające sygnały o pracy układu nerwowego i efekторы oddziałujące na prądy czynnościowe kory. Urządzenie było zbyt duże jak na złudnik. Prawdopodobniejsze wydawało się przypuszczenie, że to jakiś nowy typ automatu leczącego niektóre schorzenia krwioobieg coraz popularniejszą w owym czasie metodą sterowania układem nerwowym.

Dlaczego nie pod kontrolą lekarza? Czeka! Przecież jeszcze nic nie wiesz. Po pierwsze, nie powiedziałem wcale, że on się leczył. Po drugie, nawet gdyby był naprawdę chory, wątpię, aby zgodził się na kurację pod kontrolą swoich pracowników. Nie rozumiesz? Nieufność niemal do wszystkich ludzi połączona z przesadnym poczuciem wyższości. Wydawało mu się, że lekarz — pracujący w jemu podległym zakładzie — musi być od niego głupszy.

Balder nie studiował medycyny, ale trzeba przyznać, że miał sporo wiadomości z niektórych dziedzin, zwłaszcza z elektroniki medycznej. BEC zatrudniała wielu wybitnych specjalistów i prezes Balder nie chciał uchodzić wśród nich za ignoranta. Po ostatecznej realizacji układu o

powszechnym rozbrojeniu zakłady przestawiono prawie w siedemdziesięciu procentach na produkcję sprzętu medycznego. BEC wygrała zresztą na tym, bo kiedy pojawiły się pierwsze jaskółki „złudnikowego szaleństwa”, mogli bardzo szybko przystąpić do wyścigu i wejść na rynek jako poważny konkurent RCA i Philipsa. Balder, po objęciu funkcji prezesa zarządu, odnosił się początkowo niechętnie do projektu szerszego przestawienia produkcji na złudniki. Był zdania, że popyt jest chwilowy, wywołany nowością urządzenia, i że przewidywać niektórych entuzjastów, iż złudniki będą współzawodniczyły z telewizją czy kinem, nie należy traktować serio. Na mniej więcej rok przed śmiercią począł jednak zmieniać zdanie, a w ostatnich miesiącach życia wprost entuzjastycznie odnosił się do tego przedsięwzięcia i snuł bardzo szerokie plany, nie oszczędzając funduszy na reklamę. Zaangażował się też poważnie w zwalczanie projektu międzynarodowej konwencji, ograniczającej swobodę programowania fantoautomatów.

Nie masz racji! Konwencja nie była sprzeczna z interesami BEC. Przynajmniej pojmowana dalekowzrocznie. Tu nie tylko o to chodziło. Ostatecznie BEC nie potrzebowała bynajmniej programować pornografii czy sadyzmu, aby robić dobre interesy. Niezwykłe przygody, kosmos, historia, świat sztuki — to teren wystarczająco bogaty dla wyobraźni. BEC była nawet w niemałym stopniu zainteresowana w zwalczaniu nielegalnego programowania, a konwencja ułatwiłaby to. Balder nie chciał kontroli z zupełnie innych powodów. To nie była ślepotą, dobrze wiedział, co robi. Na szczęście i tu przegrał.

Jeśli dziś złudniki można nabywać w każdym sklepie elektronicznym, to tylko dzięki rozsądnemu i dalekowzrocznemu ujęciu sprawy w konwencji przyjętej przez cały świat dwadzieścia lat temu. Dlatego że sprowadzono je do roli telewizora i domowego kina, nie stały się narkotykiem, środkiem zac zadzania umysłów! Nie, mój drogi! „Złudnikowe szaleństwo” to było tylko ostrzeżenie, co może nastąpić, jeśli w porę nie zapobiegnie się niebezpieczeństwu.

Pewno cię jednak zanudzam dygresjami. Otóż — wracając do tematu — w parę dni po wizycie u mnie Nike Balder zadzwoniłem do generała. Jako pretekstu do odwiedzin użyłem prostego kłamstwa, że chciałbym, aby mi osobiście udzielił pewnych rad fachowych. Był w świetnym humorze i zaproponował, ażeby do niego zaraz przyjechał. W kilka minut po tej rozmowie zatelefonowała do mnie Nike. Dowiedziała się od ojca, że przyjeżdżam, i chciała mnie poinformować o najnowszych wydarzeniach. Tego dnia, tuż przed moim telefonem, generał przeprowadził dwugodzinny zabieg. Nike podsłuchiwała pod drzwiami i, choć były one izolowane, wydało się jej, że słyszy podniesione głosy — jak gdyby ojciec śmiał się, to znów krzyczał na kogoś, chociaż była pewna, że w pokoju nikogo poza nim nie było.

Nie zwlekając pojechałem do Baldera. Nike czekała na mnie w hallu. Okazało się, że generał wezwał ogrodnika i wyszedł z nim do parku, mimo iż umówił się ze mną... Oczywiście masz rację. To jeszcze niczego nie dowodziło. Mógł zapomnieć, a Nike była przewrażliwiona...

Dziewczyna zaproponowała, abyśmy poszli poszukać ojca, na co, rzecz jasna, skwapliwie się zgodziłem, bo to mogło wnieść nowe elementy do przyszłej diagnozy. Nike z pewnością domyślała się czegoś, bowiem zaprowadziła mnie wprost do betonowego bunkra w głębi ogrodu. Było to jedno z wejść do prywatnego schronu przeciwoatomowego, zbudowanego przez Baldera przed kilkunastu laty.

Kłapa wjazdu była odsunięta. Zeszliśmy krętymi schodami chyba z pięć pięter w dół. Generała spotkaliśmy już w drugim przedsionku wewnętrznym. Beształ ogrodnika za jakieś przewinienie, jak się później okazało — za założenie w jednym z korytarzy schronu hodowli pieczarek. Gdy mnie zobaczył, odprawił ogrodnika i, wyrażając żal, iż niepotrzebnie się trudziłem, bo miał zamiar zaraz powrócić na górę, poprowadził nas w głąb budowli, do drugiego wyjścia, łączącego schron bezpośrednio z willą. Pod rodzę zrzędził jeszcze trochę na ogrodnika, że niszczy „tak

dobry schron”, ale wkrótce, pokazując mi niektóre ciekawsze urządzenia, rozchmurzył się. Widać było, że jest bardzo dumny ze swych podziemnych apartamentów... Skąd tak dobrze wszystko pamiętam? Składałem później zeznania, i to kilkakrotnie.

Wracając do tematu... Balder nie sprawiał wówczas wrażenia człowieka chorego, przeciwnie, był pełen energii i sił żywotnych. Zaniepokoił mnie nie jego wygląd, lecz uwaga wypowiedziana tam, w schronie, niby tak sobie, mimochodem: „Gdy będzie potrzeba, te żelbetowe bloki wytrzymają niejedno uderzenie...” Jeślibyś znał Baldera, na pewno nie traktowałbyś tego jako paplaninę... No, jasne, że nie wierzyłem w możliwość konfliktu. Ale tacy jak on umieli mącić...

Pytasz: czy knuł coś? I tak, i nie. A raczej — tak. Ale był to chyba najdziwniejszy z jego pomysłów, skazany z góry na fiasko.

Dowiedziałem się o tym jeszcze tego samego dnia. Rzecz jasna, nie powiedział mi wprost, ale łatwo było się zorientować, do czego zmierza. Nie robił zresztą z tego specjalnej tajemnicy... Dziwi cię, że miał do mnie zaufanie? Ależ to nie było zaufanie! On do nikogo nie miał zaufania, co nie przeszkadzało mu do pewnych ludzi odczuwać coś w rodzaju sympatii. Dlaczego do mnie? Tego już, niestety, nie wiem.

Ale znów odbiegliśmy od tematu. Otóż kiedy Nike pozostawiła nas samych i generał wprowadził mnie do gabinetu, zwróciłem od razu uwagę na duży blok aparatury elektronicznej, stojący pod jedną ze ścian. Spytałem Baldera niby tak, od niechcenia, co to za maszyna.

— To złudnik — odpowiedział z pewnym odcieniem dumy w głosie. — Nowy typ, jeszcze nie produkowany seryjnie.

Zapytałem wówczas, czy mógłbym zobaczyć, jak urządzenie działa. Spodziewałem się, że zastosuje unik, powie, że złudnik nie jest czynny, lecz on tylko spojrzał na mnie przenikliwie i zupełnie niespodziewanie oświadczył:

— Widzę, że moja córka naplotkowała na mnie przed panem, doktorze. Że jestem chory, że próbuję się sam kurować za pomocą niebezpiecznych środków... Prawda? Niech pan nie zaprzecza.

Słyszałem waszą rozmowę telefoniczną. Ale to wszystko nieprawda. Nigdy nie byłem w równie dobrej formie, jak obecnie. A ta maszyna to naprawdę złudnik.

Tak to mniej więcej brzmiało, a ja czułem się niczym szczeniak schwyty w czasie płatania głupiego figla. Na szczęście, zanim zdążyłem cokolwiek wyjąkać, Balder zmienił temat. Zaczął mówić o polityce, atakując rzekomą krótkowzroczność ówczesnego rządu. Wyrzucił się nawet w ten sposób, iż „usypianie opinii publicznej źle się skończy”. Chciałem się dowiedzieć, co ma na myśli, mówiąc o usypianiu opinii, ale zamiast odpowiedzieć, zapytał, czy sądzę, że obecne porozumienia i środki kontroli gwarantują bezpieczeństwo naszemu krajowi.

Odrzekłem, że tak istotnie sądzę.

— Zresztą — powiedziałem — nie wyobrażam sobie, jak by atak mógł wyglądać.

Jego aż poderwało. Ale nie był to gniew, lecz jak gdyby satysfakcja z odniesionego sukcesu.

— Mogę to panu ułatwić — powiedział uśmiechając się. Podeszedł do owego bloku elektronicznego i nacisnął jakiś przycisk. Przednia ściana bloku opadła, przeobrażając się w wąską kozetkę, która zamiast podglówka miała potężny hełm. Wiesz: zespół recepto-efektorów indukcyjnych pracujących przemiennie. Jeszcze dziś można spotkać podobne hełmy w złudnikach starszego typu...

Zgadłeś! Zapropnował mi seans. Co?... Nie domyślasz się? No, przecież to jasne. Tak, tak! Tam była zaprogramowana wizja ataku, ba! — chyba całej wojny nuklearnej, jeśli komu starczyło wyobraźni... i oczywiście nerwów. Ja nie lubię takich mocnych wrażeń. Zgodziłem się tylko z ciekawości zawodowej: chciałem przekonać się, czym żyje Balder.

Przed seansem, jak to i dziś się praktykuje w prostszych typach fantoautomatów, dał mi do

prze czytania krótki schemat tematyczny. Dla nadania kierunku biegowi wyobraźni. Było tam parę zdań o jakichś tajnych wyrzutniach i podstępnych planach niespodziewanego ataku, potem opis skutków owego ataku, między innymi śmierci ludzi, którzy nie mieli gdzie się schronić. Schemat zredagowany był tandetnie, sugestie szyte grubymi nićmi, źle kryjące niedwuznaczną tendencję: „Oto, co może was spotkać, jeśli będziecie wierzyć, że jesteście bezpieczni”.

Zgodnie ze wskazówkami Baldera położyłem się na kozetce, pod hełmem, i usiłowałem sobie wyobrazić to, co sugerował schemat. Wizja pojawiła się niemal natychmiast po włączeniu aparatury, z ogromną plastycznością, nie ustępującą jawie. Nie ulegało wątpliwości, że ten automat stanowił ogromny krok naprzód w porównaniu z produkowanymi dotąd złudnikami. Przede wszystkim nie występowało zupełnie zwięźenie pola świadomości. Wiedziałem, że to, co przeżywam, jest złudzeniem, ale jednocześnie nie mogłem wyzbyć się uczucia realności odbieranych wrażeń, I to w jakim stopniu! Teraz takich złudników produkować nie wolno... Co widziałem? Och! To była tak potworna wizja, że jeszcze dziś odczuwam nerwowy dreszcz na samo wspomnienie. Ponadto wszystko rozgrywało się z jakąś żelazną logiką... Czy mogłem ingerować? Oczywiście, lecz zakres korekty był dość wąski, przynajmniej w porównaniu z tym, co się wokół mnie działo. Mogłem uratować tego czy innego człowieka, odchylić tor pocisku, zapobiec zawaleniu się domu, ale nie byłem w stanie powstrzymać kataklizmu. Zresztą orientujesz się przecież — można zmienić kierunek przeobrażania się wizji, uprzedzając wypadki, lecz nie można cofnąć biegu wydarzeń. A przecież złudnik zaskakuje cię niespodziankami, zdarzeniami, których nie potrafisz przewidzieć, czerpiąc często tworzywo informacyjne z twojej podświadomości...

Wytrzymałem zaledwie dziesięć minut pod hełmem — mnie wydawało się, że przeżyłem całe tygodnie wojny. Byłem tak wyczerpany nerwowo, że nawet Balder się przestraszył, czy nie przeholował. To była iście piekielna wizja. A przecież to, co ja wiedziałem o wojnie nuklearnej, sprowadzało się do jednej książki o Hirosimie, paru podręczników medycznych z zakresu ochrony radiologicznej i popularnych artykułów w prasie, czytanych przed laty. Jakie wizje musiał przeżywać pod hełmem złudnika Balder, który zajmował się tymi sprawami od kilkudziesięciu lat?! Przecież jego wyobraźnia była wprost przesycona tą problematyką.

Po tym seansie Balder odwiózł mnie do domu. Pamiętam, mówił wtedy coś o tym, że będą musieli przy seryjnej produkcji zmniejszyć plastyczność doznań.

W tydzień po tej wizycie, późnym wieczorem, zadzwoniła Nike, prosząc, abym niezwłocznie przyjechał do ojca..

Generała zastałem w gabinecie, wpołężącego w fotelu. Był bardzo blady, a w oczach jego nietrudno było dostrzec lęk. Rozkazał córce, aby zostawiła nas samych, i gdy drzwi zamknęły się za nią, zaczął w sposób bardzo chaotyczny, odbiegający całkowicie od typowej dla niego precyzji wypowiedzi, wyjaśniać, dlaczego mnie wezwał. Okazało się, że doznał w czasie eksperymentów ze złudnikiem silnego szoku. Nastąpiło to pod wpływem wizji, której przyczyn nie potrafił sobie wytłumaczyć, a nie chciałby wtajemniczać w osobiste przeżycia psychiczne specjalistów z zakładów BEC. Odrzekłem, że mu niewiele pomogę, tłumaczyłem, że nie znam się na konstrukcji złudników. Ale on z uporem powtarzał, że chce, abyśmy wspólnie rozważyli, co to było, że on niezłe orientuje się w zasadach działania aparatury, która zresztą, zdaniem naczelnego konstruktora, nie jest uszkodzona, wreszcie, że chodzi tu najprawdopodobniej o zjawisko psychofizjologiczne, a nie efekt błędu technicznego i stąd moja pomoc staje się niezbędna. Temat fantowizji Baldera, jak nietrudno było się domyślić, stanowiły jego marzenia, których nie mógł już zrealizować. Uczestniczył w gigantycznych zmaganiach wojennych, opracowywał i wcielał w życie dalekosiężne plany strategiczne, rozgrywał zwycięsko jakieś niezmiernie skomplikowane pojedynki taktyczne, przeprowadzał apokaliptyczne operacje, biorąc w nich często bezpośredni

udział.

Pasja eksperymentowania na złudnikach wywodziła się u Baldera z chęci stworzenia sobie chociaż namiastki świata, w którym byłby tym, kim chciał być na jawie. Jednocześnie jednak, jako człowiek przyzwyczajony do realistycznego myślenia, nie mógł przyjąć fikcji, która byłaby celem samym w sobie. Próbował więc uzasadnić swoje eksperymenty zamysłami praktycznymi, ogólniejszymi... Słusznie mówisz! Politycznymi! Właśnie to miałem na myśli. On rzeczywiście wierzył, że produkując złudniki i podsuwając odbiorcom, wśród wielu programów, również programy przedstawiające plastycznie nowoczesną wojnę, potrafi wzbudzić niepokój i doprowadzić do nowego wzrostu napięcia. Tak. Nazywając rzecz po imieniu — chodziło o wywołanie psychozy wojennej... Masz rację, że to nonsens. Wręcz przeciwny skutek... Myślę, że właśnie dlatego tak się zaniepokoił moją reakcją na seans, któremu mnie poddał. Ale chyba do końca nie potrafił tego zrozumieć...

Czego się przestraszył w czasie wizji? O nie, nie obrazu wojny! Obraz wojny był chyba dla niego raczej... przyjemny. Nie myśl, że wywierały na nim jakieś przykre wrażenie sceny zagłady. To był jego żywioł, świat jego marzeń. Miał tam swoje ulubione postacie, a także takie, na których koncentrował swą nienawiść. Jeden z „fantomów” pozytywnych, rzecz jasna według oceny Baldera, pojawiał się we wszystkich niemal wizjach, często wędrował razem z Balderem od sceny do sceny. Młody porucznik — szaleńczo odważny, zawsze odnoszący zwycięstwa nad przeciwnikami. „Chytry jak lis i szybki jak orzeł” — mówił o nim Balder. Ten oficer zjawiał się obok generała w niebezpiecznych momentach i niejednokrotnie uradował mu życie. Był okrutny wobec wrogów, ale Balder go w pełni usprawiedliwiał twierdząc, że na wojnie, gdy trzeba, należy być i okrutnym.

Każda z fantowizji — jak wiesz — jest inna, niektóre sceny czasem się jednak powtarzają. Tak jak we śnie. Otóż w jednej z takich powtarzających się od czasu do czasu scen, szczególnie potwornej w naszym odczuciu, ów porucznik zabijał dziewczynę, Murzynkę. Podpalał miotaczem drewniany barak, w którym była uwięziona. Zresztą i to Balder usprawiedliwiał: barak musiał być zniszczony, a o braniu jeńców nie było mowy... Mówisz: obłąkany sadysta? Że te wizje zrodziły się w jego mózgu? W tym wypadku się mylisz. To nie była fantazja, lecz reminiscencja, wspomnienie rzeczywistego zdarzenia. „Dokopałem” się wyjaśnienia tej sceny już po śmierci Baldera. Pierwszą akcją wojskowo-policyjną, w której brał udział, była pacyfikacja osiedla. Mieszkańcy podobno pomagali partyzantom... Spalono wtedy jakąś dziewczynę i scena ta wywarła widać silne wrażenie na Balderze. A potem w fantowizjach przybrała charakter obsesji.

Mówisz: sumienie? Chciał je w ten sposób zagłuszyć?... Kto wie, może istotnie coś z tego było. Ostrożnie jednak ze zbyt pochopnymi wnioskami. To nie było takie proste, jak ci się zdaje. Nie chodziło tu o śmierć jakiejś nieokreślonej młodej Murzynki. W każdej wizji widział przecież tysiące jeszcze straszliwszych scen. Ale pewnego razu nastąpiło coś zupełnie nieoczekiwanego. W kulminacyjnym momencie, kiedy ów porucznik podpalał barak, Balder usłyszał rozpaczliwy krzyk dziewczyny i nagle uświadomił sobie, że jest to głos... Nike. Wówczas po raz pierwszy ogarnął go strach, że tam, w płomieniach, ginie jego córka. Zapomniał zupełnie, że to tylko sztucznie wywołana halucynacja, i chciał rzucić się w ogień, ale oficer znów mu uratował życie — pochwycił go i nie puszczał tak długo, aż barak zawalił się.

Dopiero w tym momencie generał odzyskał panowanie nad sobą. Przerwał fantowizję, ale wspomnienie wstrząsającej sceny pozostało nadal żywe. Był tak zdenerwowany, że tej nocy zasnął dopiero po wzięciu proszków nasennych. Następnego dnia nie mógł wyzbyć się natrętnej myśli, że powinien podjąć próbę ponownego odtworzenia tej sceny, dla upewnienia się, iż podobieństwo głosu było tylko przypadkowe. Będzie świadomie kierował wizją tak, by

przebiegała zgodnie z jego życzeniami. Przecież wizja musi się podporządkować jego woli! W ten sposób zdobędzie spokój.

Ale Balder nie wziął pod uwagę jednego... Tak! Właśnie! Podświadomość! To, co zobaczył — bo wówczas już nie tylko usłyszał, ale i zobaczył — było dla niego tak strasznym wstrząsem, że nie wytrzymał nerwowo i przerwał seans. Jeszcze tego samego dnia wezwał naczelnego konstruktora i nakazał szczegółowo sprawdzić działanie aparatury. Wszystko było w porządku.

Wieczorem podjął jeszcze jedną próbę. Tym razem usiłował czynnie przeciwstawić się fantomowi. Ale ten był silniejszy. Gorzej — każda z kolejnych fantowizji stawała się okropniejsza.

Chcąc zagłuszyć wspomnienie, próbował wywoływać inne warianty wizji, starał się myśleć tylko o tym, co dawało mu kiedyś najwięcej zadowolenia, ale wszędzie gdziekolwiek ginęli ludzie — mieli oni twarze Nike Balder...

Seans zakończył się szokiem i załamaniem psychicznym. Wówczas właśnie wezwał mnie do siebie. Próbowałem, jak umiałem, wytłumaczyć przyczyny zjawiska. Mówiłem, że złudnikowe wizje są po prostu snami na jawie, swobodnym biegiem kojarzeń poddanym tylko w ograniczonym stopniu kontroli woli i programowaniu zewnętrznemu, że wszystko, co kiedykolwiek zostało zapisane w pamięci, może być wykorzystane jako tworzywo majaków. Ale on, mimo że przytakiwał, nie mógł się uspokoić. Zapisałem mu różne środki psychotoniczne, zaleciłem wyjazd, wypoczynek poprzez zmianę otoczenia, a przede wszystkim kategorycznie zabroniłem dalszych prób przekształcenia wizji.

Chodzi ci o ten głos? Nie łam sobie głowy. Wytłumaczenie jest zupełnie proste. Wypytywałem później szczegółowo Nike Balder o ów dzień, kiedy nastąpił pierwszy szok. Generał zapomniał zamknąć drzwi na klucz. W czasie seansu Nike weszła do gabinetu i zobaczyła ojca leżącego pod hełmem. Wydawało jej się, że zemdłał, i krzyknęła przerażona, a on począł wówczas wołać: „Nie, nie! Puść mnie! Precz!” Później bała się mu o tym powiedzieć...

Trzeciego dnia po mojej wizycie Balder zadzwonił do mnie osobiście. Powiedział, że zdecydował się posłuchać mojej rady i wyjeżdża na dłuższy wypoczynek. Wydawało się, że jest spokojny, pod koniec rozmowy zapytał jednak niespodziewanie, czy nie rozwiązałoby to problemu, gdyby on sam, w czasie wizji, zniszczył ten nieszczęsny fantom. Odpowiedziałem, żeby absolutnie nie ważył się kontynuować eksperymentów. Odrzekł, że mogę być o niego spokojny — żadnego głupstwa nie zrobi...

To była nasza ostatnia rozmowa.

Rano znaleziono go martwego pod hełmem złudnika. Aparat był włączony. Zgon nastąpił na skutek pęknięcia naczynia krwionośnego w mózgu. Ciekawe, że mniej więcej w tej samej okolicy na skórze czaszki można było stwierdzić zewnętrzne zmiany, jakby po silnym uderzeniu. Początkowo nawet podejrzewano morderstwo.

Fantom? Być może. Mnie się jednak wydaje, że Balder zrobił to, co zapowiedział, i udało mu się. Zabił tego porucznika...

Dlaczego zginął?

Nie rozumiesz? Przecież to był on sam!

ZWROTNICA CZASU

Niech pan tu sobie usiądzie — powiedział do niego pielęgniarz, a wręczając mu papiery, pochylił się nade mną i szepnął: — Proszę się nie bać. Spokojny!

Po raz pierwszy w życiu zostałem sam na sam z wariatem.

Było to podniecające i nieco przerażające, ale miałem wtedy dwadzieścia lat i we wszystkim doszukiwałem się przygody. A jakiej to innej przygody można oczekiwać, gdy się jest sekretarzem psychiatry? Szczerze mówiąc przyjąłem tę pracę, pierwszą w moim życiu, raczej z pobudek materialnych, licząc na to, że uda mi się dzięki niej pogodzić dopiero co rozpoczęte studia z trudnymi warunkami życia w powojennej Europie. Ja potrzebowałem pieniędzy, a profesor D., światowa znakomitość w dziedzinie rozwiązywania zagadek poplątanych mózgów, potrzebował kogoś do czuwania nad rozległą korespondencją i do porządkowania notatek. Zgłosiłem się więc i zostałem przyjęty. W ciągu pierwszych dwóch miesięcy nie miałem możliwości obserwowania pacjentów profesora. Dopiero teraz...

Spojrzałem spod oka. Młody człowiek, w moim wieku, zamyślony. Zerknąłem w papiery. Rozpoznanie po łacinie, imię, nazwisko... Rudolf Diesel. Diesel?

— Ma pan to samo nazwisko, co wynalazca silnika wysokoprężnego — powiedziałem.

Podniósł głowę i spojrzał na mnie tak, jak „gdyby dopiero w tej chwili mnie zobaczył.

— To nie jest sprawa tego samego nazwiska, ja jestem nim! — powiedział.

A więc mania wielkości! I oryginalna — ani Cezar, ani Napoleon, tylko właśnie Diesel. Chłopak z wyobraźnią, a nawiasem mówiąc, pewnie jakiś student, którego umysł nie wytrzymał trudów nauki i życia.

— Pan mi oczywiście nie wierzy...

Tak zaczął, a ja słuchałem jego opowiadania z coraz większym zainteresowaniem, zapominając, z kim mam do czynienia.

— Pan mi oczywiście nie wierzy... Patrzy pan na mnie i widzi swojego rówieśnika, który podaje się za dojrzałego człowieka zaginionego trzydzieści pięć lat temu. Tak... to było akurat trzydzieści pięć lat temu... Gdybym żył normalnie, miałbym teraz równo dziewięćdziesiąt lat. Wszystko się jednak potoczyło inaczej. Od tej wrześnie nocy, kiedy przepływałem przez kanał La Manche. W każdej książce dotyczącej historii techniki może pan sobie przeczytać: „wielki wynalazca znikł bez śladu w czasie swojej podróży do Anglii”. I tylko domysły — czy to było samobójstwo w wyniku katastrofy finansowej, czy zabójstwo z powodu zagrożenia czymś interesom. Pisano o mnie... Zapoznałem się zresztą z tym wszystkim dopiero w ostatnich tygodniach... To znaczy, w ostatnich tygodniach przed zatrzymaniem mnie tutaj — poprawił się i ciągnął dalej: — Istotnie zniknąłem z tego świata, ale w sposób zupełnie inny, aniżeli ktokolwiek mógłby sobie to wyobrazić wówczas, a nawet i dzisiaj. Cofnąłem się w przeszłość.

Jego ostatnie słowa skojarzyły mi się z wellsowskim wehikułem czasu. Czyżby to fantazja wielkiego pisarza doprowadziła tego chłopca do szaleństwa?

— Pan zapewne przypomina sobie powieść Wellsa — podjął, jak gdyby czytając w moich myślach — i sądzi, że korzystając z takiego fantastycznego pojazdu pogałem w przeszłość lub w przyszłość. Cenię Wellsa, ale wehikuł czasu może istnieć tylko w wyobraźni pisarza. Takie jest przynajmniej moje zdanie, a proszę mi wierzyć: zajmowałem się tymi sprawami bardziej niż ktokolwiek inny. Zresztą w owym okresie, po opublikowaniu przez młodego Einsteina teorii względności, istota czasu, treść tego pojęcia zajmowały niejednego fizyka. I dziwna rzecz, każdy

z nich rozpatrywał — teoretycznie, rzecz prosta — możliwość przesuwania się w czasie, wstecz i naprzód, zachowując jednak zawsze jeden niezmienny kierunek biegu czasu: w przyszłość. Ow wellsowski wehikuł, na temat którego zresztą niejedną raz, rozmawiałem z Herbertem, służył tylko do zajęcia odpowiedniej pozycji w czasie: przeszłym lub przyszłym; dalej wszystko toczy się miało normalnie, to znaczy, po dniu bieżącym przychodzić miał dzień następny i tak dalej. Z moich natomiast wyliczeń wynikało, że zbudowanie takiego wehikułu jest niemożliwe: nie można przyspieszyć biegu czasu, przeskakując w przód, ani też skoczyć sobie dowolnie w przeszłość. Owszem, można się dostać w przeszłość, ale tylko w jeden jedyny sposób: zmieniając kierunek biegu czasu.

Czytał pan zapewne o tym, że wpadłem w tarapaty finansowe — mówił dalej — i tak było w istocie. Wszystkie bowiem moje środki przeznaczałem na prace badawcze, które miały na celu skonstruowanie przyrządu służącego do odwrócenia biegu czasu, powtarzam raz jeszcze — nie wehikułu, raczej zwrotnicy czasu. Udało mi się w końcu zbudować generator wytwarzający pole czasu wstecznokierunkowego. Było to stosunkowo proste urządzenie zasilane energią elektryczną z akumulatorów, które ładowała prądnicą poruszana przyplływami i odpływami morza. W ten sposób przy odpowiednio solidnym wykonaniu całej aparatury można było liczyć na to, że nie dozorowana pracować będzie nawet przez kilkadziesiąt lat. Kilkadziesiąt lat! Dzień, godzina spędzona w polu czasu wstecznokierunkowego wystarczyłyby przecież, aby udowodnić słuszność moich założeń i prawidłowość działania skonstruowanej przeze mnie aparatury. Ale zafascynowała mnie możliwość kilkudziesięcioletniego jej działania. Oto trafiłem przecież na formułę Fausta, na receptę powrotu do młodości. Powinienem był się zastanowić, przemyśleć, poradzić... ale byłem zmęczony, znużony życiem. Cóż prostszego, i jak nastawić odpowiednio generator i zacząć żyć w przeciwnym kierunku, w kierunku młodości? Nie miałem sił, aby walczyć z tym pragnieniem, bo nie miałem sił walczyć z przeciwnościami świata. Owej nocy, pomiędzy dwudziestym dziewiątym a trzydziestym wrześniem tysiąc dziewięćset trzynastego roku, zaczęło się więc dla mnie nowe życie, życie wspak.

Umilkł, a ja wyciągnąłem papierośnicę, gestem zachęcając go do palenia. Odmówił.

— Nie, nie! Dziękuję. Jeszcze się nie przyzwyczailem, to znaczy: odzwyczailem się już od palenia. Zacząłem palić dopiero w dwudziestym piątym roku życia, oczywiście swojego pierwszego życia; cofając się w czasie, po dojściu do tego wieku, przestałem więc palić. Panu być może trudno to wszystko dokładnie zrozumieć, bo trudno sobie przecież wyobrazić życie w czasie wstecznokierunkowym, jeżeli przeżyło się już, normalnie, te dwadzieścia lat. To coś jak film, wyświetlany od końca do początku. Widział pan zapewne w kinie takie triki: pływak wyskakuje z basenu i staje na trampolinie na wysokości kilku metrów nad lustrem wody. Otóż każda godzina, każda minuta mojego nowego życia przypominała taki odwrócony film. W tym świecie dzień zaczynał się wieczorem, aby poprzez południe skończyć się rano. Chodziło się do tyłu, a mowa przypominała dźwięki, jakie się uzyskuje z... jakże się to nazywa?... z magnetofonu z założoną odwrotnie taśmą. Do stołu zasiadało się sytym, wstawało głodnym, za to na opróżnionych początkowo talerzach pozostawały gorące potrawy. Wszystko to w pierwszych godzinach tego życia bardzo mnie bawiło, potem zaczęło budzić przerażenie. Ale nie mogłem się już wycofać, nie było odwrotu. Generator nastawiony został na działanie do momentu uzyskania przeze mnie dwudziestego roku życia i musiałem to przeżyć w czasie wstecznokierunkowym, podobnie jak pan, bez względu na pańskie chęci, musi żyć w czasie, którego kierunek wiedzie w przyszłość. Wreszcie się do tego przyzwyczailem. Niech mi pan jednak wierzy: było mi trudno, bardzo trudno. Często marzyłem nawet o samobójstwie, ale to było dla mnie nieosiągalne. Moje życie było przecież determinowane, nie mogłem umrzeć w wieku, który już raz przeżyłem, tym bardziej że cofałem się w kierunku młodości. Dlatego też trudy tego bądź co bądź niezwykłego

życia nie tylko nie wyczerpywały mojego organizmu, lecz wręcz przeciwnie — z każdym rokiem czułem się lepiej, z każdym rokiem stawałem się coraz sprawniejszy fizycznie. Oczywiście od czasu do czasu także chorowałem, przy czym choroba rozpoczynała się od powolnej rekonwalescencji, kończyła się zaś gwałtownym pogorszeniem się samopoczucia, po czym nagle stawałem się zdrowy.

Zamyślił się. Najwyraźniej, jak wiele ludzi, odczuwał potrzebę zwierzenia się ze wszystkiego, trudność zaś sprawiała mu wypowiedzenie tego w sposób uporządkowany. Wreszcie podjął:

— Nie powiem, aby powrót sił fizycznych nie sprawiał mi radości. W ostatnich latach mojego pierwszego życia czułem się nieszczęśliwie; wytężona praca nadszarpnęła mój organizm. Musiałem, mówię oczywiście nadal o moim pierwszym życiu, więcej wypoczywać, co sprawiała mi przykrość. W czasie wstecznokierunkowym, po dojsciu do odpowiedniej kondycji fizycznej, znów zacząłem intensywnie pracować. Początkowo bardzo się z tego cieszyłem, szybko jednak zadowolenie ustąpiło miejsca rozgoryczeniu. Nie tylko przecież sama praca cieszy, lecz także i jej owoce; finis coronat opus — koniec wieńczy dzieło — jak mawiali Rzymianie. A tu dzieło „wieńczone” było początkiem. Najpierw przychodził sukces, uznanie, potem udane eksperymenty, później nieudolne próby, aż wreszcie żmudne wyliczenia i przemyślenia, z coraz mniejszym efektem, kończące się przeblyskiem nie skryształizowanej idei. Wszystko to przypominało nitkę Ariadny nawijaną powtórnie na kłębek przez Tezeusza. Szczególnie wiele sukcesów, w odwrotnej ma się rozumieć kolejności, przeżyłem tuż po znalezieniu się w polu czasu wsteczno—kierunkowego: zastosowanie silnika mojej konstrukcji do napędu lokomotywy i samochodu ciężarowego, w dwa lata później, to jest właściwie w dwa lata wcześniej, w roku tysiąc dziewięćset jedenastym — spuszczenie na wodę duńskiego motorowca „Zelandia” wyposażonego w silnik wysokoprężny, wreszcie uruchomienie i wybudowanie (właśnie w tej kolejności) poruszanej silnikiem wysokoprężnym maszyny elektrycznej, która zasilala prądem sieć tramwajów miejskich w Kijowie. Tak, pamiętam dokładnie koniec — to znaczy, według pańskiego biegu czasu, początek — tej budowy; było to w dziesięć lat po moim wstąpieniu w inny bieg czasu, w roku tysiąc dziewięćset trzecim. Dziesięć lat! Wie pan, o ile do codziennych czynności życiowych w odwróconej kolejności zdołałem już się przyzwyczaić, więcej — wydawały mi się one nawet całkowicie naturalne, o tyle powtarne przeżywanie powodzeń życiowych, które ulatywały bez śladu, ustępując miejsca ogromnemu wysiłkowi i napięciu psychicznemu, było dla mnie nieustającą torturą. Niech pan sobie wyobrazi: w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym dziewiątym roku jestem pięciokrotnym milionerem, w ciągu dwóch lat miliony topnieją z tą samą szybkością, z jaką gromadziły się w pierwszym życiu, a w roku tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym siódmym, po triumfie mojego wynalazku na wystawie monachijskiej, następuje pełne emocji wyczekiwanie na tę wystawę. Albo nieuchronne cofanie się, jeżeli chodzi o doskonałość techniczną: zasilanie silnika — odwrotnie niż w pierwszym życiu — najpierw dobrze się do tego nadająca ropą naftową, później zaś dopiero przejście do mojego pierwotnego pomysłu — zasilania go pyłem węglowym. I znowu to samo, na co się poprzednio skarżyłem: „niesłychana walka z głupotą i zawiścią, lenistwem i złością”, przeżywana teraz od końca do początku.

Męczyło go opowiadanie, czynił przerwy, zaciął się i zamyślał, jak gdyby wszystko to musiał przechodzić powtórnie, co mówię — po raz trzeci.

— I tak było coraz trudniej, coraz ciężej, coraz bardziej beznadziejnie. W pierwszym życiu dzień siedemnasty lutego tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego czwartego roku był dla mnie prawdziwym świętem: w tym dniu mój silnik pracował po raz pierwszy przez całą minutę. W czasie wstecznokierunkowym była to ostatnia minuta jego pracy. W grudniu tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego drugiego roku, oczywiście w czasie wstecznokierunkowym, musiałem

zwrócić patent uzyskany w pierwszym życiu. Jak potem stopniowo coraz mniej wyraźnie rysował mi się pomysł mojego silnika i co w związku z tym przeżywałem, może pan sobie wyobrazić.

Po raz pierwszy przerwałem tę osobliwą spowiedź pytaniem:

— Czy nie pamiętał pan tego, co już pan poprzednio wymyślił? Czy zapominał pan o tym w miarę upływu czasu? Jak więc wytłumaczyć to, że teraz wszystko pan pamięta?

Dopiero kiedy sam usłyszałem dźwięk moich słów, zdałem sobie sprawę z ich niestosowności. Ale on pokiwał tylko głową, jak gdyby dopatrując się w nich echa własnych myśli, i powiedział:

— Zapominałem? Można to i tak określić, chociaż nie odpowiada to istocie rzeczy. Miałem pamięć doskonałą, więcej nawet — miałem dwie różne pamięci: starą, z pierwszego życia, i nową, związaną z czasem wstecznokierunkowym. W miarę powrotu czasu — z pierwszej pamięci wymazywało się jak gdyby automatycznie wszystko to, co dotyczyło lat późniejszych, po prostu tak, jak gdybym tego w pierwszym życiu wcale nie przeżywał, jak gdybym nie uczył się i nie wynajdywał nowych rzeczy. A jednocześnie zapisywały się w tej drugiej pamięci, drugiej oczywiście w sensie jakiegoś rozdzielenia jej w organizmie, wszystkie zdarzenia przeżyte przeze mnie w życiu wstecznym. W rezultacie zdawałem sobie sprawę z tego, że byłem kiedyś wielkim wynalazcą, ale coraz mniej wiedziałem, na czym ten mój wynalazek polegał i jak mi się udało pokonać piętzące się trudności techniczne, i nie tylko techniczne. Mógłbym oczywiście wszystko zapisywać, gdyby nie to, że życie moje było, proszę nie zapominać, w pewnym sensie determinowane. W czasie wstecznokierunkowym mogłem robić tylko to, co robiłem już poprzednio, jakkolwiek nie zawsze sobie z tego zdawałem sprawę tak wyraźnie, jak teraz. Na przykład nie mogłem spotykać innych osób aniżeli te, z którymi już się kiedyś stykałem. Nawet owi statysci naszego życia, ludzie widziani przypadkowo w przypadkowych okolicznościach, byli dokładnie tymi samymi, co w pierwszym życiu.

— Znalazłszy się więc w polu czasu, jak go pan nazywa, wstecznokierunkowego, cofnął pan jednocześnie czas dużej liczby innych osób? A oni ze swej strony również uczynili to samo w stosunku do swoich współ—bliźnich. Czy nie powstaje z tego jakiś łańcuszek, który całą ludność świata, z wyjątkiem pustelników, zmusza do przeżywania w odwrotnej kolejności wszystkiego, co było jej udziałem? Ale jakoś nie zauważyłem, aby masowo pojawiali się u nas młodzi starcy sprzed pierwszej wojny światowej...

Powiedziałem to bez złej woli, nie chciałem mu dokuczyć, po prostu wyrzekłem to, co w danej chwili pomyślałem.

Ale on zdenerwował się wyraźnie.

— Tak, tego wszystkiego nie potrafię sobie wytłumaczyć. Faktem jest, że ludzie ci znaleźli swoje miejsce w moim drugim życiu, ale jednocześnie ich prawdziwe życie toczyło się normalnie, starzeli się i umierali jak wszyscy inni ludzie. Ich postacie w czasie wstecznokierunkowym były więc jak gdyby nierzeczywiste, istniały jak gdyby tylko przeze mnie.

— Przypomina mi to trochę filozofię Platona — zauważyłem.

— Nigdy nie byłem zbyt odczytany w filozofii — podjął — a szkoda. Doszedłem do przekonania, że jest ona w pewnym sensie kontynuacją fizyki, matematyki i szeregu jeszcze innych nauk, że po prostu sama interpretacja osiągnięć tych nauk jest filozofią. Ale powtarzam, nie znam się na niej. I dlatego nie potrafię wyjaśnić nawet tego, co sam przeżyłem. Kto wie, może istnieją — jednocześnie i obok siebie — dwa światy, a w każdym z nich panuje inny kierunek biegu czasu? I może w tamtym, innym świecie, w świecie dla nas wstecznokierunkowym, ludzie uważają, że żyją normalnie, dla siebie dorastają, starzeją się i umierają? A to, że ich doświadczenia dla mnie okazały się inne, jest wynikiem stopniowego unicestwienia, anihilacji życia, wtedy gdy nakładają się na siebie czasy dwóch przeciwnych kierunków? Więc może to szczęście dla nas, że czas i antyczas są od siebie oddzielone i że

żyjemy tylko w czasie jednokierunkowym?

— Pan w każdym razie osiągnął to, do czego pan dążył: młodość. Nie powinien więc pan chyba narzekać na czas wstecznokierunkowy — zauważyłem.

— Młodość! Tak, pragnąłem jej, osiągnąłem ją i zapłaciłem za nią tę samą cenę, co i Faust.

Ukrył twarz w dłoniach, a gdy znów na mnie spojrział, zobaczyłem w jego oczach wyraz niezmiernej goryczy.

— Jestem dwudziestoletnim utalentowanym młodzieńcem, z roku tysiąc osiemset siedemdziesiątego ósmego. Moja wiedza, moje obyczaje, wszystko odpowiada tej właśnie dacie — okresowi sprzed lat siedemdziesięciu. Mam teraz zaczynać od nowa? Wynaleźć raz jeszcze mój silnik, który już dawno wszystkim jest znany? Raz jeszcze pracować bez wytchnienia, aby w efekcie całego życia wyprowadzić wzory, które każdy mój rówieśnik bez trudu odnajdzie w pierwszym lepszym podręczniku? A może mam zaczynać studia od początku? Nie, to do niczego nie doprowadzi. I tak będę już niczym. Każdy z moich potencjalnych kolegów miałby nade mną przewagę tych siedmiu dziesiątków lat doświadczeń ludzkości. Muszę się uczyć wszystkiego, nawet tego, co oni nabyli nieświadomie we wczesnym dzieciństwie. Zadzieram głowę za samolotem, do widoku którego wy jesteście przyzwyczajeni; a gdy wy na dźwięk nazwisk Bohra i Fermiego podrywacie się z krzeseł, dla mnie te nazwiska nic nie znaczą. Czy pan wie, że dopiero teraz, przed kilkoma tygodniami, dowiedziałem się o dwóch wojnach światowych? Że pierwszy raz wzięłem do ręki książkę Hemingwaya? Ileż więc pracy musiałbym włożyć w to, aby uzyskać przynajmniej równy start!

Przełknął ślinę, jakby coś dławiło go w gardle.

— Ale nawet gdybym tego chciał, gdybym się na to zdecydował, skąd wziąć pieniądze? Skąd wziąć pieniądze na mieszkanie, utrzymanie, ubranie, na chesne, na podręczniki? Przecież nie mam majątku, nie mam posady — ba, cóż mógłbym robić, chyba pracować jako robotnik niewykwalifikowany! Nie mam już ani krewnych, ani przyjaciół, ani nawet znajomych, jestem człowiekiem bez nazwiska, gdyż nawet moje własne uważane jest za cudze. Z mojego wynalazku inni czerpią bogactwa, ja natomiast nie mogę uzyskać choćby drobnych sum na skromne utrzymanie. Któż uwierzy, że dwudziestoletni młodzieniec jest starym człowiekiem zaginionym przed kilkudziesięcioma laty?

— Ale czy nic, czy żadne zdarzenie z pańskiego życia nie zasługiwało na to, aby je przeżyć powtórnie? Czy nie ma pan jednego choćby wspomnienia, które by osładzało gorycz zawodu?

Zastanowił się. W tej chwili wszedł do pokoju profesor D. Rzucił okiem na wzburzonego młodzieńca, przejrzał pobieżnie papiery i, otwierając drzwi do swego gabinetu, rzekł:

— Pan pozwoli ze mną!

Młody człowiek wstał, ale zatrzymał się jeszcze przez chwilę przy moim biurku i powiedział powoli, wyraźnie:

— Będąc jeszcze studentem, napiłem się pewnego razu na wycieczce wody ze źródła. Była niewypowiedzianie chłodna i cudowna jak ambrozja. Z radością i ze wzruszeniem poczułem po raz drugi jej smak...

— Panie Diesel, proszę do gabinetu! — zawołał profesor.

Wyjrzał przez na pół otwarte drzwi i mrugnął do mnie porozumiewawczo.

RAPORT

Ponieważ prasa bardzo różnie oświetlała wydarzenia, które rozegrały się w Elbow Hills w zeszłym miesiącu, zostaliśmy upoważnieni do ogłoszenia raportu doktora Johna Brosta, kierownika Laboratorium Cybernetyki w Elbow Hills. Raport podajemy w formie skróconej i uproszczonej dla ułatwienia jego odbioru naszym czytelnikom.

Chciałbym na wstępie wspomnieć, że przykre wydarzenia, które zaszły w moim laboratorium, były Wywołane nie tylko przez cechy ludzi, którzy w nich uczestniczyli, ale w dużej mierze także przez akcję nieodpowiedzialnych urzędników jednego z naszych ministerstw. Ponieważ sprawa stała się głośna na cały świat, myślę, że moje dokładne sprawozdanie będzie przedyskutowane na sesji Międzynarodowego Zjazdu Cybernetyków w Genewie.

Piastując stanowisko profesora na wydziale automatyki w Wyższej Szkole Technicznej, równocześnie prowadziłem od sześciu lat badania w Laboratorium Cybernetyki w Elbow Hills. W ostatnim roku zrezygnowałem prawie zupełnie z pracy dydaktycznej, poświęcając się głównie pracy naukowej. Moimi współpracownikami byli: doktor Georg McCarr, doktor Louis Lehman i inżynier Elroy Bliss.

Georg McCarr, młody, trzydziestodwuletni mężczyzna o wysportowanej sylwetce i błyskotliwym umyśle, szybko doszedł do stopnia doktora i praca w moim laboratorium, jak mi się wydaje, dawała mu dużo satysfakcji, a wykłady w Wyższej Szkole dość duże dochody, chociaż zdarzało mu się często pożyczać od nas pieniądze. Był bezpośredni i miły, może tylko trochę zbyt lubił komenderować innymi.

Louis Lehman to człowiek, z którym pracowaliśmy niedługo, przyszedł bowiem do nas dopiero w zeszłym roku. Był człowiekiem pracowitym i dokładnym, trochę odludkiem, tylko wyjątkowo zdarzało się, by zaprosił nas dokądś lub przyjął czyjeś zaproszenie.

Elroy Bliss, chociaż nie miał jeszcze stopnia naukowego, jako umysł niewątpliwie wybitnie syntetyczny, wielokrotnie naprowadzał nas na właściwą drogę i zdobył sobie przez to duże uznanie i autorytet. Fakt, że od kilku lat kocha się w mojej córce, odbiera mi jednak prawo twierdzenia, iż mówię o nim obiektywnie.

Z takimi współpracownikami prowadziłem badania, kiedy w zeszłym miesiącu wydarzyły się te rzeczy tragiczne i niezwykle.

Pragnę teraz przedstawić genezę owych wypadków.

Jak wiadomo, już w latach sześćdziesiątych naszego stulecia zaczęto szeroko stosować modelowanie urządzeń, budując na przykład miniaturowe mosty czy samoloty, żeby zobaczyć, jak się zachowają w czasie burzy. Modelowano również metodą elektrycznego przedstawiania różnych procesów, w tym także i nieelektrycznych. Ponieważ elektroniczne maszyny do liczenia, zwane ówczesnie z dużą przesadą „mózgami elektronowymi”, rozwijały się szybko dzięki błyskawicznym postępom technologii, więc zainteresowałem się szerszym ich wykorzystaniem do modelowania. Zajmuję się tym już od kilkunastu lat i dochodzę do wniosku, że piękno moich matematycznych obiektów pozwala mi się czuć jak architektowi budującemu coraz to nowe wspaniałe gmachy. W związku z owymi pracami zwróciłem uwagę na zastosowaną przed kilkunastoma laty technologię budowy maszyn cyfrowych i automatów logicznych — metodę chemo—molekularną. Po wielu eksperymentach i badaniach okazało się, że nie zawsze można pokierować rozwojem „mikrostruktur w pożądanym kierunku. Procent braków przy produkcji

tych urządzeń był bardzo wysoki. Przy tak małych elementach, jak elementy chemoniczne, trudno właściwie mówić o produkcji; układ nieprzerwanie rośnie i właściwie proces można nazwać „hodowlą”. Mnie osobiście zainteresowało nie tyle produkowanie wciąż nowych układów chemonicznych, ile możliwości wykorzystania tych „nieudanych”. Badałem je różnymi sposobami, ale zachowywały się bardzo nieoczekiwanie. Powoli ogarniało mnie zniechęcenie i chciałem w ogóle skończyć z tą chemoniką, kiedy nagle któregoś dnia otrzymałem telefon z laboratorium.

Dzwonił Bliss.

— Profesorze, układ R-301, ten od lotników, mnoży macierze. Niech pan natychmiast przyjeżdża.

Byłem zaskoczony, bo chociaż mnożyć macierze potrafi najtępszy elektronowy robot, to R-301 był zbudowany w celu rozwiązywania równań różniczkowych i niczego więcej; była to maszyna specjalna, przeznaczona do sterowania samolotami.

Pojechałem natychmiast do laboratorium. Bliss nie żartował. Układ R-301 rzeczywiście mnożył macierze i uparł się widocznie, żeby nie robić nic innego. Po dłuższej analizie okazało się, że układ „rósł” w trochę innych warunkach niż pozostałe i blok zadań, część sterująca maszyną, ukształtował się niewłaściwie. To nam dodało odwagi i postanowiliśmy sami wytwarzać struktury chemoniczne.

Zajmowaliśmy się tym z Blissem przez pięć lat. Na zamówienie wielu firm nasze laboratorium modelowało najróżniejsze, procesy na chemonicznych modelach. Większe modele chemoniczne nazywaliśmy „symulatorami”. Hodowaliśmy je w naszym laboratorium sami i po podłączeniu translatora, urządzenia do przekładu procesów w symulatorze, mogliśmy wprowadzić zadania i obserwować przebieg rozwiązań. Wtedy już pracowaliśmy we czwórkę, bo przyszedł Lehman. Poświęciliśmy się hodowaniu coraz to większych symulatorów, aby modelować coraz bardziej złożone procesy, zaczęliśmy pracę nad modelowaniem żywych komórek z coraz większą dokładnością. W końcu wyhodowaliśmy symulator, który nazwaliśmy S.C.-32. Był to nasz już trzydziesty drugi symulator i naprawdę wypadł imponująco. Hodowaliśmy go kilka miesięcy. Urządzenie „wyrosło” ogromnie pojemne i skomplikowane.

Oczywiście nikt już od lat nie marzy nawet o tym, by znać tak zwany schemat modelu. Już dawno straciliśmy kontrolę nad takimi drobiazgami. Mogliśmy co najwyżej znać program ogólny symulatora, to znaczy jego możliwości, a właściwie tendencje przy wykonywaniu zadań. Rzeczywiście dość dobrze znaliśmy tylko kilka obwodów do podłączenia translatora. Zgaliśmy translator z symulatorem i włączyliśmy rejestrator działań, aby nie zgubić się w czasie pracy w gąszczu wyrzucanych z translatora informacji. Oprócz tego rejestrator zapisywał kolejność naszych eksperymentów.

Ponieważ model był wyjątkowo duży, zajmował — mimo swej molekularnej chemostruktury — kilka olbrzymich sal, zdecydowałem się podjąć eksperyment, o którym marzyłem od lat. Przedstawiwszy ten projekt swoim współpracownikom, poprosiłem, aby raczej zrezygnowali ze współpracy, jeśli nie mogą się zobowiązać do zachowania pełnej dyskrecji w tej sprawie. Chciałem przede wszystkim uniknąć ataków innych środowisk uniwersyteckich, a zwłaszcza jednego ze znanych profesorów, zagorzałego przeciwnika „nieopłacalnych” eksperymentów.

Zdecydowaliśmy się na zadanie symulatorowi warunków początkowych odpowiadających matematycznie warunkom rzeczywistym istniejącym na Ziemi w czasie powstawania życia.

Po wstępnych opracowaniach — dokładnie siedem miesięcy temu, rano — daliśmy translatorowi zadanie: „Przyjąć całą informację Światowej Biblioteki Naukowej na temat warunków powstawania życia na Ziemi jako warunki początkowe do procesu symulacji”.

W ciągu kilku godzin informacja została wprowadzona i od tej chwili staliśmy się biernymi

obserwatorami eksperymentu. Łączność z modelem mieliśmy tylko poprzez translator. Olbrzymia ilość informacji cyfrowej przebiegającej w symulatorze i ogromna prędkość jej przepływu wymagała skomplikowanych i szybkich działań, aby przełożyć tę jej część, która docierała do translatora, na język ludzki, zrozumiały dla nas. Translator nie miał łączności ze wszystkimi częściami symulatora, zbierał tylko informację graniczną. Niemniej jednak główne procesy udawało nam się obserwować.

Byliśmy bardzo podnieceni. McCarr snuł wielkie marzenia o sławie i pieniądzach, które nas czekają, jeśli uda nam się stworzyć model życia. Bliss i ja spędzaliśmy długie godziny nad sprawozdaniami translatora, wielokrotnie je analizując. Nie myśleliśmy o pieniądzach, naszym marzeniem było wyłącznie owo stworzenie modelu ewolucji gatunków.

Jedynie Lehman zachowywał całkowity spokój i zimną krew, powtarzając:

— Nie krzyczcie: hop, jeszcze nic nie mamy.

Miał wtedy rację. Okazało się, że procesy w symulatorze, zainicjowane warunkami początkowymi, po jakimś czasie nieodmiennie zamierały. Procesy w symulatorze chemicznym biegały kilkanaście milionów razy szybciej niż w naszej skali ziemskiej i dlatego już po dwóch, trzech dniach, badając translogramy, stwierdziliśmy, że nic się nie dzieje. Włączyliśmy więc na nowo informację z biblioteki i zaczęliśmy eksperyment od nowa.

Tak to trwało przez kilka miesięcy. Największy entuzjasta, ale trochę i „słomiany ogień”, McCarr, zaczął rezygnować. Robił kilkudniowe wypadki do miasta, rzucając w kąć pracę. Muszę przyznać, że podziwiałem wtedy Lehmana. Był stale czynny, zdawało się, że jest pewny sukcesu. Bliss i ja także pracowaliśmy dalej, ale ja powoli zacząłem tracić cierpliwość i nadzieję. Myślałem już o tym, żeby zrezygnować z doświadczeń.

Podjęliśmy jednak jeszcze jedną, kolejną próbę. Włączony układ pracował w zupełnej ciszy, tylko głośniki podłączone do obwodów translatora mruczały niskim basem, sygnalizując, że translator tłumaczy przebiegi w symulatorze. Siedziałem spokojnie, rozmyślając o dalszych pracach, które podejmiemy po zakończeniu tych nieudanych badań. Rozmyślania moje przerwał telefon od McCarra z dyspozytorni informacyjnej.

— Otrzymałem meldunek z biblioteki, że były poważne błędy w przekazanej nam informacji. Najmieszniejsze jest to, że nie mogą poprawić, bo nie wiedzą, jakie były te błędy. Nawaliło im łącze kablowe. Proponują powtórzenie całego seansu.

Zrezygowany odparłem:

— Zostaw to i chodź do nas, na dzisiaj dosyć tej zabawy.

Kiedy McCarr wrócił i chcieliśmy iść do domu, wtrącił się niespodziewanie Lehman:

— W żadnym wypadku! Ja nie rezygnuję! Bardzo was proszę, spróbujmy jeszcze raz.

Naszą dyskusję na ten temat przerwał nagle Bliss, który od dłuższej chwili milczał, wyraźnie nad czymś się zastanawiając.

— A dlaczego właściwie trzymamy się tej nieszczęsnej biblioteki? Czy nie możemy wziąć informacji z innego źródła?

Podszedł, żeby wyłączyć translator, ale w ostatniej chwili zatrzymałem go.

— Zostaw, Bliss. Rozumiesz? Om przesłali nam warunki z przekłamaniami, spróbujmy więc właśnie tak.

Zrozumieli mnie. Nie wyłączwszy maszyny, poszliśmy do domu.

Następnego dnia rano przyszedłem wcześniej niż zwykle do laboratorium, ale tu okazało się, że nie tylko ja byłem ciekawy, co dała wczorajsza próba. Przed bramą czekał już Lehman. Weszliśmy razem do hali. Tak, to był bardzo gorący dzień. Z translatora otrzymaliśmy krótki, ale pierwszy tego rodzaju raport: PROCES SIĘ ROZWIJA.

Byliśmy głęboko poruszeni. To przekłamania transmisji informacyjnej sprawiły, że warunki

początkowe pozwoliły procesowi na rozwój. Zawiedzeni byliśmy ogromnie, że nie możemy odtworzyć obrazu przekłamań. Zadzwoiłem jeszcze do biblioteki:

— Czy ustaliliście wczorajsze przekłamania?

Otrzymałem odpowiedź, jakiej się spodziewaliśmy.

— Niestety, profesorze, to się nie da zrobić, ale możemy wam w każdej chwili powtórzyć całą transmisję.

— Nie, dziękuję. A za wasze błędy macie u mnie dobry koniak.

Nie dałem im ochłonąć i odłożyłem słuchawkę.

Trochę później przyszli do pracy McCarr i Bliss. Ich także zaskoczyło i przejęło to, co działo się w laboratorium. Zebrałem wszystkich i przypomniałem o konieczności utrzymania absolutnej dyskrecji. Zażądałem także, aby przez kilka dni nikt nie opuszczał terenu laboratorium. Przyjęli to bez protestów.

Z niecierpliwością oczekiwaliśmy następnego dnia. Tym razem to ja zjawiłem się ostatni przed salami, w których znajdował się S.C.–32. Moi współpracownicy już na mnie czekali. Dzień był wyjątkowo pochmurny i mglisty, pogoda raczej nastrojała do snu niż do pracy. Wszedłem do wnętrza i zwijałem właśnie parasol, kiedy Lehman dobiegł do translatora, oddał translogram i głośno przeczytał:

— POWSTAŁY ODRĘBNE OBIEKTY, KTÓRYCH POSTĘPOWANIA NIE MOŻNA Z GÓRY OCENIĆ.

Zrozumieliśmy wtedy nagle, że eksperyment chyba trudniej będzie zakończyć, niż udało się go zacząć. Cały dzień nie odchodziłszy od translatora i już wieczorem odczytaliśmy na translogramie: POWSTAJĄ RÓŻNE RODZAJE ŻYWYCH ISTOT, KTÓRE NISZCZĄ SIĘ WZAJEMNIE.

Eksperyment stawał się coraz poważniejszy. Po pracy zaprosiłem wszystkich do swego gabinetu na herbatę. Nie było Lehmana. Bliss dzwonił po niego, ale nigdzie nie mógł go znaleźć. Siedzieliśmy i myśleliśmy głośno, co dalej robić. McCarr zwrócił naszą uwagę na fakt, że przy szybkości pracy symulatora — kilkanaście milionów razy większej niż szybkość rozwoju życia na Ziemi — to nowo powstałe życie, jeśli się będzie rozwijać dalej, stanie się kopalnią wiedzy o rozwoju świata. Potwierdziłem wagę tych wiadomości dodając, że przebieg eksperymentu możemy utrwalić w pamięci rejestratora. McCarr nie podzielał mego zdania, pokrywając sprzeciw twierdzeniem, że nikt i tak nam nie uwierzy.

W czasie tej rozmowy przyszedł Lehman, bardzo przeprosił za spóźnienie i wytłumaczył swą nieobecność pilnym telegramem od siostry, z którą musiał się natychmiast skontaktować przez pocztę. Wtedy mu uwierzyłem, ale stwierdziłem stanowczo, że takie sytuacje nie mogą się więcej powtórzyć i że jeśli ktoś samowolnie opuści laboratorium, będzie wykluczony z eksperymentu.

Rozmowa nasza nabierała coraz ostrzejszych akcentów, zaczęły się uzewnętrzniać głębsze różnice charakterów.

McCarr w pewnej chwili powiedział:

— A co nam to da, że ogłosimy rezultaty eksperymentu? Trochę naukowej sławy? Gwizdź na to. Znajdziemy sobie na pewno jakąś firmę lub instytucję, która nam za eksperyment zapłaci grube miliony. Wtedy to wszystko będzie miało jakiś sens...

Tu wtrącił się Lehman:

— Protestuję! Jedyna organizacja, którą możemy zawiadomić, to Ministerstwo Obrony. Nieznośna jest dla mnie myśl, że wetkniemy takie osiągnięcie wrogom, ogłaszając je publicznie zaśniedziałym mędrcom w Genewie, w Towarzystwie Cybernetyki, lub sprzedając prywatnym firmom, między którymi wspaniale rozkwita szpiegostwo przemysłowe.

Przerwałem ten spór.

— Panowie, bardzo was przepraszam, ale to ja prowadzę eksperyment i zrobię to, co zechcę. Rezultaty eksperymentu zostaną ogłoszone. Jeśli to komuś nie odpowiada, może w każdej chwili odejść.

Nikt oczywiście nie odszedł, ale nastrój tego wieczoru był kwaśny i wszyscy byliśmy zdenerwowani.

Następnego dnia rano przyszedłem godzinę wcześniej. Przed gmachem czekał już Lehman.

— To i pan nie może spać, profesorze?

Widać było, że głęboko przeżywa nasze doświadczenie. Mój wczorajszy zły nastrój przysł.

Nic nowego nie zastaliśmy. Tekst translogramu był podobny do wczorajszego.

Dzień ten zszedł monotonna i dopiero wieczorem translator, który przełączyliśmy na głośniki, przerwał nam naszą drzemkę.

ŻYWE ISTOTY KOMPLIKUJĄ SWOJE POSTĘPOWANIE. STAJE SIĘ TO ZROZUMIAŁE TYLKO Z PUNKTU WIDZENIA WALKI O WYBÓR LEPSZYCH WARUNKÓW ISTNIENIA.

Kilka następnych dni nie przyniosło nic nowego, jeżeli chodzi o eksperyment, ale w naszej małej grupie stosunki stawały się coraz bardziej napięte. Bliss zauważył, że McCarr robi kopie translogramów. Powiedziałem McCarrowi, co o tym myślę.

— Nie zniosę żadnych machinacji.

Zabraliśmy mu kopie, zresztą niepełne, i zniszczyliśmy.

I wreszcie nowa sensacja! Translator przekazał nam szeroką informację o tym, że pewien rodzaj żywych istot dominuje w środowisku i zachowuje się podobnie jak ludzie na wczesnym etapie rozwoju. Nie wierzyliśmy własnym oczom. Powtórzyliśmy translogram, ale wynik był ten sam. Zrozumieliśmy, że nasze domysły się sprawdziły i że rzeczywiście rozwija się przy nas nowe życie. Zrozumieliśmy, że oni mają swój własny, chemiczny świat i że rozwijają się bardzo szybko. Przerażliwie szybko, kilkanaście milionów razy szybciej niż my. Już wcześniej domyślałem się, czym to może grozić, teraz zacząłem naprawdę bać się skutków mego eksperymentu. Ale było już za późno, aby przerwać doświadczenia.

Dzień później wiedzieliśmy, że zaczęli się osiedlać w określonych miejscach, że tworzą grupy, że walczą między sobą.

W nocy nie spałem wcale, szukałem drogi wyjścia.

Następnego dnia rano przyszedł do mnie Lehman i powiedział, że wczoraj wieczorem ktoś do niego strzelał. Pokazał mi bandaż na lewej ręce. Wiadomo było, że strzelał któryś z pozostałych, podejrzewałem McCarra, jednakże pewności nie miałem. Zgodziłem się, żeby Lehman kupił pistolet do obrony. Był stanowczo przeciwny zawiadomieniu policji. I ja też nie chciałem wprowadzać policji w nasze sprawy. Każda wizyta władz musiałaby pociągnąć za sobą wyjaśnienie wagi eksperymentu, jego charakteru. Lehman zaproponował, żebyśmy na kilka dni zamieszkali obok pomieszczeń S.C.-32, co wydało mi się rozsądną propozycją.

O spokoju nie było już teraz mowy. Każdy dzień przynosił masę niezwyklej informacji. Po kilku wspólnych całonocnych dyżurach wiedzieliśmy, że znają już proch i prowadzą wojny.

Nieufność między nami ciągle nabrzmiewała. W miarę jak rozwijał się eksperyment, zaczynaliśmy coraz bardziej tracić opanowanie.

Któregoś wieczoru McCarr wybuchnął:

— Czy wy nie rozumiecie, że oni już za kilka dni przegonią nas w rozwoju? Czy nie rozumiecie, jakie to przed nami otwiera perspektywy?

Oczywiście zrozumieliśmy. Można mieć wynalazki, o których nam się nie śniło, możemy pchnąć świat o tysiące lat naprzód. Ale rozumiałem także dobrze, co to oznacza — dać ludziom nie przygotowanym środki techniczne, środki wyprzedzające ich rozwój o tysiące lat. Byłem już

jednak zupełnie bezradny wobec sił, które rozpętałyśmy.

Tej nocy obudził nas brzęczyk translatora. Poderwaliśmy się i podbiegliśmy do urządzenia. Translator przekazywał wiadomość, że odkryli już równanie Einsteina i przeprowadzają wybuchy próbne broni atomowych i termojądrowych o sile do tysięcy megaton. Translator podał opisy doświadczeń i długie kolumny równań. Ponura prawidłowość rozwoju istot myślących wiodła i ich po brzegu przepaści, pod nieustanną groźbą katastrofy. Informacja ta upewniła nas w przekonaniu, że niedługo nie będziemy już w stanie zrozumieć raportów translatora. Zdecydowaliśmy się sprawdzić równania w Instytucie Energii Nuklearnej. Rano przesłaliśmy równania do Instytutu, z zapytaniem, czy rzeczywiście można budować w taki sposób bomby o sile rzędu tysięcy megaton. Po dwóch godzinach otrzymaliśmy odpowiedź:

„Rewelacja! Natychmiast zawiadamiamy Ministerstwo Obrony, odkryliście fantastycznie prostą metodę otrzymywania dużych energii. Zobowiązujemy was do absolutnej tajemnicy. Od tej chwili sprawę przejmie Ministerstwo”.

Jedenastego listopada była jakaś awaria translatora. Zaciął się na kilka sekund i zapaliła się lampka awaryjna. Następowały jakieś błędy na styku translatora i symulatora. Bliss jednak nie znalazł błędu, wymienił tylko kilka układów rezerwowych. Doszliśmy do wniosku, że było to jakieś miejscowe przegrzanie się aparatury. Tego dnia McCarr i Lehman zaczęli tracić resztki opanowania. W ostatniej chwili udało mi się zlikwidować próbę podwyższenia częstotliwości pracy symulatora. Wiedziałem, że trzeba pilnować obu, by nie narobili głupstw. Chcieli koniecznie zawładnąć nie swoimi wynalazkami do własnych celów.

Przechodząc do opisu wypadków, które zaszły dwudziestego dziewiątego listopada, chciałbym podkreślić, że zrobiłem wszystko, by utrzymać swoich współpracowników w ramach zwykłej obywatelskiej uczciwości. I jeśli mi się to nie udało, jest to także wina osób, które zza kulis działały w interesie określonych kół.

Tego dnia, około godziny dwudziestej trzeciej, znów dzwonek translatora poderwał nas na równe nogi. Translator zaczął drukować. Wszyscy rzucili się do niego, ale krzyknąłem, żeby się zatrzymali. Chciałem Podejść najpierw z Blissem, bo tylko on zachował resztki opanowania. Jednakże McCarr nie zatrzymał się, dopadł pierwszy translatora, oderwał translogram i ruszył biegiem do wyjścia. Puściłem się za nim, ale nagle usłyszałem głośny okrzyk Lehmana:

— Stać, profesorze, niech się pan natychmiast zatrzyma!

Instynktownie zwoleńłem kroku i obejrzałem się. Zobaczyłem Lehmana z pistoletem w dłoni. Rozległy się dwa strzały. McCarr, który był już przy końcu sali, zatrzymał się, schylił i ciężko zwałił się na podłogę, nie wypuszczając z rąk translogramu. Kiedy podbiegłem do niego, nie żył. Mój okrzyk: — Lehman, pan jest mordercą, ohydny mordercą! — Lehman skwitował wymierzeniem w nas pistoletu i oświadczeniem, że działa na polecenie Ministerstwa Obrony, wykonuje dokładnie instrukcje, i że do momentu przybycia urzędników ministerstwa nie wolno nam się ruszać z miejsca.

Teraz dopiero zrozumiałem, dlaczego Lehman „kontaktował się z siostrą” i dlaczego „ktoś do niego strzelał”.

Wiedziałem, że muszę coś zrobić, by symulator z translatoem nie dostał się w nieodpowiednie ręce, ale nic nie mogłem wymyślić. W pewnym momencie usłyszałem cichy trzask wyłącznika. Spojrzałem z wdzięcznością na Bliss. To naprawdę dzielny chłopak. Wykorzystał chwilę nieuwagi Lehmana, kiedy do laboratorium wchodzili oficerowie kontrwywiadu, i przekręcił wyłącznik translatora.

Od tej chwili łączność z translatoem była raz na zawsze zerwana, mimo że procesy w symulatorze biegnęły dalej. Już nigdy nie dowiemy się, co się dzieje w tym dziwnym chemiczno-matematycznym świecie.

Lehman nie zauważył momentu wyłączenia translatora przez Blissę i łatwo było podsunąć mu myśl, że zrobił to jeszcze McCarr przy oderwaniu translogramu. Oficerowie zabezpieczyli laboratorium, a nas zabrali ze sobą do stolicy w celu wyjaśnienia ostatniej informacji z symulatora.

Najcięższe chwile, jak się okazało, wypadło mi dopiero przeżyć. W ostatnim bowiem translogramie była wiadomość o stworzeniu stymulatora rozpadu materii, całej materii na energię elektromagnetyczną. W nieodpowiedzialnych rękach byłby to potworny oręż szantażu i wymuszenia, bo proces rozpadu, raz rozpoczęty, mógł zamienić ogromne przestrzenie w piekło promieniowania o olbrzymiej energii. Byłem tak przygnębiony, że nawet konieczność współdziałania w wyjaśnianiu wszystkich szczegółów translogramu oraz zagrożenie sądem wojskowym w wypadku niezachowania tajemnicy — nie potrafiły mnie wzburzyć. To samo dotyczyło Blissę. Musieliśmy sami, w Centrum Obliczeniowym Instytutu Energii Nuklearnej, przeprowadzić badanie ogromnie skomplikowanych równań wyjściowych i przeprowadzić ich rozwiązanie. Obliczenia powtarzano i sprawdzano wiele razy. Pragnę z zadowoleniem stwierdzić, że same równania były pisane za pomocą nowo przez nas poznanej — właśnie na ich podstawie — dziedziny matematyki i że były one ułożone prawidłowo. Maszyny obliczeniowe Instytutu Energii Nuklearnej działały bezbłędnie.

A mimo wszystko stworzenie stymulatora rozpadu materii okazało się niemożliwe. Tak jest. W rozwiązaniach równań był zrobiony celowy błąd! Te równania nie mogły i nie mogą dać rozwiązania podanego przez translator.

Teraz wreszcie zrozumiałem także awarię translatora. Od czasu tej awarii translator nie przekazywał już obiektywnej informacji z symulatora, translator był sterowany!

Jak o n i to zrobili, nie wiem. Ale wtedy już o nas wiedzieli dużo, możliwe, że więcej niż my sami. Informacją o stymulatorze rozpadu materii celowo sprowokowali nas do wyłączenia translatora. Doszli widocznie do wniosku, że nie powinniśmy o n i c h więcej wiedzieć, że nie potrafimy wykorzystać ogromu wiedzy przez nich zdobytej. Niestety, mieli rację.

Muszę na zakończenie stwierdzić, że eksperyment jest niepowtarzalny i że już nigdy nie uda nam się nawiązać kontaktu z tą wspaniałą cywilizacją.

Dr John Bros

WIECZORNE NIEBO

— Dobry wieczór!

Pani Ferguson drgnęła i podniosła oczy znad robótki.

— Ach, to pani. Proszę, niech pani usiądzie. Mamy dziś piękny wieczór, prawda?

— O, tak — powiedziała pani Pheltie. Usiadła na krześle naprzeciw pani Ferguson.

— Pani ma przynajmniej zajęcie — westchnęła. — Nigdy nie potrafiłam nauczyć się robić na drutach. Mąż i Johnny wyjechali przed wieczorem, jestem sama w domu. To dziwne, ale już od roku nie pamiętam, żeby mąż był w domu wieczorem.

Pani Ferguson uniosła brwi do góry.

— On i Johnny — wyjaśniła śpiesznie pani Pheltie. — Odkąd ma nowy wóz, zawsze wieczorami wozi Johnny`ego do miasta. W dzień, oczywiście, nie ma czasu.

— Tak — powiedziała pani Ferguson.

— Zresztą, dawniej było tyle roboty — kontynuowała pani Pheltie. — A teraz, cóż, automaty. Wszystko robi się samo, można by pomyśleć, że te maszyny są żywe. Wystarczy powiedzieć jedno słowo. Po prostu wierzyć się nie chce. Dwa lata temu nawet nie pomyślałabym, że coś takiego jest możliwe.

Pani Ferguson milczała.

— Uważam, że rząd zrobił bardzo mądrze, że dogadał się wreszcie z Uranidami — rzekła pani Pheltie. — Mówiono o Nich tyle bzdur, a okazuje się, że nie są wcale straszni. Jeżeli chcą sprzedawać nam maszyny, tym lepiej dla nas. Cóż znaczy, że nie my produkujemy te rzeczy? Przecież płaci się Im nie złotem, ale zwyczajnym węglem.

— Właśnie — powiedziała pani Ferguson.

— Gdyby takie roboty były naszej produkcji, kosztowałyby sto razy więcej, nieprawdaż? Albo samochody; teraz kosztują tylko sto dolarów. I to jakie samochody! Mój mąż powiada, że jeżdżą po prostu same. Nawet w nocy.

Pani Ferguson spojrzała w okno.

— Mój mąż powinien już wrócić — powiedziała. — Nie mam pojęcia, co go zatrzymało. Miał wrócić przed ósmą. Och, niech pani popatrzy, pani Pheltie. Znowu Oni. Te okropne latające talerze.

— Coraz ich więcej — rzekła pani Pheltie. — Prawda?

Pani Ferguson przyznała, że tak.

— Kiedyś, kilka lat temu, widziałam latający talerz — rzekła pani Pheltie — ale nikt nie chciał w to wierzyć. A teraz nie ma nocy, by nie pokazały się na niebie. Od czasu podpisania umowy.

— Kiedy je widzę — rzekła pani Ferguson — mam takie dziwne uczucie.

— Ja również — podchwyciła pani Pheltie. — Oni ciągle na nas patrzą. Jak gdyby nas obserwowali. Nie można wyjść na ulicę wieczorem, żeby kilka tych świateł nie zawisło nad tobą. Oni są wszędzie. Chyba tylko pod ziemią moim się przed nimi ukryć. Ale po co?

— Na szczęście nie trzeba — powiedziała pani Ferguson.

Chwila milczenia.

— Jakie to dziwne — powiedziała pani Pheltie.

— Co takiego? — ocknęła się pani Ferguson.

— No, Oni, Uranidzi.

— Niedawno były Ich fotografie. W „Life”. Wyglądają po prostu okropnie.

— Johnny się Nimi bardzo interesuje — z dumą oznajmiła pani Pheltie. — Przyniósł do domu książkę „Uranidzi” i musiałam ją całą przeczytać. Ale w ogóle niewiele o Nich wiadomo.

— Skąd Oni przylecieli?

— Nie wiem — powiedziała pani Pheltie niepewnie. — Johnny mówi, że z jakiejś gwiazdy. Z daleka.

Pani Ferguson wzdrygnęła się.

— Te Ich macki. Wyglądają niesamowicie. Nie mogę przyzwyczaić się do myśli, że Oni są ludźmi.

— Ba — powiedziała pani Pheltie. — Są znacznie mądrzejsi od ludzi.

— No, tak. Oczywiście.

— Ich maszyny są niezwykle — przyznała pani Pheltie. Johnny zaglądał do silnika samochodu, zresztą wbrew instrukcji, i mówi, że tam są zupełnie inne urządzenia. Niczego nie mógł zrozumieć. Gdy dotknął jednej rurki, oparzył sobie palec.

Pani Ferguson ożywiła się.

— Albo Pomocnicy — rzekła. — Te Ich najnowsze automaty, po piętnaście dolarów. Umieją prawie wszystko i są bardzo inteligentne. Nigdy nie miałam tak pojętej służącej. Ale ich wygląd! Jak ogromne kraby. Myślę, że mogliby wyprodukować model podobniejszy do człowieka.

— Ale kupiła pani?

— Tak. To przecież naprawdę niedrogie.

— Ja również.

Po chwili milczenia odezwała się pani Pheltie:

— Niedawno zamknięto fabrykę w Monthrole. Mój kuzyn Slick pracował w tej fabryce. Dostaje teraz od rządu dwieście pięćdziesiąt dolarów miesięcznie. To całkiem ładna sumka, ale gdyby był zwykłym robotnikiem, miałby tylko sto pięćdziesiąt dolarów.

— To także wystarczy.

— No, owszem.

— Trudno — rzekła pani Ferguson. — Muszą zamykać fabryki. Kto będzie kupował nasze wyroby? Nawet Ameryka Łacińska nie zechce, odkąd już tam jest misja Uranidów.

— Mąż mówi, że tylko przemysł zbrojeniowy pracuje normalnie.

— Och — rzekła pani Ferguson. — Jak zwykle.

— Ale Uranidzi nie chcą nam sprzedawać broni. Ja myślę, że to dobrze, ale mój kuzyn George upiera się, że Ziemia przez to nie jest Ich równym partnerem. Uważa, że to niesprawiedliwe z Ich strony.

— On jest pułkownikiem, prawda?

— Tak.

Znowu zapadło milczenie. Pani Ferguson wydawała się całkowicie zaabsorbowana robotą na drutach. Na korytarzu rozległ się odgłos stąpania.

— Kto to?

— Och, nikt — powiedziała pani Ferguson. — Pomocnik. Czasami włóczy się po różnych miejscach, kiedy nie ma nic do roboty. Wydaje się, że jest ciekawy. Zupełnie jak żywy.

— To niesamowite — rzekła pani Pheltie. — U mnie jest zupełnie tak samo. Automatyczne lodówki włóczą się po domu. Pomocnik manipuluje radiem. Samochód sam jeździ dokoła podwórza. Nigdy nie można przewidzieć, co im przyjdzie na myśl. Gdyby nie to, że są takie pożyteczne...

— Właśnie.

Stapanie oddaliło się w stronę drzwi. Szczęknął zamek i drzwi się zatrzasnęły.

— Johnny mówił — odezwała się pani Pheltie — że Uranidzi mieli współpracować z naszymi uczonymi. Ale uczeni nie potrafili Ich zrozumieć. Podobno trzeba uczyć się przez tysiąc lat, żeby dać sobie radę z Ich nauką.

— Po co?

— Właśnie. Przecież i tak dostajemy, czego nam trzeba. Ale uczeni są już tacy, rozumie pani.

— Mniejsza o to — powiedziała pani Ferguson.

Pani Pheltie stłumiła ziewnięcie.

— Telewizja jest coraz gorsza.

— O tak. Okropny program. Same rakiety i meteory, aż strach patrzeć. A do tego te okropne zakłócenia.

— To niezupełnie zakłócenia — wtrąciła pani Pheltie. — Johnny twierdzi, że to robią Uranidzi. Może jest to po prostu Ich telewizja.

— Wczoraj to samo było z radiem. Przez trzy godziny nie można było słuchać.

Pani Pheltie niespokojnie poruszyła się na krześle.

— George...

— Cóż George?

Pani Pheltie zdecydowała się:

— Był wczoraj wściekły. Mówił, że Uranidzi dezor... że dezorganizują system obronny kraju przez te zakłócenia. Baza w Compton nie mogła pracować przez trzy godziny. George powiedział, że gdyby ktoś wtedy zaatakował, to by był koniec.

— Okropne — powiedziała pani Ferguson. — Znow latające talerze. Ileż ich jest? Nigdy nie widziałam tylu naraz.

— Dziwne.

— Na pewno — dość niecierpliwie powiedziała pani Ferguson.

— Nie to miałam na myśli — godnie rzekła pani Pheltie. — Przez cały czas nie widziałam żadnego samochodu na autostradzie. Dopiero teraz przyszło mi to do głowy. Zwykle jest ich mnóstwo, szczególnie wieczorem. Teraz przez całą godzinę nie przejechał tędy żaden.

— Może... — zaczęła pani Ferguson.

— Co?

— Nie wiem. Mąż powinien już dawno wrócić. Nie chciałam, żeby wyjeżdżał, ale powiedział, że ma bardzo pilny interes. Mieszkamy tak daleko od miasta...

Pani Pheltie wstała i odeszła od okna.

— Nie — powiedziała. — To nie ma sensu. Nie ma. Na pewno.

— Och — powiedziała pani Pheltie nerwowo. — Johnny opowiadał mi wczoraj takie dziwne rzeczy.

— O Uranidach?

— Tak. I o ludziach, w ogóle. Ale to naprawdę makabryczne.

— Cóż to szkodzi? Przecież to nieprawda.

— Dobrze — rzekła pani Pheltie. — Więc Johnny powiedział, że wie, dlaczego Uranidzi sprzedają nam za bezcen swoje maszyny. Chcą, aby każdy człowiek miał na własność chociaż jedną. Ale każdy człowiek, bez wyjątku.

— No? — rzuciła pani Ferguson niecierpliwie.

— Oni chcą zdobyć Ziemię — powiedziała pani Pheltie. — Oczywiście, to nieprawda. Ale Johnny mówił, że chcą to zrobić nie stosując żadnych bomb ani gazów. Bomby zniszczyłyby wszystko, promienie i gazy zatrąłyby atmosferę. Uranidzi nie mogliby osiedlić się na takiej planecie.

— Ciekawe — potwierdziła pani Ferguson.

— Naturalnie, że to bzdura — spróbowała się uśmiechnąć pani Pheltie.

— Więc mówił Johnny, że Oni nie mogą zrobić otwartej wojny, chociaż zwyciężyliby na pewno. Więc stosują podstęp. Coś w rodzaju konia trojańskiego.

Pani Ferguson skinęła głową.

— Zatem — ciągnęła pani Pheltie — Oni sprzedają nam swoje urządzenia, których działania ludzie nie rozumieją. Jak na przykład samochody. Albo automaty kuchenne. Johnny wymyślił, że każda z tych maszyn na jakiś sygnał z Ich latających talerzy może, no, może zabić człowieka, który ją posiada. W ten sposób, jeżeli to się stanie jednocześnie...

— Bzdura — powiedziała pani Ferguson ostro.

Pani Pheltie roześmiała się.

— Oczywiście, że bzdura. Powiedziałam Johnny'emu, żeby napisał o tym opowiadanie fantastyczne. Zarobi kilkadziesiąt dolarów.

Za oknem rozległy się kroki, ostrożne stąpanie sztywnych nóg. Tuż pod oknem szelest zamarł.

— Te latające talerze — powiedziała pani Ferguson. — Nigdy dotąd nie latały tak nisko...

NAZBYT SZCZĘŚLIWI

Od samego początku swojego istnienia, to znaczy blisko trzysta lat wcześniej, nim miały miejsce opisane tu wydarzenia, Instytut A stał się narodowym tabu. Powszechnie lubiani ludzie, którym nieopatrzenie zdarzyło się wygłosić takie czy inne uwagi o instytucie, szybko tracili znajomych i przyjaciół. Rodzice, zapytani przez dzieci, nabierali wody w usta, a zresztą nawet dzieci w znacznej większości wiedziały, że są sprawy nie nadające się do głośnego komentowania.

Budynki instytutu znajdowały się w samym centrum Miasta Badaczy. Nie otoczono ich zasiekami, nie postawiono nawet ostrzegawczych tablic. Nie zdarzyło się jednak, by ktokolwiek podjął próbę dostania się do środka czy chociaż otwarcia dużych, przez nikogo nie strzeżonych, wahadłowych drzwi. Ta niezwykła postawa całego społeczeństwa wynikała chyba przede wszystkim z właściwego człowiekowi lęku przed niewiadomym. Odnosiło się to zarówno do szeregowych obywateli państwa, jak i do jego politycznych i ekonomicznych przywódców, bo nawet oni nie umieli powiedzieć o Instytucie A czegoś konkretnego.

Z pokolenia na pokolenie przekazywano, że nie wolno roztrząsać tej sprawy, i przez trzysta lat nie znalazł się śmiałek, który by przeciw tej tradycji postanowił wystąpić.

Przyszli pracownicy instytutu wybierani byli jeszcze w czasie studiów. Przez kogo? — tego także nie wiadano. Wybrańcy otrzymywali żółte koperty Centralnej Dyspozytorni Fachowców odcinające się jedynie czerwoną pieczęcią: „Do rąk własnych — Instytut A”. Później szybko pakowali rzeczy i wyjeżdżali do Miasta Badaczy. Nie wracali nigdy. Na podstawie specjalności powołanych do pracy w instytucie nie można było powiedzieć nic bliższego o charakterze jego działalności, bowiem opieczętowne koperty otrzymywali na przemian studenci wszystkich fakultetów.

Studiowałem technikę kierowania zespołami ludzi, którą prowadzono w Międzyuczelnianym Studium Akademii Wojskowej i Szkoły Ekonomicznej. Zajmowałem się socjologią, prawem, psychologią i nieodzowną w moim przyszłym zawodzie retoryką. Osiągałem także dobre wyniki w sporcie, nad wszystkie inne dyscypliny przekładając judo i boks. Na trzecim roku studiów zdobyłem tytuł najlepszego studenta.

W kilka dni po ogłoszeniu listy, na której zajmowałem pierwszą lokatę, otrzymałem wezwanie do Instytutu A. W króciutkim liście nakazano mi natychmiastowy przyjazd i zabroniono jakichkolwiek komentarzy w dotychczasowym środowisku. Pod tekstem nie znalazłem niczyjego podpisu.

Następnego dnia, nie bez tremy, przekroczyłem próg Gmachu Głównego instytutu. W obszernym hallu kręciło się już niezdecydowanie kilka osób. Zaraz po moim przyjsciu z bocznych drzwi wyłonił się starszy mężczyzna.

— Mamy już całą dziesiątkę — powiedział — proszę za mną.

Zaprowadził nas do jednego ze skrzydeł gmachu, gdzie odtąd miały się mieścić nasze mieszkania. Pokoje robiły jak najlepsze wrażenie — przestronne i jasne, z wyjściem na taras, z którego po szerokich stopniach schodziło się do starannie utrzymanego ogrodu. Nie zdążyłem jeszcze na dobre rozpakować walizek, kiedy wszedł do mnie ten sam, co przedtem, mężczyzna i wręczył mi czerwoną, pękatą teczkę. Zaciekawiony zajrzałem do środka. Z treści znalezionej na samym wierzchu brulionu wynikało, że i tutaj przyjdzie mi studiować. Brulion zawierał szczegółowe plany kolejnych dziewięciuset dni — pobudka, śniadanie, wykłady, obiad, przerwa,

zajęcia praktyczne. Najbardziej zaskoczyła mnie treść wykładów. Ich problematyka obejmowała „Teorię podsłuchu”, „Technikę podglądania”, „Wiedzę o wykorzystaniu zwierzeń”, „Sztukę prowokacji”. Na ostatni programowy dzień nie przewidywano już żadnych zajęć, poza rozmową z kierownictwem instytutu, którą określono jako „Pełne wtajemniczenie”.

Zaczęła się praca. Całymi dniami uczono nas zakładania aparatów podsłuchowych, montażu ukrytych kamer, analizy otrzymanych tą drogą informacji. Z czasem umieliśmy już stosunkowo szybko określić zainteresowania, słabości, lęki i marzenia śledzonego osobnika. Potrafilismy poznać największe jego tajemnice, odkryć najintymniejsze zakamarki osobowości, często takie, których istnienia sam się nie domyślał. Wciąż jednak nie byliśmy pewni, czemu służyć będzie nasza wiedza.

Prócz dziwnych studiów nic nie różniło nowej codzienności od życia, które znaleźliśmy dotychczas.

Nadszedł wreszcie dzień „Pełnego wtajemniczenia”. Kolejno stawaliśmy przed obliczem Rady Naczelnej instytutu. Nie wiem, czy tok rozmów ze wszystkimi studentami był identyczny, podejrzewam jednak, że mogły wystąpić tylko minimalne różnice. W moim wypadku wyglądało to następująco. Na powitanie podniósł się zza stołu dyrektor instytutu i uroczyście pogratulował mi dotychczasowych sukcesów w nauce. Potem w imieniu Rady Naczelnej zadał jedno tylko pytanie:

— Czy może nam pan powiedzieć, Ben, dlaczego instytut oznaczony jest symbolem „A”?

Ze sposobu, w jaki zadał pytanie, zorientowałem się, że jest to zwrot czysto retoryczny, i nie przerywałem.

— „A” to skrót — ciągnął dyrektor — początkowa litera słowa Ananke. Znane są panu zapewne wierzenia starożytnych: Ananke to Los — władczy, surowy, niezależny — jego wyrokom ulegać musiał nawet Zeus. My sami jesteśmy instytucją w stosunku do Losu konkurencyjną. Nasze zadanie polega na zmienianiu jego nie zawsze słusznych z naszego punktu widzenia lub niekorzystnych dla nas decyzji.

Patrzyłem zaskoczony. Pomyślałem, że trafiłem do siedliska wyznawców jakiegoś prymitywnego kultu.

Zdawali się odgadywać moje myśli.

— Nie, Ben — dyrektor patrzył na mnie uważnie. — Nie jesteśmy grupą szaleńców. Przedstawię teraz panu przyszłe konkretne zadania. Sądzę, że to pozwoli panu na najlepsze zrozumienie istoty działalności instytutu. Zgodzi się pan na pewno z tym, że społeczeństwo musi ochraniać niektóre jednostki szczególnie dlań cenne. Myślę tu o wybitnych naukowcach, artystach, politykach. Właśnie tym ludziom Los nie ma prawa wyrządzić niczego bez naszej zgody. Czuwamy nieustannie. Usuwamy z drogi tych ludzi wszystkie najdrobniejsze przeszkody, spełniamy dyskretnie ich marzenia i zachcianki, słowem, robimy wszystko, by skupili się tylko na swoich pracach. Nic innego nie powinno zaprzęcać ich uwagi. Całe szczęście osobiste wybitnych jednostek, sukcesy towarzyskie, powodzenie to prawie wyłącznie nasza zasługa. Podkreślam raz jeszcze — dyrektor mówił dobitnie, wciąż uważnie się we mnie wpatrując — najwyższy stopień dyskrecji cechuje naszą działalność. Oczywiście, aby możliwe było stworzenie podopiecznym naprawdę dobrych warunków, konieczne jest wcześniejsze poznanie wszystkich ich upodobań, zalet i przywar. Rozumie pan chyba teraz celowość dotychczasowych studiów?

— Oczywiście — odparłem. — Ale jeżeli tyle pożytku płynie z naszej działalności, to dlaczego pozostajemy w ukryciu?

— Ben — na twarzy dyrektora odmalowało się zdziwienie — myślałem, że lepiej pan poznał psychikę swoich bliźnich. Proszę posłuchać, ze zrozumiałych, często technicznych, przyczyn nie

potrafimy objąć naszym działaniem ogółu obywateli. A przyzna pan, że niewiele znalazłoby się ludzi nie chcących, chociaż od czasu do czasu, skorzystać z naszej pomocy. Zaczęłyby się niesnaski, intrygi, próbowano by nas przekupywać. Ludzie już nigdy nie zachowywaliby się naturalnie, wiedząc, że ktoś ich bez przerwy obserwuje. Dlatego przed trzystu laty, kiedy powołano instytut, stworzono wokół niego atmosferę tajemnicy, której naruszać nie należy. I tak jest dobrze — ogół społeczeństwa może się domyślać najdziwniejszych rzeczy, ale pozwala nam spokojnie pracować.

Wyszedłem oszołomiony. Zrozumiałem, że przyjęto mnie do grona ludzi, na których spoczywa szczególna odpowiedzialność.

Pracowałem początkowo w sekcji „Ekonomiści”. Czuwałem nad kilkoma wybitnymi strategami gospodarczymi, wśród których byli także dwaj moi dawni wykładowcy. Kierownikiem sekcji był starszy nieco ode mnie, dawny student tego samego, co mój, kierunku. Lars należał do rady i dlatego musiał wiedzieć, jakie kryteria decydują o doborze przyszłych pracowników instytutu.

— Wiesz już, że podstawą naszej działalności jest tajemnica — odparł, gdy go kiedyś o te kryteria, zapytałem. — Tajemnicę mogą zachować tylko tacy ludzie, którzy nie zapragną powierzonych urzędzeń i wiedzy wykorzystać dla własnych potrzeb — ludzie chłodni, opanowani, może nawet obojętni.

— I ja mam wszystkie te cechy?! — wykrzyknąłem.

— Tak się nam wydawało.

— A gdyby ktoś z pracowników instytutu — zadałem jeszcze jedno pytanie — pomyślał jednak o sobie?

Lars popatrzył na mnie, a później z kamiennym spokojem powiedział:

— Wtedy musiałyby zginąć.

Mijały miesiące, później lata. Z czasem zaliczono mnie do grupy najlepszych fachowców.

Prowadziłem akcje coraz bardziej skomplikowane i coraz większą obarczające odpowiedzialnością.

Pod koniec szóstego roku pracy Lars wezwał mnie, by przekazać kolejne dane.

— To młody naukowiec — powiedział — ale w swojej ostatniej pracy sprecyzował kilka doniosłych przypuszczeń. Trzeba zrobić wszystko, by rozwijał je w twierdzenia.

Otworzyłem teczkę z dokumentami.

— Ależ to Slit! — wykrzyknąłem.

— Tak — potwierdził Lars — znasz go?

— Byliśmy przez sześć semestrów w jednej grupie. Potem mnie przydzielono do instytutu, a on...

— Świetnie się składa — Lars zapisał coś w notesie — jeżeli znałeś go osobiście, będzie ci dużo łatwiej pracować.

I znów spędzałem całe dni przy ekranach kamer–szpiegów, przy słuchawkach podsłuchowych aparatów. Swoją rolę — ułatwianie życia Slitowi — lubiłem coraz mniej. Zaczęło się to od tego dnia, w którym dostrzegłem jego próby pozyskania sympatii Agi. To była jedna z najbardziej interesujących dziewcząt, jakie znałem — jeszcze na studiach należałem do jej wielbicieli. Potem znajomość urwała się, wyjechałem do instytutu, gdzie poznałem wiele wspaniałych dziewcząt, z którymi łączyła mnie wzajemna sympatia. Ale Aga to było zupełnie co innego...

Oczywiście, teraz nie miało to żadnego znaczenia — praca w instytucie na zawsze oderwała mnie od reszty świata — a jednak nie mogłem spokojnie patrzeć, jak Slit zaleca się do dziewczyny, o której sam kiedyś marzyłem.

Potrafiłem kryć swoje uczucia. Mojej sympatii do Agi nie zauważono przed przyjęciem mnie do instytutu. Także obserwując Slita nie chciałem się zdradzić.

Właściwie mogłem mu skutecznie przeszkadzać. Wykorzystując powierzony sprzęt mogłem go w oczach Agi ośmieszyć, zdyskredytować zupełnie, na zawsze pozbawić najmniejszych szans. Wiedziałem równocześnie, że w wypadku wykrycia mojego przestępstwa poniosę zasłużoną karę. Pełen wahań — czekałem. Wolne od pracy popołudnia spędzałem na obmyślaniu paskudnych sytuacji, w które mógłbym wpakować Slita. Marzyłem o zamknięciu w szybkobieżnej windzie na pięć minut przed randką, o takim wykorzystaniu zespołu pozoracyjnego, by uciekł, gdy Aga znajdzie się w niebezpieczeństwie. Pomysły wciąż się rodziły, jedne fantastyczniejsze od drugich.

Nie wiedziałem, że nad Slitem czuwa także Lars. Wyjawiał mi to dopiero po kilku miesiącach pracy.

— Nie uważasz — zaczął — że ta dziewczyna odnosi się do niego zbyt chłodno?

— Widocznie Slit nie zasługuje na nic innego — stwierdziłem skwapliwie.

Lars spojrzał na mnie zgorzony.

— Nie żartuj — powiedział. — Wiesz, że oceniamy ludzi jedynie pod względem użyteczności dla społeczeństwa. Jeżeli brak im innych walorów, to naszym zadaniem jest stworzyć ich pozory w oczach otoczenia. Tak też zrobimy ze Slitem. Opracowałem już wstępny plan.

Jako fachowiec musiałem uznać plan za dobry: przedstawiał bowiem Slita w tak korzystnym świetle, że byłoby nieprawdopodobne, aby nie doceniła tego kobieta. Wszystko to postawiło mnie przed ostatecznym wyborem — wystąpić przeciw instytutowi albo na zawsze stracić Agę. To, co w końcu zrobiłem, nie przyszło mi łatwo — zrezygnowałem z walki. Zrozumiałem, czy raczej wmówiłem sobie, że muszę pozostać wierny naszej misji. Długi czas byłem przekonany, że nikt nie domyślał się dramatu, jaki przeżywałem.

A jednak w miesiąc później wezwał mnie do siebie dyrektor.

— Nie wiem, czy jest panu wiadomo cokolwiek — zaczął — o zasadach awansowania w naszym zawodzie.

Rzeczywiście nic nie wiedziałem.

— Otóż — ciągnął dalej dyrektor — co pewien czas poszczególni pracownicy poddawani są wnikliwym obserwacjom. Ostatnio dokonał pan rzeczy, która predestynuje pana do zajmowania najwyższych stanowisk.,

Dyrektor patrzył na mnie wyczekująco.

— Nie wiem, o czym pan mówi, dyrektorze — powiedziałem.

— Nie chce się pan przyznać — uśmiechnął się. — Ale my i tak wszystko wiemy. Tak się złożyło, że obserwowaliśmy pana w czasie przeprowadzania sprawy Slita. Naprawdę oddany z pana pracownik. Chciałem teraz wrócić do wspomnianego awansu — od dziś obejmuje pan kierownictwo sekcji „Politycy”, a równocześnie zostaje pan członkiem zwyczajnym Rady Naczelnej. I jeszcze jedno — poklepał mnie po ramieniu — niech się pan tak bardzo nie przejmuje, tamta dziewczyna naprawdę nie była jedyną. W instytucie ma pan przecież tyle koleżanek!

Znowu mijały lata. Założyłem rodzinę, awansowałem kilkakrotnie, obrastałem w rutynę. W wieku pięćdziesięciu trzech lat zostałem dyrektorem naczelnym instytutu. Do moich obowiązków należało teraz między innymi wybieranie nowych pracowników spośród setek młodych ludzi. W ten właśnie sposób trafił do naszego zamkniętego światka Marcin Legocki. Kiedy dwa lata później przeprowadzałem kontrolną obserwację młodych pracowników, wykryłem zaskakujący, a wiążący się z osobą Marcina, problem. Przeżywał dylemat niezwykle podobny do tego, który

sam musiałem rozstrzygnąć przed laty. Bardzo szybko stwierdziłem, że zamierza postąpić zupełnie inaczej niż ja: wykorzystać instytut dla siebie. Na razie mu w tym nie przeszkadzałem. Nie przeszkadzałem mu także dużo później, kiedy niektóre skutki jego postępowania były już nieodwracalne. Nie wiem, dlaczego to zrobiłem — chyba dlatego, że dotknął jakichś drzemiących we mnie uczuci uczuć przekory i buntu. Marcin mścił się za tych wszystkich, którzy, tak jak ja, ulegli wszechwładzy instytutu.

Marcin działał zdecydowanie. Pierwszym wykroczeniem było wspomniane już opaczne wykonywanie zadań. Ale na tym nie poprzestał. Zauważyłem pewnego dnia, że wiele godzin poświęca pisanu listów. Przekonałem się, że wszystkie zawierają identyczny prawie tekst i adresowane były do naszych podopiecznych. *Nie wie pan (pani) zapewne — pisał Marcin — co jest przedmiotem działalności Instytutu A. Zaskoczy to pana (panią), ale między innymi — pańska osoba. W naszych rękach jest pan (pani) zwykłą, naszpikowaną wiadomościami kukłą. Wszystkie sukcesy możliwe były jedynie dzięki naszej interwencji — bez niej nic by pan (pani) nie osiągnął.* Dalsza treść kilku tysięcy listów zawierała szczegółowy opis zasad naszego działania. Marcin zdawał sobie sprawę, że same listy nie wystarczą; adresaci mogli je przecież uznać za wyczyn maniaka. Wkrótce, w sobie tylko wiadomy sposób, wciągnął do całej tej sprawy prasę. Z chwilą opublikowania pierwszych artykułów o zdradzie Marcina dowiedzieli się wszyscy pracownicy instytutu, ale nikt nie próbował go potępić. W całym instytucie panowała dziwna atmosfera milczenia, cichej solidarności z przestępcą. Wynikało z tego jedno — dążenie Marcina do zniszczenia instytutu od dawna było marzeniem wszystkich pracowników.

Mijały dni. Wrzenie wokół rozpetanej przez Marcina afery dosięgło szczytu. We wszystkich pismach pojawiały się napastliwe artykuły. Liczne listy od czytelników pełne były najgłębszego oburzenia. Najczęściej protestowano przeciw złamaniu podstawowego prawa jednostki do wolności osobistej. Odbiorcy listów Marcina czuli się zażenowani tak daleką ingerencją instytutu w ich życie prywatne. *Wolałbym cierpieć — pisał jeden ze znanych naukowców — niż być szczęśliwą pozornie ofiarą tej haniebniej instytucji. Bo kim teraz jestem? Co reprezentuje moja rzekoma osobowość? Odebrano mi podstawowe chyba prawo człowieka do samodzielnego, pełnego określenia własnej postawy. Odpowiedzialni za instytut tłumaczą to dążeniem do stworzenia lepszych warunków bytowania dla społeczeństwa jako całości, ale czy nie zdają sobie sprawy, jak bardzo zubożyli psychicznie tysiące ludzi, że zmienili ich w doskonale naoliwione maszyny? Jestem przekonany, że straty tym spowodowane znacznie przewyższają płynące z działalności instytutu korzyści.*

Takich listów było wciąż więcej i więcej. Domagano się od rządu natychmiastowej akcji wymierzonej przeciw instytutowi, a w końcu opieszałość kompetentnych ministrów doprowadziła do publicznych manifestacji. Tłum złożony z najwybitniejszych ludzi przez kilka dni otaczał instytut. Wreszcie nastąpił wybuch — tłum zaatakował. Nie próbowaliśmy się bronić i chyba dlatego pozostawiono nas w spokoju. Niszczono tylko budynki i ich wyposażenie.

Ze zdziwieniem dla samego siebie stwierdziłem, że patrząc, jak tysiące rąk niszczą to, czym całymi latami się opiekowałem, nie odczuwam żalu. Co więcej — poczułem więź z tymi ludźmi, których dotychczas nie lubiłem. Wszelką, nie docenianą zresztą, działalność na ich rzecz wykonywałem tylko z obowiązku. Ale teraz zrozumiałem, że właściwie i ja należę do nich. Wahałem się jeszcze tylko chwilę, a potem z całej siły walnąłem krzesłem w najbliższą, jeszcze całą, szafę.

KŁOPOTY WYNAŁAZCY

Hilary Myrron obudził się w środku nocy spocony jak mysz. Leżał przez kilka minut z szeroko otwartymi oczami szczęśliwy, że oto znów jest w swoim łóżku, w swoim przytulnym mieszkaniu i że tamto, co było przed chwilą, to tylko sen. Poruszył ręką, uszczypnął się. Tak, bez wątplenia, tamten koszmarny sen już minął.

Odwrócił się na drugi bok, nasunął na głowę kołdrę i mocno zacisnął powieki.

A teraz spać, jutro czeka go dużo pracy... Teraz liczyć barany, to pomaga.... Jeden baran, dwa barany, trzy barany, cztery barany, pięć baranów...

Ale sen nie przychodził. Myrron leniwie wstał, rzucił okiem na zegarek (była za pięć druga) i podszedł do okna. Na asfalt ulicy cicho padał drobny deszcz. Otworzył okno, zaczerpnął w płuca wilgotnego, orzeźwiającego powietrza — to podobno uspokaja i wrócił do łóżka. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie zażyć tabletek nasennych, ale musiałby ich poszukać. Wyglądził więc prześcieradło, a potem cierpliwie przez kilka minut układał się, jak mógł najwygodniej.

Cóż, kiedy wspomnienie snu sprzed chwili nie pozwalało mu zasnąć. A śniła mu się rzecz straszna: zdawał jakiś męczący, niezrozumiały egzamin, nie pojął ani jednego pytania, związał się ze strachu pod zimnym wzrokiem egzaminatorów, plótł jakieś głupstwa zamiast odpowiedzi i oczywiście, oblał. Czy to nie jest zły omen przed egzaminem, który czeka go jutro? Nie, już dziś, dziś rano... Będzie to egzamin ważniejszy od tych wszystkich, które dotychczas zdawał w szkole, na studiach, a i później... Egzamin z kilku lat wytężonej pracy. Bo kilka lat temu wszem wobec oświadczył, że można zbudować maszynę elektroniczną, do której pamięci da się przenieść całość informacji zmagazynowanych w mózgu ludzkim, i wtedy ta maszyna przejmie wszystkie funkcje ludzkiego mózgu. Ba! Nie będzie nawet wiedziała, że jest maszyną.

No, i zbudował taką maszynę. Nazwał ją zwyczajnie: Kontynuator. Dziś rano ma odbyć się pierwsza próba: przeniesienie do pamięci Kontynuatora informacji z mózgu pewnego bardzo obiecującego studenta, który, niestety, miał tę wadę, że nigdy nie zwracał uwagi na kolor światła na skrzyżowaniu. Skutki tego okazały się bardzo opłakane, ale być może ów nieszczęsny student, którego cielesna powłoka spoczywa teraz w płynnym helu w podziemiu jednej z klinik, tym nieostrożnym krokiem przyczyni się pośrednio do postępu nauki. Dość tych rozmyślań. Trzeba koniecznie zasnąć. Nie myśleć o niczym, ułożyć się wygodnie i głęboko oddychać... Jeden baran, dwa barany...

Rano w czasie golenia Myrron przyjrzał się swemu odbiciu w lustrze: twarz blada, policzki zapadnięte, podkrążone oczy. Nie wygląda nadzwyczajnie. Samopoczucie ma też nie najlepsze. Takie są skutki bezsenności. Jediną satysfakcją sprawia mu to, że zbudował maszynę, której nie będą dręczyły nocne koszmary i która nie będzie cierpiała na bezsenność, chyba że się jedno albo drugie zaprogramuje, bo przecież będzie mogła wykonywać wszystkie prace, jakie wykonuje mózg człowieka. To uspokoiło Myrrona, a nawet wprawiło w dobry humor. Wyszedł z łazienki pogwizdując.

Za dwie dziewiąta przechodził przez hol Instytutu, gdzie pracował od kilkunastu lat. Ktoś, mijając go, uklonił się, ale w roztargnieniu Myrron nie zauważył tego. Poprawił machinalnie, odwinięty róg chodnika na schodach na pierwszym piętrze.

Przed drzwiami swego gabinetu długo szukał w kieszeniach klucza, aż nagle zobaczył, że przecież trzyma go w ręce. Uśmiechnął się gorzko. Z rozmachem otworzył drzwi, cisnął teczkę na biurko i opadł na fotel. „Co się ze mną dzieje? Ta trema, ta trema...” — pomyślał.

Na biurku leżała przygotowana przez sekretarkę kartka z rozkładem dnia. Od dziewiątej do pół do jedenastej kilka mało ważnych spraw: zadzwonić do Prezesa, podyktować list... ,itd., itd. Punkt szósty: „10.30 — próby z Kontynuatorem” — sekretarka podkreśliła starannie, przy linijce, czerwonym ołówkiem. Myrron przez długą chwilę siedział patrząc bezmyślnie na ścianę naprzeciwko. Potem zabębnił palcami po blacie biurka, przelożył z miejsca na miejsce jakąś książkę, poszukał długopisu i czerwoną kreskę przerobił na ramkę. Przez dobrych kilka minut ozdabiał ją starannie wianuszkami z liści laurowych.

Cicho uchyliły się drzwi, Myrron, speszony, że przyłapano go na tak głupiej czynności, zaczerwienił się i szybko schował kartkę. Weszła sekretarka. Była uroczysta jak nigdy. Wiadomo: taki dzień!

— Jakiś dziennikarz pyta, czy zechce pan udzielić wywiadu — oznajmiła głosem równie uroczystym, jak ona sama.

Myrron skrzywił się.

— Dziennikarz? Wolałbym potem.

— Ale on mówi, że bardzo mu zależy...

Nie dokończyła, zachwiała się odsunięta czymś ramieniem, a do pokoju wkroczył cokolwiek bezceremonialnie męzczyzna lat około dwudziestu pięciu.

— Mam zaszczyt z profesorem Myrronem, czy tak? — spytał głosem, który znamionował jednak ślady dobrego, wychowania. — Nie jestem profesorem — odpowiedział Myrron, patrząc na niego przygaszonym wzrokiem człowieka, który zasnął dopiero o piątej rano. — Słucham pana.

— Nazywam się... — tu młody człowiek wymienił nazwisko, jestem reporterem... — tu wymienił nazwę pewnego bardzo popularnego dziennika — i pragnąłbym przeprowadzić z panem mały wywiad.

— No cóż, skoro pan już tu jest, proszę siadać.

Sekretarka, wychodząc, spiorunowała przybysza spojrzeniem, które gdyby tylko takie rzeczy były możliwe, powinno go spopielić w ułamku sekundy.

— Dziś przeżywa pan doniosłą chwilę w swym życiu — zaczął dziennikarz.

Myrron kiwnął obojętnie głową.

— Pierwszy eksperyment z urządzeniem, któremu poświęcił pan kilka lat pracy...

— A skąd dowiedział się pan, że to właśnie dziś? — zainteresował się nagle Myrron.

Za całą odpowiedź jego rozmówca uśmiechnął się tylko skromnie i ciągnął dalej:

— Czy zechciałby pan wyjaśnić w kilku słowach naszym czytelnikom, co to jest Kontynuator?

— Hmm — mruknął Myrron i zastanowił się. — Jak to panu wytłumaczyć? Jest to po prostu bardzo skomplikowany komputer, bardziej skomplikowany niż mózg ludzki. Jeśli do jego pamięci przeniesiemy wszystkie informacje zawarte w mózgu ludzkim, komputer ten zastąpi nam człowieka w jego czynnościach umysłowych.

— Tak, to bardzo proste. Ale jaki jest cel tego wszystkiego?

— Człowiek jest istotą śmiertelną. Ile lat może pracować uczony, artysta? Czterdzieści, najwyżej pięćdziesiąt. A maszyna jest, praktycznie biorąc, nieśmiertelna, bo każdy jej zużyty element można przecież wymienić. Poza tym pracuje szybciej. To, na co potrzeba całego ludzkiego życia, maszyna może wykonać w ciągu kilku tygodni. Mówiłem, że jest to układ bardziej skomplikowany niż mózg ludzki. I dlatego do jego pamięci będzie można przenieść zapisy nawet kilku mózgów. Będzie można dodawać osobowości!

— Rozumiem. Człowiek doskonały, czy tak? Bo jeśli połączymy genialnego artystę, genialnego uczonego i genialnego wynalazcę, otrzymamy człowieka doskonałego, prawda?

— Mniej więcej. Ale będziemy musieli najpierw zbadać, co z takiego dodawania wyjdzie.

— A czy nie uważa pan, że skoro ta maszyna będzie doskonalsza od człowieka, człowiek stanie się niepotrzebny?

— Nie, nie! — zaprotestował energicznie Myrron. — Ona wyręczy człowieka tylko tam, gdzie nie sięgają jego możliwości. — Jeszcze jedna rzecz mnie interesuje. W tej chwili widzę pana, widzę ulicę za oknem, słyszę pańskie słowa. Odbieram też wrażenia smakowe, węchowe, dotykowe. A w jaki sposób ta maszyna będzie odbierała wszystkie te wrażenia? Czy zaopatrzył ją pan w elektroniczny nos i elektroniczny język?

— Nie. Kontynuator nie ma żadnego kontaktu ze światem zewnętrznym. Do wejść maszyny, które pełnią funkcję jego zmysłów, dołączyliśmy fantomaty. Jeden z nich dostarcza informacji z zakresu wrażeń wzrokowych, drugi — słuchowych, trzeci — zmysłu równowagi, i tak dalej. Kontynuator może więc wachać kwiaty, słuchać muzyki, oglądać piękny zachód słońca. Żyje jednak w świecie sztucznym, stworzonym przez nas. Świat ten może być kopią naszego, ale może być też światem, który nie ma swego odpowiednika w rzeczywistości.

— Tak, to bardzo ciekawe. A czy Kontynuator będzie wiedział, że nie jest człowiekiem?

— To zależy tylko od nas, ekipy kierującej. Sam nie dowie się nigdy. A zresztą Kontynuator jest przecież w pewnym sensie człowiekiem.

— A czy może, jak każdy człowiek, kierować swoim postępowaniem?

— Oczywiście, młody człowieku — Myrron pokręcił głową na taką ignorancję. — Jeśli na przykład zechce wyjechać do innego miasta, to nic prostszego. Fantomaty, którymi, mówiąc nawiasem, kieruje specjalny komputer, dostarczają jego „zmysłom” wrażeń, że idzie na dworzec, kupuje bilet, wsiada do pociągu, jedzie, widzi, co dzieje się za oknem... Między Kontynuatorem i fantomatami istnieje sprzężenie zwrotne. Czy to, co mówię, nie jest dla pana zbyt trudne?

— Nie, jasne jak słońce. A kto za pomocą fantomatów stwarza „życiorys” Kontynuatora?

— My. Mamy specjalną grupę, która układa scenariusz życia Kontynuatora.

— To na pewno wymaga olbrzymiej pracy.

— Mamy do pomocy maszynę. I mamy czas. Zawsze można wyłączyć Kontynuator i zastanowić się, jak ułożyć jego dalsze „życie”.

— A czy można skasować cały zapis i wprowadzić informacje z mózgu innego człowieka?

— Nic prostszego — powiedział z niejakim zniecierpliwieniem Myrron. — Na głównym pulpicie sterowniczym jest taki guzik... Zadzwoił telefon.

— Przepraszam pana — powiedział Myrron i podniósł słuchawkę.

— Słucham!

— Myrron? Przed chwilą dzwoniła do nas klinika...

— To ty, Trelley?

— Tak, ja. Rodzina tego zmarłego studenta nagle wycofała swoją zgodę. A klinika nie ma w tej chwili innych zwłok w stanie hibernacji. I co teraz zrobimy?

Myrron zmarszczył czoło.

— Skontaktujcie się z innymi klinikami. Ja połączę się z Prezesem, może on nam pomoże. Zresztą, zejdę do was, może coś wymyślimy.

Odłożył słuchawkę.

— Muszę pana pożegnać — powiedział do dziennikarza. Dzwonił jeden z moich współpracowników. Zaszły nieprzewidziane trudności.

Dziennikarz pochylał się nad notesem i skwapliwie bo zanotował.

— A czy wolno wiedzieć, na czym te trudności polegają?

— Do pierwszych eksperymentów nie będziemy używać żywych ludzi, ale zwłok w stanie hibernacji, dla ostrożności. I nagle okazało się, że nie mamy skąd tych zwłok wziąć. Nie

pozostaje nam nic innego, jak czekać na czyjąś śmierć, najlepiej jakiegoś naukowca. Nie, nie. Tego proszę nie notować, to tylko żart. Przepraszam, że pana opuszczam, ale bardzo się śpieszę.

Myrron otworzył drzwi do pokoju sekretarki. Na jego widok uśmiechnęła się promiennie.

— Pan już wychodzi? Życzę sukcesu, życzę sukcesu!

— Telefony do mnie proszę przełączać na dyspozytornię Kontynuatora.

— Dobrze. Trzymam za pana kciuki!

Drugi raz w tym dniu Myrron uśmiechnął się. Powiedział nawet komplement:

— Pani jest... jedyna w swoim rodzaju. Sekretarka zaczerwieniła się.

A Myrron już kroczył szparko korytarzem. Tego, co stało się w chwilę później, nie zapamiętał. A wyglądało to tak: Kiedy był już przy schodach, kiedy dotykał ręką poręczy, potknął się o róg chodnika — znów odwinęty. Próbował uchwycić się poręczy, przez ułamek sekundy zawisł na niej i — runął schodami w dół. Głową naprzód...

...Ocknął się w niedużym, białym pokoju. Wielkie okno do połowy zasłonięte, stolik, umywalka z lustrem, na wieszaku gruby szlafrok w pasy, słowem — szpital.

Był sam. Cisza, spokój, chwiejące się na wietrze gałęzie drzew za oknem. Próbował unieść się, ale zaraz jęknął z bólu i znów opadł na poduszkę.

Drzwi za Trelleyem, Grappinem a Rohrem zamknęły się. Wychodząc każdy z nich rzucał Myrronowi spojrzenie, w którym można było wyczytać współczucie i otuchę. Słyszał ich oddalające się kroki na korytarzu, ich dyskretne, przyciszone głosy. Na stoliku zostały róże i kilka książek, o które prosił.

Znów został sam. Leży tu dopiero drugi dzień, a ma wrażenie, że od wczorajszego poranka upłynął rok. I pomyśleć, że czeka go na pewno jeszcze kilka takich pustych i monottonnych dni. Podobno lekarze podejrzewają, że uległ poważnemu, ale ukrytemu urazowi głowy. Ładna historia! Chwila nieuwagi i takie skutki... Na samą myśl, że musi tu leżeć beczynnym, przykuty do łóżka, robi mu się gorąco. Tak, najgorszym uczuciem jest bezsilność.

Ale czy warto patrzeć na to tak czarno? Cóż to da, czy to w czymś pomoże? Ma przed sobą kilka dni spokoju i samotności. Teraz, kiedy wszystkie prace przygotowawcze są już za nim, a pozostała tylko seria prób, na całą sprawę Kontynuatora można spojrzeć z pewnego dystansu. Bo cóż, w ciągu wieloletniej pracy nad Kontynuatorem nie zawsze miał przed oczami cel, do którego zdążał. Rozpraszały go sprawy techniczne, drobne problemy, które podsuwał każdy dzień. A tu potrzeba spojrzenia szerszego, z góry. Teraz ma okazję ku temu. Los nie jest aż tak złośliwy, jak wydawało mu się przed chwilą. Może wypadek na schodach to uśmiech losu? Bo wyobraźmy sobie taką sytuację: tu, w szpitalu, uprzytamnia sobie nagle, że w czasie budowy Kontynuatora coś przeoczono, że zakradł się błąd...

A może to nie los (ślepy traf, przypadek, mniejsza o nazwę) był przyczyną wypadku? Może to podświadomość? Przecież tyle razy pragnął, choć wstydził się do tego przyznać, by zapis jego mózgu został przetransponowany do Kontynuatora. I teraz proszę! Podświadomość wyświadczyła mu przysługę. Spadł ze schodów, bo tego podświadomie pragnął. Chciał umrzeć, zginąć, by jego zwłoki posłużyły do pierwszego eksperymentu. Takie rzeczy są możliwe, każdy psycholog to potwierdzi. Czy z tego wynika, że teraz jest Kontynuatorem...?

Myrron roześmiał się. Powiedział nawet głośno:

— Dobrze sobie, słowo daję.

To wprawiło go w tak wyśmienity humor, że naraz, zupełnie dla siebie nieoczekiwanie, poczuł się szczęśliwy.

Świetnie się czuje. Myśli są jasne, płyną swobodnie. Ta dowcipna teoria, którą przed chwilą

wysunął, dowodzi, że ma jeszcze wyobraźnię, że pochłaniająca go przez lata całe mrówcza praca nie przytępiła umysłowych możliwości.

A gdyby naprawdę był Kontynuatorem? To nagle, cudowne samopoczucie jest trochę podejrzane. Wydaje się być nieludzkie! Zaraz, zaraz. To wcale niezła rozrywka umysłowa. Załóżmy, że jest Kontynuatorem. Czy potrafi udowodnić sobie, że to nieprawda?

Nagle drzwi uchylły się bezszelestnie i do pokoju weszła pielęgniarka — drobna, siwiuteńka, z przyklejonym do twarzy cokolwiek służbowym uśmiechem.

— Jak się czujemy? Czy czegoś nam nie trzeba? — spytała uprzejmie i bezosobowo.

— Nie, dziękuję.

— Wydawało mi się, że pan mnie wzywał.

— Nie, nie wzywałem, dziękuję.

— Nie nudzi się panu? Nie ogląda pan telewizji? — Ruchem głowy wskazała na telewizor stojący pod ścianą. — Mamy w naszej szpitalnej taśmotece kasety z ciekawymi filmami. Nie interesuje to pana?

— Nie, nie interesuje.

— Może ma pan ochotę na parę minut, rozmowy? Niektórzy nasi pacjenci proszą, żebym z nimi posiedziała.

— Niech pani zajmie się swoimi sprawami.

— Ależ to są właśnie moje sprawy.

— Proszę stąd wyjść!

— Proszę pana! — W jej głosie brzmiało bezgraniczne zgorzelenie.

— Tak, wyjść!!!

Wyszła. Przez długą chwilę Myrron oddychał ciężko...

Co za personel! Pomówi o tym z dyrektorem szpitala. I to zaraz! Nacisnął guzik dzwonka.

Drzwi otworzyły się nieoczekiwanie szybko. Stała w nich pielęgniarka, ale tym razem inna.

— Słucham, pan po mnie dzwonił?

— Chciałbym pomówić z dyrektorem szpitala. Wyglądała na zaskoczoną.

— Pana dyrektora nie ma w tej chwili w szpitalu. Będzie dopiero po południu. Czy to coś pilnego? Może poproszę kogoś innego. Na przykład doktora...

— Nie. Chcę z dyrektorem.

— Proszę bardzo. Skoro tylko przyjdzie, powiadomię go o tym. Czy to wszystko?

— Tak, wszystko. Dziękuję.

Kiedy po kilku minutach ochłonął, zaczął żałować swego postępowania. Musi jednak przeprosić tamtą pielęgniarkę. Po wyjściu ze szpitala kupi jej kwiaty. A może jakiś prezent? Niepotrzebnie narzucała swoje towarzystwo, ale przecież chciała jak najlepiej.

Szkoda czasu na wyrzuty sumienia. A więc, co przemawia za tym, że jest maszyną? Miał wyjątkowo dobre, podejrzane dobre samopoczucie przed kilkoma minutami, dopóki nie zdenerwowała go pielęgniarka. Dobre samopoczucie to poszlaka numer jeden... A złe samopoczucie? A złe samopoczucie po tym niepotrzebnym incydencie z pielęgniarką... to poszlaka druga! Oni, przy pulpicie sterującym, spostrzegli, że on zastanawia się nad czymś. Bo przecież to, co dostarczają fantomaty „zmysłom” Kontynuatora, jest pokazywane na ekranie specjalnego monitora. Usłyszeli nawet, co powiedział głośno do siebie. Zaraz, co powiedział? Powiedział: „Ładny koniec, nie ma co”. Tak, te słowa mogły wzbudzić ich podejrzenia. Nie, powiedział chyba coś innego?... Mniejsza z tym. Oni po prostu boją się, że on wszystkiego się domyśla, i dlatego fantomaty podrzuciły tę pielęgniarkę, żeby przeszkodzić mu w rozmyślaniach.

Drzwi uchylły się. Stała w nich pielęgniarka, ta druga. — Jest już dyrektor. Czy mam go

poprosić?

— Nie, dziękuję — odparł Myrron zły, że mu przeszkadzają. Stała jeszcze przez chwilę w drzwiach. Potem, jakby ociągając się, wyszła.

Proszę bardzo! Jednak miał rację. Oczywiście, wejście pielęgniarki można traktować jako przypadek. Ale jeśli on jest Kontynuatorem, to nie jest przypadek, to dla nich konieczność. Dworak, szef sekcji fantomatów, to tęga głowa. Potrafi zainscenizować sytuacje tak prawdopodobne, tak nie wzbudzające podejrzeń, że sam diabeł (gdyby go przetransponować na Kontynuatora) niczego by się nie domyślał. On, Myrron, widzi oczami wyobraźni, jak Dworak siedzi za swoim pulpitem i wykrzykuje do pozostałych ze złośliwym błyskiem w oczach: „Już ja staremu podsunę taką historyjkę, że się z niej nigdy nie wypłacze!” Dworak jest poza tym cenionym autorem scenariuszy telewizyjnych... A więc pielęgniarka to poszlaka numer dwa.

Co jeszcze wskazuje na to, że on, Myrron, jest maszyną? Kiedyś powiedział — ot tak, mimochodem — że zazdrości pierwszemu nieboszczykowi, którego użyje się do prób z Kontynuatorem. To przecież pierwszy wypadek w historii, że ktoś dopiero po swojej śmierci zdobędzie tytuł do sławy. Komu to powiedział? Aha, Trelleyowi. Po wypadku na schodach (przy założeniu, że był śmiertelny) Trelley potraktował tamte słowa jako wyraźne życzenie, jaka ostatnią wolę!

Z tego wynika, że jest już po jego śmierci?

To, co w tym momencie poczuł, to było zimne mrowienie, które przebiegło mu wzdłuż pleców.

Jeśli jest już po jego śmierci, wybrano wyjście lepsze. Ciekawe, czy już po pogrzebie? A może jego zwłoki spoczywają teraz w trumnie w sali kolumnowej Akademii? Przy trumnie warta honorowa, przyćmione światła, kwiaty i tłumy tych, co przyszli złożyć mu ostatni hołd.

Może po prostu spytać głośno tamtych, przy pulpicie: „Hej, wy, czy już po moim pogrzebie?” Dobrze, co?

Przeciągnął się, na ile pozwalało mu na to złamane zebro. Życie jest jednak piękne. Leży oto w łóżku, oddaje się medytacjom, nic mu nie przeszkadza, nic go nie krępuje. Wytęskniony spokój. A za oknem piękna pogoda.

Uśmiechnął się do siebie, do słońca za oknem, do drzew w szpitalnym parku. Nawet pielęgniarka wydała mu się teraz miłą, kochaną staruszką.

Ale wracając do pogrzebu... Jeśli pogrzeb nie odbył się jeszcze, mógłby zaproponować im, że nad własnym grobem wygłosi mowę pogrzebową. Na przykład o wyższości ludzkiego ducha nad kruchym, słabym ciałem. He, he, he!

Tyle więc poszlak przemawia za tym, że jest Kontynuatorem. A jakie ma dowody, że nim nie jest? Jakie ma dowody, że jest w tej chwili, zwyczajnym, żywym człowiekiem?

Nie ma żadnego dowodu. Smutnie, ale prawdziwie. Wszystkie wrażenia zewnętrzne, wszystkie informacje o funkcjonowaniu własnego organizmu, myśli wreszcie to są także normalne funkcje Kontynuatora.

Czy nie ma jednak sposobu, aby upewnić się, kim jest naprawdę?... Jest taki sposób, jest. Jeśli powie głośno: „Wiem, że jestem Kontynuatorem” i... nic się nie stanie, będzie to znaczyło, że jest człowiekiem. Jeśli zaś jest Kontynuatorem, oni usłyszą jego głos, stwierdzą, że eksperyment się nie udał, i skasują zapis jego mózgu. Kontynuator znów będzie pusty, czysty jak nowo kupiona taśma magnetofonowa.

Może jednak nie będą tak okrutni? Może przez szacunek dla niego, swego byłego szefa, nie skasują zapisu. Może pozostawią go przy życiu? Bo to jest też życie.

Wyjął z flakonu różę i zbliżył do oczu. Jeśli Kontynuator potrafi zachwycać się pięknem, jak w tej chwili on, to zaiste nie zbudowano dotychczas doskonalszej maszyny. Ma z czego być

dumny.

Włożył kwiat do flakonu.

A teraz zrobi ten mały eksperyment. Będzie to ukoronowanie miłych rozmyślań, którym poświęcił całe popołudnie. Powie: „Wiem, że jestem KontynuATOREM”.

— Wiem...

Nie do wiary! Po prostu boi się, boi się, że go skasują? Wierzy w to, że jest maszyną? Przecież to absurd?

— Wiem...

Musi powiedzieć te słowa. Nie może do końca życia pozostawać w tej straszliwej niepewności, kim jest.

— Wiem...

Takie powtarzanie jednego słowa może być dla nich podejrzane. Trzeba to jakaś zakończyć, nadać temu jakiś sens.

I wtedy, nieoczekiwanie dla siebie, Myrron powiedział głośno:

— Wiem... że nic nie wiem.

O CZŁOWIEKU, KTÓREGO BOLĄŁA SPREŻARKA

Tego dnia Harry wstał w niewesołym nastroju i jak zwykle pierwsze spojrzenie skierował ku oknu. Był piękny wiosenny poranek i słońce, stojące już wysoko nad iglicowcami śródmieścia, wywabiało z domowych lotnisk rój barwnych helikopterów brzęczących wysoko na tle bezchmurnego nieba. W dole, wśród zieleni bulwaru, spacerowali liczni przechodnie, po estakadach ulic pędziły sznury pojazdów, lśniących i kolorowych, by zniknąć, jakby z niechęcią, w ciemnej czeluści tunelu.

Widok ten nie wpłynął kojąco na Harry'ego, przeciwnie — wzmógł jeszcze nastrój przygnębienia i niechęci, który jakby utrwał się w głębi jego rozbudzonej zaledwie ze snu, artystycznej duszy. W porannym pesymizmie nie było oczywiście nic dziwnego, bo czyż można się dziwić, że wrażliwa na piękno dusza artysty smuci się nie mogąc w pełni smakować rozkoszy dnia? I to w dodatku z powodów tak rozpaczliwie przyziemnych, jak brak kilku euroasów? To był skandal ciągnący się przez dni, tygodnie, ba, lata nawet, zważywszy, że zarobione przypadkowo pieniądze natychmiast zniknęły, rozwiewały się jak mgła, jak fatamorgana. Żeby stanąć na nogi, przerwać tę ciągłą pogoń za drobnymi, trzeba by napisać przynajmniej nowelowizję o trzydziestoprocentowym wskaźniku nowości lub powieściotwór o dwudziestoprocentowym wskaźniku. Utwór powinien przy tym pachnieć świeżością formy i treści. Ba, łatwo to powiedzieć, lecz zrealizować diablo trudno, zważywszy, że już bardzo starożytni stwierdzili: „nihil novi sub sole”^{*}.

A jednak!

Smętne oblicze Harry'ego nagle się ożywiło.

— Eureka! Eureka! — zawołał. — Oczywiście nic nowego, z wyjątkiem coraz to nowych teorii, konstrukcji, maszyn, urządzeń!

Technika i nauka! Oto surowiec do produkcji nowelowizji, świeżych jak ciepłe bułki z automatu. Kamień węgielny i krynica wszelkich przemian, duch sprawczy wiodący od krzemiennej siekierki do kosmolotu! Właśnie z tego można zrobić źródło tryskające sławą i euroasami... No, w ostateczności wystarczą same euroasy, nie należy być zbyt wymagającym. Jedna jest tylko teraz rzecz konieczna — pośpiech. Już dawno udowodniono, że wśród piętnastomiliardowej ludzkości myśl, która powstaje w jednej głowie, rodzi się równocześnie w kilkunastu innych mózgach, na wszystkich kontynentach Ziemi i licho wie gdzie jeszcze. Wprawdzie z twórczością było nieco lepiej, lecz czyż można mieć pewność, że w tym samym momencie inny pisarz, powiedzmy na Grenlandii, nie wpadł na ten sam pomysł? Myśl ta wywołała pewne wahanie i przyływ pesymizmu, jednak Harry szybko się z tego otrząsnął i przystąpił do energicznego działania.

Przed wszystkim trzeba było dokonać wyboru odpowiednio atrakcyjnego kierunku nauki, a potem rozejrzeć się za związaną z nim najnowocześniejszą technologią.

Okazało się, że sprawa tylko pozornie nie nastrecza żadnych kłopotów. Chociaż Harry włączał coraz nowe klawisze odpowiednich sekcji kondensatora myślowo–twórczego — to jednak trudno było z urządzeń coś wydusić. Odpowiedzi były irytująco dwuznaczne, można by z nich wnioskować, że każdy kierunek nauki jest równie ważny, atrakcyjny, pełen wszelkich możliwości technicznych. Komputer twierdził nawet, że filozofia, co było oczywiście bzdurą, ma również przed sobą szerokie perspektywy. Wyłączywszy więc kondensator myślowo–twórczy,

^{*} Nihil novi... (łac.) — nic nowego pod słońcem.

Harry zdecydował się na podjęcie decyzji całkiem samodzielnie.

— Najlepsza będzie stara, szanowana, a równocześnie stale rozwijająca się nauka: cybernetyka, połączenie nowoczesności z tradycją.

Wcisnął włącznik automatycznego sekretarza.

— Słuchaj, AS, zajrzyj do kartoteki osobowej i powiedz mi, czy któryś z moich znajomych pracuje w jakiejś fabryce o profilu cybernetycznym, w jakimś instytucie, laboratorium. Tylko żeby to było możliwie blisko, bo nie mam czasu na bieganie po peryferiach.

Sekcja automatycznego sekretarza zamigotała i po sekundzie zachrypiał głośnik.

— Allan Porkey, starszy konstruktor w fabryce komputerów matematycznych, dzielnica dwunasta, bulwar Tangensów.

— Skąd go znam?

— Przez pół roku uczył pana do instruktora przedszkolnego.

Propozycja ta nie zyskała aprobaty Harry'ego.

— Co ty mi tu za piasek sypiesz?! Do diabła z taką znajomością! Masz tam jeszcze kogoś? Tylko bez kawałów, to ma być porządna znajomość, zrozumiałeś?

— Tak jest, proszę pana — warknął służbiście głośnik AS-a. — Mamy w zapasie Jamesa Crofta, dyrektora produkcyjnego laboratoriów Wytwórni Aparatury Cybernetycznej, skrót i znak wywoławczy WACYB. Chodził z panem przez dwa tygodnie do pierwszej licealnej.

Harry zatrząsł się z oburzenia. Albo automatyczny sekretarz ma zwarcie, albo też po prostu nie zaskakują styki wybieraka kanałowego. Należy energicznie wkroczyć w tę zabawę.

— Tam do licha! — uderzył pięścią w obudowę sekcji AS-a. — Jeśli chodziliśmy przez dwa tygodnie do szkoły, to skąd Croft może mnie pamiętać?!

— Pamięta pana na pewno — zapewnił skwapliwie AS. — W tym czasie miał pan z nim dość ostre zatargi, a takie zdarzenia mają tendencję do utrwalania się w centrach pamięciowych.

— Wolałbym, aby tego właśnie nie pamiętał — mruknął niechętnie Harry żalując, że nie chodził z Croftem na przykład na węgry. — Mamy tam jeszcze kogoś?

Automat wymienił trzy nazwiska, lecz osoby te pracowały na Księżycu i Marsie, co z miejsca wykluczało ich przydatność. Pozostawał więc jednak James Croft, kandydatura o niewyraźnej jakości, można by powiedzieć: dwuznaczna, chociaż biorąc właśnie tę drugą stronę pod uwagę, to znaczy stronę hierarchii funkcyjnej i zawodowej, nadzwyczaj cenna. Sprawę pogarszał fakt, że Harry nie tylko nie pamiętał twarzy Crofta, lecz również przypomnieć sobie nie mógł, czy wychowawcze zabiegi, jakie wobec niego stosował, miały charakter łagodnego napomnienia czy też — co byłoby o wiele groźniejsze — surowej perswazji. Podobizna Jamesa nadesłana z kartoteki miejskiej na ekran wideofonu niczego nie ułatwiła. Z jarzącej się tafli spoglądał mężczyzna o marzących oczach i nieco puciołowatych policzkach, ale z potężnie rozwiniętą szczęką, która bynajmniej nie nasuwała skojarzeń o owczej łagodności charakteru kandydata.

Z mieszanymi uczuciami Harry opuścił mieszkanie i podążył w stronę domowego lotniska, gdzie stały taksówki powietrzne.

Drzwi rozsunęły się i Harry przekroczył próg gabinetu. Sala była duża, pełna jarzących się ekranów i schematów produkcyjno-organizacyjnych pulsujących światłami i wykresami kontroli. Pośrodku, pod maleńką kopułą, stał półokrągły pulpit sterowniczy, za którym urzędował James Croft.

— No, to wyłączcie tego gruboskórnego bałwana i dajcie Toma. Powinno się udać, jest bardzo delikatny. Sam widziałem, jak płakał, gdy Wenus Star strzelił gola Lunie United. Bierzcie się do roboty. W razie czego meldować. Koniec.

Croft wyłączył wideo i spojrzał pytająco na przybysza.

— Zapewne mnie nie poznajesz — powiedział Harry. — Jestem twoim kolegą...

— Ależ poznaję, jakże mógłbym zapomnieć! — entuzjazmował się Croft, kordialnie rozkładając ręce. — Jestem zaszczycony wizytą...

Harry mniej był zachwycony świetną pamięcią dyrektora laboratoriów Wytwórni Aparatury Cybernetycznej, szczerze mówiąc, cieszyłby się, gdyby Croft pomylił go z jakimś innym znajomym, ot, z przyjacielem trzeciej kategorii, z jakimś osobnikiem o bardziej neutralnej przeszłości, jeżeli chodzi o ich wzajemne stosunki.

Liczył jeszcze trochę na to, lecz dalsze słowa rozwiały ostatnie nadzieje.

— Pamiętasz, Harry, jak obieś mnie? — ciągnął rozpromieniony James, ruszając dość dwuznacznie szczęką troglodyty. — Zazdrosny byłeś o Katy z jedenastej b, chociaż, prawdę mówiąc, interesowały mnie wówczas jedynie tranzystory.

— Zupełnie nie pamiętam — Harry uśmiechem starał się pokryć zaniepokojenie. — Możliwe, że były między nami jakieś nieporozumienia, różnice zdań...

— Różnice zdań?! Ależ dokuczałeś mi okropnie, a w końcu sprąłeś mnie z wielką precyzją i wzmocnieniem!

Rozmowę przerwał natarczywy dźwięk wideo. Croft uśmiechnął się przepraszająco i pochylił głowę nad mikrofonem. Ku odległemu rozmówcy popłynął potok rozkazów, nakazów, poleceń, aby kogoś podłączyć, wyłączyć, wysterować...

Do Harry'ego zaledwie docierał głos koleżki–dyrektora. Całą jego uwagę zajmowała roztropna i możliwie obiektywna ocena powstałej sytuacji oraz ustalenie taktyki dalszej konwersacji.

— Ech, mógłbyś zapomnieć o grzechach młodości... — mruknął, gdy Croft znowu odwrócił się ku niemu.

— Mowy nie ma, pamiętać będę do końca życia i do końca życia zostanę twoim wdzięcznym dłużnikiem. Ty rozbudziłeś we mnie zainteresowanie cybernetyką.

„James chyba ma lekkiego fioła — zastanawiał się Harry. — To najwyraźniej mania prześladowcza wynikająca podświadomie z dawnego urazu psychicznego. Widocznie nie kłamie, musiałem 20 jednak solidnie wytłuc, może trochę za silnie. Ale cóż to za Katy, u licha?! Całkiem sobie nie przypominam, zresztą mniejsza z tym, należy się ratować...”

— Wybacz, drogi przyjacielu, ale jakoś nie mogę powiązać bijatyki z teorią informacji.

— Zaraz ci to wytłumaczę. Ktoś ci powiedział, że zalecam się do Katy, więc wzięłeś z pracowni odoryzator symultatywny, wycelowaleś we mnie... no i przez pięć godzin wydawało mi się, że żyję w atmosferze siarkowodoru. Informacja o mnie i o Katy była fałszywa, a postąpiłeś, jakby była prawdziwa. Następnego dnia zatem zacząłem się naprawdę do niej przystawiać, nawet z niejakim powodzeniem, i wówczas gdy opiekunorobot na chwilę odszedł, otrzymałem od ciebie lanie. Rozpuściłem więc plotkę, że rzucam Katy dla jej przyjaciółki Mary, plotka dotarła do ciebie i chociaż byłem wówczas z Katy w cukierence na lodach, nic mi się nie stało. Lecz następnego dnia plotka dotarła do Katy, która się wściekła i pobiegła do ciebie ze skargą, że niby ja ją napastuję. Wówczas zmieniłem szkołę humanistyczną na liceum matematyczno–fizyczne, zacząłem się zastanawiać nad tym, co mi się przytrafiło, czyli nad wpływem informacji na działanie prostych urządzeń o sprzężeniach zwrotnych, i tak, pomaleńku, zostałem dzięki tobie cybernetykiem. Pójdź w me ramiona!

Croft wstał i przycisnął osłupiałego gościa do swego laboratoryjnego płaszcza.

Po dłuższej chwili zdziwienia Harry postanowił skorygować swój sąd o Jamesie. Pierwsze wrażenie, jak dość często się zdarza, było mylne. Croft właściwie był całkiem sympatyczny, a jego dolna szczęka wcale nie miała topornych kształtów, tylko po prostu prawdziwie męski zarys, nie pozbawiony nawet pewnego delikatnego wdzięku.

Automat barowy podał butelkę szampana i nastrój spotkania zyskał jeszcze na serdeczności. Właśnie wtedy znowu zabrzączał wideofon. Prawdopodobnie jakieś doświadczenie przebiegało niezbyt pomyślnie, bo Croft, wysłuchawszy meldunku, nie ukrywał irytacji.

— Więc odstawcie Toma, jeśli się nie nadaje — wołał do mikrofonu. — Oto jaki z was pożytek! Nie, nie ma w projekcie błędu, to wy jesteście do niczego. No, no... Tak, spróbujcie z Bobem, on zawsze przestrzegał dyscypliny pracy. Meldować. Koniec.

Trzasnął wyłącznik. James uśmiechnął się.

— Bardzo przepraszam, ale znowu im tam nie wychodzi. Powiedz mi jednak, co ciebie sprowadza do WACYB-u!

— Chciałbym tu pracować — wyznał Harry. — Od pewnego czasu interesuje mnie nowoczesna technika, wiesz, te wszystkie przekładnie, kółka, zębaki...

— Rozumiem i pochwalam — uradował się James. — Dobrze, że nareszcie postanowiłeś wziąć się do jakiejś uczciwej roboty..

Harry zeszywniał. Ot, homo technicus, produkt epoki mechanicznych rozrywek. Już jako osesek montował zapewne radia tranzystorowe o bezpośrednim wzmocnieniu i elektroniczne proce. „Dla kogo ja się męczę, trudzę, tworzę te nowelowizje i satyrodziwy?! I tak wiadomo, że jedyną i istotną potrzebą kulturalną tego tworu jest oglądanie meczu w domowym wideo, a jedynym marzeniem — całodzienny program sportowy! A bodajbyś pękł! Za mało cię jednak tłukłem przed laty; oto są skutki litościwego stosunku do kolegów”.

— Nie zrozumiałeś mnie, James — rzekł pokiwawszy z ubolewaniem głową — ja chciałbym tutaj pracować jako literat.

Croft wytrzeszczył oczy, można by przypuszczać, że zobaczył marsjańską latającą ostrygą, po czym frasobliwie po masował szczękę.

— Wiesz, stary — odezwał się ze smutkiem — trudno będzie. WACYB nie ma takiego etatu. Jest wprawdzie dział pokrewny, bo wydajemy katalogi i instrukcje, lecz katalog lub instrukcja to sprawa bardzo poważna... hm, tego... chciałem powiedzieć: bardzo specjalistyczna. Te rzeczy piszą u nas wysoko kwalifikowani inżynierowie praktycy. Ale, ale, byłbym zapomniiał, jest jeszcze referat reklamy! Wydajemy czasem ulotki z krótkimi hasłami lub sloganami W rodzaju: „Autodojarka z WACYB-u doi sama”, „Barek z WACYB-u nie ściera trybów”! To oczywiście drobiazgi, ale może byś spróbował?

— Ja i slogany reklamowe?! — oburzył się Harry. — Mój talent, artyzm, moja wrażliwa natura odbierająca subtelne odcienie otaczającego mnie świata, moje uduchowanie — w zestawieniu z hasłem polecającym sterowany zdalnie rozeń!

James zakręcił się niespokojnie, najchętniej chyba rozpląnąłby się pod kopułą gabinetu lub skrył we wnęce pulpitu kierowniczego.

— Miałem jak najlepsze chęci — tłumaczył zawstydzony — ale doprawdy nie mam nic lepszego. To jest całkiem dobrze płatna posada: dwa euroasy miesięcznie. A tak po koleżeńsku mógłbym ci przydzielić jeszcze dodatek specjalistyczny w wysokości jednego euroasa.

Wiadomość o pensji wynoszącej trzy euroasy, zamiast wzbudzić wdzięczność, już dogłębnie oburzyła Harry'ego. Trzy euroasy! To były, łagodnie mówiąc, kpiny z prawdziwego twórcy. „Za kogo on mnie bierze?! Za łowcę trzyeuroasowej posadki w jakimś tam WACYB-ie? Cóż to za ubogi duchem człowiek”.

— Ej, James — roześmiał się — tobie się chyba zdaje, że do odwiedzin skłoniło mnie puste konto.

— Raczej tak — przyznał Croft. — Jakoś ostatnio nie słyszałem o twoich sukcesach.

— Nic bardziej mylnego — łągał Harry. — Moje konto wprost ugina się od euroasów. Ale mam nową koncepcję, która mnie pasjonuje — chcę pisać o technologii, o produkcji. Moim

bohaterem będzie proces dziania się, powstawania produktu finalnego w jego całej złożoności obróbki, hartowania, montażu... Będzie to nowa poetyka technologiczna, coś zupełnie świeżego, coś, co świat zadziwi.

Croft kiwał z powątpiewaniem głową, marszczył czoło, wreszcie spytał, w czym mógłby być pomocny.

— Po prostu chciałbym się zapoznać z procesem powstawania jakiegoś nowego przedmiotu o ciekawej technologii — powiedział Harry. — W razie czego wyjaśnisz mi sprawy trudniejsze. I to byłoby wszystko.

James, przestraszony, masował znowu szczękę, a nawet raz po raz niezbyt elegancko drapał się za uchem. Harry poczuł się dotknięty.

— Czyżbyś miał jakieś obiekcje?

— Tego po prostu nie da się zrobić — powiedział Croft. — A dlaczego, zaraz wyjaśnię.

Nacisnął jeden z licznych włączników. Na dużym ściennym ekranie ukazały się rzędy półek pnących się na wysokość kilku chyba pięter, a wypełnionych pudełkami przypominającymi starożytne książki. Ich grzbiety były ponumerowane oraz opatrzone różnymi symbolami literowymi, cyfrowymi lub znakami barwnego kodu.

— Oto fragment naszej technoteki — objaśnił James. — Jak widzisz, sprawia niezłe wrażenie, lecz z naszego punktu widzenia jest raczej skromna. W każdym z tych pudełek znajduje się co najmniej pół kilometra perforowanej taśmy z zapisem produkcyjnym. Otóż recepta na produkcję najprostszego urządzenia cybernetycznego zanotowana jest w kilkudziesięciu lub kilkuset tomach, natomiast gdy w grę wchodzi układy bardziej złożone, zapis obejmuje kilkanaście tysięcy tomów. Nikt z nas, inżynierów, nie wie dokładnie, co tam zakodowano, bo taśmy te przygotowują automaty, odczytują automaty, a czynności tam zaprogramowane wykonują także automaty. Konstruktor opracowuje jedynie ideę główną i podstawowe założenia projektowe. Resztę i optymalne warianty wybierają automaty. A więc, jak widzisz, jest to wiedza setek tysięcy uczonych utrwalona w pamięci komputerów.

— I nie można tego odczytać? — spytał niedowierzająco Harry.

— Ależ można — odparł Croft — tylko że z kilometrów perforowanej taśmy otrzymasz równie długi łańcuch wzorów i symboli matematyczno–chemiczno–fizycznych, których odczytanie jest także oczywiście możliwe, ale jeśli ktoś dysponuje nieśmiertelnością...

Rozmowę przerwał natarczywy dźwięk sygnału wideo i natychmiast na dużym ekranie ukazał się trójwymiarowy obraz zagniewanej twarzy.

— Naczelny — szepnął James usiłując ukryć za plecami napoczętą butelkę.

— Aha, szampana się popija, a robota leży — warknął naczelny. — Jakaś okazja czy co?

Croft wyjaśnił, że właśnie załatwia sprawy kadrowe i ma nadzieję na pozyskanie świetnego specjalisty do referatu reklamy.

— No proszę, nowy pracownik, w dodatku do reklamy — naczelny dyrektor WACYB—u cedził szyderczo słowa przez zęby. — Bardzo pięknie, wpierw jednak trzeba mieć co reklamować. Zrozumiano, Croft? Tracisz czas, gdy na montażu ucieka z konta fundusz premiowy! Zapominasz, że w komisji zasiada profesor York, członek Akademii Cybernetycznej i zaprzysiężony ekspert Zjednoczonych Zakładów Rakietowych. Za każdą godzinę płacimy tej pijawce euroasa, a siedzi już trzeci dzień.

— Nie można było wziąć kogoś tańszego? Może York zrobiłby coś w czynie społecznym?

— Bez zbędnej filozofii, Croft! — wrzasnął dyrektor. — Zapewniałeś mnie, że każdy z twoich inżynierów po przejściu specjalnego obozu kondycyjnego będzie wrażliwy jak mimoza. A właśnie dostałem meldunek, że ostatni z tych trutni też nie reaguje, wszyscy zachowują się jak drewno, jak kołki w płocie.

— Ależ, dyrektorze, pilnie uczęszczali...

— Dość tego, Croft! Włoczyli się po meczach bokserskich, zawodach na żużlu, zapijali się piwem. Żaden nie był w galerii sztuki ani na symfoniojękach, dramatozwidach, już ja ich znam. A teraz rób, co chcesz, za godzinę chcę usłyszeć pomyślne wieści. W przeciwnym razie — w dniu wypłaty nie zobaczysz ani jednego euroasa.

Twarz naczelnego zniknęła z ekranu i tylko echo jego głosu błąkało się jeszcze przez ułamek sekundy pod kopułą gabinetu.

Croft westchnął, opadł ciężko na poduszki fotela i tępo spoglądał w jakiś punkt ściany.

— Tajfun przeszedł — stwierdził Harry ze współczuciem.

James powoli podniósł głowę. Przypatrywał się przez chwilę Harry'emu nieobecny spojrzeniem. Nagle jakby się ocknął. Oczy mu błysnęły, ręka wykonała obowiązkowy masaż szczęki, wstał i, mrużąc z cicha, obejrzał dokładnie Harry'ego od trzewików po kosmyk włosów na głowie. Widocznie oględziny wypadły zadowalająco, bo Croft zatarł ręce, siadł za pulpitem i wyciągnął z niego jakiś formularz.

— Harry, jesteś artystą? Odczuwasz piękno przyrody, wzruszają cię trele kanarków, lubisz dramatośpiew i symfoniojęki?

— Dziwię się, James, że o to pytasz! — Harry był dotknięty do żywego podobnymi wątpliwościami. — Moja subtelna natura twórcy żywi się produktami kultury, tak jak ciało odżywia się na przykład jajecznicą, którą jadłem na śniadanie.

— Hm... A masz jakieś wykształcenie techniczne? No, powiedzmy, jakiś kurs techników— amatorów czy coś w tym guście?

— Z techniki znam tylko niektóre części mojego robota domowego — odparł Harry. — Kondensatory, cewki, wybieraki, zastawki ferrytowe i inne takie drobiazgi.

— Hm, trochę mało. Ale mniejsza z tym. Podpisz to: — Croft podsunął Harry'emu jakiś formularz.

Przyjmujemy cię na stanowisko inżyniera, specjalisty od bioprądów, z zadaniem sterowania rozruchem urządzenia XY-5. Oczywiście na trzydniowy okres próbny, z płacą ćwierć euroasa dziennie.

Ćwierć euroasa dziennie — tym już nie wypadało gardzić.

— Jesteś dobrym kolegą — Harry uściśnął serdecznie dłoń Jamesa. — Kiedy zaczynam?

— Natychmiast.

Wędrówka korytarzami nie trwała długo, w pewnym momencie rozsunęły się przed nimi drzwi i weszli do niedużej hali. Wypełniały ją maszyny różnej wielkości i kształtu stojące szeregami wśród wąskich przejść oraz rozmaitej grubości kable, wijące się pod belkami stropu. W centralnym punkcie pomieszczenia, na podwyższeniu, stał przezroczysty pawilon. Można było z niego objąć wzrokiem całą halę i zapewne sterować pracą urządzeń.

Podeszli do szklanej klatki. W jej wnętrzu kilku ubranych w białe płaszcze ludzi otaczało wysoki metalowy fotel i siedzącego w nim mężczyznę, który kiwał przecząco głową, rozkładając ręce gestem bezradności.

Croft i Harry weszli do środka.

Do Jamesa podszedł wysoki inżynier z zatroskaną twarzą.

— Słyszałem, Stew, że również Bob jest do niczego — burknął Croft na powitanie. — O, baranki moje, policzymy się za to, za obóz, za Capri, za Lazurowe Wybrzeże i wszystkie mecze w Neapolu i Rzymie! To ja mam za was piguły od naczelnego łykać? Witam szanownego pana profesora — Croft zwrócił się do znudzonego osobnika z siwiejącą bródką, ziewającego za stołem kontrolnym — jak tam przebiega eksperyment?

— Wynik zerowy — oświadczył brodacz walcząc najwyraźniej z ogarniającą go drzemką. — Ani jedna wskazówka nie drgnęła. Wystąpię do dyrektora o dodatek za nudną pracę.

— Mamy widoki na pomyślniejsze rezultaty — zapewnił szybko Croft. — Przyjąłem właśnie pracownika, z którym wiązę pewne nadzieje.

— Hm — mruknął profesor bez entuzjazmu.

— Harry, siadaj w fotelu! — zawołał Croft. — A ty, Stew, przygotuj wszystko do rozruchu. Reszta na stanowiska!

Harry usadowił się wśród pneumatycznych poduszek i wyciągnął przed siebie nogi. Właściwie wszystko udało się nadszpodziewanie pomyślnie — uzyskał wstęp na teren interesującego go zakładu, został w nim zatrudniony na bardzo korzystnych warunkach, a w dodatku bierze udział, jako centralna postać, w doświadczeniu, które niewątpliwie również da się spożytkować. Wprawdzie to, co się dookoła działo, było zupełnie niezrozumiałe, lecz oczywiście wkrótce już techniczny świątek nie będzie miał dla niego tajemnic, a wówczas on, Harry, spłodzi utwór nowy i genialny...

Inżynier Stew włożył Harry'emu na głowę baniasty hełm, z którego wybiegało mnóstwo kabli, a następnie wsunął mu na dłonie grube rękawice, do których również przyłączono pęk różnokolorowych przewodów niknących za tablicami wypełnionymi zegarami, sygnałami kontrolnymi i rozmaitymi czujnikami o niewiadomym przeznaczeniu. Inżynierowie i laboranci zasiedli przy pulpitych, a Croft opadł na fotel tuż przy brodatym ekspercie.

Zapadła cisza pełna oczekiwania, Harry czuł na sobie oczy wszystkich, lecz nic się nie działo.

— Słuchaj, James, co ja mam robić?

— Ty? Nic. To my pracujemy, ty masz tylko siedzieć i meldować. W tej chwili zakończyliśmy pomiar twoich bioprądów dla skorygowania algorytmu. A teraz, Harry, zamknij oczy, skup się maksymalnie i mów, co czujesz: czy cię coś swędzi, boli, drapie, gryzie... W ogóle wszystka.

Harry zacisnął powieki. Słyszał tylko cichy szum prądów płynących w urządzeniach pomiarowych i oddechy siedzących w pobliżu ludzi. Poza tym nie czuł nic, a raczej czuł, że chętnie by coś przekąsił, raczej coś solidnego w rodzaju sznycła z jajkiem i frytkami, bo poranna jajecznicza stała się już dość odległym wspomnieniem.

Zaczął się zastanawiać, czy zgrzeszyłby przeciw jakimś regulaminom pracy WACYB-u, gdyby teraz, w czasie doświadczenia, zażądał treściwej przekąski. Otworzył oczy.

— Czy pan coś czuje? — zapytał profesor.

— Absolutnie nic.

— Dziwne, bo wskazówka się odchyła — zauważył Croft pochylając się nad zegarami. — Naprawdę nic nie czujesz?

— Najzupełniej nic — zapewniał Harry. — Mam natomiast do ciebie prośbę. Czy mógłbyś zorganizować coś do jedzenia? Moje śniadanie było dość lekkostrawne.

Brodacz i Croft wymienili znaczące spojrzenia.

— Czuje pan zatem głód — stwierdził profesor. — A więc jednak coś pan czuje.

— Minęło południe, chyba mam prawo być głodny?! — wykrzyknął Harry.

Profesor skinął lekceważąco ręką.

— Ma pan o wszystkim meldować. O wszystkim! — dodał z naciskiem. — A wy, chłopcy — zwrócił się do inżynierów — podrzućcie no z tysiąc woltów na transformatory, bo nam biedaczek osłabnie z głodu.

Inżynierowie i laboranci zachichotali, co oburzyło Harry'ego dogłębnie. Gniew wzrastał w nim bardzo szybko; po chwili gotów był podejść do najtęższego dryblasza i, nie zważając na nic, dać mu solidną lekcję dobrego wychowania.

— Śmieszno tam komuś ? — spojrzął ku laborantom. — Bo mogę mu zmienić nastrój, jeśli bardzo tego pragnie. A ty, ty z tą bródką, tylko grzecznie ze mną, proszę uniesienie, bo nauczę szacunku.

— Bardzo przepraszam — skłonił się profesor — nie miałem zamiaru pana urazić.

Spojrzał potem przeciągle na Crofta i pokiwał głową.

— Tego efektu nie przewidzieliśmy — szeptał dyrektor. — To chyba działa dwustronnie. Każde wzmocnienie prądowe wyostri krzywą, więc poczucie siły również wzrośnie...

— Psst! — profesor położył palec na wargach, po czym z przymilnym uśmiechem zwrócił się do Harry'ego. — Czy szanowny pan jeszcze żąda obiadu?

— Nie, dziękuję — burknął Harry. — Te prostackie śmiechy i kpiny pozbawiły mnie apetytu. Mam zwyczaj jadać w kulturalniejszym towarzystwie.

Oświadczenie to wzbudziło groźny pomruk wśród personelu, lecz profesor zdołał załagodzić sytuację.

— Harry, zamknij oczy i mów, co czujesz — prosił zaniepokojony Croft.

— Dobrze, dobrze — mruknął Harry i opuścił powieki.

Zrobił to nie dla Jamesa, po prostu nie miał ochoty oglądać tych nieciekawych istot siedzących przy tablicach i pulpitych. Pociągał go świat inny, świat wewnętrzny, który w nieokreślony sposób rozrastał się w nim samym, z sekundy na sekundę stawał się większy i bardziej dojrzały, wypełniający się nieznanymi treściami, trudnymi do nazwania, będącymi jednak jakimś odpowiednikiem poczucia siły i pewności siebie. W następnym momencie Harry stwierdził, że świat ten przekroczył granice jego ciała, że nadal pęcznieje, obejmuje coraz szersze kręgi, jakby rozpychał dookoła tafle otaczającego kuliście mroku, że jest i zarazem nie jest nim samym...

— Co czujesz, Harry? — usłyszał natrętny głos Jamesa.

— Cicho bądź, jeśli łaska — syknął w odpowiedzi. — Mam chwilę kontemplacji i wsłuchuję się w siebie, co czasem się twórcom zdarza. Swoją drogą nigdy nie przypuszczałem, że posiadam tak bogaty świat wewnętrzny. Teraz zaczynam wypełniać nim całą tę halę.

— Co?

— Daj mi spokój, muszę się skupić, aby poznać siebie.

Świat wewnętrzny, a raczej dziwne uczucie rozprzestrzeniającego się jestestwa powoli ustawało, przechodziło w spokój, błogostan odpoczywającego olbrzyma, wygrzewającego się na piasku, rozkoszującego się doznawaniem zdrowia i drzemającej w mięśniach siły.

„Ej, u licha! — zastanowił się Harry. — Coś tu jednak nie jest w porządku. Stan, — owszem, przyjemny, lecz raczej, hm, nienormalny. Wprawdzie zawsze podejrzewałem, że istnieją we mnie siły ukryte, siły geniuszu i myśli, coś mi się jednak zdaje, że manifestować się one winny aktywnością twórczą, a nie lenistwem. To chyba jednak nie natchnienie, lecz jakieś sztuczki Crofta. Najgorsze w tym wszystkim, że zupełnie nie wiem, gdzie kończy się moje ja, a zaczynają się zjawiska spowodowane przez tych czcicieli zębatek i przekładni. No cóż, trzeba zapytać”. Harry niechętnie otworzył oczy.

— Hej, James, co to za doświadczenie? Czuję się tak, jakbym był tą całą halą wraz z maszynami i z twoją tablicą rozdzielczą.

Croft zatarł ręce, a profesor pogładził z zadowoleniem swoją spiczastą bródkę. Inżynierowie i laboranci notowali skrzętnie wyniki pomiarów.

— Jesteś podłączony elektrodami do tych urządzeń — wyjaśnił Croft. — Twoje ciało jest jakby przedłużone o całą tę część mechaniczną lub, jeśli wolisz, te maszyny są przedłużone o ciebie. Życie nie w symbiozie, lecz jesteście integralnymi częściami jednego techniczno-biologicznego tworu.

— Coś w rodzaju mechanicznego centaury?

— O, właśnie. Jesteś jego głową i układem nerwowym poszerzonym o komputer spełniający rolę drugiego mózgu. Oczywiście w tej chwili my kierujemy pracą całego układu, ale nadejdą czasy, że kierować takim agregatem będzie człowiek z nim zespolony.

— Ciekawe, ciekawe — mruzczał Harry. — Ale chyba teraz nie pracuję jeszcze, prawda, James?

— Nie czujesz tego?

— Czuję, że odpoczywam, ot, leżę sobie na słonecznej plaży.

— Bo jesteś pod prądem, lecz na biegu jałowym — wyjaśnił James. — Zaczнеш pracować, gdy przełączymy ciebie na bieg efektywny.

— A jaką właściwie maszyną jestem? Tokarką, frezarką...

— Jesteś rakieta kosmiczną, zespołem urządzeń napędowych na paliwo chemiczne. Masz pompy paliwowe, olejowe, masz sprężarki, system chłodzący, dysze, zastawki korekcyjne ciągu...

— O raju! — westchnął Harry. — Chyba wystartuję na Księżyc.

Croft roześmiał się.

— Nie ma obawy. To melodia niedalekiej przyszłości. Dopiero za kilkanaście lat wystartują pierwsze rakiety tak sterowane. A teraz popracujesz nieco, Harry, aby ten termin nie był dłuższy. Profesorze, oddaję go w pańskie ręce. Proszę go zatrudnić.

Brodacz skinął głową i przesunął jakąś dźwignię na pulpicie. Harry nagle wrzasnął.

— Co się stało? — profesor popatrzył ciekawie.

— Ktoś mnie kopnął — jęknął Harry masując rękawicą pośladek.

— Interesujące! — Profesor cofnął dźwignię i znowu ją szybko przesunął.

— Auu! — wrzasnął Harry.

— Bardzo pana przepraszam, to tylko szybkie włączenie starteru — mruknął brodaty członek Akademii Cybernetycznej. — Musiałem sprawdzić tę reakcję. Cała nauka opiera się na doświadczeniu i na sprawdzaniu wyników.

— Mam w nosie pańskie tłumaczenia!

— Jestem członkiem Akademii i wymagam, aby zwracano się do mnie z szacunkiem.

— Nic mnie to nie obchodzi! Kopnij no mnie jeszcze raz, łobuzie, a wstanę i tak cię doświadczalnie trzepnę, że nie będzie trzeba żadnej kontroli wyników.

Od tablic rozdzielczych nadbiegł pobladły Croft.

— Ależ panowie! Proszę się pogodzić — błagał. — Harry! Dla dobra cywilizacji trzeba znieść niejedną dolegliwość. Czy mam ci cytować nazwiska osób, które złożyły najcięższe ofiary dla tego wielkiego celu?

— Przestań pleść, James! W naszej umowie nic nie ma o kopniakach.

— Harry, to była pomyłka. Dostaniesz specjalną premię uznaniową. Złóż tę drobną dolegliwość na ołtarzu nauki.

— Dobrze, dobrze, tylko niech mnie ten członek Akademii nie kopie — mruknął łaskawie Harry, którego nieco udobruchał „ołtarz nauki”. — Mam swoją godność. Niech mnie pan, profesorze, włącza do rozruchu w sposób odpowiedni do stopnia mej wrażliwości.

— Zrobię to z największą delikatnością — zapewnił profesor York. — A teraz proszę zamknąć oczy i przekazywać nam wrażenia.

Tym razem rozruch był bezbolesny. W Harrym zbudziła się jakaś siła, jakby gdzieś w hali, wśród maszyn, rozprostowywał ramiona heros szykujący się do wykonania nieznanego jeszcze, lecz potężnego dzieła. Moc ta mogła zmieść mury hali wraz z tym śmiesznym szklanym kioskiem, mogła rozbić i zniszczyć wszystko w promieniu pół kilometra. Harry wiedział, że

mógłby wyzwolić z siebie siłę ciągu, która zaniósłaby go na Marsa, znał jej wielkość... chociaż równocześnie nic z tego nie rozumiał.

„Włączyli mi chyba jakąś sekcję komputera — medytował — bo skąd bym wiedział o tym Marsie i o zapasie paliwa, którego ciężar wynosi siedem tysięcy sześćset ton. Najdziwniejsze jest jednak to, że czuję te maszyny, tak jakby mi wyrosły jakieś nowe organa wewnętrzne, ręce, palce, nogi. Nie wiem nawet, które z tych urządzeń odpowiada danemu uczuciu. Czy ta lewa, czy prawa maszyna wywołuje wrażenia, że mam chwytny ogon? Chyba York wie coś na ten temat”.

— Halo, profesorze! Która z maszyn jest moim ogonem?

— Czym?

— Ogonem. Jedno z tych urządzeń, czuję to, jest jakby moim ogonem.

Pytanie zrobiło mocne wrażenie zarówno na członku Akademii, jak i na Crofcie oraz reszcie personelu. Profesor był zachwycony i zakłopotany zarazem, co wyraził subtelnym cmokaniem oraz bezradnym rozłożeniem rąk.

Croft zaniepokoił się.

— Profesorze, rozumie pan coś z tego?

— Ależ oczywiście — brodacz był bliski euforii. — To nadzwyczajne potwierdzenie mojej teorii. Prądy sterujące maszyn, po przetworzeniu na bioprądy pilota, szukają ośrodków dyspozycyjnych w najmniej obciążonych centrach mózgu. Są to przede wszystkim miejsca, które kiedyś sterowały narządami będącymi obecnie w zaniku lub w formie szczątkowej.

— No, to wszystko jasne — ucieszył się Croft — możemy kontynuować. Koledzy, jazda na stanowiska! Teraz, Harry, włączmy bieg pracy, co równa się próbie sprawności silnika rakiety na stanowisku startowym. Nie zapomnij mówić o wszystkim, co czujesz.

— Dobrze, dobrze, będę meldować...

Harry zamknął oczy. Świadomość, że jest częścią olbrzymiego systemu napędowego, jego mózgiem, okiem i uchem, była przeżyciem niezwykle intrygującym. Wprawdzie siedzenie na wysokim fotelu, z głową w dziwnym hełmie, z dłońmi w rękawicach przypominających łapy dawno wymarłych zwierząt, było nieco śmieszne — jakież dziwne jednak doświadczenia i sytuacje musi czasem przeżyć twórca, aby mogło powstać dzieło artystycznie głębokie i pełne ekspresji. Jeśli się przy tym dodatkowo pożywi także nauka, to chyba można już mówić o podwójnej satysfakcji.

James wydawał polecenia, coś się tam działo przy tablicach, ktoś, chyba Stew, odliczał wstecznie: „siedem, sześć, pięć...” Wreszcie padło sakramentalne słowo: „zero”.

Harry natychmiast poczuł mrowiący ból w stawach kolanowych.

— Boli mnie kolano.

— Mocno?

— Można wytrzymać... och!... zakłuła mnie wątroba... drą mnie reumatycznie mięśnie przedramienia...

— Spokojnie, spokojnie, to przejdzie.

— Auu! — wrzasnęła nagle Harry otwierając oczy.

— Co się dzieje? — profesor uniósł brwi i spojrzał znad instrumentów pomiarowych. — Proszę się nie wiercić w fotelu.

— Oooo, oooj... Mam chyba atak nerkowy! Auuu, co za paskudny ból... Ależ mnie rozrywa! Wyłączcie natychmiast to świństwo! — Harry usiłował wstać z fotela.

— Sekundę, tylko sekundę! — wołał Croft przytrzymując go na poduszkach. — Zrozum, to nie ciebie boli twoja nerka, lecz któraś z tych maszyn ma drobny defekt. Przestań więc krzyczeć i skup się, zastanów spokojnie... Może zdołasz wskazać tę maszynę. Która to?

— Diabli wiedzą! Och, och, co za parszywe klucie, oj, oj... Wyłącz natychmiast te przekłete

mechanizmy!

— Chwileczkę, wytrzymaj jeszcze chwilę — ręka Jamesa przygwoździła Harry'ego do fotela.
— Chłopcy! Sprawdzić wykresy pracy maszyn! Ale już! Profesorze, które urządzenie może być odczuwane jako nerka?

Profesor spojrział ku sufitowi i przymknął oczy.

— Hmm, muszę się zastanowić, Croft. Przede wszystkim trzeba uzyskać dodatkowe dane. Niech ten człowiek się uspokoi i powie wreszcie coś więcej...

W Harry'ego uderzył ładunek bólu, bezzwzględnego, tępego... Wrzasnął, skoczył na równe nogi, poczuł rękę Crofta trzymającego go mocno za ramię, krzyknął: „puść!”, nie poskutkowało, więc według wszelkich prawideł ringu posłał go jednym ciosem rękawicy „na deski”. Podobny los spotkał interweniującego członka Akademii, a potem Stew znalazł się na podłodze... Harry poza ohydny, skręcającym go bólem czuł w sobie moc wszystkich pracujących w hali maszyn. Nadbiegający ludzie cofnęli się z trwogą... Bania hełmu potoczyła się pod komputer, ciągnąc za sobą różnokolorowe kable... za nią poleciały ciśnięte rękawice... Ból minął, zniknął, rozplątał się tak nagle, że trudno było uwierzyć w jego istnienie przed ułamkiem sekundy.

Harry nie czekał — runął w drzwi laboratorium, przeskoczył stopnie schodów i pognął ku wyjściu...

Pótleżąc w fotelu, melancholijnie spoglądał na panoramę miasta. Nie widział jednak ani iglicowców śródmiejskiego centrum, ani kolorowych reklam kreślonych światłem na ciemniejącym już błękitnie nieba. Chwile radości i absolutnego szczęścia, jakich doznał po ucieczce z WACYB-u, rozwiały się już dawno, pozostawiając po sobie osad smutnej refleksji na temat nie osiągniętych celów. Na WACYB i Crofta liczyć już nie należało, jak również na poznanie interesującej technologii. Samo wspomnienie bólu związanego z siedzeniem na poduszkach doświadczalnego fotela było tak nieprzyjemne, że Harry z góry już wiedział, iż przez kilka najbliższych lat nie zdoła się zmusić do przekroczenia progu nawet fabryczki marmolady. A więc żegnaj, sławo! Żegnajcie, wiekopomne dzieła, żegnaj, nowy kierunku twórczości literackiej, produktywizmie klasyczny, zamordowany przeciwnościami losu.

Smutne rozmyślania przerwał sygnał automatycznego sekretarza.

— Co tam znowu?

— List do szanownego pana od niejakiego Crofta...

— Ten łotr ośmiela się do mnie pisać?

Harry podszedł do AS-a i wyjął z wnęki korespondencyjnej złożoną kartkę.

Drogi przyjacielu! — pisał Croft. — Chciałem Ciebie przeprosić za doznane przykrości, lecz że opuściłeś nas tak szybko, mogę uczynić to tylko listownie.

Harry nie bez pewnej satysfakcji pomyślał, że James boi się go — mógł oczywiście to samo powiedzieć przez wideo lub złożyć telewizytę. Ale wiedział, że Harry by mu naurągał.

Szczegółowa analiza zapisu pracy maszyn wykazała, że Twoje dolegliwości kostno-stawowe były niedotarciem wału korbowego w układzie pomocniczego silnika sekcji III, natomiast ostry atak nerkowy — to wynik braku synchronizacji sprężarki przy filtrze paliwowym dyszy głównej. Nie obawiaj się więc o stan tego narządu, jesteś zdrowy, po prostu bolała Ciebie sprężarka. Chciałbym tutaj podkreślić Twój doniosły, choć krótkotrwały wkład w rozwój cybioniki, lecz chyba jest rzeczą zrozumiałą, że po tym, co zaszło, z prawdziwym żalem musimy zrezygnować z Twojej tak cennej dla WACYB-u współpracy. Sprawa z profesorem Yorkiem została załatwiona, więc nie będziesz musiał stawać przed sądem. Twoja należność, wraz z wszelkimi premiami i nagrodami, wynosi dwa euroasy. Po zastanowieniu się jednak nad Twoją sytuacją finansową, o której wspomniałeś, i nikłością tej kwoty w stosunku do położonych zasług — postanowiliśmy nie przekazywać na Twoje konto tej śmiesznie niskiej ilości euroasów, lecz złożyć Ci oficjalne i

publiczne podziękowanie.

*Zawsze oddany dłużnik i przyjaciel
James Croft*

Harry zgniół kartkę i cisnął ją do kosza. Ot, kanalia! Zadysonował euroasami, i to w dodatku po zastanowieniu się nad jego sytuacją finansową! Powrócił na fotel i znowu pogрузzył się w zadumie.

— A może by tak napisać o człowiekomaszynie? To chyba nawet nie jest głupie — wyszeptał w zamyśleniu. — Można by nazwać ten kierunek literacki centauryzmem cybernetycznym. Tego na pewno jeszcze nie było...

Przeszedł do pracowni, usiadł przy konceptorze i z zapalem wziął się do konstruowania nowelowizji. Zatyłował ją: „O człowieku, którego bolała sprężarka”.

MODEL SUPERNOWEJ

Zmierzchało. W sensie astronomicznym. Błąkałem się już od dłuższego czasu, dokładniej — od zachodu słońca, wśród starych kamieniczek, odwiedzając zaciszne zaułki, a teraz nie spiesząc się zmierzałem poprzez ogromny, na wpół dziki park do Obserwatorium.

Jesienny wieczór. W każdym sensie. Powoli stąpając nadśluchowałem szelestu traw, rozmów liści upodobniających się już swą barwą do słońca. Nadchodzi taka chwila, że nie mając więcej siły, by przyodziewać lipy, dęby, wiązy, miękko i bezszelestnie padają na ziemię.

Cicho. I niemal pusto — zaledwie kilka zakochanych par, chociaż to złota jesień; może właśnie dlatego kilka?

Jeszcze parę kroków i wychyłałem przed bramą Obserwatorium misternie w znaki zodiaku rzeźbioną. Sam budynek — okazały i dostojny wiekiem — tonął w ciemności, tylko na pierwszym piętrze, spoza źle dosuniętej kotary, sączyło się nikłe światło świadczące, iż są tu ludzie. Światło dochodziło z Centrum Maszyn Obliczeniowych. Panowała w nim niepodzielnie grupa Henryka; zajmowała się modelowaniem procesów zachodzących w gwiazdach.

Niebo z fioletowego stawało się czarne. Wysoko, niemal w zenicie, rozkładał swe skrzydła do lotu majestatyczny Łabędź (*Cygnus*). Obok ostro jaskrawym, białobłękitnym blaskiem kłula wzrok Wega (α Lyrae — jasność $0^m,0$, typ widmowy AO). Niżej, ku południowi, lśnił gwiazdozbiór Orła (*Aquila*). Tam też biegł trakt Drogi Mlecznej, coraz wyraźniej wyrysowując się na bezksiężycowym niebie.

Ściemniło się zupełnie, całkowicie. Dnia, który był, już nie było — odszedł bezpowrotnie. „Terazniejszość istnieje tylko jako kategoria gramatyczna” — powiedział ktoś, realnie istnieje przechodzenie przyszłości w przeszłość, nieustannie i uniwersalnie, i nic poza tym nie ma.

Nie było powodu do pośpiechu. Mój program obserwacji przewidywał początek fazy minimum gwiazdy zmiennej zaćmieniowej, oznaczonej w Katalogu Gwiazd Zmiennych symbolem XV Lac (okres $1^d,07450$, jasność $10^m,9$ do $11^m,3$, typ widmowy FO), dopiero za mniej więcej godzinę. Lecz kopuły nie stały puste: inni obserwatorzy, Inne programy. Gwiazd jest dość (około stu miliardów w Galaktyce).

Otwarłem cicho drzwi wejściowe; drzwi do gabinetu natomiast zaskrzypiały przeraźliwie. Stare, wysłużone. To taki ich reumatyzm — skrzypią. Nacisnąłem niechcący oba naraz wyłączniki i pokój zalała gwałtowna jasność. Zmrużyłem z niezadowoleniem oczy — nie lubię przed obserwacjami zbyt silnego światła.

Wygaszam połowę. W sam raz. Przeglądam notatki, wykresy, zeszyt obserwacyjny... Czasu wciąż wiele. Cisza i spokój. Noc pogodna. Momentalnie wszystkie troski dnia powszedniego ulatniają się bez śladu.

Biorę kredę i rozpisuję na tablicy krakowian symetryczny (K duże) — rektyfikuję orbity „moich” gwiazd metodą najmniejszych kwadratów Gaussa–Banachiewicza. Mógłbym to policzyć wepchnąwszy w maszynę cyfrową odpowiedni program, lecz lubię czasem zmagać się sam z problemem, niby banalnym, a wciąż jednak ciekawym. Zresztą maszyny zajęte są obecnie do „wyższych celów”. Koledzy teoretycy modelują.

Huknęły gdzieś drzwi, zatupotały czyjeś szybkie kroki, potem pukanie, skrzypnięcie i...

Henryk, a ktoś by inny! Wpadł do gabinetu, wypełniając go od razu niecierpliwością młodego badacza–teoretyka. Zakreślił się, obejrzał wypisany na tablicy krakowian, zatarł ręce.

— No, dziś próba generalna. Albo, albo... Powinniśmy _dostać_ pierwsze wyniki. Program —

bez zarzutu!

— Nareszcie — wpadłem mu w słowo. Umilkł. I zaraz znowu rozgadał się.

— Nie masz pojęcia, co to za męka ułożyć taki program. To nie to, co metoda najmniejszych kwadratów. — Machnął lekceważąco ręką w stronę tablicy. — Obserwujesz? — zapytał, bardziej z grzeczności niż z zainteresowania, i już mówił ponownie o swym problemie.

Słuchałem go z roztargnieniem. Znałem tę sprawę nie od dziś przecież. To chyba mnie pierwszemu, podówczas jeszcze w tajemnicy, zwierzył się Henryk ze swojego pomysłu. Wyznał wtedy, że znudziło go programowanie dróg ewolucyjnych gwiazd o różnych masach: a to 10,3 masy Słońca, to znów 0,71 M_{\odot} ... „Zamyśliłem wymodelować coś, czego jeszcze nikt nie próbował. Nie jakieś tam wolnozmiennie procesy rozłożone na miliardy lat! Nie! Interesują mnie procesy szybkie, gwałtowne! Policzę model supernowej. Nikt, nikt tego jeszcze nie podjął się, a ja mam już główną ideę programu...” — tak wtedy mówił rozgorączkowany, a ja, znając jego zdolności i zapał do pracy, wiedziałem, że nie spocznie, dopóki nie dopnie swego. Zażartowałem tylko, aby nie przedobrzył, co skomentował głośnym wybuchem śmiechu. Ogarnęła nas wtedy taka wesołość, że mówić zaczęliśmy o wszystkim i o niczym, aż rozmowa zesłała na temat nie mniej pasjonujący—gwiazd ziemskich. Mijały miesiące. Problem okazał się trudniejszy, niż Henryk przypuszczał, lecz on nie rezygnował i uparcie ponawiał szturmy. Niemal zupełnie zablokował swymi pracami czas maszynowy, dostał do pomocy dwoje magistrantów i modelował programując, wprowadzając najdziwniejszą informację w pamięć maszyny, modyfikując wielokrotnie program: zarówno jego założenia, jak i sam algorytm, posunął się nawet do tego, że przebudował aparaturę. Nie wystarczała mu maszyna cyfrowa, zażądał maszyny analogowej, twierdząc, że niczego nie jest za wiele dla takiego programu, po czym zmienił nie do poznania Centrum Obliczeniowe. Ustawił dodatkowy pulpit sterujący wyposażony w ekran i jeszcze jedną optimę. Wyskalowany ekran dawał graficzne przebiegi obliczanych funkcji, a jednocześnie optima drukowała wartości liczbowe. Pulpit był analizatorem wyników i zarazem specjalnym hipermikserem na obwodach scalonych, w którym dokonywało się mieszanie i porównywanie rezultatów uzyskanych z obydwu maszyn: cyfrowej i analogowej. Następnie dzięki sprzężeniom zwrotnym dane i wyniki jeszcze raz — naprzemiennie lub równocześnie — przekazywane były maszynom elektronicznym, w celu wykonania następnej iteracji. I tak bez końca. Dodatkowy pulpit obrastał w podzespoły, a rezultaty ciągle były mało zadowalające.

I teraz Henryk po raz enty relacjonował $n+1$ pomysł, tym razem — według niego — definitywny.

— Jutro — mówił — jutro...

Nie dowiedziałem się, co ma być jutro, bowiem sam mu przeszkodziłem zadawszy impulsywne pytanie.

— Dlaczego nie postarałeś się policzyć najpierw efektywnie, co byłoby prostsze przecież, modelu nowej?

Żachnął się.

— Po co? Model supernowej jest ogólny. Gdy wyliczy się go, nie będzie już żadnych problemów z policzeniem wszystkich innych procesów erupcyjnych, a nawet pulsacyjnych. Nowopodobne cefeidy, gwiazdy rozbłyskowe, gwiazdy typu Mira Ceti — wszystko to będzie można wyprowadzić z tego ogólnego przypadku! — zapalał się znowu.

Nagle chwycił się za głowę.

— Muszę już iść! — krzyknął. — Znowu napsują coś beze mnie.

Machnął ręką i wybiegł trzasnąwszy z rozmachem drzwiami.

Zapalam papierosa (w kopułach nie wolno palić!) i przysiadłszy na brzeżku biurka, kontempluję rozpisany schludnie krakowian. Potem parę przekształceń — więcej na razie nie zdążę. Rzut oka na zegarek upewnia mnie, że pora by już iść. Jakby ociągając się, wychodzę. Nurtuje mnie coś, jakiś problem, jakaś myśl. Ale jaka? Dochodzę do pierwszego piętra, zbliżam się do okna. Nie, pogoda stabilna, żadnych niespodzianek w postaci chmur, obłoczków.

Przytulam czoło do szyby. Szkło jest przyjemnie chłodne. Tak. Zaraził mnie Henryk — to przecież problem modelu supernowej tak mnie nurtuje, a raczej zbliżające się jego rozwiązanie. „Zajrzę do nich na chwilę” — postanawiam.

Odrywam wzrok od rozgwieżdżonego nieba, odwracam się, zmierzam do Centrum. Staję w drzwiach, lecz nikt mnie nie dostrzega.

Henryk związał się przy pulpicie. Odkręcił z nadbudowanego nad ekranem „unianalizatora ostatecznej odpowiedzi” — jak go ongiś żartobliwie nazwał — tarczę czołową i po milisekundzie zastanawiania się wymienił kilka podukładów. Następnie zakrzyknął na magistrantów, by mu podali kolbę lutowniczą i śledzili odczyty na wskaźnikach, natychmiast donosząc o każdym wahnięciu napięcia, prądu, mocy... Sam zaś wsadził lutownicę we wnętrze aparatury i coś tam przelutowywał, klnąc przy tym z cicha. Przysmażył widocznie izolację — po pomieszczeniu rozszedł się cikiwy zapach, od którego kręciło w nosie. Nie zwrócił na to najmniejszej uwagi, zadowolony wyraźnie z dokonanej przeróbki. Odstąpił o krok od pulpitu, jakby lubując się swoim dziełem, odłożył lutownicę, otrzepał ręce i, nie zakładając tarczy czołowej, wydał polecenie niczym kapitan na okręcie:

— Cała moc!

— Jest, cała moc — powtórzył jak echo magistrant. Rozjarzyły się wskaźniki neonowe, zapulsował ekran, słysząc było delikatne brzęczenie, optima zaterkotała przez chwilę jak karabin maszynowy, wypluła same zera i umilkła. Henryk, bacznie obserwujący pulpit, już miał podać następną komendę, kiedy nagle na ekranie pojawiły się trzepoczące krzywe i rozległo się przytłumione buczenie. Zaniepokojony magistrant popatrzył pytająco na Henryka, ale ten pokręcił przecząco głową.

Buczenie ucichło. Słysząc tylko było niewyraźny szelest, jakby ktoś przesiewał piasek przez palce.

I nagle, w absolutnej ciszy, pojawił się wewnątrz otwartego analizatora świecący punkt — jaśniał, potężniał, rósł, rozdymał się... Wskaźniki mocy gwałtownym skokiem wyszły poza skalę, inne miały się rozpaczliwie, neonówki migotały jak potępieńcze ogniki, z głośnym hukiem strzelił główny wyłącznik-bezpiecznik, pogasły wszystkie światła w całym budynku i tylko z wnętrza analizatora biła potwornie rozdęta białobłękitna jasność.

Henryk stał jak sparaliżowany, magistranci, osłaniając oczy od nagłego rozbłysku, kulili się w swych fotelach.

„Słowo... ciałem” — szeptał ktoś natrętnie (i jakby ze zdziwieniem) w moim mózgu.

Punkt zaczął szybko słabnąć, z białobłękitnego stał się żółty, potem przybrał wiśniową barwę, jeszcze parokrotnie rozbłysnął regularnymi sekwencjami, lecz bez porównania nikłej, aż zgasł całkowicie.

Wirujące, tęczowe koła przed oczyma.

Miarowo kapiąc ściekało stopione wnętrze aparatury. Ile tam mogło być? Sto tysięcy stopni w ciągu dziesięciu milisekund na ćwierć milimetra sześciennego? Wszystko w porządku: stadium prenowej (te zera!), wybuch, wtórne relaksacje, zgaśnięcie...

Zapalam latarkę. Henryk stoi nieporuszony, mrugając bezradnie oczyma.

Trzasnęły jakieś drzwi. Kroki. Szybkie kroki.

— Panie Henryku! Co pan tu wyprawia? Odwracam się i odpowiadam zamiast Henryka:

— Nic wielkiego, panie profesorze. To tylko koledzy–teoretycy skutecznie wymodelowali wreszcie supernową.

UCZNIOWIE PARACELSUSA

Dobb skręcił w wąską aleję wiodącą do Instytutu. Wielki, prostokątny gmach jarzył się w porannym słońcu srebrem aluminiowych listew i opraw okiennych. W hallu owionęło go chłodne powietrze niez mordowanie regenerowane przez klimatyzatory.

Jak co dzień uprzejmie skinał głową portierowi otwierającemu drzwi pneumatycznej windy i rażnym krokiem wszedł do obszernej kabiny.

Gabinet i prywatna pracownia Dobba znajdowały się na dwudziestym drugim piętrze. Specjalnie ubiegał się o jak najwyższe położenie „swego kąta” — lubił podczas pracy podziwiać piękne okolice wokół Instytutu.

Centralny Instytut Biofizyki położony był tuż za miastem, na małym wzgórzu. Ostry, sześciograniasty słup gmachu, świetnie wkomponowany w otoczenie — wapiennych skałek z lekka tylko porośniętych niskimi krzewami, widać było już z daleka. Jednakże tylko nielicznym udawało się wpisać na listę pracowników. Elitarny niejako status Instytutu, nimb tajemnicy spowijającej prowadzone tu badania, nieliczne wreszcie wiadomości, jakie wydostawały się stąd na zewnątrz, żywo pobudzały wyobraźnię młodych ludzi wstępujących na drogę nauki.

Dobb znał ich — pełnych zapału do pracy, doszukujących się w każdym słowie, w każdym grymasie symptomu tajemnicy czy zapowiedzi wielkiego odkrycia. Wolał jednak — przynajmniej do swojej grupy — dobierać ludzi starszych. Ich doświadczenie, opanowanie i praktyka były dla niego lepszą gwarancją niżeli zapał młodych. A w ogóle... W ogóle najlepszymi, jak dotąd, współpracownikami okazywały się cyfrony.

Profesor pamiętał — jeszcze z czasów studiów — że kiedyś, kilkadziesiąt lat temu, trzeba było ponoć istotnie zmienić wygląd zewnętrzny cyfronów. Bowiem na początku, kiedy to jeszcze roboty nie miały powszechnego zastosowania, ambicją konstruktorów było upodobnienie ich w sposób jak najdoskonalszy do człowieka. Jednakże, kiedy owo ciągle udoskonalanie zaczęło powoli doprowadzać do coraz przykrzejszych omyłek i nadużyć, pod presją opinii publicznej — a zwłaszcza jej najbardziej konserwatywnych przedstawicieli — przyszło z tych ambicji zrezygnować. Od tego czasu cyfrony powróciły do swego pierwotnego wyglądu: rozłożystych, długorekich stworów z wielkimi głowami, zdolnymi pomieścić centralne ośrodki sterowania oraz zespoły czujników.

Wyszło zresztą to ustępstwo konstruktorom na dobre, dalsze udoskonalanie automatów przebiegało znacznie prościej i cyfronom rychło przybyły nowe, jeszcze doskonalsze podzespoły neuronowe.

Od porannych rozmyślań oderwał Dobba głos jego asystenta, Björna.

— Dzień dobry, panie profesorze! Są już wyniki syntezy. Chyba znów nici. W każdym razie brak jakichkolwiek reakcji na impulsy symulatorów. Czy wpadnie pan przejrzeć wyniki nocnych pomiarów?

— Tak, za chwilę. Może pan przez ten czas sprawdzi jeszcze taśmy.

Björn wyszedł. Dobb oparł czoło o chłodną szybę. „Znów nic. To chyba naprawdę jest fałszywa droga...” — pomyślał.

Drzwi do laboratorium neurofizyki były uchylone. Kiedy Dobb zamykał je za sobą, uderzyło weń ciepłe, wilgotne powietrze; znajoma od tylu lat atmosfera laboratorium poczynała mu ostatnio ciążyć.

Nad stołem paliła się mała lampka. Dostrzegł taśmy symulatorów pokryte cienkimi liniami

zapisu impulsów symulacyjnych; automatycznie, co pół godziny, generował je komputer. Impulsy te zasilaly okładki małego przepustu w kształcie kondensatora cylindrycznego; przez przepust regularnie — również co trzydzieści minut — przetłaczane były próbki złożonych struktur białkowych, wśród których poszukiwanej jednej: aksonu, włókna nerwowego mającego stanowić ukoronowanie ich badań.

Spojrzał na taśmy, były podzielone na równe odstępy ostrymi szpilkami zapisu impulsów symulatora. Pomiedzy nimi — tam gdzie było miejsce na upragnioną odpowiedź aksonu — taśma była idealnie czysta.

Dobb potarł czoło wierzchem dłoni i cicho powiedział: — Björn, niech pan weźmie kilka cyfronów, żeby oczyściły pompy i zbiorniczki w symulatorze. Weźmie pan nowe próbki, które przygotowali Davis i Misner. Trzeba sprawdzić, czy zgadza się test na kod. A potem... Od początku. Gdybym był potrzebny, znajdzie mnie pan w laboratorium.

Kiedy Björn wyszedł, Dobb mimowolnie raz jeszcze obejrzał taśmy na stoliku, rzucił okiem na symulator i skierował się do wyjścia.

W drzwiach natknął się na trzy cyfrony, które niespiesznie minęły go i zniknęły w laboratorium.

Właśnie wchodził do gabinetu, gdy włączył się autofon.

— Profesor Dobb! — zabrzmiał czysty głos cyfrowa-sekretarza.

— Tak, słucham! — rzucił niechętnie.

— Jest pan proszony do gabinetu profesora Tayamy. W miarę możliwości szybko.

— Dobrze, proszę powiedzieć, że zaraz będę.

— Dziękuję — ekran zgasł.

Idąc do windy, Dobb zastanawiał się już nad kolejnym wykrętem, który usprawiedliwiłby przed dyrektorem Instytutu następne niepowodzenie. Nie wiedzieć czemu Dobb był pewien, iż wiadomość o klapie doszła już do Tayamy. Takie wieści rozchodziły się lotem błyskawicy. Nie było w tym zresztą nic niezwykłego, wszyscy tu żyli tymi doświadczeniami. To one właśnie miały zaważyć na powodzeniu całego przedsięwzięcia. „Znowu będę się zwijał!” — pomyślał ze złością.

Zanim wszedł do gabinetu, wygładził na sobie wyświechtany garnitur i przybrał — na wszelki wypadek — minę mającą w jego mniemaniu oznaczać, że kolejne fiasko było jedynie przewidywanym ryzykiem i w niczym nie naruszało toku badań.

— Proszę, niech pan siada — powiedział na powitanie Tayama.

„Chyba jest wyjątkowo wściekły” — pomyślał Dobb. Znacząco chrząknął, dając w ten sposób do zrozumienia dyrektorowi, iż jest gotów do rozmowy.

— Słyszałem, panie kolego, że wasz kolejny eksperyment znowu się rozjechał? Czy nie uważa pan, że jak na dziewięć lat badań nie jest to najlepszy omen?

— Ależ, panie dyrektorze, te badania są...

— Tak, wiem, kolego, wiem — Tayama pokiwał ze zrozumieniem głową. — W pełni jestem świadom znaczenia tych badań. Nie sądzi pan chyba, że trzymając w kupie cały ten interes nie orientuję się w znaczeniu tego, co się tu robi. Ale widzi pan, to za długo trwa, panie kolego, za długo!

Dobb uczynił gest... lecz i tym razem Tayama był szybszy.

— Widzi pan, kolego, u mnie już od kilku miesięcy leży projekt Misnera, pańskiego współpracownika. Otóż Misner całkiem zmyślnie przekształcił pańską teorię, rzekłbym... hm... zreformował ją i proponuje zmienić metodę sieci cyklicznych. Rozumie pan: chodzi o dopasowanie się do kodu. Zresztą on sam lepiej to panu wyjaśni. Otóż... — Tayama przerwał nagle, widząc, jak Dobb blednie.

— Chyba nie zrozumiałem, panie dyrektorze! Jak to się stało, że mój współpracownik, od sześciu czy siedmiu lat pracujący u mego boku, wyniki swych prac doręcza nie mnie, lecz panu?

Tayama był wyraźnie zakłopotany. Po chwili zastanowienia, mniej już pewnym tonem, odparł:

— Ta-ak... Bo, w gruncie rzeczy, kolego, to ja nakłoniłem go do przekazywania mi wyników. Widzi pan, moim zdaniem, pan z pewnością bardziej wierzy w rezultaty swoje niżli w kogokolwiek innego. No — zastrzegł się nagle — to jest oczywiście zupełnie naturalne! Ale nam jednak zależy na zmianie, przynajmniej okresowej. Rozumie mnie pan, prawda? Musimy popробować innej drogi, jeśli tylko takowa istnieje. Być może właśnie badania Misnera...

Dobb przerwał całkiem już obcesowo:

— W porządku, chyba się rozumiemy. Wprowadźcie takie metody pracy nie napawają mnie zachwytem, ale ostatecznie jest to sprawa pańska, nie moja. Chciałbym jednak prosić o udzielenie mi jeszcze krótkiego czasu na dokończenie tego cyklu badań. Później laboratorium oddam do dyspozycji Misnera.

Tayama był wyraźnie zadowolony z takiego obrotu sprawy.

— Oczywiście, panie kolego, oczywiście. Przecież tak się znowu nie pali!

— Wobec tego to chyba wszystko? Do widzenia.

— Do widzenia... A jakby jakieś kłopoty, profesorze, to proszę jak zwykle do mnie...

Dobb odwrócił się od drzwi I raz jeszcze, z przekąsem, rzucił:

— Do widzenia. A na kłopoty już chyba nie będzie ani czasu, ani okazji, panie dyrektorze!

Dobb, wsparty o stół, beznamiętnie obserwował cyfrony wymieniające pojemniki w symulatorze, skalujące samopisy i synchronizatory. Trzeci cyfron stał odwrócony do niego tyłem i w nikłym świetle wskaźników obserwował znaki kodu wystukiwane na taśmie monitora maszyny cyfrowej.

To był ów słynny kod aksonów odkryty przez Dobba. On opracował tablice sekwencji impulsów emitowanych przez aksony poddawane działaniu pobudzeń akustycznych, świetlnych lub elektrycznych. Sekwencje te — ściśle uzależnione od natężenia i charakteru pobudzenia, pozwalały na jego rozszyfrowanie przez ośrodek sterujący żywego organizmu. Teraz tylko pozostawało zbudować taki akson. Sztucznie.

Laboratoria ukończyły już swoje badania i szlifowały uzyskane wyniki — wyniki nie niewarte, pozbawione najważniejszej cechy ludzkiego organizmu: struktury nerwowej.

Cyfron półgłosem oznajmił:

— Test na kod aksonów ukończony. Wszystkie próbki dały pozytywne wyniki wstępne, czy uruchomić symulator?

Dobb potarł czoło.

— Nie, nie trzeba — powiedział po chwili zastanowienia. — Sam to zrobię. Idź do doktora Misnera i powiedz, że rozmawiałem z Tayamą. Za miesiąc może wejść na symulator. A na razie jest wolny od pracy przy moich doświadczeniach. Asystenci też, resztę prób przeprowadzę sam.

Był już pewien, że i te próby się nie powiodą. Spojrzał na zegarek. Późno, Anna znów będzie się złościć, że nie było go na obiedzie.

Starannie założył próbki do symulatora i uruchomił zespoły analizatorów. Wskazówki samopisów drgnęły i poczęły kreślić na wolno sunących taśmach ledwie widoczne w mroku, cienkie linie.

Raz jeszcze rozejrzał się po laboratorium i rzucił przez ramię do jednego z cyfronów:

— O drugiej zmiana parametrów symulacji. Zostawcie wszystko tak do mojego przybycia. Po zmianie możecie odejść. Gdyby mnie jeszcze szukano, jestem w mieście — na uniwersytecie; w

domu będę koło dziesiątej wieczorem.

Słońce wisiało już nisko nad horyzontem. Zamierzał właśnie pchnąć drzwi wyjściowe, kiedy ktoś nagle uchwycił go za ramię. Wyrwany z niewesołych rozmyślań obejrzał się niechętnie. Stał za nim stary portier Grey.

— Panie profesorze — powiedział szeptem. — Pan pozwoli na chwilkę... Na chwilkę tylko.

— Słucham, panie Grey, słucham — wymruczał Dobb.

Portier jednak wymachiwał ręką dając znaki, by Dobb odstąpił od drzwi i wszedł do oszklonego kantorka. Tam dopiero drepczący przodem staruszek zwrócił się ku niemu i nieco głośniejszym głosem zaczął mówić:

— Widzi pan profesor, bo ja to już dawno miałem panu powiedzieć! Tylko nie wiedziałem, czy to nie pan... Więc ja jednak...

Dobb zniecierpliwiał się.

— No, panie Grey, niechże się pan uspokoi! Co się stało ?

Staruszek zbliżył pomarszczoną twarz do oczu Dobb'a.

— Tam, u pana profesora, palą w nocy światło! — wyszeptał. — Już ze dwa razy widziałem! Myślałem, że to pan profesor, specjalnie patrzyłem. Ale gdzie tam! Pan wychodził — a nie przychodził! Znaczący: ktoś inny, pomyślałem sobie...

Dobb był wyraźnie zaskoczony.

— U mnie? W, laboratorium? — spytał.

— Nie! Przecież pan profesor kazał w laboratorium zasłony umocować — odparł przejęty Grey. — W gabinecie pana profesora!

— Ach tak... Może zapomniałem zgasić światło? Ostatnio zapominam o różnych rzeczach.

— Niemożliwe, panie profesorze. Jakby tak, to ja bym przecie widział. Zawsze wieczorkiem obchodzę naokoło, od razu by było widać. Nie! Tam najpierw jest ciemno, a później ktoś świeci! Specjalnie patrzyłem.

— To czemuż pan, panie Grey, nie poszedł tam na górę! Zobaczyłby pan, co się tam dzieje.

— Jakże nie, panie profesorze! Byłem! Ale tam cały korytarz jest zamknięty. Od wewnątrz.

— Kto by się tam miał zamykać, panie Grey? Od wewnątrz? Po co?

— A, tego to ja nie wiem — pokręcił głową staruszek. — Nie wiem. Ja tak sobie...

Dobb, wyraźnie już zniecierpliwiony, spojrzał na zegarek.

— Wie pan co? Jakby pan jeszcze kiedyś coś takiego zauważył, to proszę mnie zawiadomić. Będę chyba w domu. Przyjadę wtedy tu do pana i szybko znajdziemy sprawcę. No, a teraz muszę już pędzić na zebranie.

Portier był urażony. Nie spodziewał się tak słabego wrażenia. Pokręcił głową i, mruczając coś pod nosem, otworzył przed Dobbem drzwi.

Zebranie było, jak zwykle, niemiłosiernie nudne i Dobb musiał przywołać całą siłę woli, żeby wysiedzieć na nim do końca. Przez cały czas nie mógł się uwolnić od myśli o rozmowie z Tayamą.

Wbrew pozorom nie szło mu o urażenie ambicji zawodowych i konieczność oddania laboratorium — po tylu latach badań — swojemu uczniowi. Miał do Tayamy żal o co innego. Te badania powinny się były zakończyć jakimś wynikiem — negatywnym lub pozytywnym — ale jakimś zdecydowanym! Żeby nie było miejsca na złudzenia; bo nie ma nic gorszego niż resztki złudzeń podsycające wyobraźnię, a niemożliwe do sprawdzenia. I Dobb był pewien, że nie nadszedł jeszcze czas ogłoszenia upadłości jego teorii.

Z ulgą powitał słowa przewodniczącego, które wyrwały go z nieprzyjemnej zadumy:

— Sądę, jeśli nikt spośród zebranych nie zamierza już zabrać głosu w dyskusji, że wolno mi będzie zgłosić wniosek o zakończenie obrad na dziś.

Zebrani zgodnie przychyliłi się do wniosku i już po chwili Dobb był na ulicy. Sunące powoli chodniki przenosiły w obie strony tłumy ludzi. Przepchnął się przez barwną ciżbę i podjechał do przystanku traggera. Pojazd bezgłośnie ruszył z miejsca i zamyślony Dobb nie zauważył nawet, kiedy znalazł się pod domem.

Mimo że Anna usiłowała wydobyć z niego powód złego humoru, Dobb nie dał się sprowokować do rozmowy. Szybko zjadł kolację podaną przez cyfrona i położył się do łóżka obłożony, jak zwykle, książkami. Nigdy nie udawało mu się przejrzeć ani połowy, sama jednak ich obecność dodawała mu otuchy podczas rozmyślań.

Wyobrażał sobie, co się teraz o nim mówi w Instytucie. Z pewnością wieszali na nim psy. Ostatecznie wyniki prac innych laboratoriów są bezwartościowe dopóty, dopóki Dobbowi nie uda się uzyskać aksonu. Rząd, łożący ogromne dotacje na prace Instytutu, objawiał coraz większe zniecierpliwienie. Brak oczekiwanych rezultatów opóźniał program badań transgalaktycznych. Tysiące przetestowanych i wielokrotnie badanych kandydatów od roku czekały na spełnienie obietnic Instytutu.

Dobb zastanawiał się nieraz, czy Ich wysiłki zmierzające do zbudowania idealnych protez — sztucznie stworzonych z białka rąk, mózgow, nóg nie były czasem utopią. Po co ulepszać ludzi wylatujących w Kosmos? Po co dawać im szansę większe niżli te, jakie dała sama natura? „Człowiek z lepszym mózgiem!” — samo takie stwierdzenie brzmiało już upiornie. Czasem był wdzięczny opatrności, że to nie on jest za ten pomysł odpowiedzialny. Z pewnością ci z Instytutu Medycyny Kosmicznej mieli swoje racje, ale...

Delikatne buczenie autofonu przerwało tok myśli profesora. W ciemności odnalazł jarzący się przycisk i ekran rozbłysnął barwnym obrazem. Dobb ujrzał przejętą twarz Greya.

— Słucham, panie Grey? Zaświeciło się? — spytał.

— Właśnie, panie profesorze, właśnie! Szedłem sobie przy ogrodzeniu, aż tu patrzę: błysnęło i zgasło. Najpierw myślałem, że mi się zdawało. Ale nie, za chwilę znowu błysnęło i teraz już świeci...

— Więc co, panie Grey? Chce pan, żebym przyjechał, tak?

— Jakby pan profesor był łaskaw... Pan profesor ma swój klucz, można by zajrzeć, zobaczyć... może ja bym jeszcze po doktora Misnera albo pana Davisa, żeby kilku...

— Nie trzeba, panie Grey — przerwał mu ostro Dobb. — Sam przyjadę i zobaczę. Nie warto robić szumu, niech pan na mnie zaczeka, będę za pięć, może dziesięć minut.

Dobb pośpiesznie wstał z łóżka i ubrał się. Zeskakując po dwa stopnie zbiegł do haJlu i szybko skreślił na kartce kilka słów wyjaśnienia dla Anny, gdyby się obudziła. Po chwili już wsiadał do helikoptera.

Przy bramie, tuż obok lądowiska, czekał na Dobba portier. Nawet w nikłym świetle księżyca można było dostrzec jego przejętą twarz i grymas zniecierpliwienia.

— Chodźmy, panie profesorze, szybko! Sam pan profesor zobaczy!

Obeszli gmach zatrzymując się dopiero przed jego tylną ścianą; Dobb zadarł głowę. Hen, wysoko, w jednym z segmentów jarzyło się dzienną poświatą szerokie okno. Szybko przeliczył wzrokiem piętra, przeskakując po dwie metalowe listwy. To było rzeczywiście dwudzieste drugie.

— Tak... — przyznał w zamyśleniu. — To mój gabinet.

Nagle odwrócił twarz w stronę Greya i powiedział:

— Niech pan idzie do siebie, Grey. Ja wejść z panem, po czym zamknie pan oba wejścia:

główne i zapasowe. Zaczeka pan na mnie na dole. Gdyby ktoś chciał się stąd siłą wydostać, proszę uruchomić urządzenie alarmowe. Ja pojedę na górę...

— Może ja bym jednak z panem profesorem? Tak by było...

— Nie, pojedę sam — przerwał mu sucho Dobb.

Weszli do hallu. W czasie gdy Grey sumiennie zamykał drzwi, profesor wszedł do windy i nacisnął guzik.

Drzwi do korytarza, w którym mieściły się laboratoria i gabinet, były zamknięte. Rzeczywiście nie ustępowały pod naciskiem klamki. „A więc jednak?” — przemknęło mu przez głowę. Zaczął nerwowo przetrząsać kieszenie ubrania w poszukiwaniu kluczy. Znalazł je wreszcie i dobrał odpowiedni do wewnętrznej zasuwki. Zamek cichutko zgrzytnął i po chwili drzwi bezgłośnie się rozsunęły.

W korytarzu panował mrok — wszystkie pomieszczenia były zamknięte. Dobb skierował się w stronę swego gabinetu, u którego drzwi leżała cienka kreska światła. Nagle, gwałtownym ruchem, otworzył je. Chciał zaskoczyć tajemniczego intruza, ale w gabinecie nie było nikogo — pozostały jedynie ślady czyjejś bytności. Otwarta kasetka z mnemokryształami, rejestr zapisów na biurku.

Dobb podszedł do otwartej szafki i szybko przebiegł wzrokiem po półkach. Bez wątpienia brakowało kasety z zapisami kodu aksonów. Szło więc o aksony.

Spokojniej już wyszedł na korytarz. Za drzwiami laboratorium panowała cisza. Powoli nacisnął klamkę.

Przed monitorem, obrócony tyłem do wejścia, stał nieruchomo cyfron. Krępa sylwetka z nienaturalnie wielką głową była ledwie widoczna w gęstym mroku laboratorium, rozjaśnionym tylko światełkami wskaźników na pulpicie.

„Kto u licha kazał mu liczyć? — zdziwił się Dobb. — W środku nocy?”

W tym jednak momencie ciszę przerwało buczenie perforatora — rozpoczynało się wyprowadzanie wyników. Cyfron drgnął i zwrócił głowę w stronę aparatu. Dobb cicho zamknął drzwi i zaczął się zastanawiać. W pierwszej chwili miał ochotę zapytać po prostu cyfrona, co to wszystko oznacza? Doszedł jednak do wniosku, że „płosząc” pracodawcę automatu, mógłby się nigdy nie dowiedzieć, jaki był cel tego wszystkiego. A zaczynało go to coraz bardziej intrygować.

„Muszą jednocześnie prowadzić jakieś doświadczenia na symulatorze. Inaczej wyprowadziliby dane na taśmę magnetyczną — perforator jest stosowany tylko do pracy z symulatorem...” — rozważał dalej.

Nieoczekiwanie drzwi do laboratorium otwarły się i Dobb ledwie zdążył uskoczyć w cień, nim drugi cyfron wyszedł z pomieszczenia. Skierował się spokojnie ku głównym drzwiom korytarza i odsunął sztabę. Kiedy zamknął drzwi za sobą, Dobb wyskoczył zza rogu i rzucił się w ślad za nim. Dostrzegł jeszcze niknącą za oszklonymi drzwiami kabinę windy towarowej. Bez namysłu zaczął liczyć rozbłyśki światełka sygnalizacyjnego. Mógł w ten sposób — choćby w przybliżeniu — doliczyć się piętra, na które zjeżdżał cyfron.

„...dwadzieścia... dwadzieścia jeden... dwadzieścia dwa! A więc parter albo podziemia! — zdecydował. — Parter odpada, bo baliby się Greya. Więc najpierw do piwnic”.

Podbiegł do drugiej windy.

Drzwi do podziemia były rzeczywiście otwarte. Nagle zrobiło mu się nieswojo. Lodowate powietrze, mdłe, niebieskawe światło, rzędy jednakowych niebieskich drzwi w pustym korytarzu i echo niepewnie stawianych kroków. Przyśpieszył i skręcił w lewo — do drugiego skrzydła. W pewnej chwili wydało mu się, że z daleka dobiegł doń jakiś dźwięk; płacz jakby czy skowyt

raczej. Zatrzymał się nagle i wytrzymał słuch, mimochodem przysmykając oczy. Na tle absolutnej, lodowatej ciszy, zwielokrotnionej pogłosem pustych korytarzy, usłyszał cichy, płaczący bełkot powoli przechodzący w jednostajny, zamierający jęk.

Gwałtownie ruszył w tamtą stronę. Początkowo biegł, ale odgłosy kroków szybko stłumiły dochodzące doń dźwięki i — w obawie, że zgubi ślad — zwolnił. Był już w centrum włości cyfronów. Kiedy skręcił raz jeszcze, w korytarz oddziału „kliniki cyfronów”, dobiegł go raptem — tym razem już czysty i wyraźny — jęk. Dobb zatrzymał się. Dźwięk doszedł z prawej strony, z końca korytarza. Podszedł jeszcze kilka kroków, teraz stawiając je już bezgłośnie, i dostrzegł, że ostatnie drzwi przed załomem były na wpół uchylone; na przeciwległej ścianie korytarza i granatowej płycie podłogi kładła się jaśniejsza smuga światła. Ostrożnie zajrzał do środka przez szeroką szczelinę...

Jasny pokój ambulatorium zastawiony był pięcioma łózkami otoczonymi aparaturą reanimacyjną, symulatorami, automatami dozującymi płyn fizjologiczny, sztuczną krew i płyny rewitalizacyjne. Na pierwszym łóżku siedział dziwny, człekokształtny stwór. Ogromna bezwłosa czaszka z silnie cofniętym czołem, pokryta drobniutką siatką błękitnych żyłek wyraźnie rysujących się na tle jasnej, prawie przezroczystej skóry, ciężko opadała na wątlą pierś... Równie wątlą, niedorozwiniętą jakby, ręka swobodnie spoczywała na krótkich nogach, bezwładnie zwisających z niskiego przeciw łóżka.

Dobb zaszokowany obserwował, jak Istota owa zwrócona ku niemu bokiem kiwała się jednostajnie — w tył i w przód, w tył — i znów do przodu... Powolnym, wahadłowym ruchom towarzyszyły nieprzyjemne, płaczące dźwięki. Wielka głowa, której nie była w stanie utrzymać cienka szyja, wykonywała dziwne, nieskoordynowane ruchy.

Także i na sąsiednich łózkach dostrzegł Dobb Istoty podobne do pierwszej. Tamte jednak leżały, całe pokryte przewodami kroplówek i dozomierzy. Na rozjarzonych ekranach symulatorów wiły się bez końca obrazy encefaloskopowe. Trwał proces preanimacji.

Dobb ocknął się. Szok był tak silny, że jeszcze w tej chwili nie byłby zdolny do zrozumienia tego, co zobaczył. Jedno tylko nie ulegało wątpliwości: istoty były stworzone sztucznie, z martwych protez białkowych, leżących w innych pracowniach i oczekujących na ożywienie po odkryciu aksonów. Więc jak powstały te stwory? Bez aksonów? Absurd. Ten, kto je zbudował, musiał wcześniej zbudować akson.

Raptem za plecami Dobba otwarły się drzwi. Zupełnie podświadomie uskoczył za załom korytarza. Stojąc teraz po przeciwnej stronie, w cieniu, ostrożnie wychylił głowę.

Do ambulatorium wszedł cyfron. W wąskiej szparze widział jeszcze, jak cyfron brutalnie pchnął pojękującą istotę na łóżko i jął przymocowywać ją pasami. Zza ramienia pochylonego cyfrona można było jeszcze dojrzeć, że druga, niewidoczna do tej pory ręka stwora była całkiem inna: długa i chuda.

— I co, panie profesorze? Co? — staruszek był półprzytomny z ciekawości.

Dobb z trudem pokrywał obojętną miną zdenerwowanie.

Zmusił się jednak do spokojnej odpowiedzi.

— No cóż, panie Grey... Tak jak się spodziewałem, koledzy postanowili mi zrobić niespodziankę. Znaleźli wreszcie to, czego od tylu lat szukaliśmy; nie chcieli mi tylko od razu powiedzieć. Ale dzięki panu, panie Grey, wiem teraz wszystko...

— No jakże, panie profesorze, ja muszę... Jakże inaczej? To mój obowiązek panu profesorowi... — portier promieniał.

— Tak, rozumie się, panie Grey. Tylko, widzi pan, sprawa nie jest jeszcze dopracowana, potrzeba na to paru dni. Chciałbym, żeby pan na razie nikomu ani słowa, rozumie pan? Wszyscy

tu na to czekają, to ma być i dla innych niespodzianka, dla Tayamy...

— Oczywiście! Oczywiście! — zachnął się portier. — To się rozumie! Dopóki pan profesor nie uzna za stosowne, ja nic nie widziałem! Ja to rozumiem — zbliżył twarz do ucha profesora. — Tajemnica! — szepnął konfidencko. — Rzecz jasna: ta-jem-ni-ca! Ale — pokręcił głową i bezgłośnie zachichotał — to się pan dyrektor Tayama będzie radował! Tyle się biedaczek nafrasał, naczekał. No, ale mu się teraz wynagrodzi. Dzięki panu profesorowi! Ja zawsze...

Dobb przerwał medytacje portiera.

— Tak, jasne, panie Grey. Tylko na razie: ani słowa! Tak jak się umówiliśmy. Świeci się, nie świeci — pan tego nie widzi, nic pan nie wie. A ja też o panu nie zapomnę. Zresztą wpadnę tu jeszcze dziś po południu lub wieczorkiem. Pewnie nieraz... — Dobb rzucił okiem na zegarek. — No, na mnie już czas. Dobranoc panu i dziękuję. Czujny z pana człowiek, panie Grey, czujny! — pochwalił na koniec nie posiadającego się z dumy staruszka.

Mimo kolosalnego zmęczenia nie zasnął już do świtu. Nie było teraz zresztą czasu. Musiał coś zdecydować. A przede wszystkim w ogóle zrozumieć. Jedno tylko nie ulegało wątpliwości. Ktoś wiedział już, jak zbudować akson. Bez tego żaden mięsień, żadna cząstka istot, jakie ujrzał, nie mogła ożyć.

Nie potrafił jednak zrozumieć, kto spośród znanych mu w Instytucie neurofizyków miałby jakkolwiek interes w prowadzeniu aż tak utajonych badań. Zmuszać się do pracy w podziemiach nie przystosowanych do prowadzenia doświadczeń i przebywania ludzi? W dodatku, jak to Dobb od razu zauważył, w ambulatorium pracowała aparatura dawno już usunięta z pracowni Instytutu. Tak więc dziwny badacz, na którego zlecenie pracowały cyfrony, musiał sobie zadać wcześniej trud renowacji aparatury i uzupełnienia jej odpowiednio przeszkolonymi cyfronami.

No i wreszcie — co najważniejsze — po diabła budował te nieszczęsne istoty? Makabryczny żart? Nieprzemyślane doświadczenie? Może obłąd, idée fixe?

Kim był? Albo niezupełnie normalny, albo...

Tak, ta myśl przyszła mu właściwie do głowy jeszcze wtedy w podziemiach. Ale odpędził ją wówczas od siebie, tak wydawała mu się absurdalna. Teraz musiał jednak przyznać, że to ona właściwie podyktowała mu decyzję o zachowaniu tego wszystkiego w tajemnicy i podjęciu obserwacji z dystansu.

Zerwał się z łóżka i jął nerwowo przeszukiwać kartotekę mikrofilmów, szepcząc:

— „Teoria automatów w ujęciu topologicznym”... Nie dam rady. „Teoria automatów nieliniowych”... Stare... „Zagadnienia metapsychologii automatów nieskończonych” — psiakrew, żeby coś takiego, ale dla skończonych!

Zniechęcony spojrzął na zegarek. Pół do siódmej. Powinien już wstać. Zresztą...

Podszedł do automatu i wybrał numer Higgsa. Znał go dawno, jeszcze od czasu studiów.

Na ekranie dopiero po dłuższej chwili ukazała się zasnana twarz.

— Cześć, Seymour! Przepraszam, że trochę wcześniej cię zrywam, ale mam bardzo ważną sprawę... — powiedział Dobb.

— No... Powiem ci szczerze, że dla mnie żadna sprawa, nawet wagi państwowej, nie stanowi usprawiedliwienia dla tak niehumanitarnego okrucieństwa. Ale co mam zrobić? Wal!

Higgs jeszcze wyraźnie spał. Jedyne leniwe ruchy ręki gładzącej kark zdradzały resztki świadomości.

— Więc słuchaj, Seymour, mam do ciebie pytanie. Czy twoim zdaniem cyfrony są zdolne do kombinowania czegoś za plecami człowieka, bez jego wiedzy?

Higgs szerzej otworzył oczy.

— Zaraz... Co? Tak, no jasne, że mogą! Inaczej nigdy by cię nie mogły zastąpić. To chyba

nietrudno wymyślić? Jeśli tylko po to mnie zry...

Dobb gwałtownie mu przerwał:

— Słuchaj mnie do końca i przestań się wybierać do łóżka, bo i tak cię obudzę! Chodzi mi o coś zupełnie innego! Chcę wiedzieć, na ile cyfrony są zdolne do samodzielnych przedsięwzięć, nie mających nic wspólnego z ludzką działalnością!

Teraz Higgs już uważał. Przebudził się i w zamyśleniu tarł nie ogolony podbródek przysłuchując się Dobbowi. Kiedy ten skończył, Higgs zapytał:

— To znaczy, chcesz wiedzieć, czy one nie mogłyby nagle, w tajemnicy przed człowiekiem, zacząć chodzić do autowizjonów? Albo grać w karty?

— Tak, na przykład. Albo nawet coś poważniejszego...

— To już nie ma znaczenia. Z punktu widzenia cyfrona znaczenie decyzji o podjęciu gry w karty jest takie samo, jak decyzji o budowie rakiety transgalaktycznej.

Dobb poderwał się z łóżka, na którym przed chwilą przysiadł.

— Seymour! Więc uważasz, że one byłyby zdolne podjąć taką decyzję bez wiedzy człowieka?

— Wiesz, Fred, stawiasz mnie w kłopotliwej sytuacji. Właściwie one nie powinny być zdolne do czegoś takiego. Z drugiej jednak strony sprawa jest dość skomplikowana i moim prywatnym zdaniem taka możliwość istnieje. Powiem ci coś zresztą: kiedy powstały pierwsze modele cyfronów, wszyscy cybernetycy uważali za punkt honoru umieć wyrysować z pamięci schemat logiczny takiej maszyny. Za swe największe osiągnięcie uważali oni wtedy uzyskanie zdolności cyfronów do prokreacji i powolnego ewoluowania — pewnie słyszałeś o słynnym „algorytmie ewolucji”? Ten proces odbywał się jednocześnie w dwóch kanałach — na podstawie wiadomości poprzednich pokoleń automatów oraz wiadomości nabywanych przez osobniki na bieżąco. W ten sposób udało nam się dziś uzyskać istoty całkiem zdolne, o rozbudowanej sieci metapsychoicznej i tak dalej. Dla nas posiadają one tylko jedną, jak widać jednak nader denerwującą wadę: niezbyt się orientujemy w ich strukturze logicznej. Opieramy się na pierwszych modelach oraz na tym, co sami podglądaliśmy. Wiadomo, że dziś poszczególne osobniki bardzo się różnicowały w stopniu rozwoju i — jak wśród ludzi — bywają głupsze i mądrzejsze...

— No dobrze, ale jak z tym ich...

— Zaraz, Fred, powolutku. Jedno jest pewne: nie są w stanie podejmować żadnych działań na szkodę człowieka. Wbudowane im sprzężenie podstawowe zupełnie taką możliwość wyklucza. Ale jedynie działań bezpośrednich, bo powiem ci szczerze, że — nie tylko moim zdaniem — one bez tego są dla ludzkości jak granat w kieszeni. Ale — Higgs ożywił się — czemuż to cię nachodzą takie myśli po nocy, co?

Dobb usiłował zachować dobrą minę.

— Właściwie nic sensacyjnego. Zajmuję się ostatnio podobnymi sprawami na polecenie Tayamy. Miałem właśnie dziś zakończyć pewną sprawę...

— Rozumiem, nerwy. Słyszałem, że ten wasz Tayama zestarzał się i jeszcze bardziej nudzi niż przedtem. No to co, pozwolisz, że się jeszcze zdrzemnę?

— Tak, jasne! Bardzo ci dziękuję, to było dla mnie bardzo ważne. Do widzenia!

Dobb potarł czoło, spocone mimo porannego chłodu. A więc w tym się przeliczyli...

Kilka minut po szóstej na salę amfiteatralną Instytutu Biofizyki weszło dwóch starszych ludzi. Skierowali się w stronę stołu katedralnego. Jeden z nich, niższy, był dobrze znany wszystkim — dyrektor Instytutu Akiba Tayama. Gestem ręki wskazał miejsce drugiemu — człowiekowi poruszającemu się mimo podeszłego wieku młodzieńczym, sprężystym krokiem. Kiedy tamten usiadł na wskazanym miejscu, Tayama swoim cichym, spokojnym głosem odezwał się do zebranych:

— Drodzy państwo! Zanim cokolwiek zostanie tu powiedziane, pragnąłbym przedstawić wam znanego z pewnością dyrektora Instytutu Cybernetyki Kosmicznej, a zarazem członka komisji nadzorczej Centralnej Agencji Kosmonautyki — profesora Seymoura Higgsa. Z powodów, które za chwilę staną się jasne, w jego ręce właśnie oddaję prowadzenie naszego spotkania.

Tayama skłonił się oddając głos Higgswi. Ten, jakby ociągając się, wstał powoli i donośnym, nawykłym do prowadzenia wykładów głosem podjął:

— Wszyscy państwo znacie początek wydarzeń, które doprowadziły do dzisiejszego tu spotkania. Mam na myśli publiczny odczyt pierwszego mnemokryształu, pozostawionego przez profesora Dobba u siebie w domu. Wszystkie te uwagi utrwalił profesor po swojej porannej rozmowie ze mną. Opisane tam podejrzenia profesora wydały się nam jeszcze wczoraj niejasne i nieuzasadnione, aż do chwili kiedy dziś doktor Wolfgang Misner doniósł o odnalezieniu drugiego mnemokryształu w szafie preanimacyjnej w laboratoriach cyfronów...

Higgs odwrócił się w kierunku drzwi i skinieniem ręki przywołał jednego z siedzących tam laborantów. Młody człowiek podszedł do katedry i uruchomił czytnik.

Po chwili na sali rozległ się wszystkim znany głos Dobba:

— Z pewnością wiadomo wam, że to mówię ja — Alfred Dobb. Głupio brzmi taka prezentacja, ale to ze względów prawnych. Sądzę, że znacie już także zapis mnemokryształu, jaki zostawiłem w domu. W każdym razie powinniście go odczytać — resztę dopowie wam profesor Seymour Higgs. Chciałbym bardzo, żeby był obecny również podczas odczytywania tego, co mówię. Wiecie już oczywiście, że tego dnia rano wysłałem z podziemi wszystkie cyfrony na górę, do siebie. Musiałem mieć czas, żeby się ukryć w ambulatorium. To śmieszne, kiedy się musi uciekać do takich metod podglądania, ale ja nie widziałem innej drogi. Gdybym miał do czynienia z człowiekiem, może poszukałbym innego sposobu. Ale z automatami... nie wiedziałem, jak z nimi postępować. Sądzę, że wy też nie wiedzielibyście. Do tej sprawy jeszcze powrócę, jeśli starczy mi czasu...

Nastąpiła krótka przerwa. Słychać było wyraźnie rwący się, przyspieszony oddech. Higgs siedział nieruchomo, oburącz podparłszy głowę i ukrywszy twarz w dłoniach.

Po chwili profesor znów się odezwał:

— Mało mam czasu, dlatego sam nie wiem, jak go właściwie wykorzystać. Chciałbym wiele powiedzieć, a zdążę pewnie tylko trochę. Wybaczcie mi ten chaos... Trudno składać zdania. Aha! Razem z mnemokryształem znajdziecie taśmę z kodem aksonów. Wasze marzenie zostało spełnione, a ja mam satysfakcję, że się nie omyliłem...

Tayama poruszył się niespokojnie na krześle i potarł czoło.

— ...Do kodu aksonów nie będę więc już wracał. Faktem jest, że wydarłem go cyfronom, które jeszcze raz okazały się lepsze i szybsze, niż sądziliśmy. Mam coś natomiast do Higgsa. I w ogóle do cybernetyków. Pamiętasz, Seymour, jak na twoich wykładach ludzie zadawali pytania, co się stanie, kiedy zrobimy automaty tak doskonałe, że nie będzie ich można odróżnić od ludzi? Ba! Kiedy nawet będą doskonalsze? Zawsze odpowiadałeś, że to niemożliwe, powoływałeś się na twierdzenie Godła, mówiłeś o etyce, martwych maszynach... A tak naprawdę sam w to nie wierzyłeś, sam nie wiedziałeś, ku czemu to wszystko zdąża. Nie wiedziałeś, Seymour, co to właściwie jest martwa maszyna!

Sam musisz przyznać, że ciebie też, tak jak innych, męczyła sytuacja, w której nie byliśmy w stanie rozszyfrować skomplikowanej metapsychiki cyfronów. Sądzę, że twoja analogia będzie tu na miejscu: one z wolna upodobniały się do nieszkodliwych wariatów, którzy z medycznego punktu widzenia nie są zdolni do działania na szkodę ludzi. A mimo to jesteśmy przecież zgodni, że mogliby nam całkiem nieświadomie narobić sporo złego.

Znów przerwał. Mówienie przychodziło mu już z widocznym wysiłkiem. Zasłuchani ludzie

robili wrażenie zupełnie zdezorientowanych.

— ...Tak, Seymour. A one przez ten cały czas uczyły się, obserwowały, udoskonalały. Nigdy wprawdzie nie mogła im zaświtać w głowie myśl o zadziałaniu na naszą szkodę — pomagały nam najlepiej, jak umiały. Ale wiedziały, że stworzyliśmy je po to, by posiadać doskonałych mechanicznych pomocników. Takich, którzy zaspokoiliby naszą potrzebę posiadania jakiejś bezwzględnie nam podporządkowanej „podcywilizacji”. One uświadomiły sobie, Seymour, to, czego nie chcieliśmy sobie uświadomić my — że dały nam sposobność obejścia w najbardziej wyrafinowany sposób naszych norm etycznych. Nie upokarzaliśmy przecież ludzi — niewolnikami były dla nas maszyny!... Korzystały z naszych nauk i doświadczeń, wiedziały, że w myśl naszych norm etycznych, które stały się i ich normami, wyzysk człowieka przez człowieka jest niedopuszczalny. Tak jak wyzysk automatu przez automat. Rozumiały jednak na swój cyfroni sposób, że istoty z „żywego” białka mają prawo budować zupełnie im podległe istoty z „martwego” krzemu, żelaza, kwarcu. Poszły więc cyfrony naturalną drogą ewolucji. Ich normy moralne zabraniały im budowania automatów, służących innym automatom.

Zbudowały więc podległe sobie, z ich punktu widzenia sztuczne, istoty białkowe. Nie wiedziały przecież, że budują w ten sposób jedynie pewną odmianę nieszczęśliwych ludzi. Nigdy takich wśród nas nie widziały...

Przerwa, jaka teraz nastąpiła, była o wiele dłuższa niż poprzednie, Dobb, ciężko dysząc, zbierał widać z trudem myśli. Na sali trwała martwa cisza, większość ludzi skryła twarze w dłoniach. Po chwili Dobb znów przemówił:

— Teraz już, Seymour, rozumiesz wszystko, co się stało. One przekroczyły w swym rozwoju próg, którego nigdy nie powinny były przekroczyć. To był ów kres, którego winna sięgnąć cywilizacja automatów... Jeżeli będą dalej się rozwijać, nigdy już nie powstrzymamy ich w pędzie do konstruowania sztucznych ludzi — tak jak nikt nas nie powstrzymał w dążeniu do budowania coraz doskonalszych automatów. Jeśli zresztą udaremnimy im to dziś — zaczną to robić za dziesięć lub sto lat. Jeśli wbudujemy im nowe sprzężenie i zaczniemy je kontrolować — znajdą inną drogę ewolucji. To będzie zależało jedynie od warunków... Mamy nad nimi teraz tylko taką przewagę, że to my stwarzamy im sztuczną biosferę. A raczej „cyfrosferę”... Nie wiem, do jakich wniosków dojdziecie, ale jeśli czegoś nie zrobicie, to one zapełnią naszą planetę takimi samymi człękoksztalnymi istotami, jakie znaleźliście nieżywe w ambulatorium. Nie jestem zresztą pewien, czy wszystkie są nieżywe... Ale tak byłoby dla nich z pewnością lepiej...

Dobb przerwał raz jeszcze. Można było wyraźnie słyszeć świst powietrza wciąganego z trudem do płuc.

— ...Cholera... Zdaje się, że będę musiał... będę musiał się pośpieszyć. Więc pewnie chcecie wiedzieć, skąd dostałem taką dawkę promieniowania? Sami nauczyliście cyfrony, że im automat albo człowiek odporniejszy na promieniowanie — tym lepiej. Tak się przejęły, że i te... jak je tam nazwać? — homony chyba, nie? No więc te tam homony także postanowiły uodpornić na promieniowanie. Nie wiedziałem jeszcze wtedy, co się dzieje. Byłbym wyszedł z mojej... Z tej cholernej skrzyni, w której mnie znajdziecie! Chciałem jak najwięcej zobaczyć... Łakomstwo... Ale to dlatego, żebyśmy jak najszybciej...

Więc porobiły im jakieś zastrzyki ochronne. To była chyba jakaś surowica „antypromienna”, którą wynalazły. Musicie zrobić sekcję I badania. Może to rzeczywiście ma jakąś wartość? Tak więc zaszczepiły im tę surowicę i... i wyszły... Zamknęły drzwi, a potem otwarły sześć źródeł. Cztery plutonowo-berylowe... wiecie, z neutronami, i dwa gamma... piekielnie silne! To chyba cez sto trzydzieści siedem. Trudno by mi było sprawdzić... Zablockowały drzwi. Kiedy się połapałem, monitory wyły jak oszalałe. Nie mogłem już nic zrobić. Zresztą od razu było za późno. Z czymś się jednak przeliczyły... Bo te... homony, czy jak im... tam... z miejsca straciły

przytomność. Dalekie widać jeszcze od do... doskonałości. Nie mogłem zasłonić źródeł. Wiecie... Ukryte w podłodze, kto by przypuszczał, że tam... będzie się tam testować ludzi! Ponakrywałem naczyniami z wodą, ale to... przecież tylko na neutrony. I to słabo. Niewiele pomogło. Więc nie zapominajcie o taśmie... z kodem aksonów. Misner wie, co z tym... zrobić... I ta surowica, to może być coś dobrego. Trzeba może... tylko coś poprawić. Taśmę i kryształ chowam specjalnie w pierwszym... pre... preanimatorze. Tam pewno będziecie szukać... Więc, jak znalazł... No i z Anną, jakoś tak zróbcie... żeby nie bardzo... Niech tego nie słucha. To bardziej boli... Ja... Chowam się do mojego pudła. Ma metalowe ściany, więc... o parę... parę godzin dłużej może... pociągnę. To już teraz śmieszne, ja... wiem, ale... ale człowiek jakoś się tak trzyma... trzyma się życia... łapie, jak może...

MARZENIE

Miał dwanaście lat, oczy czarne jak okruchy kamiennego węgla, dwoje słabych rąk i zmęczonych nóg. Nosił spłowiałą koszulę, wytarte spodnie i parę włożonych na bose stopy butów. Dla zwykłych przechodniów był ulicznym włóczęgą, osieroconym oberwańcem bez domu i bliskich przyjaciół. Nawet ci, których serca jeszcze nie zobojętniały, którzy ukradkiem wciskali mu do ręki kilka drobnych monet — nie przypuszczali, że próbują wspomóc jałmużną kogoś, kto nosi w sobie skarb największy z możliwych, którego pozbawionych było wielu z nich.

Błąkał się ulicami Miasta, śmiesznie nieporadny i zagubiony w jego ogromie. Czasami znajdował odbicie własnej twarzy między grupkami obdartych rówieśników, kiedy indziej zaglądał przez uchyloną furtkę czasu w przyszłość — spotykając w ciemnych bramach ludzi starych, o twarzach naznaczonych stygmatem dni przeżytych pośród kamiennych ścian.

Miał dwanaście lat, oczy nie przygaszone jeszcze zarzewiem neonowych świateł i stopy pamiętające bruk tysiąca ulic. Budził się zawsze wczesnym rankiem, kiedy w ślepych zaułkach zalegał poranny chłód i, nie otrzepując spodni z pyłu chodników, ruszał w swoją wędrówkę. W ciągu długich lat krótkiego życia przemierzył wiele ulic. Zachował w pamięci sycący aromat powietrza w dzielnicach domów otoczonych parkami i smak nędzy znajdującej przytułek między ścianami drewnianych ruder, skąd nie wyganiał go miarowy krok policjantów. Poznał też rytm wielopoziomowych autostrad, którymi strumienie maszyn wlewały się we wnętrza szklanych gmachów. Był dzieckiem Miasta, lecz choć zagubiony w jego mrówczej krzątaninie, nigdy nie stał się częścią jego betonowych wnętrz. Pośród miliardów ludzi wplecionych w tryby czasu — misternym mechanizmem cywilizacji rozdzielonego na pracę, posiłki i sen — pozostał zgrzytem niezauważalnym prawie, a jednak wyłamującym się logice powszechnych praw i obowiązków, jakie obwarowały niezmienną postępowania szarych mieszkańców Miasta-termitiery. Musiał więc zostać taki jak inni... albo odejść, gdyż arteriami kamiennego bruku, czarnego asfaltu i betonowych chodników nie wolno bezkarnie przenosić marzeń o drogach innych, wybiegających daleko poza granice miejsc dostępnych dla zwykłego człowieka.

Poniedziałek

Biały sufit i ściany, śnieżna pościel na łóżkach i ubrania lekarzy.

Biały sufit i ściany, śnieżna pościel na łóżkach i ubrania lekarzy...

Biały sufit i ściany... Tik-tak, tik-tak, czas upływa — przemija czas.

Wzdłuż szeregu emaliowanych łóżek przesuwają się korowód ludzi w bieli. Pochylają się nad każdym z chorych, coś szepczą między . sobą. Lekarz oddziałowy podaje ordynatorowi kartę choroby, rzuca krótkie wyjaśnienia. Berker kiwa głową, czasami powie kilka słów pocieszenia albo położy swoją miękką dłoń na czole leżącego w śnieżnej pościeli.

— O, widzę nową twarz...

Doktor Berker uśmiecha się przystając przed kolejnym łóżkiem. Czeka na znak, że jego ojcowska dobroduszość została zauważona, lecz patrzące na niego oczy są nadal poważne i nieobecne.

— Jak ci na imię, chłopcze?

Leżący patrzy tak dziwnie, aż lekarz doznaje wrażenia, jakby tylko przypadkiem znalazł się na linii spojrzenia oczu ogromnych, czarnych niby dwie krople bezksiężycowej nocy. Pohamowuje

chęć natychmiastowego odejścia, uchylenia się przed tym niepokojącym wzrokiem.

— Nie chcesz porozmawiać ze mną? Szkoda. Ale wyglądasz mizernie, więc, jak sądzę, starczy nam czasu, aby się bliżej zaznajomić.

Berker zwraca się do lekarza oddziałowego.

— Kto to jest? — pyta ściszym głosem.

— Nie wiem.

Doktor Berker marszczy brwi.

— Przywieziono go z samego rana i dotąd nie odezwał się jeszcze.

— Czyje to dziecko?

— Nikt nie wie. Chyba... niczyje.

— Niczyje? — na twarzy Berkera wyraz ironicznego, zdziwienia. — Nie spotkałem się w praktyce z podobnym wypadkiem. Ręczy pan jako lekarz?

— N—nie w tym sensie — młody lekarz uśmiecha się z zakłopotaniem. — Znalaziono go na ulicy już w stanie silnego wycieńczenia.

— Zaraz. Pan zdaje sobie sprawę z tego, co pan mówi? Nie jesteśmy instytucją charytatywną, która zajmuje się byle przybłądą. To jedna z najdroższych prywatnych klinik. Czy pan rozumie, co to znaczy?

— Myślałem...

— Nie obchodzą mnie pańskie myśli. Wystarczy, jeśli widzę, dokąd prowadzą.

— Ależ tego chłopca poleciała nam pani Montbason.

— Ach tak...

— Wszelkie koszty...

— Oczywiście, oczywiście. Dlaczego mnie pan od razu nie uprzedził?

— Nie miałem okazji dojść... — zaczął lekarz, lecz widząc kwaśny grymas na twarzy Berkera dodał szybko: — Pani Montbason prosiła również, aby siostrę Margo przydzielić do wyłącznej opieki nad tym chłopcem.

Doktor Berker z politowaniem pokiwał głową.

— Rozumiem doskonale, gdy te panie połową spadku obdarzają ulubioną kotkę, lecz żeby wyrzucać pieniądze na każdego spotkanego włóczęgę... Chyba co do tego nie dzieli nas specjalna różnica poglądów?

— Oczywiście, ale pani Montbason twierdzi, jakoby zafascynowały ją oczy tego dziecka.

— Cha—cha!... Otóż to. Zafascynowały ją oczy. Doprawdy, mogę cię, przyjacielu, zapewnić z ręką na sercu, że najdalej za tydzień ulotni się ostatni ślad tego kaprysu, a nam zostanie kłopot pozbycia się chorego z kliniki.

Wtorek

Dzień minął niepostrzeżenie i już w prostokącie okna zmierzcha widoczny nad wierzchołkami topól skrawek szarego nieba. Dzień minął jak zwykle wypełniony krzątaniem szpitalnych sióstr i odgłosami sączącymi się spoza ścian. Od samego świtu trwał jakby w bezruchu, a jednak przeminął. Zostawił po sobie ledwie uchwytnie wspomnienie czyichś kroków za drzwiami wychodzącymi na korytarz, regularne pokasywanie starej kobiety, co godzinę przyjmującej leki, oraz przelotny płacz jakiegoś dziecka. Jedyne, co w pamięci pozostawiło trwalszy ślad, było twarzą kobiety długo nad nim siedzącej. Cały czas leżał z szeroko otwartymi oczyma i zapamiętał najmniejszy szczegół tej twarzy: prosty nos, policzki pokryte widzialnym tylko pod światło brzoskwiniowym puszkim, ciemne oczy i usta zrazu uśmiechnięte, potem — w miarę jak prosiła go, żeby zechciał coś zjeść — smutniejące. Pomimo tych próśb śniadanie, obiad i

kolacja pozostawały nietknięte. Ani razu nie poruszył leżącą na poduszce głową, nie zareagował na jej słowa.

— Przyniosłam ci parę książek. Nie wiem, czy umiesz czytać? Nie odpowiadał, pochłonięty swoimi myślami.

— Jeżeli zechcesz, mogę usiąść tutaj i czytać głośno... Wybierz.

Czekała, lecz on milczał.

— Zostawię je — powiedziała wreszcie zmęczonym głosem. — Położę blisko na krześle, żebyś mógł sięgnąć. Powoli zamknął oczy. Głos kobiety docierał do niego jakby spoza grubej, niechętnie przepuszczającej dźwięki ściany.

— Dlaczego milczysz? Czy to tak ciężko... polubić mnie chociaż trochę? Powiedz choć jedno słowo...

Wciąż milczał. Kobieta odeszła do drzwi ze zwieszoną głową. W progu stanęła na moment i, może mu się to wydawało zresztą, powiedziała cicho: „Dobranoc”.

Kiedy zasypiał, poczuł w piersi przelotne muśnięcie jakby żalu, że wybrać może jedną tylko drogę, lecz żal uleciał, a sen pozostał. Sen głęboki, niczym, otchłań między latarniami gwiazd.

Środa

Siostra Margo przyszła bardzo wcześnie. Ominęła łóżka innych chorych, aby zatrzymać się w końcu sali. Topole za oknem tłumyły brzask wstającego dnia i półmrok nie ustąpił jeszcze z miejsca, gdzie na białej powłoce poduszki leżała głowa chłopca o twarzy jakby wyciętej z kredowego płótna.

Siostra Margo podwinęła opadającą kołdrę. Ostrożnie, żeby nie zbudzić śpiącego, poprawiła poduszkę.

Książki na krześle leżały tak samo, jak wczoraj je zostawiła, ale gdy przyjrzała się bliżej, dostrzegła między bajkami La Fontaine'a i Andersena, pośród barwnych okładek powieści Rudyarda Kiplinga jedną zniszczoną, z wygiętym grzbietem i zatłuszczoną tytułową stroną. Książki tej wczoraj nie było tutaj, ona jej nie przyniosła.

Niepewnie wzięła ją do ręki. Na pierwszej stronie tytuł:

„Lekarstwo od melancholii” i nie mówiące jej nic nazwisko — Ray Bradbury. Przerzuciła parę kartek. Oczy odruchowo przebiegły urywek tekstu ze środka strony:

„...Dmący wiatr usiłował rozwiać ich w chmurę lotnego pyłu. Zdawało mu się, że jeszcze chwila i powietrze Marsa wysysie jego duszę niczym szpik z kości. Czuł się pogrążony w nieważkiej zawieszynie jakiegoś chemicznego roztworu, który rozpuszcza myśli i wypala pamięć przeszłości. W milczeniu patrzył na marsjańskie wzgórza, przysadziste, przywalone brzemieniem tysiącleci. Patrzył na stare miasto, białymi wyspami zagubione w lakach, niby kości zetlane, rozsiane w chybotliwym morzu traw...”

— Dziwne z ciebie dziecko — szepnęła kobieta.

Chwilę stała czekając na coś, o czym wiedziała, że nie nastąpi, potem odeszła, pozostawiając książkę na uprzednim miejscu, i chłopiec mógł otworzyć oczy. Dawno już nie spał, lecz nie dał po sobie znać, że widzi krzątanicę kobiety wokół jego łóżka. Dla niego nowy dzień niczym nie różnił się od poprzedniego. Może tylko powieki chętniej przesłaniały oczy, a ręce ukryte pod kołdrą z większym trudem rozginały palce. Jedyne myślom nie szkodziło osłabienie ciała i uparcie sięgały szelestu topól za oknem i nieba w opierzeniu włóknistych obłoków. Lecz ciągle pozostawało tyle nieosiągalnej przestrzeni.

Drugie przebudzenie nastąpiło dopiero pod wieczór, jakby godziny południa żadnego nie miały znaczenia. Najpierw świadomość wchłonęła czyjeś głosy, następnie wyodrębniła z nich

słowa:

— Więc co ostatecznie dolega temu nieborakowi?

— To dziwny wypadek.

— Każdy może w ten sposób usprawiedliwić nieumiejętność wystawienia właściwej diagnozy.

— Taka jest nie tylko moja opinia.

Doktor Berker i lekarz oddziałowy stoją pod oknem.

— Osobiście nazwałbym to skrajnym wycieńczeniem, ale... Lękam się, żeby mnie pan źle nie zrozumiał, doktorze.

— Słucham. Niech pan mówi.

— Ten chłopiec jest absolutnie zdrowy.

Berker rzucił krótkie spojrzenie w stronę łóżka.

— Hm — chrząknął z powątpiewaniem. — Raczej na to nie wygląda.

— Otóż właśnie. Na pierwszy rzut oka nikt nie dałby za niego złamanego centa, a jednak po bliższych oględzinach stwierdziliśmy wręcz niezwykłą zdrowotność jego organizmu. Serce, płuca, nerki, wątroba i w ogóle wszystkie narządy wewnętrzne działają u niego znakomicie.

— Szkopuł w tym, że jakoś nie widać pozytywnych rezultatów tej działalności.

— Trafił pan w sedno sprawy, doktorze! Każdego dnia stosujemy transfuzję fizjologicznej odżywkę, gdyż pokarmu przyjmować nie chce albo nie może, a proces osłabienia postępuje z nie malejącą intensywnością. Organizm spala się sam w sobie.

— Jak? Niech pan powtórzy.

— Och, to wszystko przypuszczenia. Ciągłe poszukuję analogii...

— I nie potrafi pan znaleźć?

— Mam ich więcej niż pod dostatkiem, gorzej z akceptacją którejkolwiek.

— Mógłbym poznać chociaż jedną?

— Nie odmawiam, ale uprzedzam, że sam jej zbyt serio nie biorę.

— Przezornie ubezpiecza się pan na wypadek odwrotu.

— Nie popuści pan żadnemu słowu, doktorze, No cóż, trudno, a więc moje analogie... Weźmy chociaż to: istnieją mechanizmy nigdy pobieranej mocy nie angażujące we własne potrzeby, w konserwację i odnowienie siebie samych.

Po prostu większość mechanizmów wykorzystywanych przez człowieka jest tylko pośrednim ogniwem w dążącym do określonego celu ciągu przeistaczania różnego rodzaju energii. Korzyść z ich działania wyciąga tylko człowiek. Na przykład w nadajniku radiowym energia elektryczna drgań wysokiej częstotliwości, doprowadzona do anteny nadawczej, zostaje wypromieniowana w przestrzeń pod postacią fal radiowych. Jednak dla naszej anteny czy dla lasera emitującego wiązkę promieniowania podobna emisja nie ma żadnego sensu, gdyż im bezpośrednio nie przynosi pożytku i tylko jeszcze niszczy ją kosztem. Lecz nie można przez to rozumieć, że ich działalność jest zupełną abstrakcją, trzeba tu uwzględnić czynnik dodatkowy — człowieka.

— Chyba zaczynam rozumieć — Berker uśmiechnął się kącikami warg. — Więc jego organizm działa doskonale, a przyczyna szybkiego osłabienia leży w takim rodzaju przetwarzania energii, który nie uczestniczy w procesie podtrzymującym egzystencję samego organizmu? Tak... ale, niestety, celem samym w sobie biologicznej konstrukcji jest zapewnienie ciągłości własnego istnienia i ciągłości gatunku, zabezpieczenie możliwości przetrwania w niesprzyjających warunkach, i to kosztem najmniejszych wyrzeczeń. Między innymi dlatego Natura obdarzyła organizmy żywe zdolnością częściowej regeneracji tkanek. Żywy organizm nigdy nie będzie marnował energii bezużytecznie. Czy potrafi pan wskazać cel, na rzecz którego może poświęcić się organizm człowieka, nie bacząc na własne wyniszczenie?

— Organizm człowieka to jeszcze nie człowiek. Poprzez stworzone przez siebie mechanizmy moduluje fale radiowe rozum człowieka i dzięki rozumowi człowiek zna tego sens.

— Ależ mechanizm stacji nadawczej, w przeciwieństwie do organizmu żywego, jest tylko ogniwem pośrednim, które może ulec zniszczeniu po wykonaniu zadania, i w niczym to nie wpłynie na efekty wykonanej pracy. Rozum umiera czasami prędzej niż ciało. Trzeba zauważać różnicę.

Młody lekarz uważnie spojrzął na Berkera. Przemilczał.

— I naprawdę niczego więcej nie może pan dodać? — zapytał Berker.

— Aby cokolwiek udowodnić, musiałbym rozporządzać tym, czego pan wymaga: zestawem empirycznych danych. Tymczasem takich brak.

— Jak to możliwe?

— Po prostu istnieje zazwyczaj limit tolerancji organizmu, przy którym trudno rozpoznać głębsze schorzenia z symptomów powierzchniowych, gdyż takie nie istnieją. Natomiast tutaj mamy diametralne przestawienie kolei rzeczy. Objawy komplikacji są rozpoznawalne nawet przez nie wtajemniczonego w niuanse medycyny, lecz najskrupulatniejsze badania, z wykorzystaniem całego arsenału nowoczesnej techniki, nie potrafią wykazać bezpośredniej przyczyny tego stanu. Tytułem próby modelowaliśmy wszystkie fizjologiczne reakcje jego organizmu w elektronicznym układzie, lecz komputer niezmiennie żądał dopełniających danych, sugerując istnienie nie uwzględnionego przez nas czynnika. Poza tym nic, absolutnie nic.

Berker kiwnął głową.

— Wierzę, ale niech pan jedno zapamięta — powiedział w zamyśleniu. — Nie znoszę pseudofilozoficznych spekulacji, na które zresztą nie powinno być miejsca w pracy lekarza... Zapewne czytuje pan fantastykę?

— Czasami.

— Więc proszę się do czytania ograniczyć. Absolutnie raić, jak to pan raczył nazwać, można znaleźć tylko w science fiction. A to nie licuje z dobrą renomą naszej kliniki. Odwrócił się na pięcie z wyraźnym zamiarem opuszczenia pokoju. W drzwiach zatrzymał się jednak i zapytał jeszcze:

— Nie sądzi pan, że ta choroba może mieć psychiczne podłoże? Młody lekarz niepewnie wzruszył ramionami.

— Myślałem nad tym.

— I...?

— Zastanawia mnie to jego uporczywe milczenie. Jestem w zupełności pewien, że on cały czas zachowuje świadomość tego, co się wokół dzieje.

— Mimo to ciągle milczy?

— Milczy.

— Ciekawe...

Doktor Berker i lekarz oddziałowy opuścili pokój. Pamięć ich słów rozproszyła się wśród innych dźwięków, bardziej zmieszanych, mniej absorbujących uwagę.

Chłopiec znowu spał.

Czwartek

— Gdzież moja perełka? Och, doktorze, tak chcę go zobaczyć! Jak się czuje? Zadyszałam się na tych schodach... Och, głosu wydobyć nie mogę. Minęła gorączka? Moja mama zawsze radziła rumianek albo kwiat lipowy... Nie ma nic lepszego nad łyżeczkę miodu z filiżanką gorącego mleka! Tak, tak, doktorze, wiem doskonale, że zrobił pan wszystko i mojemu milusińskiemu

poweselały te smutne oczęta. Oj, nieborak, jakże się to ucieszy. Taka niespodzianka! Prosto z lotniska. O, monsieur, trzeba zobaczyć na własne oczy, aby uwierzyć! Paryż, Paryż — boskie miasto, miasto *par excellence** wspaniałe. *Si jeunesse savait, si vieillesse pouvait**... Cha-cha-cha! Pan mówi po francusku? Nie?! Jaka szkoda, jaka niepowetowana strata...

Potok słów przenosi się korytarzem:

— Te drzwi? Dlaczego nie osobny pokój? Pod samym oknem? Broń Boże, przeciąg...

Pani Montbason rozsiewa jaśminowy zapach perfum. Delikatna warstewka rózu na starannie zasuszonych policzkach promieniuje radością zaawansowanego w latach kwiatu życia.

— Jestem!

Pani Montbason wyciąga ręce w koronkowych rękawiczkach.

— Poznajesz mnie? Doktorze, ach, otworzył oczy! Przywiędły wdzięk łabędziej piersi faluje w głęboko wciętym dekolcie sukni, wzbiera macierzyńskim wzruszeniem.

— Zmizerniałeś, niebożę, a taki śliczny był z ciebie chłopczyk.

Cieszysz się, że przyszłam? No, powiedz, na pewno się nie spodziewałeś. Ale czekałeś, prawda? Dobrze ci tutaj było? Wiem, wiem... Brakowało d kogoś, ale już jestem i będę przychodzić codziennie.

Chłopiec patrzy w milczeniu. Może w twarz pani Montbason, może gdzieś obok.

— Przynieść ci coś? Powiedz, jakie uwielbiasz przysmaki...

— On już czwarty dzień nic nie je — ośmiela się wtrącić doktor Berker.

— *Mon Dieu!** A to dlaczego?

Milczenie. Pani Montbason patrzy na chłopca.

— Czemu on nic nie mówi? — pyta szeptem, oglądając się na doktora. — Czy aż tak chory?

— On po prostu nie odzywa się do nikogo. Nigdy.

— Do mnie też?...

Pani Montbason znowu pochyla się nad leżącym.

— Mój głuptasku, pan doktor wcale nie jest zły... I siostra Margo pewnie też się tobą opiekowała. Skończ dąsy i powiedz im, że mnie lubisz. Oni nie mają racji, że nie chcesz z nikim rozmawiać. Byłeś tylko smutny, bo na mnie czekałeś... Ale nie mogłam prędzej przyjść do ciebie. Chłopiec zamknął ciężkie powieki.

— Och, nie bądź uparty... Bo się na ciebie pogniewam! Dlaczego jesteś niegrzeczny? Odezwij się wreszcie! Pani Montbason potrząsa chłopca za ramię.

— Proszę go zostawić! Siostra Margo odpycha jej rękę.

— O-och!

Oczy pani Montbason robią się okrągłe-okrągłutkie, z sinawą kropelką źrenicy pośrodku białej, na wpół odsłoniętej kulki.

— Jak... Jak pani śmie?

— Zostawcie go wszyscy w spokoju! — siostra Margo staje między nimi i łóżkiem. — Idźcie stąd. Doktor Berker energicznie ujmuje ją za łokieć.

— Siostrzo, niech pani natychmiast opuści ten pokój. Bardzo proszę...

— Nie.

— Proszę pomyśleć o konsekwencjach — doktor Berker z zażenowanym uśmiechem zwraca się w przeciwną stronę. — Błagam o wybaczenie, siostra Margo jest przeciążona pracą. Pan; Montbason wreszcie odzyskuje dar mowy.

— Niech ona się stąd wynosi! I proszę o przydział innej opiekunki.

* Par excellence (fran.) — w całym tego słowa znaczeniu.

* Si jeunesse... (franc.) — Gdyby młodość wiedziała, gdyby starość mogła...

* Mon Dieu (franc.) — Mój Boże!

— Ależ tak, oczywiście. Siostra Margo nie pojawi się więcej w tym pokoju. — Berker popycha pielęgniarkę do drzwi. — Proszę wyjść.

— Nie ruszę się stąd! Nie ruszę się, dopóki nie zostawicie go w spokoju!

— Jeżeli takie panują tutaj porządki, to ja wyjdę. — Jeszcze trochę i oczy pani Montbason zaczną miotać błyskawice. — I więcej tu moja noga nie postanie! Doktor Berker próbuje przebiec jej drogę.

— Ależ, droga pani, to drobne nieporozumienie nie powinno...

— Niech pan milczy, doktorze! Niech pan nic więcej nie dodaje do bezczelności tej zadziornej kotki i niewdzięczności bezdomnego szczenięcia. *Cela me depasse**! Za tyle starań... Doktorze, ani centa więcej, ani centa.

Potok słów odpływa jak woda ulewy, która zmyła chodniki i teraz niecierpliwie poszukuje otworu kanalizacyjnej studzienki. Siostra Margo siedzi na skraju łóżka z bezradnie opuszczonymi rękami. Jej oczy patrzą na drzwi, które wybiegający zostawili na oścież otwarte. Z wysiłkiem obraca głowę prześlizgując się spojrzeniem po rządzie emaliowanych łóżek. Z każdego patrzą na nią trochę uważne, trochę współczujące oczy chorych. Bezwiednie sięga po książkę ciągle leżącą na krześle i napotykając wyczekujące spojrzenie czarnych oczu chłopca, zaczyna czytać bez wyboru miejsca, byleby słowa zagłuszyły niepokój:

„...— *Do góry głowa, Harry. Już nie ma odwrotu. Przelecieliśmy ponad sześćdziesiąt milionów mil.*

Złotowłose dzieci krzyknęły głośno, jakby rzucając wyzwanie marsjańskiemu niebu, lecz nie doczekały się odpowiedzi i tylko wiatr naświstywał w sztywnej trawie...”

Drzwi trzasnęły głośno.

— Siostro! Pani zachowanie jest karygodne... Jeżeli chciała pani oddać przysługę temu chłopcu, to proszę przyjąć do wiadomości, że z tą chwilą zostaje skreślony z rejestru pacjentów. Pani daję tydzień czasu na znalezienie innej pracy, i to tylko mając na względzie nienaganną, aż do tego momentu, postawę.

— Pan nie może tego zrobić!

— Dla mnie liczą się pieniądze — Berker zaciska sine usta. — Rozumie pani? Pieniądze, pieniądze i jeszcze raz... Pani Montbason anulowała nasze konto bankowe. Trzeba go przenieść do jakiegoś szpitala.

— Ależ nie można go ruszać z łóżka!

— Kolega Egert wezwał ambulans, zaraz przyniosą nosze. Łóżko ma być na nowo zaścielone. W korytarzu czeka następny pacjent.

— Doktorze, ja bardzo proszę, niech go pan zostawi tutaj. Opłacę dalsze leczenie.

— Co? Mam to traktować naprawdę serio? Będzie to panią kosztowało masę pieniędzy!

— Wiem o tym.

— Kuracja tego dziecka wymaga zastosowania elektronicznej diagnostyki, nie obędzie się bez psychoterapeutycznych zabiegów...

— Czy gdzieś jeszcze można mu zapewnić to wszystko?

— Jesteśmy specjalną kliniką.

— To mi wystarczy, doktorze. Poza tym jestem samotna. Doktor Berker spojrzał na nią zdziwiony.

— A pani narzeczony? — zapytał. — Przecież mija trzeci rok i oni niedługo wracają. Alan Cruff i ten drugi, jak mu... Zdaje się Gascar.

Siostra Margo patrzy w okno niewidzącymi oczyma.

* *Cela me depasse* (franc.) — To mnie zdumiewa!

— Pan wie, doktorze, że nie będziemy mogli mieć dzieci. Pan leczył Alana, wtedy... po eksplozji reaktora na kosmodromie. Zezwolono mu na ten ostatni lot, ale pan wie, co znaczy twarde promieniowanie.

— Tak, wiem — Berker niepewnie skinął głową.

— A ja chcę, żeby... gdy wróci stamtąd, czekał na niego syn.

— Oczywiście — Berker zmieszał się. — Tak... Każdy ma prawo. Oczywiście.

Chwilę potakiwał jeszcze, potem wycofał się do drzwi.

— Poszaleli, poszaleli wszyscy — mruknął do siebie. — Byle przybędę...

Kiedy stanął w korytarzu, usłyszał jeszcze głos czytającej coś kobiety:

„...Domem wstrząsnął gwałtowny poryw wiatru. Kiedy ucichł brzęk okiennych szyb, Betering z wysiłkiem przemógł skurcz gardła i jednym spojrzeniem ogarnął dzieci.

— Nie wiem — odezwał się Dawid. — Może dokola wszędzie są Marsjanie i tylko my ich nie dostrzegamy? Niekiedy nocą zdaje mi się, że ich słyszę. Wiatr słyszę. Piasek szeleści na szybach. Czasami boję się. Przecież w górach są jeszcze ocalałe miasta, gdzie oni kiedyś mieszkali. I wiesz, tato, w tych górach jakby się coś zataiło, błakało jeszcze. Może Marsjanom nie podoba się, że przylecieliśmy tutaj? Może pragną zemsty?

— Bzdura! — Betering spojrzął w okno. — Przecież nikomu nic zrobiliśmy nic złego... Jesteśmy spokojnymi ludźmi”.

Piątek

Noc. Wszyscy śpią. Wierzchołki topól kołyszą pasmami wodorostów podniesionych nad dnem granatowej głębi nieba, uwikłanych w rojowisko rybich oczu — gwiazd. Okno otwarte szeroko. Chłodny wiatr zdaje się na wylot przewiercać ciało, pod otoczką skóry nie zostawiając nic prócz przejmującego zimna.

— Dlaczego wstałeś? Po co otworzyłeś okno?! Siostra Margo staje w drzwiach.

— Co się stało?!

Chłopiec nie odwraca się od okna. Stoi bosy, w koszuli sięgającej kostek. Podmuch wiatru wdziera się przez okno, przeslizguje wzdłuż sali i dopada drzwi. Przeciąg szarpie koszulę, rozwiewa kosmyki czarnych włosów.

— Boże, co z tobą jest?!

Siostra Margo przebiega między łózkami i chwyta chłopca za ramiona. Jedną ręką przyciskając go do siebie — drugą usiłuje zatrzaskać okienne ramy, lecz wiatr wdusza je do środka, napiera wciąż mocniej.

— Zaziębisz się na śmierć. Kto pozwolił d wstać? Jak mogłeś to zrobić... Jest noc, musisz spać. Sen wraca siły... Chłopiec patrzy gdzieś daleko poprzez szpaler drzew, gdzie w prześwicie gałęzi płonie czerwona iskra, jakby na przekór innym gwiazdom nie zmieniająca blasku, nie migająca. Chwilę stoi nieruchomy i tylko wargi mu drżą.

— Zobacz... Mars — szepcze.

Potem jego głowa osuwa się w dół i ciężar dała przechodzi w nagle zdrętwiałe ręce szpitalnej siostry.

— Doktorze! Doktorze!

Krzyk napelnia pokój, wypada przez drzwi, zdyszany echem odbija się od ścian korytarzy, szamoce, rozdwaja i przepada w ciszy.

Wszyscy śpią.

Sobota

Biały sufit i ściany, śnieżna pościel na łóżkach i ubrania lekarzy.

Biały sufit i ściany, śnieżna pościel na łóżkach i ubrania lekarzy...

Biały sufit i ściany... Tik-tak, tik-tak, czas upływa — przemija czas...,

Wzdłuż szeregu emaliowanych łóżek przesuwają się korowód ludzi w bieli. Pochylają się nad każdym z chorych, coś szepczą między sobą. Doktor Berker jest po ojcowsku dobroduszny, to znów rzeczowy lub współczujący. Jego głęboko myślące oczy napawają chorych otuchą, budzą nowe nadzieje. — O, widzę nową twarz...

Berker uśmiecha się zatrzymując przed kolejnym łóżkiem w końcu sali. Wpadające przez okno promienie jesiennego słońca podnoszą zapach aseptycznych środków nad śnieżną pościelą.

Niedziela

Pierwsze liście opadłe z topól leżą na żwirze alejki wdeptane w piasek butami ludzi, którzy już stąd odeszli. Kobieta stoi oparta o pień koślawego, u samych korzeni przegiętego na bok drzewa. Stoi z zamkniętymi oczyma, jakby występujący ze zmierzchem blask księżyca twardniejącą poświatą zamienił ją w jedną z marmurowych postaci. Kamiennych do samego wnętrza. Lecz opadający liść muska jej twarz, wyrывa z odrętwienia. Żwir popiskuje cienko pod obcasami butów, gdy odchodzi szybkim krokiem. Wysoka, kamienna brama i obok żelazna furtka w murze. Skrzyp zawiasów. Nie ogląda się. Idzie młoda i smukła, o pięknej, trochę smutnej twarzy. Z przodu warkot samochodowych silników i odór spalin. Po bruku snują się cienie. Ktoś kaszle, ktoś się śmieje. W bramach domów ogniki papierosów — oczy suną jej śladem. Czyjeś kroki na przedzie, czyjeś kroki za tobą. Domy chylą szklane piętra murów, rozwierają stęchłe przesmyki, znowu przyjmując ją w posiadanie. I nie potrafi jej pomóc czerwona iskra między zrębami dachów.

Zawieja za wypukłą szybą buszuje z niesłabnącym uporem. Siedzimy obok siebie, jakby wzajemne zbliżenie mogło przewyciężyć chłód ścian. Siedzimy nasłuchując szelestu piasku nieustępliwie trącego o ściany. Czasami wiatr uderza silniej i kabinę przebiega drżenie, jakby metalowy skorupiak otrząsał się z krzemowych ziaren.

Wydmy kojarzą się zwykle z gorącym, ze słońcem palącym plecy i powietrzem zachłannie wysysającym każdą kroplę potu. Tak jest na Ziemi, gdzie bliżej Słońca. Tutaj łachy burego piachu są jak zasypany śniegu. Nie białe, o nie, lecz dźwigające na sobie stygmat mrozu i przez to tylko podobne, bo nie ma w nich ani śladu wilgoci.

Wiatr cichnie nagle. Jeszcze po szybie sączą się strużki suchego piasku, lecz wiemy, że to już koniec. Tak bywa zawsze — piekło piaskowej burzy i nagły bezruch. Tylko jednocześnie z zewnątrz cisza w nas samych budzi się niepokój, nie określona trwoga, jakby czyjeś oczy śledziły nas przez szybę, zaglądały do wnętrza rakiety.

— Trzeba wyjść — odzywa się Gascar.

Wiem. Kiedy milknie wiatr, nadchodzi czas codziennego obchodu elektronicznych czujników. Jak wczoraj, jak tydzień temu — od wielu dni.

Można nienawidzić pustyni martwej od początku świata, można się męczyć nocami pamięcią zostawionych gdzieś daleko zieleń i błękitu, lecz to nie zmieni faktu, że trzeba dokonać przeglądu pomiarowej aparatury. Obserwacje kosmicznego promieniowania, wahania temperatury powietrza i gruntu, drgania sejsmiczne, spektroskopowe widma chemicznego składu gleby uzyskiwane w próżniowych komorach z próbek parujących pod wpływem laserowego promienia...

— Trzeba wyjść...

Gascar podnosi się i dopina skafander. Pomagam mu zaczepić na plecach butle z tlenem, potem sam nakładam hełm ze szklaną przyłbicą. Kłapa śluzy odskakuje wypchnięta ciśnieniem powietrza. Jak okiem sięgnąć — wszędzie piach i jedynie za naszymi plecami sterczy w niebo kikut skały, z osiadłym u jej podnóża członem kosmicznego statku. Dalej, po sam horyzont, ciemniej obnażone przez pustynię ospowate narosła kraterów. Takie jest prawdziwe oblicze utraconych złudzeń, marzeń całych pokoleń o błękitnych łąkach, o kanałach prowadzących wodę aż hen, spod polarnych czap śniegu, o miastach nad ich brzegami...

— Alan, tam... — głos Gascara dudni głucho w nausznicach. — Obok skał. Zdawało mi się, że ktoś...

— Przecież jesteśmy pierwszymi ludźmi.

Milknę. Za szybą jego hełmu widzę błysk wystraszonych oczu.

— Co z tobą?

— Zobacz tutaj, gdzie stoimy...

Obok spuszczonego trapu ciemniej płytkie wgłębienie. Pochylam się.

— Nonsens.

— Dalej... jeszcze — w słuchawkach świst ciężkiego oddechu.

— Ależ nie, stój!

Czuję w gardle coś lepkiego, pulsującego. Serce tłucze się w piersi.

Ten ślad na piasku nie mógł pojawić się tutaj. Nie mógł!

— Nie — chcę krzyknąć, ale powietrza w płucach starcza ledwie na szept. — To przypadek, piasek osypał się, mógł akurat tak. Patrzymy na siebie. Wreszcie Gascar kuli się z jękiem i skacze przed siebie depcząc i rozrzucając piasek. Pomagam mu ciężkimi obcasami butów wbić w ziemię, wdławić w nią na powrót odcisnięty w piachu ślad bosych, jakby dziecięcych stóp. Siad bosych stóp na wiecznie martwym piasku Marsa.

— Dosyć — z wysiłkiem stęka Gascar. — Dosyć, idziemy stąd. Piasek jest zryty i zmieszany. Jedyne rozpoznawalny w nim ślad zostały podkute obcasy. Teoria prawdopodobieństwa dopuszcza możliwość, że ruch piaskowych ziaren znajdzie wypadkową takiego ustawienia, w którym oczy ludzi dopatrzą się znajomego kształtu. Jak kinetyczne ruchy materii odzwierciedlane przemieszczaniem się koloidalnych cząstek... Lecz każdy z nas pamięta miłość bliskich, którzy oczekują jego powrotu, i musi bronić się przed szyderstwem martwego żywiołu.

— Alan... — mówi Gascar.

Nie patrzę mu w oczy, aby nie znaleźć w nich własnego obłędu.

— Słyszałeś? — nie ustępuje.

— Nie. Nic nie słyszałem. Nic! — trzeba powtórzyć szybko. — Nic, nic, nic!...

— Ależ tam był głos! Słyszałem powtarzający kobiece imię głos!

— Nie. Nic nie słyszałem. Nie ma takiego imienia... To tylko wiatr, to znowu ten przeklęty wiatr... Brniemy dalej. Musimy poznać mineralogiczną strukturę gruntu, spisać dane z elektronicznych detektorów kosmicznego promieniowania, wyjąć z kaset taśmy zapisu sejsmografów. Musimy wyjawić składowe chemicznych związków, jakie powstawały przez miliardy lat starzenia się tego globu. One kryją tajemnice Marsa. Tylko one.

PRZEJŚCIE PRZEZ LUSTRO

— Popatrz! — powiedział Ray, ruchem głowy wskazując przed siebie.

Siedzieliśmy na wysokich barowych stołkach. Przed nami, nad biegnącą wzdłuż ściany wąską półką, gdzie stały nasze filiżanki z kawą, lśniła przybrudzona tafla lustra. Myślałem, że Ray pokazuje mi w tym lustrze kogoś, kto wszedł właśnie do kawiarni, obejrzałem się przez ramię, ale we wnętrzu lokalu nie działo się nic szczególnego. Spojrzałem na kolegę pytająco. Pokręcił przecząco głową i znów wskazał na lustro.

— Czy nigdy nie odczuwałeś chęci znalezienia się t a m ? — spytał, pukając palcem w szkło.

Nie zrozumiałem.

— Gdzie: „tam”?

— Tam, po drugiej stronie. W świecie odwróconych napisów, lewoskrętnych gwintów i zegarów chodzących w drugą stronę...

Teraz dopiero pojąłem, że mówi o tamtym symetrycznym do naszego „świecie”, oddzielnym od nas płaszczyzną lustrzanej tafli.

— Raczej nie — powiedziałem — chociaż pamiętam, że w dzieciństwie próbowałem zajrzeć kiedyś za wielkie stojące lustro. Rozczarowałem się jednak: tam był tylko arkusz przybrudzonej sklejki, trochę kurzu i pajęczyn... Przy okazji znalazłem starą, zapomnianą piłkę tenisową.

— A więc jednak... — Ray wpatrywał się w swoje odbicie w lustrze. — Mnie od dzieciństwa lustra zawsze ogromnie frapowały. Odkryłem na przykład, że w każdym lusterku, nawet najmniejszym, można zobaczyć cały świat! Nie tylko to, co znajduje się bezpośrednio przed lustrem, nie mały wycinek, lecz wszystko; nawet to, co jest poza krawędzią tafli, też można zobaczyć, jeśli się spojrzy pod odpowiednim kątem. Nie znałem wówczas, oczywiście, praw odbicia światła, więc fenomen ten wydawał mi się niepojęty... Ten zalustrzany świat zaczął dla mnie istnieć naprawdę! Istniał niezależnie od tego „prawdziwego”, chociaż — przynajmniej, gdy się nań patrzyło — małpował go dokładnie.

Pamiętam, że stworzyłem sobie własną teorię lustrzanego świata. Wyglądała ona następująco: świat za lustrem można podglądać przez dowolny, najmniejszy nawet skrawek lustrzanej tafli. Być może każde lustro, gdyby podejść doń umiejętnie, mogłoby stać się „wejściem” do tego świata. Człowiek mógłby prześliznąć się tam, oczywiście tylko przez duże lustro ścienne. Ale na przykład mysz mogłaby przejść przez kieszonkowe, a chrabąszcz — nawet przez małe lusterko dentystyczne...

Według mojej dziecięcej teorii świat zza lustra naśladował nasz świat tylko wtedy, gdy ktoś go obserwował. Ponieważ jednak ludzie mają bardzo dużo luster, praktycznie więc w każdej chwili ktoś obserwuje „tamtą stronę”, zmuszając ją do ciągłego, wiernego naśladownictwa. Ileż godzin spędziłem przed lustrem, spod oka obserwując swego lustrzanego sobowtóra w nadziei, że wreszcie, choć na chwilę, zagapi się i nie zdąży powtórzyć jednego z moich gestów... Zamykałem oczy, a po długiej chwili otwierałem je znienacka, sądząc, że tamten nie będzie w stanie przewidzieć chwili, kiedy ma uczynić to samo. Moje niepowodzenia w eksperymentach z lustrami nie zraziły mnie jednak do badania świata po naszej stronie lustra: zostałem fizykiem.

Ray przymknął oczy, a po chwili otworzył je i uśmiechnął się do swego lustrzanego odbicia.

— Czujny, bestia! — powiedział.

— Nie martw się, może kiedyś uda ci się wreszcie go zaskoczyć — powiedziałem, zsuwając się z wysokiego stołka. — Pójdziemy już chyba?

— Dobrze, chodźmy — powiedział, nie przestając wpatrywać się w lustro. — Kiedy na wykładach fizyki teoretycznej spotkałem się z zagadnieniami symetrii lustrzanej i zasadami parzystości w świecie cząstek elementarnych, odkryłem, że drzemie we mnie jeszcze ta dziecięca obsesja luster. Teraz już wiem, że droga do tamtego świata nie wiedzie przez lustrzaną taflę... Ale, wobec tego, którędy?

Spojrzał na mnie tak, jakby nie chodziło tu o żart, lecz o prawdziwy problem fizyczny. Wzruszyłem ramionami.

— Nie zastanawiałem się nad tym — powiedziałem, dostosowując się do jego poważnego tonu. — Siedzę teraz po uszy w zagadnieniach antymaterii...

— Właśnie! — podchwycił. — Przecież to już bardzo blisko tamtej strony...

— Nie jestem chrapaszczem! — powiedziałem. — Moje lustro jest zbyt małe, po prostu okruc... Na razie uzyskaliśmy pojedyncze antyatomy.

— Błąd w metodzie... — mruknął Ray. — Antyświata nie trzeba stwarzać. On przecież istnieje niezależnie od tego, czy... patrzymy w lustro, czy nie...

— ...i naśladuje nasz świat? — dodałem ironicznie.

Ray zamyślił się. Ruszyliśmy wolnym krokiem w kierunku jego domu.

— Posłuchaj! — powiedział, nagle przystając. — Znasz na pewno taki prosty, pogładowy model zamkniętego wszechświata w postaci nadmuchiwanego balonika? Nieskończenie cienka powłoka to dwuwymiarowy świat. Rosnący wciąż promień kuli-balonika wyobraża trzeci wymiar, a zatem — upływ czasu w tym wszechświecie. Dwuwymiarowe istoty i przedmioty tego wszechświata siedzą na nim jak „miscozki” na żółdziach, ściśle dopasowane do jego krzywizny.

Ponieważ „powłoka balonu” jest tu jedynie matematyczną abstrakcją, to pod nieobecność przedmiotów wszechświat taki istnieje tylko jako idea, lecz nie istnieje materialnie.

Materia swym własnym zakrzywieniem określa ten wszechświat, powołując go niejako do istnienia. Krzywizna czy też „wypukłość” materii wyznacza promień krzywizny wszechświata! Stąd wniosek, że stopień zakrzywienia przedmiotu materialnego decyduje o jego przynależności do pewnej chwili czasu! Jednakowo zakrzywione przedmioty są sobie współczesne, leżąc na tej samej powierzchni kulistej...

— Rozumiem — powiedziałem. — Aby zatem przesunąć się w czasie, trzeba zmienić swój promień krzywizny!

— Tak. Gdybyś zmniejszył swe zakrzywienie, przesunąłbyś się w przyszłości, i odwrotnie... Ale nie o podróżach w czasie chciałem mówić. Tym sposobem zresztą nie uda się chyba podróżować w czasie... Wracajmy jednak do naszych luster. Jak sądzisz, gdzie w tym modelu, o którym mówiłem, jest miejsce dla „lustrzanego świata”?

— No... chyba... — zastanowiłem się. — Chyba będzie nim kula styczna do balonika?

— Brawo! Styczna kula — ucieszył się Ray. — Chwyciłeś rzecz znakomicie. Jako obywatel powierzchni balonika masz zatem kształt maleńkiej czaszy kulistej. Jeśli teraz przyłożę do ciebie w dowolnym punkcie powierzchnię lustrzaną, to zobaczysz mieszkańca lustrzanego świata, stykającego się z tobą w jednym punkcie. Co zrobisz, żółdziowa miseczko, by stać się nim samym? Spełniesz ze swego balonika i obrócisz się o sto osiemdziesiąt stopni! Lecz obrotu tego musisz dokonać w trzecim wymiarze, którego w ogóle nie znasz i nie czujesz, bo wobec ogromnych rozmiarów twego kulistego wszechświata ty sam jesteś prawie zupełnie (choć niezupełnie) płaskim krążkiem! Teraz dodaj do tego jeszcze jeden wymiar przestrzenny, a staniesz się tym, czym realnie jesteś — istotą trójwymiarową, i powtórz całe rozumowanie!

Aby przejść przez lustro, musisz więc dokonać obrotu w czwartym wymiarze, którym jest czas. Wystarczy zatem „odwrócić się w czasie”... i już!

— No, to na co jeszcze czekamy?! — zawołałem, by dowcipnie zakończyć tę grę fantazji

mego przyjaciela.

— Poczekaj! — Ray nie wypadł z poważnego tonu. — Nie zauważyłeś jednej rzeczy! Twój sobowtór z lustra jest mańkutom! A ty, przez sam tylko obrót w czwartym wymiarze, nie zmienisz swej budowy! Pozostaniesz praworęczny. W świetle za lustrem będziesz zatem odmieńcem!

Rozmawiając, znaleźliśmy się przed budynkiem, w którym mieszkał Ray. Chciałem go pożegnać, ale przytrzymał moja dłoń.

— Chodź — powiedział, ciągnąc mnie na schody. — Zrobimy doświadczenie.

— Jakie doświadczenie? — zdziwiłem się.

— Obrót w czasie — powiedział, otwierając drzwi z klucza i przepuszczając mnie do mieszkania.

Na środku pokoju, na dużym okrągłym postumencie stało coś na kształt beczki z przezrzystego, zielonkawego szkliwa. Dokoła rozmieszczone były lampy rtęciowe z reflektorami nakierowanymi na ten dziwny przedmiot.

— Ten kryształ — powiedział Ray — to coś w rodzaju lasera. Oczywiście w przenośni. Akumuluje on energię falową, by pod wpływem zewnętrznego bodźca wyzwolić cały nagromadzony jej zapas i przekazać ją obiektowi umieszczonemu wewnątrz kryształu. Gdy znaję się w środku, naciśniesz ten przycisk.

Ray podał mi małe pudełeczko, połączone kablem z podstawą kryształu. Patrzyłem na niego, oczekując wyjaśnienia. Był poważny i uroczy, lecz milczał.

— Mój drogi — powiedziałem, zbliżając się nieznacznie do drzwi wyjściowych — ja naprawdę nie mam już czasu. Czekają na mnie z kolacją!

Zastąpił mi drogę, odgradzając mnie od wyjścia. Przekręcił w zamku klucz i schował go do kieszeni.

— Nigdzie nie pójdziesz — powiedział stanowczo. — Potrzebuję pomocnika. To nie potrwa długo.

— Świetnie! — mruknąłem, wzruszając ramionami. — Jak się bawić, to wesoło! Ale naprawdę pośpiesz się!

Ray rozsunął kryształ na dwie części — przedtem nie zauważyłem, że był rozcięty. Stanął w jego pustym wnętrzu i zwarł na powrót obie połowy. Skinał mi głowę, bym zaczynał.

Ściany kryształu silnie fluoryzowały. Naciśnąłem przycisk. Kryształ zbladł nagle, przygasł jakby, stając się zupełnie bezbarwny jak czyste szkło. Po chwili, pewnie pod wpływem światła lamp, zaczął się znów powoli rozświetlać.

Ray rozsunął połówki kryształu i zeskoczył na podłogę.

— Po zabawie? — spytałem.

— Hm... a bo ja wiem? Co się właściwie stało?

— Raczej nic. Tylko kryształ przygasł, która godzina?

Ray spojrzał na przegub prawej ręki.

— Dochodzi ósma — powiedział.

— No, to daj klucz, muszę już iść.

Ray machinalnie sięgnął do lewej kieszeni spodni i podał mi klucz.

— Zaczekaj jeszcze chwilę. Spróbujmy jeszcze raz!

Zgodziłem się, pod warunkiem, że będzie to ostatnia próba. Wszystko powtórzyło się dokładnie tak samo, Ray wyszedł ze swego „wehikułu” i usiadł na kanapie, milcząc ponuro i patrząc w podłogę. Stałem, niecierpliwie przestępując z nogi na nogę.

— No, idź już! — burknął, odchylając lewy mankiet. — Dziesięć po ósmej! Jeszcze zdążysz na tę swoją kolację!

Minę miał tak przegraną, że po prostu zrobiło mi się go żal. Czyżby on, fizyk, wierzył rzeczywiście w możliwość powodzenia tego dziwaczного eksperymentu, zakrawającego na praktyki magiczne?

Aby rozładować jego zły humor, przysiadłem obok i powiedziałem wesoło, jakby kontynuując nasze niedawne rozważania:

— Posłuchaj, stary! Jeśli — zgodnie z twoją dziecinną teorią — świat za lustrem ściśle naśladuje nasz świat, to równocześnie z twoim przejściem tam twój lustrzany bliźniak musi zrobić to samo, a więc... przejść tu, do naszego świata. Zgodnie z twoimi wywodami będzie on miał serce po prawej stronie, a kolkę wątrobową — po lewej...

Ray wstał zdecydowanie z kanapy i podszedł do swej dziwacznej instalacji.

— Głupstwa opowiadasz! — burknął, po czym chwycił ciężki taboret i huknął nim w kryształ. Jedna ze szklistych połówek zachwiała się, runęła i uderzając o podłogę, pękła na kilkanaście kawałków.

— Do diabła! — zaklął. — Rację mają ci, którzy mówią, że fizyk–teoretyk to taki fizyk, któremu nie chcą się udawać doświadczenia!

— Idę już — powiedziałem — bo jeszcze i mnie się dostanie!

Skinąłem mu dłonią i wyszedłem do przedpokoju. Długo nie mogłem włożyć klucza do zamka.

— Ray! — zawołałem. — Chodź tu i otwórz te drzwi, bo ja nie potrafię.

Podszedł, wyjął mi klucz z ręki i teraz z kolei on przez długą chwilę mocował się z zamkiem. Potem obejrzał dokładnie klucz i dziurkę w zamku. Wyprostował się i spojrzał na mnie jakoś bardzo dziwnie.

Zajrzałem i ja do dziurki, obejrzałem klucz...

— Do licha! — powiedziałem. — A to ci dopiero...

Profil otworu dziurki od klucza był dokładnym lustrzanym odbiciem wycięć na kluczu. Nic dziwnego, że nie pasowały do siebie...

PRECEDENS

Pierwsze spojrzenie kieruję zazwyczaj na podsądnego. Taki już wyrobiłem sobie nawyk. I jest on silniejszy niż logika, ba... silniejszy niż ja sam. Gdy odłożony na stół łańcuch sędziowski (by nie podzwaniał za lada ruchem) nakrywam biretem, muszę przypatrzeć się twarzy zasiadającego na ławie oskarżonych. Jak gdyby to pierwsze wejrzenie mogło zaważyć na losie postawionego przede mną, czyli przed obliczem sądu, który porównuje „brzemień winy z miarą nieprawości”.

Dziś wszakże zapatrzyłem się na stół sędziowski, odwlekając chwilę wzrokowego kontaktu... Oczywiście wiedziałem, że to niedorzeczne — tak samo zresztą jak niedorzeczny jest mój nawyk. Podniosłem wreszcie wzrok i... doznałem ulgi. Obwiniony Bunny trwał bowiem nieporuszony, jak posąg na cokole, na tym „najohydniejszym miejscu w społeczeństwie”. Obok rozpiekał się w fotelu obrony mecenas Iuris. Był to widok napawający otuchą. Bo właśnie obecność prawnika przydawała sprawie powagi, a przede wszystkim — powiedziałbym — realności. Wprawdzie Iurisa znałem z nie najlepszej strony, umiał on zaciemniać sprawy, które prowadził, ponad ludzkie pojęcie przyzwoitości, potrafił też zjednywać sobie ławników, lecz jeśli obwinionego reprezentuje prawnik, nawet podłej miary, sprawa zawsze przebiega korzystniej. A poza tym dodaje mi pewności, gdy czuję bratnią duszę, czyli człowieka o analogicznie sformalizowanym języku.

W czasie tych moich dość długo trwających rozmyślań Bunny ani drgnął. Aż się zaniepokoiłem jego drętwością, bo dużą wagę przykładam do odpowiedzi obwinionego. Sądzę, że łatwiej wyłuskać jądro prawdy ze słów nie przybranych w urzędową stylistykę niż z najprecyzyjniejszego materiału dowodowego.

Zapytałem więc po prostu:

— Bunny? Czy słyszysz? Czy możesz odpowiadać na pytania sądu?

Nie zmienił nawet układu mięśni w pofałdowanej twarzy, niemniej zapewnił skwapliwie:

— Tak!

Dopiero teraz rozejrzałem się po sali. Przepatrywałem kolejno twarze świadków, rzeczoznawców i publiczności. A na ostatek zachowałem sobie do obejrzenia promieniejące zadowoleniem oblicze reportera z „Times Week”, Besserwissera, który już od pewnego czasu rozpisywał się szeroko o dzisiejszym procesie. Przy sposobności poprzeinaczał oczywiście pobudki dochodzeń, by w konkluzji przypisywać nam średniowieczne metody. Dla potwierdzenia swych wniosków przytoczył przykłady osądzania kotów, kóz i czarownic. Słowem, wydrwiwał bezkarnie — a przecież dotkliwie — nieporuszoną powagę Temidy. W tej chwili Besserwisser uśmiechnął się w moją stronę. „Bezczelność” — zachnąłem się. W pierwszym odruchu chciałem nakazać, by usunięto prasę z sali rozpraw. Toż nikt inny, tylko właśnie oni, wszędobylscy dziennikarze, zmusili nasz resort do przeprowadzenia tego niezwykłego procesu. Teraz... czyhają, tropią tanią sensację, a potem rzucają niezawisłość sprawiedliwości na pastwę opinii niewybrednej rzeszy czytelników... Uniosłem już nawet dłoń, aby przywołać odźwiernego. Powstrzymałem się jednak. To by im dopiero odpowiadało! Co za wspaniała okazja, żeby podnieść lament, poczerpnąć do woli aparat sprawiedliwości!

Rozłożyłem akta sprawy, którą znałem lepiej niż własny życiorys i którą opracowałem do najdrobniejszych jak pchłęta szczegółów.

A potem zawołałem głośno:

— Bunny!

Wezwany poruszył się, powstał.

— Czy przyznajesz „się do winy? No, przyznaj się z dobrej woli!

Głos ten doleciał mnie jakby znikąd. Jednocześnie jednak uprzytomniłem sobie, że słyszę samego siebie. To ja nastawałem, aby obwiniony się przyznał! Oczywiście wbrew procedurze. Ale pogmatwało mi się w głowie od pyszałkowatych, natrętnych spojrzeń tych wszędobylskich dziennikarzy!

Salę przemierzył szmerek zdziwienia, lecz ucichł natychmiast, bo w sądach obowiązuje zachowanie odpowiednich form. Bywalcy wiedzą o tym doskonale.

— Nie przyznaję się do winy — odpowiedział Bunny. — Przyznaję się natomiast do popełnienia czynu.

Nikt, sądzę, nie oczekiwał podobnej odpowiedzi. A najmniej chyba ja. „Czyżby kryły się w tym wskazówki Iurisa?” — myślałem gorączkowo, zastanawiając się nad charakterem nowej linii obrony, lecz nie wymyśliłem niczego godnego uwagi.

Tłumek zapelniający ławy dla publiczności zastygł w napięciu. Przemówił oskarżyciel. Czytał jednostajnym, pozbawionym wyrazu głosem. Jakby odmawiał nakazane obyczajem, ugrzecznione formuły protokołu dyplomatów. Wsłuchiwałem się, by raz jeszcze wyławić z tekstu wybornie mi znane główne punkty oskarżenia:

...Bunny zamordował dobroczyńcę swego, profesora Cefalo...

...zawiódł bezgraniczne zaufanie...

...działał z premedytacją...

...kierowany niskimi pobudkami...

Tu oskarżyciel się zająknął. Oczekiwałem tego — przedobrzył już z tymi pobudkami. Potem wszakże doczytał wielostronicowy ów akt niemal bez przeszkód do końca. Czas odczytywania przesiedział Bunny nieporuszenie, jego obrońca wynotowywał coś z opasłej księgi. Gdy skonstatowałem, że księga ta jest pokaznym zbiorem wycinków prasowych, znowu poczułem się nieswojo. Czerwieniejące, krzykliwe nagłówki przypominały mi nietypowość sprawy. Dopiero teraz uzmysłowiłem sobie w pełni absurdalność przewodu. A przede wszystkim nonsens stawiania pytań... Owych pytań błahych pozornie, lecz kryjących pułapki, które mają się dowi ułatwić odpaździerzenie rzetelnej prawdy z wykrętów, pomóc w oskrzydleniu obwinionego, uwikłaniu go w matnię, przytłoczeniu niezbitym dowodem, — wytknięciu winy i pobudzeniu do skruchy. Tak jak uczy prawo rzymskie i prawo naszego wieku.

Quis, quid, ubi...*

„Bunny upora się z najlepiej przemyślaną taktyką, druzgocąca jego logika przewidzi wymyślne pułapki pytań, pozwoli je wyminąć, rozwali kunsztowną konstrukcję dowodzeń...” — mimowolnie zacytowałem z pamięci głos znanego publicysty. Ale na pociechę przypomniałem sobie, że mój proces myślenia jest lotniejszy, po prostu probabilistyczny i jako taki góruje nad układem perspektywnym, a ten rodzaj intelektu zapewne reprezentował obwiniony.

Ostatnie formuły oskarżenia dolatywały do mnie jakby przytłumione twardą ścianą. Zacząłem nawet powtarzać je, poruszając bezgłośnie wargami, wpatrzony w spoczywający na stole odpis aktu. Nie ma co mówić, oskarżenie zbudowano prawie bez zarzutu.

Wszakże prokurator zająknął się raz jeszcze. Zauważyłem krótką jak mgnienie oka chwilę wahania, potem przydech i nareszcie krasomówcze niejako przeinaczenie:

— Żądam kary głównej dla oskarżonego! — Dopowiedział to już jednym tchem.

Był to wybieg drobny tylko pozornie i sądowi bywalcy przyjęli go z uznaniem. Nawet obrońca pokwitował uśmiechem niebanalną zręczność kolegi. Także i ławnicy wymienili

* Quis, quid, ubi, quibus auxiliis, cur, quomodo, quando (łac.) — kto, co, gdzie, jakimi środkami, dlaczego, jak, kiedy; główne pytania śledztwa.

ukradkiem jakieś uwagi. Wreszcie spojrzenia wszystkich obecnych skupiły się na mnie. Uczułem mrowienie chodzące mi po plecach. Odczekałem kilkanaście sekund, czy nie wpłynie do sądu jakiś wniosek, który pozwoliłby dopatrzeć się uchybień natury proceduralnej i oddalić oskarżenie raz na zawsze. Bo przyznam, coraz bardziej lękałem się tego procesu. Ale nie zaszło nic, co umożliwiłoby mi choćby odroczenie sprawy. Należało zatem wysłuchać obwinionego, zanim przystąpię do badania świadków.

Zawirowały kręgi taśm. Źrenice obiektywów nakierowały się, o dziwo, nie na bryłową postać Bunny'ego, lecz na mnie! A loża prasy przemieniła się w jedno ucho i jedno oko zarazem.

Dłużej odwfekać niepodobna. Padło więc pierwsze pytanie:

— Dlaczego zamordowałeś profesora Cefalo?

Mniemałem, że obwiniony oniemieje. Że nie znajdzie godziwej odpowiedzi. Dziennikarze omal nie powypadali z łoży, z taką gorliwością powychylali się przez poręczę odgradzające Ich od sądowej sali, w której zapanowała niczym nie zmacona cisza. Przerwał ją wreszcie stanowczy głos Bunny'ego:

— Nie zamordowałem! To potwarz!

Opadły mi ręce. Tak nieprawdopodobne zeznanie przytrafiło mi się usłyszeć po raz pierwszy.

— Przyznałeś się przecież do popełnienia czynu...

— I nie cofam tego. Nikt nie zna lepiej ode mnie układów rozdzielczych w laboratorium. I tylko ja spowodowałem, że wstrząs elektryczny uśmiercił profesora.

— Ale dlaczego to uczyniłeś?

— Działiałem w myśl wskazań denata.

— Ale dlaczego? Po prostu — dlaczego?

Na te słowa wstał obrońca, zbierając w garść fałdy rozchylonej togii. Ruch ten cechowała godność, a przede wszystkim przemyślana powolność, Iuris świadomie skupiał na sobie uwagę wszystkich obecnych. Chciał umniejszyć ciężar gatunkowy niesprzyjającej dla oskarżonego chwili.

„Czyżby to tkwiło właśnie tu? — zakołatała mi pod czaszką lotna myśl. — Czyżbym dopytał się właściwej przyczyny?”

— Uchylamy się od odpowiedzi. — Głos obrońcy zagrzemiał jak organy. — Klient mój nie był w stanie ocenić stopnia niepoczytalności denata.

Powiedziawszy tę kwestię usiadł, świadomy wywołanego wrażenia. Na sali zaszemrano, tak że musiałem użyć dzwonka. Już oskarżyciel szykował się jakby do skoku. Przeczuwałem coś druzgocącego. Ale nie odgadłem tego, co nastąpiło.

— Czy obrona kwestionuje poczytalność denata, uczonego o światowej sławie?

Gromki śmiech uderzył w stare mury, wytoczył się aż w kuluary pałacu sprawiedliwości i wrócił natrętnym echem. Zaśmiewali się wszyscy, nie wyłączając Bunny'ego, który wysapywał z siebie przedziwaczne, mogące uchodzić za śmiech, skrzeczenie.

— Pytanie strony oskarżenia brzmi bezprzedmiotowo, albowiem, poczytalność każdego człowieka w naszym wieku bywa wątpliwa! Wnoszę o zapoznanie sądu z charakterem pracy naukowej denata.

Przytaknąłem, przyzwalając. Ławników też korciła ciekawość, nie zgłosili zatem sprzeciwu. Odźwierny wprowadził jedyne go zaufanego współpracownika profesora Cefalo, docenta Pirrona. Świadek ten, a raczej biegły, skłonił się w stronę obrońcy (skąd oni się znają?), potem w kierunku łoży dla prasy, wreszcie przyjął postawę człowieka gotowego na przyjęcie niespodzianek. Przynajmniej takie odniosłem wrażenie.

Zaczął mówić... Nie, on tłumaczył, nieledwie wprowadzał w zawilości poprawek do wzorów Einsteina. Był nacechowany ciepłą pobłażliwością nauczyciela, który stara się uprzystępnąć

teorię syntezy logicznej, by zaspokoić dziecięcą ciekawość przedszkolaków. A później to już były wzory, równania i ekwilibrystyka wyższej matematyki. Cały ten wywód był uciążliwy jak zmora senna. Bo i któż wiedział, o czym opowiada Pirron? Kto pojmował piętrzące się równania, które on rozwiązywał w pamięci? Czuję się, jak gdybym pojawił się brudny i nagi na sylwestrowym balu, zapytywałem sam siebie: „Cóż warta moja prawnicza wiedza, lata studiów poświęcone na wgrzanie się w twarde kanony i dezyderaty prawa rzymskiego, w historię obojga praw, aż po ogromniaste kodycje współczesnego orzecznictwa?”

Wywód Pirrona dłużył się jak bezsenna noc. Ten świadek i biegły zarazem — gadał i gadał bez końca. Dekalog Mojżeszowy składa się ze stu pięćdziesięciu słów. Natomiast komentarz do artykułu o trybie postępowania z uwierzytelnieniem podpisu na dowolnym dokumencie składa się ze stu pięćdziesięciu tysięcy słów. Ileż to jeszcze przytoczy świadek równań? Ile wzorów, stałych matematycznych wykładników? A wszystko dlatego, że stara się streścić i uprościć teorię znakomitego denata. Wskazać jedyny genialny wzór, którego przecież, tak czy owak, nie zrozumie nikt. Oto współczesność. I jeszcze mamy czelność wyśmiewać filozofię dziewiętnastego wieku za to, że śmiała spajać podzielony na czworo włos. Jakże więc, u licha, mam otwierać przewód i orzekać, jeśli postawiono mnie w sytuacji głuchego, od którego żąda się opinii o koncercie głośnego pianisty? Wobec swady Pirrona przybranej w naukowy sztafaż czuję się jak biedak analfabeta, któremu wręczono okazały kartelusz, zapewniając, że gdy zastosuje zawarte w nim wskazówki, rychło posiędzie bogactwo.

Obronca przysłuchiwał się tyradzie świadka z uśmiechem człowieka świadomego zagadek bytu—niebytu. Jak gdyby doskonale był obznajmiony z elementami logiki matematycznej. Nie inaczej patrzyło z oczu ławników. No, reprezentowali oni dziedziny pokrewne wiedzy Pirrona. A prasa? Czy łowili sensację? Wyglądało, że tak. A może już pichcili swoje nudne reportaże, by nazajutrz wtłoczyć je do telewizyjnego programu i tak niezbyt mądrego, bo umatematycznionego? Teraz nic nie może istnieć bez wyliczeń. Gdy mowa o cielecym kotleciku, zaraz w ruch idą tabele i wzór na metabolizm, jeżeli o religioznawstwie — wyciąga się pierwiastek z minus jedności, a kiedy o miłości — wtedy buduje się równanie o dwóch niewiadomych... Oj, świecie, świecie! Żebyś ty wiedział, co cię może uleczyć z atrofii humanizmu i prostoty. Co wyeliminuje halucynogeny arytmetyki z życia...

„Tak czy tak, niech ten Pirron już skończy” — westchnąłem w duchu.

Jak gdyby odgadł ukryte moje intencje. Oczarował nas jeszcze jednym równaniem, całość zliczył — zamachnął się dłonią, rzekłbyś: podkreślił zawieszony w powietrzu wynik. I nastąpiła cisza. Przerwało ją dopiero pytanie obrony.

— Czy poczytalność denata była zróżnicowana w, stosunku do poziomu Bunny’ego?

— Oczywiście.

— Zatem denat nie spodziewał się tragedii?

— Naturalnie.

— Czy spekulacje Bunny’ego przebiegały ze wspomaganiami?

— Nie, raczej odwrotnie.

— Proszę wyjaśnić dokładniej sądowi.

„No, raczył sobie przypomnieć, kto przewodniczy przewodowi” — pomyślałem niechętnie.

— Bunny zazwyczaj wspomaga ultrakomputer, lecz w dniu krytycznym wyznaczono mu czynności pomocnicze. Po prostu w większym stopniu był maszyną prostą.

Żachnąłem się.

A to co za brednie?!

Pirron przywołał na swoje oblicze uśmiech politowania.

— Podsądny nie jest człowiekiem nauki. Jest operatorem i programistą. Dlatego ucłowiecza

komputer swoim umysłem. A wtedy działają w układzie przeciwnym: człowiek i maszyna. W systemie równoległym natomiast spekulował na wyraźne zlecenie. I wtedy modulował układy scalone doznaniem właściwymi ludzimi. To potęga! — westchnął świadek.

— Pytanie sądu: czy Bunny jest człowiekiem, czy maszyną?

— Mówiłem już...

— Świadek zechce wyraźniej formułować swoje wypowiedzi.

— I tak, i nie. To agregat. Symbiotyczny układ mózgu i komputera. Istota najdoskonalsza na świecie. Niezawisła przez współzależność obu paneli układu. Wolna od szkodliwych odruchów lęku, filantropii, politowania, stresów, depresji, wątpliwości et cetera*. Umysł chłonny i chłodny, o bezbłędnej decyzji. Absolutnie doskonała przez zdolność ewoluowania i długowieczność, która koncentruje nie skażone przez czas informacje. Sam Bunny liczy sobie ponad sto lat. To znaczy: jego mózg. Choć ciało Bunny'ego spopielono przed ćwierćwiekiem, żyje on przecież nadal.

— Enigmatyczna teza... Ale czy świadek też?... — wyjąkałem niepewnie.

— Pytanie to prowokuje do wynurzeń natury intymnej — powiedział z godnością.

— Tu jest sąd!

— A więc... tak.

I pochyliwszy głowę, rozgarnął włosy na ciemieniu, by ukazać dwie połyskliwe narośle, których symetria zdradzała krystaliczne pochodzenie.

— To podłość, by sądowi przeciwstawiać arytmometrię. Nawet ożywione!

W sali zaszumiało. Dziennikarze obmacywali swoje czaszki. Ławnik zaś, ten z lewej, przybliżył usta do mojego ucha i wyszeptał coś, z czego dorozumiałem się, że on... także.

— To spisek! — wykrzyknąłem ogarnięty wzrastającą pasją.

— To doganianie postępu — wyjaśnił obrońca. — Rozwój nauki zmusza nas do marszu ramię w ramię z techniką, z matematyką — tym kluczem do wszelkiej nauki. Tak myślał genialny denat. Lecz zagalopował się, chcąc wbudować sobie zdublowany układ. Zapomniał o nierównowadze prądów. Dlatego zginął porażony zdesynchronizowanym rytmem alfa!

— Czy to, co słyszę, jest mową obrończą? — spytałem. Jednocześnie zdałem sobie sprawę z retoryczności tego pytania. Przecież każdy gest, każde słowo, wszelkie dokonania ze strony adwokata, wszystko to składa się na linię obrony. Toteż Iuris nie raczył nawet odpowiedzieć, jawnie mnie zignorował.

— Proszę dopuścić Bunny'ego jako świadka — rzekł.

— To podsądny.

Ponieważ jednak prokurator nie zgłosił sprzeciwu, ustąpiłem. Oskarżony opuścił swą ławę, by stanąć u krated dla świadków.

Mówił:

— Przed wypadkiem wyłączył mi erudytor. Z naturalnym zaś mózgiem równałem się współczesnemu debilowi lub uczoneму z minionych stuleci. Ale profesor nalegał, żeby przeprowadzić zabieg. Trochę wprawdzie bał się, bym nie wykorzystał sytuacji i nie zamnezjował twórczych ganglionów jego mózgu, ale wierzył, że mentalność człowieka minionego czasu była nacechowana... no, uczciwością. W konkluzji przyniosło to żalony skutek. Zawiodłem go jako operator. Ale dlatego tylko, że nie podolałem spekulatywnym procesom naszego stulecia. A szkoda, bo obok erudytora miałem wprowadzić do mózgu pragmaty. Ulepszenie znakomitych większości ludzkich było wielką ideą profesora.

Przewód sądowy po prostu wymknął mi się z rąk. Oczywiście za sprawą obrony, która wtłoczyła swoje poglądy w dialog: oskarżony — sąd. Otóż adwokat odczytywał wbrew naszej,

* Et cetera (łac.) — i tak dalej.

sądowej, woli wycinki zebrane w księdze spoczywającej na jego pulpicie. Wprowadził przez to sporo zamieszania. Ale muszę przyznać mu słuszność — było to teraz jedyne, co mógł uczynić na poparcie wypowiedzi Pirrona i zeznań Bunny'ego. Z przytaczanych tekstów wyłaniała się znakomita teoria profesora Cefalo, podbudowana geniuszem Asimova, Turinga, Głuszkowa i późniejszych cybernetyków, specjalistów w dziedzinie teorii automatyki i sztucznej inteligencji,

Iuris czytał:

— *Zlewanie się osobowości, czyli dwoista inteligencja.*

— *Fuzja mózgow w klasycznym układzie: bodziec — informacja — przetwarzanie informacji — postulat — decyzja — reakcja.*

— *Pamięć asocjacyjna wspomagana przetokowym przetwornikiem informacji!*

— *Poszerzenie wąskiego gardła specjalizacji automatycznego rozwiązywania zadań i dowodzeń!*

— *Po co programować? Bioprądy sterują ultrakomputerem.*

— *Przetwarzanie informacji wprost w mózgu.*

— *Miniaturyzacja układów scalonych umożliwi instalację maszyny cyfrowej pod sklepieniem czaszki.*

— *Idea naszego sławnego rodaka zaskakuje prostotą. Sztukmistrz-programista i układy kodujące na perforowaną taśmę są reliktem minionej epoki. Mózg ludzki jest wytwornicą prądów, które zasilają i modułują, są życiem układów scalonych. Sprzęgnijmy zatem mózg człowieka z mózgiem elektronowym we wspólny układ.*

— *Świat, zaludniony tytanami wiedzy z dziedziny techniczno-matematycznej, ante portas* absolutnego dobrobytu.*

— *Mędrzy i geniusze rodzą się w pracowni profesora Cefalo.*

— *Spotęgowany geniusz ludzki wydziera naturze jej tajemnice.*

I tak dalej, i dalej. Aż wreszcie zdanie, które szczególnie utkwiło mi w pamięci.

— *Świat w obliczu potrzeb zmodyfikowania ustawodawstwa.*

I drugie, z prasy opozycyjnej:

— *Rządowa konserwa odrzuca projekt powszechnego i przymusowego wpreparowania erudytorów*, o tym to już słyszałem. Ba, czytałem nawet rozporządzenie przestrzegające nas, pracowników resortu sprawiedliwości, przed uleganiem zakusom grupy nieodpowiedzialnych uczonych, którzy zamierzali pogwałcić ludzką osobowość, którzy za pomocą elektronicznych wstawek do organizmu zdążali do zlikwidowania osobistej nietykalności człowieka.

A właściwie to zdania były podzielone. W resorcie wyłoniły się dwa stronnictwa, ale przeważał głos mniejszości, należał bowiem do wysokich i najwyższych urzędników. Tych zasłużonych przez wieloletnią pracę i tych, którzy projektowali ustawy na forum sejmowe. A rząd darzący zaufaniem wszystko, co stabilne, afirmował mniejszość w całej rozciągłości. Te wszystkie dyskusje nie interesowały mnie zbytnio. Dlatego czułem się teraz wobec oskarżonego, świadków, obrony, prasy, a może i publiczności, jak... powiedzmy, nie uwłaczając własnej godności... jak niezaradny i mniej rozgarnięty uczeń w środowisku prymusów. Teraz ubolewałem nad tym, że nie uczestniczyłem w kuluarowych dyskusjach. Zawsze zresztą unikałem i unikam wyjawiania swoich subiektywnych opinii. Przewidując ostrzejsze negocjacje w łonie resortu, Wziąłem nawet ostatnio urlop. Chciałem bowiem spokoju i tylko spokoju. A tymczasem — rozentuzjzmowani teorią wspomagania umysłu erudytorem — rzecznicy profesora Cefalo dołożyli starań, by postawić czynniki oficjalne przed faktem dokonanym.

Do pierwszych, którzy poddali się ulepszeniu osobowości, należał Bunny. Jakkolwiek on —

* Ante portas (łac.) — pod bramami.

to zaledwie jego mózg wypreparowany przed ćwierć wiekiem, a potem anestezjowany przez dwadzieścia lat w lodówce. Cefalo zreanimował go, wyposażył w ciało z protez i transplantowanych tkanek. i tak żył nasz Bunny po raz drugi na tym świecie i nawet stanął przed sądem. Niesamowite — królik doświadczalny przed sądem.

Zaraz, zaraz!... Królik, czyli obiekt, na którym przeprowadza doświadczenia człowiek. Jest precedens! I to nawet opisany w orzecznictwie *utriusque iuris** oraz *ius gentium**. Są to: art. 12478 par. 1865 lit. Kk i art. 29322 par. 11331 lit. Nz. A jak to jest sformułowane? Bezskutecznie szukałem w pamięci brzmienia przepisu. Nacisnąłem więc włączniki tablicy bibliotecznej i na ekranie czytnika wyświetlił się napis:

...Dotyczy osób fizycznych, które odbiegają od normy psychicznej i fizycznej na skutek wypadków losowych, nie przewidzianych prawem zabiegów medycznych, stuprocentowych inwalidów, narkotyzujących się oraz narkomanów uleczonych, podejrzanych jednak o nieodwracalne zmiany w organizmie, osób uznanych za zmarłe, aczkolwiek przywróconych do życia (...) Nie dopuszcza się do proceduralnego postępowania w trybie zwykłym, doraźnym (...) Ustawa obowiązuje w terminie zawitym do...

Aż pokraśniałem z uciechy. W tym stanie rzeczy nie musiałem już uciekać się do kruczków prawnych z derogacją* przepisów i twierdzeń. To było właśnie to, czego mi brakowało, by uczciwie przerwać powikłany proces.

Włożyłem na głowę biret, zawiesiłem na szyi łańcuch. Podziękowałem taktownie obrońcy i oskarżycielowi oraz świadkom i ogłosiłem — z ubolewaniem — decyzję sądu.

— Na mocy artykułów dwanaście tysięcy czterysta siedemdziesiąt osiem i dwadzieścia dziewięć tysięcy trzysta dwadzieścia dwa sąd uchyła postępowanie strony oskarżenia. Od orzeczenia nie ma apelacji.

Niechże teraz wścibscy dziennikarze łamią sobie głowy. Niech doszukują się znaczenia mocy prawnej. Ja zyskałem upragniony spokój.

* *Utriusque iuris* (łac.) — obojga praw (rzymskiego i kanonicznego).

* *Ius gentium* (łac.) — prawo narodów.

* Derogacja — uchylenie poprzednio obowiązujących przepisów.

MEGALOMANIA

Na dziś wystarczy” — myślał Profesor, patrząc, jak asystenci powoli wyłazą z wykopów i zbierają się wokół niego.

Zapadał zmierzch. Ruszyli w kierunku bazy, omawiając, znalezione dzisiaj eksponaty. Gave człapał na końcu, nie starając się nawet słuchać, co mówi Profesor. Był zmęczony całodziennym kopaniem, a poza tym wydawało mu się, że przeoczył coś ważnego, i teraz bezskutecznie usiłował przypomnieć sobie, co to mogło być. Zamyślony nie zauważył, że idący przed nim Tyr zatrzymał się wciągając kilkakrotnie powietrze. Dopiero w ostatniej chwili udało mu się go wyminąć.

Tyr węszył jeszcze przez chwilę, a potem krzyknął:

— Burza!

Grupa zatrzymała się. Tyr był znany z bardzo czułego powonienia i chociaż co młodsi usiłowali odnaleźć w ciepłym, wieczornym powietrzu znajomy zapach, Profesor nie czekał na ich opinię. Na zdaniu Tyra można było polegać, a poza tym mrok zapadał coraz szybciej. Pobiegli.

W obozie musieli najpierw odnaleźć latarniki. Tu Gave znowu zamarudził. Jego latarnik był zaspany, a może podekscytowany nadchodzącą burzą, którą teraz już wszyscy wyczuwali, tak że upłynęła dłuższa chwila, zanim poczuł małe łapki czepiające się sierści. Prawdę mówiąc, mógł wziąć innego, ale lubił posługiwać się swoim latarnikiem.

W strefach zamieszkanym noc trwała krótko i niewiele było okazji do spacerów w ciemności. Gave zapatrzył się na rozsypane po całym obozie, poruszające się światełka. Gromadziły się one przy zagrodach muków, gdzie przygotowywano transport płyt mających zabezpieczyć wykopy. Doskonale znany obraz — dużych szarych ciał, między którymi uwijały się mniejsze postacie opiekunów i kopaczy — zmienił się nie do poznania. Światła, jedne jaśniejsze, inne znów bledsze, poruszały się płynnymi, harmonijnymi ruchami, by czasem na chwilę zniknąć przesłonięte ciałem muka lub któregoś z kansów. Przygotowania nie trwały długo i wkrótce karawana ruszyła powoli w stronę wykopów.

Gave nie mógł dłużej patrzeć na rozciągniętą linię świateł. Był odpowiedzialny za jeden z odcinków i musiał zdążyć na miejsce przed wszystkimi. Posuwając się długimi susami, dopędził i wyprzedził karawanę, potem nieco zwolnił. Zanim przyniesiono płyty, zdążył zaplanować rozmieszczenie dołów pozwalających na ostrożne cofnięcie się muków po założeniu tafli. Gdy kopacze skończyli pracę, odsunął się nieco i patrzył, jak muki powoli zginają nogi i wypełzają spod równo złożonej, półprzezroczystej płyty z przetopionego piasku. Czuł ciężki zapach ich zmęczonych ciał.

Można było wracać.

Znowu nadeszła fala dręczącego uczucia. Usiłował znaleźć jego źródło, ale doszedł tylko do tego, że jest ono związane z ostatnimi odkryciami. Zdążył właśnie pomyśleć, że powinien z kimś o tym porozmawiać, gdy z dala mignęło światło latarnika Stiva. Uśmiechnął się i przyspieszył kroku — Stiv również zawsze pracował ze swoim latarnikiem.

Spotkali się przed wejściem do domu Profesora, gdzie czekała już grupka asystentów. Właściwie wszystko było wiadome (burza zacznie się przed świtem i przez cały następny dzień będzie padał deszcz, więc Profesor urządzi naradę), mimo to wypadało poczekać, aż sam im to powie.

Gave stanął przy Stivie i cicho mruknął:

— Chciałbym z tobą dzisiaj pogadać. Późno już, ale to może być ważne. Profesor pewnie będzie chciał, abyśmy przygotowali na jutro sprawozdanie. Nie wiem, co powiedzieć.

— Znalazłeś coś? — Stiv pomyślał, że musiało stać się coś ważnego, bo Gave pierwszy raz zwracał się do niego z taką prośbą. — Przyjdź do mnie, jak się to skończy.

Nie mylili się. Profesor w kilku suchych słowach zawiadomił o jutrzejszej naradzie, prosząc jednocześnie o przygotowanie sprawozdań z postępu prac. Zaczęli się rozchodzić.

Gave, trochę skrępowany, zatrzymał się przed domem Stiva, poczekał chwilę i zapukał. Odpowiedział mu wesoły głos zapraszający do środka. Odchylił ciężką kotarę. Stiv leżał zwinięty w półkole. Koniec porośniętego długą sierścią ogona zakrywał mu nos i dolną połowę twarzy. Znad tej zasłony patrzyły uśmiechnięte oczy, zmrużone w jasnym świetle.

— Zgas tego latarnika. Nie mieszkam tak daleko. Mogłeś go nie brać.

Gave był onieśmielony. Wydał bezgłośnie polecenie i światło zgasło. Potem niechętnie mruknął:

— Nie lubi zostawać sam, to go wziąłem.

Teraz i Stiv poczuł się zakłopotany. Pomyślał, że stosunek Gave do przyjaciół jest trochę inny, niż to bywa zazwyczaj.

Oczywiście wszyscy lubili latarniki, muki czy też bitsy, ale u Gave było to jednak coś innego. Może dlatego, że był samicą. „Powinien mieć dzieci” — pomyślał, a głośno powiedział:

— Przepraszam. Nie najlepiej cię powitałem. Ułóż się wygodnie. Pogadamy.

Milczeli przez długą chwilę. Stiv znowu myślał o Gave. Niby znali się dobrze, a mimo to niewiele o nim wiedział. Przesunął się tak, aby położyć mu głowę na grzbiecie. Milczeli.

Z tej ciemności, spokoju i milczenia powstało uczucie bliskości, jakiego doznawał dawno temu w domu rodziców. Stiv zamyślił się.— Do tej pory nie chciał mieć dzieci. Przerywanie na dwa okrążenia pracy i zajmowanie się wyłącznie wychowaniem młodych nie było zbyt kuszącą perspektywą. A z drugiej strony, gdyby Gave...

— Nie masz rodzeństwa i nigdy nie miałeś młodych — ostrożnie ni to stwierdził, ni to zapytał Stiv.

Spokojny głos Gave potwierdził jego przypuszczenie.

— Urodziłem się w pierwszym i ostatnim miocie moich rodziców. Było nas sześcioro, a wychowałem się tylko ja. Zmiany...

To wyjaśniało wszystko. „Jeżeli chociaż jedno z młodych umrze, zanim miną dwa okrążenia, rodzicom i pozostałemu przy życiu potomstwu nie wolno dalej rozmnażać się”. Tak mówiło Prawo, a Stiv znał je tak dobrze, jak każdy kans czy przyjaciel. Nawet nie pomyślał o tym, by go nie przestrzegać.

— Podobno kiedyś zdarzało się to dużo częściej. Nie myślmy o tym — powiedział trochę do siebie, trochę do Gave. — Zresztą po tej wyprawie poza strefy zamieszkałe i ja powinienem się z tym liczyć. Lepiej powiedz, co cię do mnie sprowadza.

Gave ostrożnie dobierał słowa.

— Właściwie nie wiem... Mam jakieś uczucie niepewności. To się łączy z naszymi badaniami.

Stiv zawahał się.

— Gave, czy spojrzales na wykopy, wtedy gdy kazałem latarnikowi świecić najmocniej? To było tuż po założeniu płyt. Nakrywaliśmy tylko miejsca, gdzie coś znaleziono, pozostałe były odsłonięte, jeden muk został w tyle, więc chciałem mu oświetlić drogę. I wtedy zobaczyłem, że płyty leżą w równych szeregach. Odległości między nimi wydały mi się jednakowe. Profesor robił plan wykopów, więc pewnie ma to zaznaczone. Może o tym chce z nami mówić.

Gave zastanawiał się przez chwilę.

— Nie widziałem tego, ale coś mi się przypomniało. Znalazłem dzisiaj cienki, płaski kawałek metalu wygięty tak, że jego końce nie stykają się ze sobą. Metal wygląda jak te nowe próbki, które pokazywał nam Profesor.

— Ależ on musiał tu leżeć przez wiele tysięcy okrażeń!

— Wygląda tak samo jak tamten. Jest twardy i daje się zginać.

— Otrzymanie metalu było największą sensacją w ostatnim okrażeniu. Nie potrafimy jeszcze kształtować go — Stiv był coraz bardziej zainteresowany.

— Nie to jest najważniejsze. Metal jak metal. Będą go długo badali, zanim powiedzą coś pewnego. Wydawało mi się jednak, że widziałem już podobną rzecz, i teraz przypomniałem sobie. Pamiętasz ten dziwny przedmiot zrobiony z nieznanego materiału? Ten, który badał ostatnio Profesor?

— Niemożliwe — głos Stiva wyrażał raczej zdziwienie niż powątpiewanie.

— Jest bardzo podobny, ale kilka razy mniejszy. Leży przy szkielecie, a dokładniej mówiąc, obejmuje jego szyję.

— Profesor też uznał, że jest to ozdoba noszona na szyi — Stiv odzyskiwał pewność siebie.

Głos Gave stawał się coraz cichszy.

— Tak, ale szkielet ma rozmiary najwyżej dwutygodniowego kansa, a należy do osobnika dorosłego.

— Niemożliwe. Musiałeś się pomylić. Przecież nie odsłaniałeś całego szkieletu bez zawiadomienia Profesora?

— Odkopałem tylko szyję i dolną szczękę. Zęby są zupełnie starte. Niektóre nawet wypadły. On był stary.

— Może to były zmiany?

— Kości są bardzo cienkie, mógł ważyć nawet sto razy mniej niż dorosły kans. Przy tak dużych zmianach nie powinien żyć długo.

— Nie wiadomo — Stiv zastanowił się przez chwilę. Ostatni znaleziony przez niego szkielet dorównywał niemal — wielkością i wagą współczesnym. Zazwyczaj znajdowano mniejsze. — Musisz natychmiast iść do Profesora. I tak będzie miał pretensję, że nie zawiadomiłeś go od razu po nakryciu wykopów. Może to jednak były zmiany? Nie znali jeszcze Prawa...

— Tak, nie znali jeszcze Prawa, ale za to znali metal i umieli go kształtować. Znali też dziwny materiał... — teraz Gave mówił głośno.

— ...i cmentarze — dokończył Stiv.

— Co?!

— To jest cmentarz.

Pamięć Gave podsunęła mu wreszcie obraz będący źródłem jego niepokoju. Duży popękany kamień, który musieli usunąć, zanim dotarli do znaleziska, miał regularny kształt i gładkie powierzchnie.

Czas rozpoczęcia narady dawno już minął i zebrani zaczęli się niecierpliwić. Wszyscy wiedzieli, że w nocy Gave i Stiv obudzili Profesora, gadali z nim do rana, a potem ruszyli pędem w kierunku wykopów. Nieliczni świadkowie z upodobaniem opisywali obraz Profesora usiłującego biec tak szybko, jak Gave czy Stiv.

— Gonili tak, że tylko im uszy klapały — opowiadał Har. — Profesor dwa razy zatrzymał się, żeby strzepnąć wodę, mruknął coś i znowu pobiegł. Mogli poczekać, aż przestanie padać.

— Pewnie niedługo wrócą. Ciekawe, co oni tam znaleźli? Wieczorem ani Gave, ani Stiv nie rozmawiali z Profesorem, ale w nocy to i owszem, nawet obaj jednocześnie.

— Stiv musiał najpierw omówić to z Gave albo Gave ze Stivem — mruknął Har z przekąsem.

Ktoś roześmiał się, ale zaraz ucichł. Na salę wszedł Profesor, a za nim wsunęli się Gave i Stiv. Profesor wyszedł na środek.

— Mili moi! Przygotowując wnioski ‘na dzisiejszą naradę, nie wiedziałem o wielu rzeczach. Zanim opowiem wam o nich, chciałbym podsumować znane wszystkim fakty. Po pierwsze — jesteśmy na obszarze znajdującym się poza strefą zamieszkaną. Odkrycia szkieletów prakansów dokonała przypadkowo grupa poszukiwaczy gligu występującego tutaj w znacznych ilościach. Po drugie — do tej pory wydobyliśmy dziesięć szkieletów. Wszystkie one należą do prakansów, choć różnią się znacznie między sobą. Wyjątek stanowią trzy średniej wielkości szkielety. Prakansy, do których one należały, były do siebie podobne bardziej, niż to bywa obecnie w przypadku rodzeństwa. Każdy z nich — prawdopodobnie we wczesnej młodości — został pozbawiony ogona. Odznaczają się one również nieprawidłową budową kości szczęki: dolna część twarzy jest skrócona, podobnie jak obserwujemy to współcześnie. Wśród pozostałych siedmiu szkieletów każdy jest inny. Egzemplarz znaleziony przez grupę Stiva jest największy i prawie dorównuje nam wielkością. Pozostałe są mniejsze. Zaznaczam, że wszystkie szkielety należą do osobników dorosłych. O szkielecie znalezionym przez grupę Gave będę mówił osobno. Na podstawie tego pobieżnego przeglądu nasuwają się następujące pytania... Profesor mówił dalej. Niektórzy zaczęli notować.

* * *

Rakieta kończyła szóste okrążenie. Bill siedział wygodnie rozparty w miękkim fotelu. Z umieszczonego nad nim głośnika płynął monotony głos:

— Rzym nie odpowiada... Paryż nie odpowiada... Londyn nie odpowiada...

— Łądujemy w Londynie. To znaczy na miejscu, gdzie był Londyn — poprawił się po chwili. Komputer recytował dalej:

— Kair nie odpowiada... Moskwa nie odpowiada... Tokio nie odpowiada...

Przez chwilę pracowały hamownice.

— Nowy Jork nie odpowiada... Los Angeles nie...

— Przestań! — krzyknął Bill. Głośnik umilkł.

„Dlaczego się wściekam? — myślał. — Minęło sto tysięcy lat. Kto ma mnie witać? Orkiestra dęta i dziewczynki w ludowych strojach? Ostatecznie to wszystko nie jest taką niespodzianką. Nikt nie wraca po stu tysiącach lat do tego, co zostawił. Po stu tysiącach lat w ogóle się nie wraca”.

Rakieta osiadała powoli.

— Raport — powiedział Bill.

— Dwudziestokrotny wzrost średniego tła. Skażenie długożyciowymi izotopami. Pod powierzchnią stwierdzono istnienie silnych źródeł promieniowania. Wszystkie pozostałe parametry korzystne. Szczepionki przygotowane.

„Co oni tu wyprawiali? — myślał. — Przecież jeszcze przed moim odlotem publikowano prace na temat wzrastającej liczby mutacji. Tło jest dwadzieścia razy większe w porównaniu z ostatnimi, znanymi mi wartościami. Ile tu było w okresie szczytowym? Obawiam się, drogi Billu, że czeka cię nowa wyprawa badawcza”.

Usiłował żartować, ale było mu smutno. Świat, od którego uciekł, niewiele mu ofiarował. Opinię lekarską: Nieprzystosowany — obniżony próg wytrzymałości na ból, hałas, i obciążenia psychiczne”; wieloletni pobyt w sanatoriach i wreszcie — Wielką Szansę: możliwość lotu do gwiazd. Prawo wyboru między życiem w klinice, hibernacją na Ziemi i hibernacją w Kosmosie.

Wybrał to ostatnie. A teraz wrócił.

Ze ściany wysunął się podajnik z dwiema małymi tabletkami. Machinalnie przełknął je i powiedział:

— Opiekę lekarską mam tu pierwszorzędną. Nic dziwnego. Jestem przecież jedynym pacjentem.

— Jesteś zmęczony i powinieneś iść spać. Bill podniósł się i przeciągnął.

— Chyba masz rację. Obudź mnie, gdyby się coś stało. Poszedł do kabiny i położył się. Napięcie powoli mijało. Był senny.

Przez zasłonę snu docierał głos Komputera:

— Niezidentyfikowane obiekty w odległości około dwudziestu kilometrów. Prawdopodobnie zwierzęta. Jeśli nie zmieniają kierunku, będą tu za godzinę.

To wystarczyło, aby się ocknął.

— Wzmocnić osłonę. Przygotować środki obrony. Tylko obrony — podkreślił.

„Ciekawe — myślał. — Ludzi nie ma, a są zwierzęta. A może to ludzie cofnięci w rozwoju? Ostatecznie brak miast, łączności radiowej i widocznych śladów rozumnej działalności oznacza tylko koniec znanej mi cywilizacji. Co się z nimi stało?”

Przeszedł do sterowni.

— Obraz.

Komputer spełnił jego życzenie. Cała ściana zajaśniała zielenią łąki zalanej słońcem. W środku ekranu widać było kilkanaście dużych zwierząt. Niektóre z nich poruszały się na dwóch, inne na czterech nogach.

— Obiekty nadają w zakresie ultradźwięków. Sygnały są uporządkowane.

To nie byli ludzie. Wielkie ciała porośnięte długimi, spływającymi do ziemi włosami. Duże głowy osadzone na potężnych szyjach. I te barwy: od szaroniebieskiej przez białą, żółtą, pomarańczową, wszystkie odcienie brązu, aż do głębokiej czerni.

— Czy znasz podobne zwierzęta? — zapytał Bill.

— Nie znam. Przeszkadzasz mi — w głosie Komputera brzmiała uraza.

Zamilkł. Wiedział, że Komputer stara się zarejestrować jak najwięcej sygnałów, pracując jednocześnie nad ich rozszyfrowaniem.

„Co to są za zwierzęta?” Bezradna pamięć podsuwała mu tylko nic nie znaczące nazwy: słonie, hipopotamy, tygrysy... „Przecież niektóre z nich oglądałem na rysunkach w książkach z bajkami. Chyba to tygrysy, ale czy można wierzyć tamtym ilustracjom? Zresztą tygrysy wyginęły wiele setek lat przed moim odlotem. Podobnie jak słonie i hipopotamy. Są bardzo duże. Może to nosorożce? Gdy byłem mały, pojechałem kiedyś do Centralnego Muzeum Zwierząt Wymarłych i Wymierających. Były tam konie, krowy, owce, świnie, a nawet dwie zasuszone muchy, ale takich zwierząt na pewno nie widziałem.

Sto tysięcy lat. Jaki gatunek przetrwał mimo wieloletniej hegemonii człowieka, mimo wzrostu promieniowania i zmiany warunków klimatycznych?”

Zwierzęta na ekranie były coraz lepiej widoczne. Szły teraz wolniej i jakby niepewnie.

„Z góry musi to wyglądać jak żywy, wielobarwny dywan — myślał. — Tego prawie czerwonego można dostrzec chyba z odległości dwóch kilometrów. Nie mają wrogów. O to już my zadbaliśmy. Na pierwszy ogień poszły wielkie, dzikie drapieżniki. Potem te mniejsze i duże zwierzęta roślinożerne — pięćset lat przed moim urodzeniem nie było już ani jednego. Gdy wynaleźli pola planktonowe, wymarły zwierzęta hodowane na mięso. Pozostały tylko te, które trzymali ludzie dla rozrywki, a ich było niewiele”.

Przypomniał sobie widzianą w dzieciństwie małą, żółtą kulkę, która podskakiwała i ćwierkała.

— To jest sztuczne? — zapytał.

— Nie, synku. To Jest kanarek — odpowiedział wtedy ojciec.

Potem pokazali mu jeszcze złote rybki. W sanatoriach nie było zwierząt i Bill już nigdy więcej ich nie widział.

— Zaszczep się i zjedz śniadanie — oznaczało to, że Komputer kończy pracę.

Przeszedł do gabinetu lekarskiego, podsunął rękę pod uniwermed, a potem skierował się do kuchni. Śniadanie nie trwało długo. Przełykając ostatnie kęsy, wrócił do sterowni.

— Skończyłem — oznajmił Komputer. — Jeżeli masz ochotę, możesz iść gadać z nimi. Zastanawiają się, co to jest, i mają nawet ciekawe koncepcje. Potem dam ci dokładne tłumaczenie.

— Kim oni są? Co się stało z ludźmi?

— Nie wiem. Brak danych.

— Idę. Otwórz mi.

Był przy wyjściu, zanim kłapa przybrała poziome położenie, zmieniając się w platformę, na której mógł wygodnie stanąć. Poprawił mikrofon i nadajnik łączący go z Komputerem. Zwierzęta, widząc ruch, cofnęły się, a potem znowu zbliżyły, tworząc półkole otaczające raketę.

— Kim jesteście? — zapytał.

— Jesteśmy kansy. A kim ty jesteś?

— Ja jestem człowiekiem. Nie widzieliście nigdy ludzi?

— Nie, nigdy nie widzieliśmy nikogo takiego, jak ty. Masz bardzo dziwny zapach. Skąd się wziąłś?

— Odszedłem stąd dawno temu. Teraz wróciłem.

— Przecież tutaj nie ma takich, jak ty.

— Byli. Na pewno byli. Co się z nimi stało?

— Nie wiemy. Prowadzimy kroniki od wielu tysięcy lat. Nie ma w nich twojego zapachu.

— Czy znacie całą Ziemię?

— Znamy nawet strefy zakazane, ale tam też nie ma ludzi. Zejdź do nas.

— Możesz zejść. Włączam pole indywidualne. Otwieram przejście w osłonie w chwili zero. Dziesięć, dziewięć...

Bill zeskoczył z platformy i ruszył w kierunku zwierząt. Były śliczne. Stały teraz na tylnych nogach, podwinąwszy ogony tak, że tworzyły śmieszne poduszeczki na piersiach i brzuchu.

— To, co stoi za tobą, to twój przyjaciel? Komputer skomentował tłumaczenie:

— Uwaa. Słowo użyte nie ma odpowiednika w języku ludzkim. „Przyjaciel” tylko w pewnym stopniu oddaje jego znaczenie.

Bill odwrócił się. Za nim nie było nikogo. Na tle nieba rysował się tylko ciemny, wydłużony kształt rakiety.

— Co to znaczy: przyjaciel?

— Przyjaciele robią to, czego my nie potrafimy: świecą w ciemności, podnoszą ciężary, przesyłają wiadomości... Bez nich nie moglibyśmy żyć.

— Przyjacielem nazywacie maszynę?

— Co to znaczy: maszyna?

Bill wydał polecenie:

— Komputer. Przyślij transporter.

Komora bagażowa otworzyła się i wypelzła z niej długa platforma. Gdy przeniknęła przez osłonę siłową, zatrzymała się i Bill wskoczył na jej powierzchnię.

— Gdzie to ma głowę? Jak tym kierujesz? — pytały kansy.

— Maszyna nie ma głowy. Kieruję nią głosem.

— Nie ma głowy, a rozumie, co do niej mówisz?

— Ona nie rozumie. W środku ma zapisane, co robić, gdy powiem jakieś zdanie. Nie potrafię wam tego lepiej wytłumaczyć.

— To pokaż. Zrób tak, żeby ruszyła i skręciła w lewo.

— Chcecie się ze mną przejechać? Może któryś z was wejdzie tutaj.

Żółty kans wskoczył na transporter. Ruszyli. Po gładkiej łące mógł jechać z szybkością ponad stu kilometrów na godzinę, ale ograniczył się do czterdziestu. Prawie wszystkie kansy towarzyszyły mu, biegnąc długimi susami. Na miejscu spotkania pozostał tylko jeden, brązowy osobnik. Po krótkiej przejażdżce zawrócił.

— Maszyna się zmęczyła? — znowu pytały kansy.

— Maszyna się nie męczy. Czasem tylko jest popsuta.

— To znaczy, że umiera?

— Ależ nie. Trzeba ją wtedy naprawić. Czy wy naprawdę nie znacie maszyn?

— Nie. Mamy tylko przyjaciół.

Billowi wydawało się, że w słowach tych odczuwa smutek. I wtedy nagle zrozumiał wszystko. Rozpatrywał możliwość wojny jądrowej i bakteriologicznej, degeneracji i inwazji przybyszów z Kosmosu, ale nie pomyślał o tym, że ludzie mogli po prostu odejść. Zostawić skażony piasek i skażoną wodę płynącą betonowymi ściekami. Skąd kansy mogli mieć maszyny, jeśli nawet glinę przywożono z Marsa? Musieliby chyba przebierać atom po atomie, żeby znaleźć żelazo, siarkę, miedź, ołów, nie mówiąc już o rzadziej występujących pierwiastkach. Tyle razy całą powierzchnię Ziemi przeczesywały automaty poszukiwawcze, że nie było na niej nieznanego kawałka metalu czy rudy, ważącego więcej niż kilogram. Mogliby wykorzystać drewno, ale drewno przywożono z Wenus, bo drzewa nie chciały rosnąć przy istniejącym zapyleniu atmosfery. Surowce energetyczne? Węgiel skończył się w dwudziestym drugim wieku. Ropa naftowa jeszcze wcześniej. Naturalne pierwiastki promieniotwórcze? Sam pomysł był śmieszny. Pod koniec dwudziestego trzeciego wieku za rudę uważano minerał zawierający trzy razy więcej uranu niż przeciętna skała. Kansom pozostały zwierzęta. Przypomniał sobie, że dawno temu ludzie wykorzystywali siłę koni i wołów. W takim razie słowo „przyjaciel” oznaczałoby po prostu zwierzę hodowlane. Zapytał o to, lecz Komputer zaprzeczył:

— Znam to pojęcie, im chodzi o coś innego.

Bill znowu zwrócił się do kansów.

— Czy przyjaciele to istoty żywe?

— Tak.

— Hodujecie je i używacie do pracy?

— Co to znaczy: hodować?

— No, opiekować się, dawać jeść, budować dla nich domy.

— Nie rozumiemy. My opiekujemy się nimi, a oni nami.

— Ale wy jesteście wyższym gatunkiem?

— Co to znaczy: wyższy gatunek?

— To znaczy, że wy ustalacie inne prawa dla siebie, a inne dla przyjaciół.

— Prawo jest jedno dla wszystkich, którzy żyją w strefie zamieszkannej.

— A jeżeli ktoś żyje poza tą strefą?

— Wtedy nie jest przyjacielem.

— A co ma robić, jeśli chce nim zostać?

— Musi podejść do strefy zamieszkannej, zgłosić się u dozorującego, a potem przebywać na wyznaczonym terenie przez jedną dwudziestą średniego czasu życia swojego gatunku.

— Nie może iść od razu do strefy zamieszkannej?

— Tego nigdy nie wolno robić. Tak mówi Prawo.

„Bronią się przed skażeniem — pomyślał Bill. — Zupełnie sprytnie to wymyślili, tylko... jak długo będzie trwała ta sielanka? Wszyscy są równi, wszyscy mają jednakowe prawa. Ciekawe, co oni jedzą?”

Zapytał o to.

— Jedzenie dla wszystkich dają pola. Ono tam ciągle powstaje.

A więc pola planktonowe pozostały. Obraz społeczeństwa kansów i ich przyjaciół, jaki sobie wytworzył na podstawie tej rozmowy, nie był wewnętrznie sprzeczny. Pola planktonowe karmiły kiedyś trzysta miliardów ludzi. Minie jeszcze wiele wieków, zanim na Ziemi znowu będzie tyle istot żywych.

A ludzie już tu nie wrócą. Bo i po co? Nawet gdy za setki tysięcy lat biosfera zregeneruje się, nie będzie tu nigdy złóż surowców mineralnych. Może właśnie po tym można rozpoznać planety, na których żyliśmy? „Czy mam ich szukać? — myślał Bill. — W Układzie Słonecznym i w Układzie Proximy na pewno nie ma ludzi, bo przecież przylatywaliby czasem na Ziemię. A jeśli nawet znajdę ich, to co wtedy? Kim oni są teraz?”

Popatrzył na milczące kansy. One też mu się przyglądały.

— Mówisz, że odszedłeś stąd wiele lat temu. Czy wiesz coś o prakansach? — Po raz pierwszy odezwał się brązowy kans, jedyny, który nie pobiegł za transporterem.

— A co wy o nich wiecie?

— Znaleźliśmy ich szkielety, a przy nich wyroby z metalu. Byli na bardzo wysokim szczeblu rozwoju. O wiele wyższym od naszego. Potem kultura ta musiała zagać, bo w kronikach nie ma o nich żadnej wzmianki. Jeśli żyłeś dawno temu, to musiałeś coś o nich słyszeć.

— Chciałbym zobaczyć te szkielety. Być może nazywaliśmy je inaczej.

— Chodź. Pokażemy ci! — Wydawało się, że brązowy kans jest uszczęśliwiony.

— Poczekajcie. Nie umiem biegać tak szybko, jak wy. — Bill wskoczył na stojący obok transporter.

Stali przy jednym z wykopów. Profesor powiedział:

— To nasze najciekawsze znalezisko. Coś ci pokażę. Zszedł na dół, a po chwili wrócił niosąc wygięty w kształcie obręczy kawałek żółtego metalu.

— Zobacz, jakie to ładne.

Bill delikatnie odebrał znaleziony przedmiot i zdmuchnął osiadły na nim pył. Na gładkiej teraz powierzchni błysnął napis: *Nazywam się Peretka*. Człowiek pochylił się nad wykopem. W dole leżał świetnie zachowany szkielet karłowatego pinczerka.

I wtedy Bill roześmiał się. Śmiał się tak, że musiał usiąść na brzegu wykopu, a grube łzy spływały mu po twarzy. Bo jakie jeszcze hipotezy naukowe mogli wysnuć ci zmutowani potomkowie psów, badając londyński cmentarz swoich przodków?...

Minęła dłuższa chwila, zanim podniósł wzrok. Złota głowa Gave przesłoniła mu słońce.

— Czy mógłbym zostać waszym przyjacielem? — zapytał człowiek.

PATENT

Brogazzi przygotowywał się do rozmowy z tym kimś, kto pracował za drzwiami opatrzonymi numerem 107. Krzątający się po gmachu urzędnicy mijali go obojętnie, przyzwyczajeni do wszelkich dziwactw ścigających tu interesantów, ale Brogazziemu wydawało się, że śledzą każdy jego ruch. Ze sto razy przemierzył, w tę i z powrotem, wysoki mroczny hali Urzędu Patentowego, nim zdecydował się wejść.

W pokoju, zbyt dużym jak dla jednego pracownika, znajdowało się biurko, kilka niedbale rozmieszczonych foteli, skromny regał. Urzędnik stał przy oknie. Na odgłos otwieranych drzwi odwrócił się i Brogazzi zobaczył jego twarz: puciołowatą, lśniąca, o ciemnych i głęboko osadzonych oczach. Gdzieś już ją widział.

— Witam pana. Nazywam się Laterno i jestem kierownikiem Medycznej Komórki Wynałazczej. Zechce pan usiąść.

Urzędnik obszedł biurko, ustawił naprzeciw siebie dwa fotele, otworzył pudełko z cygarami. Brogazzi odmówił.

— A może kieliszek koniaku albo filiżankę herbaty? Pan się dziwi tej gościnności, ale proszę mi wierzyć, każdy pomysłodawca jest dla nas na wagę złota. To taki stary związek frazeologiczny, lecz nic w nim z przesady. A tak na marginesie: pan jest lekarzem?

Brogazzi najeżył się. Drażniły go tego rodzaju pytania.

— Laborantem — mruknął. — Mimo to...

— Naturalnie — wtrącił szybko Laterno — wykształcenie nie zawsze ma wpływ na proces wynalazczy, przy czym przez słowo: wpływ, rozumiem pomoc i przyspieszenie; niejednokrotnie wykształcenie wręcz niszczy wrodzone zdolności, nawet talent. Mniemam, że i w pana przypadku jest podobnie, to znaczy, że dzięki wrodzonym zdolnościom właśnie, wpadł pan na niezwykle frapujący pomysł.

— Powiedzmy: ciekawy, pod niektórymi względami.

Laterno rozparł się w fotelu i zapalił cygaro. Wyglądał jak człowiek, który przed chwilą otrzymał wiadomość, że jego akcje podskoczyły o pięćdziesiąt procent.

— Słucham z prawdziwą przyjemnością.

Brogazzi potarł brodę w zadumie. Mimo tylu przygotowań nie bardzo wiedział, od czego zacząć.

— Skierowała mnie tutaj Komisja Medyczna — powiedział wreszcie. — Tydzień temu przedstawiłem tamtym panom ogólne zarysy mego wynalazku. Szczegółów nie mogłem im zdradzić bez uprzedniego uzyskania pewnych gwarancji dotyczących przyszłego wykorzystania „Homofilu”, tak nazwałem swój wynalazek. A Komisja Medyczna odmówiła mi udzielenia takich gwarancji przed poznaniem szczegółów. Koło się zamknęło. Jeden z tamtych panów prywatnie poradził mi przyjść tutaj. Więc jestem.

— Tak, tak... A co ogólnie może pan powiedzieć na temat tego... „Homofilu”?

— Wiele rzeczy, ale... Widzi pan, idea „Homofilu”, jak to bywa z większością wynalazków, zrodziła się z potrzeby. Elektrofizjologowie, o czym pan zapewne wie, bez trudu wywołują w istotach posiadających mózg, przede wszystkim w człowieku, dowolne uczucia. Ich urządzenia — głównie te ostatnio skonstruowane, pozwalające na kierowanie ludzkim zachowaniem bez konieczności umieszczania w mózgu odpowiednich elektrod — wykorzystywane są przez koła militarne. Dokładniej: w armii. Popęd agresji, wywołany za pomocą takiego urządzenia, może

spowodować, że najczulsza matka — zresztą całkowicie przekonana, iż działa zgodnie z własną i nieprzymuszoną wolą — bez jakichkolwiek oporów zamorduje swe ukochane dziecko. Chyba pan rozumie, jakie to ma znaczenie dla dowódcy kierującego oddziałem wojska. Wystarczy przycisnąć guzik, żeby pułk, dywizja czy armia rzuciły się z autentyczną nienawiścią na wroga. „Homofil” natomiast — Brogazzi uśmiechnął się zjadliwie — jest kopniakiem dla żołdaków wymagających od podwładnych ślepego posłuszeństwa. Zresztą nie tylko... Jest to środek, który może zbawić ludzkość... — Zamyślił się na chwilę, po czym dokończył szeptem: — Dlatego chciałbym mieć pewność, że w tej rozmowie nikt oprócz nas nie uczestniczy.

Laterno zatrzepotał powiekami.

— Wszak jesteśmy... Ach, pojmuję! Mówi pan o ukrytych mikrofonach, nadajnikach i tak dalej. Nie, panie... panie...

— Brogazzi.

— ...panie Brogazzi. To zupełnie wykluczone. Ten gmach chociażby z uwagi na charakter przeprowadzanych w nim...

— Ten gmach właśnie z uwagi na charakter przeprowadzanych w nim spraw, co zapewne miał pan na myśli, jest szczególnie narażony na wszelką działalność szpiegowską. Ponadto ostatnio wykryto aparaturę podsłuchową nawet w tajnym gabinecie premiera...

Laterno sięgnął po filiżankę herbaty, stojącą na biurku. Uśmiechnął się jak ktoś, komu udało się oszukać cały świat.

— To nie wszystko — dokończył za Brogazziego — podejrzewam, że w gabinecie, o którym pan wspominał, nadal znajdują się urządzenia wywiadowcze. Jak pan widzi, nie lekceważę niczego i jestem facetem niezłe oblatanym w temacie. Dodam jeszcze, że nie istnieje na Ziemi — problem Układu Słonecznego zostawmy tymczasem w spokoju — a więc nie istnieje na Ziemi obiekt, w którym, jeśli jest godny zainteresowania, nie pracowałaby aparatura szpiegowska. Oprócz... Oprócz, drogi panie, budynku Urzędu Patentowego. Nie są to czcze przechwałki. W końcu przez nasze ręce przechodzą dokumentacje różnego rodzaju wynalazków i nam przysługuje prawo pierwokupu. Toteż kiedy pewnego dnia nikomu nie znany, skromny student przyniósł do nas projekt przyrządu zdolnego wykryć absolutnie każde urządzenie szpiegowskie w promieniu stu metrów, niezwłocznie skorzystaliśmy z okazji. Dzięki temu przyrządowi wiem, że ma pan przy sobie mikronadajnik.

Brogazzi otworzył szeroko oczy.

— Nie twierdzę, że przyszedł pan z nim celowo — rzekł Laterno. — Prawdopodobnie ktoś ciekawy, kierując się motywami, których nie znam, zadbał o to, aby miał pan przy sobie takiego miniaturowego szpiega. I lichy wie, czy chodziło temu komuś o pana, czy też o mnie.

Brogazzi spojrzał po sobie, gorączkowo przeszukał kieszenie. Laterno patrzył na niego niemal ze współczuciem.

— To może być guzik, spinka przy mankiecie lub zapięcie przy pasku od zegarka.

— Zaraz! — Brogazzi wyłowił z kieszeni pierścień. — Podarowałem go przed miesiącem dziewczynie, z którą jestem... byłem zaręczony. Znalazł się dzisiaj w skrzynce na listy. Nie mam pojęcia, dlaczego zwróciła... — powiedział zawstydzony.

Laterno obrócił w palcach pierścionek. Przyjrzał mu się dokładnie.

— Istotnie — mruknął. — Należało się tego spodziewać. Unieszkodliwimy? Proszę się nie obawiać, pole magnetyczne zniszczy tylko zawartość.

Nie czekając na pozwolenie, wyszedł z pokoju. Po pięciu minutach siedział znowu w swoim fotelu i sączył herbatę.

— Jak pan widzi, niepożądanych słuchaczy załatwiamy expedite i explicite*. Oczywiście pańska narzeczona jest w porządku, mamy tu do czynienia z ingerencją obcej osoby. To znaczy: mieliśmy.

Przez chwilę milczeli.

— Mówiąc o niebezpieczeństwie podsłuchu — zaczął znów Brogazzi — myślałem przede wszystkim o ludziach zatrudnionych w Ministerstwie Wojny. „Homofil”, jeżeli zostanie zastosowany zgodnie z moimi wskazaniem, będzie dla nich solą w oku, rzekłbym: wręcz pozbawi tych ludzi obecnej pracy. Innymi słowy, Ministerstwo Wojny przestanie istnieć po prostu z braku potrzeby, jeżeli zakładamy, że w ogóle kiedykolwiek taka potrzeba istniała.

Laterno poruszył się, ale nie rzekł ani słowa. Słuchał w skupieniu.

— Idea „Homofilu” jest prosta — kontynuował Brogazzi. — Zażycie choćby nieporównywalnie małej dawki tego środka stwarza w psychice człowieka stałą blokadę popędu agresji. Agresji często atawistycznej, odziedziczonej po przodkach. Muszę się od razu przyznać, że nie mały wpływ na moje dociekania miała, zainspirowała mnie niejako, książka pod tytułem: „Zarys etologii”, którą ostatnio czytałem, bo tak nawiasem mówiąc, przygotowuję się do egzaminów na wyższe studia. Przedstawiony w tej książce mechanizm działania agresji wewnątrzgatunkowej wydał mi się szczególnie interesujący. Natura obdarzyła tą agresją zwierzęta głównie po to, by — jako jeden z ważniejszych selektorów — dopuszczała do rozmnażania się jedynie osobników najsilniejszych, najinteligentniejszych i najlepiej przystosowanych, słabsze zaś zmuszała do bytowania samotniczego i ustępowania we wszystkim swym dorodniejszym pobratymcom. Kłamstwem natomiast jest, że natura w sposób kategoryczny pozbawia kogokolwiek prawa do życia, przecież wraz z agresją wewnątrzgatunkową wyposaża zwierzęta w instynktowne hamulce, wyłączające w pewnych wypadkach tę agresję. Rzecz jasna, że tak agresja wewnątrzgatunkowa, jak i jej hamulce rozwinięte są daleko słabiej u zwierząt usposobionych z natury pokojowo. I właśnie u nich, jeśli stworzyć im anormalne warunki egzystencji, dochodzi do walk kończących się zwykle śmiercią, gdyż pobudzonej wypaczonymi eksperymentalnie warunkami agresji nie przeciwstawiają się prawie żadne hamulce, już z góry ustalone przez naturę jako szczątkowe. Na szczęście wypadki te zdarzają się wyłącznie, jak już nadmieniałem, w stacjach doświadczalnych. W przypadku drapieżników jest nieco inaczej. Łatwy do przewidzenia byłby los zwierząt, gdyby pozbawiono je nagle mechanizmów hamujących. Niech pan spyta któregośkolwiek, hodowcę, obojętne: łasic, lisów czy nutrii, jak zareaguje matka karmiąca małe, kiedy coś ją przerazi i kiedy wspomniane mechanizmy hamujące zawiodą. Na farmie ojca mojego kolegi, gdy piorun uderzył opodal zabudowań, cztery lisice pozagryzały swoje mioty. Dlatego natura ze specjalnym pietyzmem zadbała, by zwierzęta uzbrojone w kły i pazury miały wyjątkowo potężne hamulce.

Laterno odstawił opróżnioną filiżankę. Nie spuszczał wzroku z Brogazziego.

— Uruchomienie tych hamulców następuje różnie u różnych zwierząt. Dla przykładu posłużę się tutaj psami. Gdy naprzeciw siebie staną dwaj rywale, to oczywiście rozgorzeje między nimi walka. Zacznie się od poznawania sił i możliwości przeciwnika, a więc wzajemnej prezentacji zębów i zjeżonej sierści, inaczej mówiąc: od przyjęcia postaw grożąco-imponujących, według słownictwa obowiązującego w etologii. W miarę rozbudzania się agresji wewnątrzgatunkowej sprawa przechodzi w fazę ataku. Na ogół już po wymianie kilku ukąszeń obaj konkurenci wiedzą, który z nich w końcu ulegnie. Słabszy ma zatem czas, aby w porę się wycofać. Los jego byłby jednak przesądzony, gdyby nie mechanizm hamujący, w sukurs przychodzi dalekowzroczna natura. Żeby uniknąć niechybnego rozszarpania, słabszy rywal wykonuje gest

* Expedite (łac.) i explicite (łac.) — jasno i prosto.

pokory, zwany inaczej gestem pojednania: rytualny ruch powodujący w przeciwniku zahamowanie agresji. W omawianym przypadku — słabsze zwierzę nadstawia pod szczękę silniejszego najbardziej czułą i podatną na zranienie część swego ciała: bok szyi, gdzie przebiega tętnica główna. Jest to tak potężnym czynnikiem hamującym, że atakujący z całą gwałtownością przeciwnik staje jak wryty i — dopóki ma przed nosem zebrzącego o łaskę rywala — co najwyżej może wyładować złość na leżącym obok kawałku drewna. Ale nie jest to regułą...

Laterno poprawił się w fotelu.

— Świetnie — rzekł. — Zrobił mi pan wykład z etologii, ale doprawdy nie rozumiem, jaki to ma związek z pańskim...

— Przechodzę do meritum — oświadczył Brogazzi. — Chodziło mi o określenie człowieka — zarówno pod względem agresji, jak i jej hamulców. Otóż należymy przecież do gatunku zwierząt pozbawionych naturalnej broni w postaci kłów czy pazurów, dlatego też agresja wewnętrzna oraz mechanizmy ją hamujące są u nas w zaniku. Gdybyśmy bytowali w normalnych warunkach, oba te elementy nie byłyby nam do niczego przydatne. Ale tak nie jest. Stworzony przez nas świat jest światem wypaczonym. Szczujemy się wzajemnie, agresja wewnątrz—gatunkowa wzrasta, a hamulców nie ma. Dodatkowo — i tego natura także nie przewidziała — zdobyliśmy broń, jaką nie dysponowało żadne zwierzę; broń, która zdolna jest unicestwić nawet jej właścicieli. — Brogazzi zawiesił na chwilę głos. — Dlatego, panie Laterno, skoro wymyśliliśmy już arsenały mogące efektownie rozładować podsycaną w nas sztucznie agresję, należało jeszcze wymyślić równie skuteczne hamulce. I właśnie mój „Homofil” powoduje powstanie w psychice ludzkiej mechanizmów hamujących. Jednorazowa dawka wystarcza do końca życia, a dawka ta może być mikroskopijna. Wie pan, jak niegdyś postępowali homeopaci? Specyfik, którego chcieli użyć jako lekarstwa, maksymalnie rozcieńczyli. Wlewali na przykład próbówkę driakwi do wiadra wody, z tego wiadra brali kroplę i umieszczali ją w drugim wiadrze, z którego znów pobierali kropelkę, żeby wpuścić ją do trzeciego, i tak dalej. Wreszcie w którymś z kolejnych wiader driakiew była tak rozcieńczona, że właściwie niewykrywalna. „Homofil”, choćby pobrany z setnego wiadra, zachowa pełną aktywność. Ponadto nie traci jej po przegotowaniu wody, nie można go odfiltrować ani zniszczyć obojętnymi dla zdrowia ludzkiego środkami.

— Jednym słowem, po zażyciu pańskiego „Homofilu” człowiek zachowuje się jak pokorny baranek?

— Tego nie powiedziałem. Choleryk, choćby wypił i litr „Homofilu”, zostanie cholerykiem, a jeśli planował zbrodnię, będzie to robił nadal. Co więcej, dokona jej, jeżeli ofiara nie uczyni gestu pojednawczego.

— A jeśli taki gest uczyni?

— Wtedy odezwą się mechanizmy blokujące, które niedoszłego mordercę rzeczywiście zamienią w pokornego baranka. Trochę jak w bajce...

— Czy ten gest... pojednawczy jest bardzo skomplikowany?

— Niestety, zarówno gest pojednawczy, jak i skład chemiczny „Homofilu” są szczegółami, których...

Laterno poderwał się. Raptownie i niespodziewanie przystąpił do natarcia. Jak gdyby naraz zrzucił owczą skórę. Powiedział twardo, przedrzeźniając Brogazziego:

— Zarówno gest pojednawczy, jak i skład chemiczny „Homofilu” są szczegółami, które znamy, drogi panie.

Przed chwilą nasza ekipa zakończyła rewizję w pańskim domu! Brogazzi osłupiał.

— Jak pan śmiał, panie Laterno...

— Nie jestem żadnym Laterno! — warknął mężczyzna. — Rozmawia pan z generałem Pinnebergiem, przedstawicielem Ministerstwa Wojny. Nasi ludzie z Komisji Medycznej już od

dawna mieli pana na oku. Jeszcze dzisiaj zrobimy porządek z panem i z pańskim idiotycznym „Homofilem”!

Brogazzi wstał.

— Zapomniałem panu powiedzieć o jednej rzeczy — oznajmił z zimną satysfakcją. — Otóż na początku naszej rozmowy, kiedy stwierdziłem, że jestem laborantem, nie wyjaśniłem, że pracuję w Laboratorium Stacji Uzdatniania Wody. Od trzech dni, tytułem próby, samowolnie i bez niczyjej wiedzy... dodawałem do zbiornika komunalnej sieci wodociągowej odrobinę „Homofilu”. Eksperyment ten dał pomyślne wyniki...

Generał spurpurowiał.

— Ty... ty kanalio... Ty... — zaczerpnął powietrza. — Aresztować go! — ryknął.

Do pokoju wpadło dwóch uzbrojonych cywilów. Chwycili Brogazziego za ramiona. Szarpnął się do tyłu.

— Niechże mi wolno będzie pożegnać się z panem generałem — rzekł.

Niemal teatralnym gestem złożył ręce na piersi i wykonał głęboki, pełen szacunku ukłon w stronę Pinneberga. Szepnął:

— Proszę wybaczyć.

Generał oniemiał. Jego przerażony wzrok padł na filiżankę po herbacie.

— Czy mogę odejść? — spytał cicho Brogazzi.

— Ależ naturalnie... proszę... uprzejmie... — wyjąkał Pinneberg, z trudem opanowując drżenie podbródka.

Gdy Brogazzi opuścił gabinet, po puciołowatych policzkach generała spłynęły gorzkie, pełne bezsilnej wściekłości łzy.

DRUGI PRÓG ŻYCIA

To chyba rzeczywiście jest genialny wynalazek. Zawsze mówiłem ci, Tom, że ta technika wreszcie i tobie pomoże...” — mówiąc tak sam do siebie, podniecony Tom przeczytał jeszcze raz ostatnie zdanie ogłoszenia w miejscowej gazecie: *W uzasadnionych wypadkach nasi klienci mogą pokryć koszty kuracji dopiero po jej przeprowadzeniu.*

Zdecydował się w jednej chwili. Podniósł mikrotelefon i wykręcił numer firmy...

— Tu firma „Modelowania Bioukładu Pamięciowego”, słucham.

— Nazywam się Tom Smith. Chciałbym poddać się... kuracji.

— Będziemy oczekiwać pana odwiedzin jutro rano. Odbędzie pan rozmowę z naszymi psychologami, proszę więc być maksymalnie wypoczętym i skoncentrowanym.

— Czytałem, że zabieg jest bezbolesny...

— To prawda. Wyjaśnię panu w paru słowach, na czym nasza kuracja polega. Jak panu chyba wiadomo, pamięć ludzka to po prostu odpowiednio zmagazynowane [impulsy elektryczne w chemicznej substancji mózgu. Wystarczy więc tylko przyłożyć w odpowiedni sposób ustalone, co do natężenia i ukierunkowania, pole natury elektrycznej, aby niejako wymazać dotychczasową pamięć, wstrzymując tym samym świadomość, a następnie w podobny sposób wyposażyć człowieka w nową pamięć, czyli zapełnić komórki nowymi jakościowo bitami Informacji.

— To jest... straszne!

— Tak, byłoby to niebezpieczne dla ludzkości, gdyby nasz wynalazek dostał się w niepowołane ręce. Z drugiej” jednak strony jest to niezwykle humanitarny wynalazek dla niemałej przecież, nieszczęśliwej części ludzkości. Dlatego firma nasza uzyskała od rządu zezwolenie na swą działalność, ale z zastrzeżeniem zachowania absolutnej tajemnicy o szczegółach budowy aparatury.

— A czy ta kuracja zawsze się udaje?

— Jeśli panu chodzi o zachowanie życia, to możemy powiedzieć, że pewność jest stuprocentowa. Nasza firma istnieje już ponad rok. Mieliśmy tysiące klientów i nigdy nie sprawiło nam kłopotu przywracanie im świadomości. Dziwi nas tylko, że pan o tym nie słyszał. Nie chwaląc się, możemy powiedzieć, że o naszej firmie mówi dziś cały świat!

— Tak, możliwe... ale ja pytałem o... reklamacje...

— Niestety, bywają, ale chcemy zaznaczyć, że są one bezpodstawne. Po prostu, nie każdy klient ma dostateczną wyobraźnię, aby nakreślić odpowiedni szkic nowej zawartości swoich komórek pamięciowych. Krótko mówiąc, nie każdy z nich wie, czego właściwie wymaga od życia. A przecież nie możemy przedstawić naszym klientom jakiegoś standardowego szkicu... Na wszelki wypadek zapisujemy stare wrażenia pamięciowe naszych klientów. Dlatego też prosimy, aby nam pan opowiedział coś o swoim życiu...

— Czy to konieczne?

— Tak, zawsze teraz tego przestrzegamy. Proszę się nie bać i nie wstydzić. Już żaden życiorys nas chyba nie zaskoczy. Naprawdę wysłuchaliśmy ich już bardzo dużo.

— Cóż, moje życie było koszmarem. Nie miałem właściwie dzieciństwa, nie pamiętam nawet twarzy swoich rodziców. Zginęli, gdy byłem jeszcze mały. Wychowywano mnie w sierocińcu. Szkoły powszechnej nie ukończyłem, bo... miałem drobne kolizje z prawem. Nie zaznałem szczęścia w miłości... Mam czterdzieści lat i nie zrobiłem żadnej kariery. Nie czuję się już na

siłach, aby ukończyć szkołę, nauczyć się jakiegoś fachu. Głowa już nie ta, aby czytać o... no, o Einsteinie. Proszę mnie zrozumieć, całe swoje życie spędziłem w jednej, zawsze tej samej dzielnicy mojego miasteczka, obciążylem sobie pamięć mnóstwem nieistotnych wiadomości. Doświadczenia, które zebrałem w więzieniu i w... przytułku dla bezdomnych, są mi przecież do normalnego życia absolutnie niepotrzebne... Chciałbym się nawet nauczyć na nowo języka, zrozumieć mnie bowiem mogą niekiedy tylko ludzie mojego pokroju... Zapewne zauważyliście panowie, jak starannie dobieram słowa i z jaką trudnością mi to przychodzi. W skrócie to chyba wszystko, cały mój życiorys.

— Taaak... No cóż, prosimy teraz o podanie szkicu, zarysu nowej pańskiej pamięci. Uzupełnimy go tylko jedną, istotną dla nas informacją, wybaczy pan — numerem naszego konta bankowego i wysokością kwoty, na jaką pan zechciał się zgodzić przychodząc do nas. Będzie pan zresztą przekonany, że tę sumę przeznacza pan na cele dobroczynne... Oczywiście, nie umieścimy w pańskiej pamięci żadnej informacji mogącej nasuwać podejrzenie, że nie jest ona „osobiście” przez pana nabyta. Obiecujemy również, że idealnie załatwimy dopasowanie otoczenia do pańskiej nowej pamięci. Na przykład ludzie, których pan będzie po kuracji wspominał, będą istnieć w rzeczywistości. Żywi lub umarli — zależnie od stopnia prawdopodobieństwa w pańskim odczuciu.

— O. K. Przede wszystkim pragnę zmienić nazwisko. Chciałbym się nazywać na przykład... Forest, Georg Forest...

...Najdawniejsze wspomnienie? Hm... Maskotka, która wisi nade mną, przymocowana do wózeczka... Wyciągam niezdarnie malutką dłoń, aby ją wprawić w ruch. Nie! Stop! Obraz matki, pierwszy, oczywiście!... Tak, może być szatynka. Musi być piękna i młoda...

...Mój pierwszy kolega? Taki, który nigdy mi nie zabierał zabawek i z którym nigdy się nie biłem. To może wzbudzi we mnie wiarę w ludzi...

...Pierwsza dziewczyna w moim życiu? Niech się nazywa Maria... nie, lepiej Anna” Jak ją poznałem? Wymyślcie coś romantycznego, najlepiej weźcie z jakiegoś filmu. Chcę, aby powiedziała mi po prostu: „Jesteś uczuciowo zimny. Chcę ci pomóc. Będziemy się spotykać?”... Nie, nie chcę, aby to była ostatnia kobieta w moim życiu. Chcę żyć pełnią życia...

...Wiadomości naukowe? Coś na temat Einsteina, Czarnych Dziur, dinozaurów, pitekantropów... No i cały program jakiejś średniej szkoły zawodowej...

...Kim chciałbym być? Prezesem firmy samochodowej...

...Nie, nie chciałbym spotykać podstawionych rodziców. Wolę pamiętać ich piękne, pokryte brzdami... czasu twarze, na łożu śmierci...

O godzinie dwudziestej trzeciej idącego ulicą Sto Piątą prezesa firmy samochodowej, Georga Foresta, zaczepił pijany mężczyzna.

— Cześć, Tom! Coś taki elegancki? Stawiasz dzisiaj?

— Pan wybaczy, nie znam pana.

— Nie—e poznajesz Ala? — Nieznajomy zawisł na szyi Georga Foresta i ciszej, jak gdyby przytomniej, dodał: — Stary, gotów jestem nawet zapomnieć o tym długu, ale nie lubię, gdy nie poznaje się mnie poza barem, rozumiesz? Nie lubię!

— Już panu mówiłem, że nie znam pana. I wcale nie mam ochoty pana poznać.

Georg ze wstrętem próbował wyswobodzić się z czulego uścisku nieznajomego, ale w tej samej chwili poczuł między żebrami cienkie ostrze sprężynowego noża...

— Halo! Pan dyrektor? Dzień dobry! Niestety, mamy straty. Jeden z naszych klientów stał się niewypłacalny. Zamordowano go wczoraj, późnym wieczorem. Tak, policja przeprowadziła

dochodzenie. Zbrodni dokonano przed knajpą na rogu ulicy Sto Piątej. Barman rozpoznał zwłoki. Panie dyrektorze, on nam nie powiedział, że był nałogowym alkoholikiem. Przed naszą kuracją przychodził dzień w dzień do tego baru ze swym późniejszym zabójcą. Ostatnio ten „przyjaciel” wciąż stawiał mu kolejki, aż wreszcie zaczął robić awantury, żądając rewanżu lub zwrotu pieniędzy. Tom... to znaczy... Georg Forest nie mógł pamiętać tego Ala... Nieszczęśliwy człowiek, prawda, panie dyrektorze? Nie dane mu było zerwać ze swą przeszłością. Drugi próg życia okazał się dla niego za wysoki...

PRZYDZIAŁ

Decyzję podjąłem w czasie ostatniego urlopu, który wraz z Ceią i Fa spędziłem jak zwykle w symulatorze wczasowym. Dziś myślę, że w tym akcie odwagi było dużo przekory, ale także i zdrowego rozsądku. W końcu ktoś, kto kupuje parasol, gdy zapowiada się deszczowe lato, ma prawo uważać się za człowieka w pełni normalnego, nawet wówczas, gdy dyktatorzy mody kategorycznie zabraniają używania parasoli.

Muszę jednak przyznać, że zgłoszenie akcesu do Fundacji nie przyszło mi łatwo. Wiedziałem, że zostanę uznany za takiego, który się wyłamał. Właściwie o wszystkim przesądziła błada twarzyczka Fasolki, jej smutne, wielkie oczy, którymi wodziła po zieleni symulatora, jej radość, kiedy zabłysło heloksenowe słońce. Wtedy przestałem się zastanawiać i złożyłem swój podpis. Uczyniłem to w końcu... i nadal nie byłem zupełnie przekonany. Właściwie dlaczego miałbym wierzyć we wszystkie zdania wlelopunktowej deklaracji? Czytałem je w kółko kilka razy, tak że niektóre zwroty wbiły mi się w pamięć. Pamiętam na przykład zakończenie, trzy ostatnie zdania, stanowiące jak gdyby abstrakcyjne uzasadnienie wyводу:

Ciśnienie opinii społecznej nadal zbyt mocno określa nasze życie, nadaje mu pozór normalności lub skazuje na potępienie. Jedynie w teorii każdy ma prawo postępować według własnej skali wartości, od początku do końca tworzyć swój własny los. W rzeczywistości — wyboru nigdy nie dokonujemy samotnie, czasami dokonujemy go w mniejszości, lecz jeśli jest on obiektywnie słuszny, stanie się prędzej czy później wyborem całej ludzkości.

Jak się tego można było spodziewać, w biurze moje postanowienie wywołało istną lawinę złośliwych docinków. Siedząc za biurkiem, gapiłem się godzinami na brązowe smugi pokrywające ścianę naprzeciw i rozmyślałem nad względnością stosunków międzyludzkich. Co pewien czas docierały do moich uszu uwagi, w których przyrównywano mnie do troglodyty lub silono się na niewyszukane przezwiska typu: homo agrarius czy Arkadyjczyk. Towarzyski bojkot przejawiał się także, a może przecie wszystkim w tym, że nie dostawałem nic do roboty. Początkowo udawałem, że nad czymś pracuję. Wypełniałem zbędne formularze,— pochylałem się nad fikcyjnymi zamówieniami, by później, kiedy nikt nie widział, wyrzucać to wszystko do kosza. Ale nie mogło to trwać zbyt długo. W końcu skapitulowałem. Złożyłem podanie o przeniesienie.

Zaczynałem dokładnie osiemnasty dzień w nowej skórce, gdy otrzymałem wezwanie od szefa. Przyniosła je jego osobista sekretarka, niebieskooka, śliczna dziewczyna w czarnej peruce. Miała zmęczone spojrzenie, a kiedy pochyliła się nad biurkiem podając mi kartkę do podpisu, zobaczyłem na jej czole kropelki potu. Zauważywszy mój wzrok, dziewczyna lekko westchnęła, wyprostowała się i spróbowała się uśmiechnąć. Nie wyszło jej to najlepiej, a ja poczułem, że robi mi się jej naprawdę żal. Nasza firma była poważnym kontrahentem Fundacji, nic więc dziwnego, że dziewczyna musiała na własnych nogach roznosić zawiadomienia, okólniki i inne papierki. Cóż, oni potrafili stawiać warunki!

Byłem w dość kiepskim nastroju. Po syntetycznym śniadaniu dokuczał mi żołądek. Na dodatek jedyna kobieta w naszym gronie, konsekwentnie trzydziestoletnia panna Lang, postarała się o odebranie mi resztek dobrego samopoczucia:

— Mam nadzieję, że zaprosi mnie pan na zieloną trawkę? — powiedziała, stukając energicznie w klawisze maszyny do pisania.

Zawtórowały jej stłumione śmiechy, a Nat dorzucił złośliwie zza swoich papierów:

— A może, Olen, wybierzesz się ze mną na przejażdżkę nowym wibrołazem?

Wyszedłem zamknawszy z trzaskiem drzwi, choć wiedziałem, że wywoła to nową falę wesołości.

„Czy jest im tylko wesoło? — zastanawiałem się idąc machinalnie w stronę, gdzie kiedyś była winda. — Czy może w tym śmiechu jest też miejsce na zazdrość lub maskowaną bezradność? Może niektórzy mimo wszystko chcieliby znaleźć się na moim miejscu, tylko brak im odwagi? Sam nie wiem ostatecznie, czy postąpiłem słusznie... Za głupie talony, za jakiś tam Przydział mam wyrzekać się wszystkiego? Wracać do prymitywu, skazywać się na nudę długich wieczorów bez widowisk wideofonicznych, na towarzyską izolację, na ukradkowe podsłuchiwanie dziennika w wiecznym lęku przed kontrolerem?... Zrobiłem to tylko dla Cei i naszego maleństwa!...”

Dopiero zagrodzony czerwono-białymi krzyżakami, ziejący czernią otwór szybu wyrwał mnie z zamyślenia. Zawróciłem. Zdyszany, pocąc się w dusznym powietrzu, zacząłem mozolną wędrówkę po schodach. Morderczą wspinaczkę na sześćdziesiąte czwarte piętro. Tu, na najwyższej kondygnacji, w ascetycznym gabinecie, górował nad swym królestwem Val.

Nie miał mnie kto zaanonsować. Sekretarka ciągle gdzieś biegła. Kamery były zdjęte. Czujniki widocznie także, bo bez skutku podchodziłem do drzwi z różnych stron. Zdecydowałem się więc zapukać. Podniosłem już rękę do połyskliwego plastyku, gdy usłyszałem głośne:

— Wejść!

Mężczyzna, który trzy roczniki przed moim skończył akademię, teraz zaś był moim szefem, wyglądał na zmęczonego, codzienna wspinaczka wyraźnie mu nie służyła. Perukę miał niedbale osadzoną na łysinie, ręce wbite w kieszenie marynarki.

— Witaj, Olen. Proszę, siadaj. No i jak się pracuje? Niezbyt wesoło, co? — zapytał patrząc na mnie uważnie.

— Niezbyt wesoło. Powoli wpadam w rutynę — próbowałem zażartować.

Biel ścian jego gabinetu trochę mnie oszołamiała. Kosztowna, aktywna farba. Wyobraziłem sobie niewidoczne pyłki odskakujące od nieskazitelnej powierzchni. Pokój był przestronny. Prócz biurka i dwóch krzeseł — zupełnie pusty.

— Podobno przyjeżdżają do ciebie dziadkowie? To znaczy: twoi rodzice — poprawił się.

— Może kiedy dostanę Przydział, to przyjadą. Na stałe — powiedziałem z wisielczym humorem.

— Moja matka postawiła ten sam warunek — szef zamyślił się. — Ech, kariera... Jakże zmieniał się do niej stosunek w ostatnich latach. Nie tak dawno rozpoczynałem pracę w Dziale Zaopatrzenia. Wtedy jeszcze liczyła się suma pieniędzy, awans, nowy model robota. Teraz... — zrobił pauzę i potarł czoło — teraz chętnie zamieniłbym się z tobą.

Zaskoczył mnie tymi słowami. Tylko że dzisiaj mogłem na nie zareagować uśmiechem.

— Jestem członkiem Fundacji — powiedziałem.

— Właśnie — podchwycił Val. — Chciałbym ci coś powiedzieć, ale w zupełnej tajemnicy, tak by nikt się o tym nie dowiedział. Ty sam także zapomnisz... jeżeli odrzucisz moją propozycję. Zdajesz sobie sprawę, że za swoje pieniądze mogłem kupić znacznie więcej niż ty... na przykład... Ale... najpierw propozycja. Jeżeli zechcesz, możesz przejść do Działu Dystrybucji.

Milczałem. „Wiem, że mnie nie lubisz. Przynajmniej nie lubiłeś dotąd. Przez cały czas, od kiedy tu pracuję, otrzymałem tylko jedno przeniesienie. Powiedz lepiej od razu, co się za tym kryje. Nikogo nie przenosi się do Dystrybucji za piękne oczy”. Tak mniej więcej sobie pomyślałem. Mogłem to powiedzieć głośno, ale wystarczyło, że pomyślałem.

Szef postanowił odkryć karty.

— Ja też jestem członkiem Fundacji Ludda — wycedził pochylając się nad dziurą po wymontowanym dyktafonie. — Mają taką swoją tajną listę... Widzisz, moja żona bardzo chciała... Róża, nasza córka, kończy w przyszłym miesiącu piętnaście lat. Dlatego żona zdecydowała...

Pokiwałem głową ze zrozumieniem. Nie musiał kończyć. Chodziło o handel zamienny. Przysługa za przysługę.

— Dlatego żona zdecydowała, abym porozmawiał z tobą. Wszyscy wiedzą, że jesteś w Fundacji. A ja... na moim stanowisku... — skończył jednak Val. Chciał, by wszystko było jasne.

Zastanawiałem się gorączkowo. Pracując w Dystrybucji, mogłem przyspieszyć realizację talonów. Każdy wie, że w tym dziale ma się w ręku wszystkich. Oczywiście Val, jako dyrektor, nie może sam sobie udzielać profitów z nadprogramowej dystrybucji. Ale mając tam mnie i mając moje talony... Oby nie chciał ich za dużo, bo Ceia nigdy by mi nie wybaczyła! «Było więc trochę prawdy w tych wszystkich plotkach o bezwzględnych zwierzchnikach kupujących awansami w zamian za talony Fundacji.

— Ile? — zapytałem.

— Dwa. Na video i wizjofon.

— Tylko na video...

— Dobrze, niech będą na video i domowego spec-univera.

— Zgadza się — powiedziałem po chwili wahania. Val wyciągnął do mnie rękę. Byliśmy teraz współnikami. Tylko do jakiego stopnia?

— Pomyśleć, że ludzi pokroju Nata z mojego działu cieszy to, co się dzieje. Kupują wymyślne automaty, rozbijają się supermodelami wibrołazów po pasmach szybkiego ruchu... — zacząłem towarzyskim tonem.

— Nie bujajmy się, Olen — przerwał szef podchodząc do mnie. — Przecież my też wolimy normalne, męskie rozrywki. Możemy chyba pozwolić sobie teraz na szczerłość?

Skinąłem głową z uśmiechem.

— A między nami mówiąc, ten Nat... — Val zniżył głos niemal do szeptu — ten Nat z twojego działu może sobie kupować, co chce. I tak wiem, że pracuje w Kontroli.

— W Kontroli Fundacji?! — zawołałem zaskoczony.

— Całe gadanie o automatach jest tylko kamuflażem. Dzięki temu potrafi wyciągnąć wszystko, co chce. Chyba że ktoś wie...

— Chyba że ktoś wie — powtórzyłem, wciąż nie mogąc uwierzyć.

Staliśmy już przy drzwiach. Lecz Val najwidoczniej miał mi jeszcze coś do powiedzenia, bo przytrzymał moje ramię.

— Teraz kiedy zaczynasz pracę w nowym dziale, i to w takim dziale — rzekł — nie chciałbym, aby ktokolwiek mógł opacznie zrozumieć twój awans. Jest on wyłącznie nagrodą za nienaganną pracę. A o Przydziałach, jak je już dostaniemy, nikomu ani słowa...

Wolałem od razu trzymać język za zębami. Po co dawać żer nowym plotkom? Zszedłem na dół i usiadłem za biurkiem jak gdyby nigdy nic. Atmosfera, panująca od kilku dni w pokoju, po raz pierwszy była mi naprawdę na rękę. Widziałem, że aż rozpiera ich ciekawość, co też usłyszałem od szefa. Nie próbowałem nawet udawać, że pracuję. Początkowo miałem zamiar siedzieć do końca godzin urzędowania, lecz naraz przyszła mi do głowy myśl wprost niesłychana. Ułożyłem starannie papiery, podniosłem się i skierowałem do wyjścia.

— Do zobaczenia na zielonej trawce! — rzuciłem w stronę panny Lang.

Stojąc już za drzwiami, zorientowałem się, że zapomniałem zabrać parasol. Mogłem mieć tylko nadzieję, że nie będzie deszczu. Nie wypadało przecież psuć tak efektownego wyjścia. W dzisiejszych czasach, kiedy jeszcze niemal wszystko robią za nas maszyny, a praca jest

prawdziwym dobrodziejstwem, nie każdy może sobie pozwolić na podobne zachowanie.

Padało jednak. Dotarłem do domu usmarowany jak nieboskie stworzenie. Ceia, ujrawszy mnie w drzwiach, nie krzyknęła przestraszona, chociaż musiałem wyglądać bardzo dziwnie, cały pokryty mieszaniną sadzy i błota.

— Pomyśleć, że kiedyś wycinano lasy, aby budować fabryki... — mruknąłem wycierając twarz chusteczką.

— Był Kontroler — przerwała mi gwałtownie żona. — Znalazł elektroniczną lalkę, którą podarowałeś Fasolce na szóste urodziny. Czy wiesz, co to znaczy? Mogą nam opóźnić Przydział! Już trzy tygodnie, jak wyrzuciłeś ostatniego robota. Urabiam sobie ręce po łokcie, a teraz jedna głupia lalka — i kilka dodatkowych miesięcy czekania!

W pierwszym odruchu chciałem biec do gabinetu. Miałem tam w skrytce coś, czego za żadne skarby nie powinien zobaczyć Kontroler. Lecz po chwili uspokoiłem się. Skoro Ceia mówiła tylko o lalce, to znaczy, że skrytka była dostatecznie sprytnie pomyślana.

— Nie martw się — odparłem niefrasobliwie — nasze kłopoty już się skończyły.

Żona spojrzała na mnie z podejrzliwością. Teraz dopiero zauważyła mój godny pożałowania wygląd.

— Wracałeś bez ochraniaczy? — zawołała. — Czy coś się stało?

— Zapomniałem parasola.

— Parasola? Przecież to archaiczne urządzenie niewiele chroni przed deszczem... Powiedz mi, Olen, proszę, czy coś się stało w pracy?

Nie odpowiedziałem i pogwizdując ruszyłem do łazienki.

— I co ty właściwie robisz o tej porze w domu? — niepokoiła się coraz bardziej Ceia. — A może zostałeś zwolniony? Chcę wiedzieć!

— Powiedziałem ci już, kochanie, że nasze kłopoty się skończyły! — krzyknąłem szorując zawzięcie pokryte czarnymi smugami ciało. — Aha, nie wspomniałem ci jeszcze, że odstąpiłem talony na video i spec-univera...

— Czy chcesz powiedzieć, że odstąpiłeś miejsce na liście? — Głos Cei, choć stłumiony przez drzwi, brzmiał zdecydowanie chłodno.

— Powinnaś wiedzieć, że nie można odstąpić miejsca na liście. Można je tylko utracić, gdy Kontroler wykryje coś poważnego. Odstępując swoje talony, będę musiał po prostu zapłacić za Przydział więcej pieniędzy. A moje talony za video i univera odstąpiłem komuś, kto chce te urządzenia zatrzymać i ukrywać przed Kontrolą.

— Nie wiem, czy temu komuś się uda... Przewrócili tu wszystko do góry nogami. Już wolę zrezygnować z programów rozrywkowych i sama zmywać naczynia. A zresztą, skąd weźmiesz dodatkowe pieniądze?

— Pamiętasz, jak wczoraj pytałaś, czy mogę pomóc twojej przyjaciółce, Cynii Vern, i załatwić dla niej nadprogramową dystrybucję tlenu? — zapytałem wychodząc z łazienki w swoim o wiele za długim płaszczu kąpielowym. — Otóż wczoraj powiedziałem, że nie. Dzisiaj mogę powiedzieć: tak.

— Niemożliwe! — krzyknęła Ceia. — Nareszcie?!

— Od jutra zaczynam pracę w Dystrybucyjnym — potwierdziłem z dumą.

— Och, jak cudownie! Cynia jest moją najlepszą przyjaciółką. Kiedy jej zakład podpisał umowę z Fundacją, zrezygnowała z pracy. Nie miała dość sił, by biegać z każdym papierkiem po czterdziestopiętrowym gmachu.

— Wszędzie teraz zwalniają się sekretarki — powiedziałem i przypomniałem sobie zmęczone spojrzenie sekretarki Vala.

Wieczór zapowiadał się bardzo miły. Od dziś my również, rzecz oczywista, nie musieliśmy

już oszczędzać tlenu. Pootwieriałem zawory klimatyzacyjne do oporu, nie bacząc, że strzałka manometru szybko przekroczyła czerwoną kreskę. W mieszkaniu zrobiło się wesoło. Pachniało świątecznym ciastem, które Ceia wypiekała w kuchni. Fa bawiła się szmacianą lalką, ja zaś zakradłem się do gabinetu, wydobyłem ze schowka małe radio i próbowałem coś złapać. Gdzieś nadawano muzykę, na innym zakresie aż huczało od reklam. Na zakresie RFL (Rozgłośni Fundacji Ludda) akurat kończył się dziennik w języku światowym:

— ...powołano specjalny komitet do obchodów czterysta pięćdziesiątej rocznicy wystąpienia legendarnego Neda Ludda, pierwszego burzyciela maszyn — mówił spiker. — Dzisiaj jego nazwisko nierozzerwalnie związało się z działalnością Fundacji Ludda, dobrowolnej organizacji wszystkich ludzi, którym na sercu leży przyszłość naszej planety...

Zamyśliłem się. Zadania oraz zasady funkcjonowania Fundacji znałem aż za dobrze — formułowała je deklaracja, którą podpisałem przed osiemnastoma dniami. Spiker mówił coś o śmiertelnym zagrożeniu biosfery, o bezmyślności człowieka, który stoi u progu totalnego samobójstwa, o konieczności powrotu do natury, a ja zastanawiałem — się, dlaczego wszystko musimy traktować tak ekstremalnie, albo-albo, jakby nie było rozwiązań pośrednich. Czy to tylko nasza wina — myślałem — czy również wina tych wszystkich pokoleń, które, zaślepione swoim dzisiaj, skazywały nas na takie jutro? I czy rzeczywiście warto było kupować Fasolce elektroniczną lalkę, skoro równie szczęśliwa bawi się szmacianą? Lecz z drugiej strony, dlaczego mam teraz rezygnować z posiadania zwykłego odbiornika radiowego? Gdzieś, kiedyś zatraciliśmy właściwe proporcje. Może dla wyrównania musimy stracić je także teraz?

Spiker podawał dalej wiadomości:

— ...kosmolot („Albatignius” wrócił z wyprawy badawczej do Kłosa Panny. Był to ostatni statek znajdujący się w przestrzeni kosmicznej. Jak wiadomo, Centrum Lotów Kosmicznych przyjęło rezolucję Fundacji Ludda uzasadniającą konieczność rezygnacji z dalszych badań kosmosu ze względu na nadmierne zużycie materiałów i surowców, a także...

— Olen! Czy wiesz, czym to grozi? — usłyszałem okrzyk Cei. Stała w drzwiach, trzymając w ręku talerzyk z kawałkami tortu. — Czy naprawdę chcesz, abyśmy nigdy nie otrzymali tego Przydziału? — ciągnęła podniesionym głosem.

— Myślisz pewnie, że Val wymontował czujniki w swoim gabinecie? — burknąłem rozszłoszczony jej paniką. — Założę się, że ściany pod tynkiem i tą jego superfarbą są naszpikowane mechanizmami.

— A czyja to wina, że niemal wszyscy jesteśmy łysi?! — krzyknęła znowu Ceia. — To właśnie przez produkcję tych wszystkich mechanizmów, jakby nie można było normalnie zapukać do drzwi, w powietrzu jest tyle toksycznego świństwa. Popatrz na Fasolkę — krzyczała — ma sześć lat i już jej włosy zaczynają wypadać!

Niespodziewanie dla samego siebie roześmiałem się głośno.

— Łysienie przepowiedziano nam już ponad sto lat temu — powiedziałem. — A radio jednak zatrzymam. Mam na nie doskonałą skrytkę. Nie bój się, na pewno nie znajda. I możesz mi podać ten syntetyczny tort. Z mojej głowy nie ma już co wypadać.

Wagon eltressu, który miał nas zawieźć do celu wieńczącego kilkuletnie starania, wyrzeczenia i nie zawsze zgodne z prawem zabiegi, zajęty był do ostatniego miejsca. Fasolka, siedząca na kolanach matki, rozplaszczyła noskę o szybę i podziwiała pokryte grubą warstwą błota i brudu nie kończące się ulice, widmowo rozświetlone tymi resztkami słonecznego światła, które zdołały przedrzeć się przez atmosferę. Ceia założyła najładniejszą perukę. Kaskadę złotych włosów przewiązała kosztowną, lnianą tasiemką. Przyglądaliśmy się oboje z ciekawością współpasażerom, nielicznym szczęśliwcom, podobnie jak my, obdarzonym Przydziałami Fundacji. Mieli zadowolone miny. Większość stanowiły małżeństwa z małymi dziećmi, choć

sporo było także ludzi starszych. Naprzeciw nas siedziała para staruszków: ona w schludnej, ciemnej sukni widocznej pod standardowymi ochraniaczami, on zwracający uwagę imponującą, lśniąca jak bilardowa kula łysiną. Cóż, my, stosunkowo młodzi, ciągle jeszcze wstydzimy się swoich nagich czaszek. Widocznie nam silniej niż tym starszym dają o sobie znać zakodowane przez wieki upodobania estetyczne. Pomyślałem o swoim ojcu, o matce Cei i westchnąłem. Ceia widocznie myślała o tym samym.

— Gdyby jeszcze udało się nam sprowadzić dziadków — powiedziała z rozmarzeniem.

— Przypuszczam, że mimo wszystko wolą oddawać się rozkoszom lenistwa w objęciach automatów do masażu niż pilnować Fasolki — odparłem melancholijnie. — Chociaż teraz!... Kto wie, może dadzą się skusić? Tym bardziej że dziadek jest chory na astmę...

— Zapewniam państwa, że jest to doskonały układ — wtrącił się nagle staruszek z głową jak bilardowa kula. — Jako rodzice możemy korzystać z Przydziału dzieci, one zaś korzystają z naszych automatów. Naprawdę doskonały układ. Chociaż słyszałem ostatnio, że Fundacja zamierza wprowadzić jakieś dodatkowe obostrzenia w tym względzie. Przybywa jej z każdym dniem nowych członków...

— Państwo pozwolą, moja żona Ceia i córeczka Fasolka. Ja nazywam się Olen — pośpieszyłem z prezentacją.

— Jestem Narcyz O'Brien. A to moja małżonka, Chryzantema O'Brien. Czy pan jest Irlandczykiem? — zainteresował się starszy pan.

— Nie... Dlaczego pan tak sądzi? — spytałem zdziwiony.

— Ach, te imiona — zachichotała pani Chryzantema. — Kiedy się urodziłam, akurat powstała ta moda na roślinne imiona. Wie pan, rodzice zawsze łączyli swe pragnienia z imieniem dziecka. Nadawali dzieciom imiona budzące różne pożądane skojarzenia.

Pokiwałem głową z zainteresowaniem.

— Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Ciekawa teoria... Nawet by się zgadzało. Jak kiedyś z Napoleonem...

Przelecieliśmy z łoskotem nad pasmem szybkiego ruchu. Wzniecając fontanny błota, sunęły po nim wibrolazy. W którymś z nich mknął być może na weekend Nat. Spojrzałem w stronę Cei.

— Wyobraź sobie, że ta stara Lang oddała wczoraj maszynę do pisania. Całą dokumentację będzie prowadzić ręcznie. Mój przykład tak na nią wpłynął. Ale swoją drogą wypisywać ręcznie faktury na tlen; nie zazdroścę jej.

Ceia nie odpowiedziała. Zajęta była oczyszczaniem zabrudzonego buziaka Fa. Za to pan O'Brien zainteresował się wyraźnie.

— Pan pracuje przy produkcji tlenu? — zapytał. — Czy to prawda, że praca w dystrybucji waszej wytwórni umożliwia dokonywanie rozmaitych nadużyć? Wszyscy tak mówią.

Spłoszony utkwilem wzrok w oknie, nieustannie oczyszczanym przez migające wycieraczki.

— Co też pan mówi — mruknąłem po chwili. — Sam szef wytwórni nie dostał jeszcze Przydziału od Fundacji, chociaż podpisał deklarację w tym samym mniej więcej czasie, co ja.

Nie wspomniałem o kłopotach Vala z Kontrolą. Niewykluczone, że biedak poczeka jeszcze parę lat. A ja, gdyby nie umowa z Valem, ile lat bym czekał? Trzy, cztery, może więcej. Prawda, że wykorzystałem swój awans maksymalnie. Lecz czy rzeczywiście warto było? Ciągle drzę ze strachu — ot, choćby przed chwilą — że wszystkie moje machinacje wyjdą kiedyś na jaw. Znow wracały te same pytania, które dręczyły mnie, gdy podejmowałem decyzję.

Na szczęście już dojeżdżaliśmy.

Wśród pasażerów eltresu zapanowało ożywienie.

Zaczynały się tereny wykupione przez Fundację. Kiedyś znajdowały się tu wielkie zakłady petrochemiczne. Teraz ogromne plastikowe tunele szczelnie, jeden przy drugim, pokrywały jak

okiem sięgnąć całą przestrzeń. Między nimi przesuwaly się z wolna maszyny spryskujące i oczyszczające. Musiały się tak posuwać nieustannie, bo na oczyszczoną powierzchnię w ciągu kilku minut spadały setki kilogramów pyłu, grożąc zawaleniem kilometrowych konstrukcji. Podobno były to jedyne maszyny, które nie zostały jeszcze wyklęte przez Fundację... Nasza działka miała dokładnie cztery metry szerokości i dziesięć metrów długości. Urzędnik Fundacji z uśmiechem wręczył nam klucz od furki.

— Gratuluję państwu! I życzę przyjemnej pracy — powiedział.

Fasolka rozdziawiła buzię.

— Co to jest, tatusiu? — zapytała z zachwytem.

— To trawa. Prawda, że ma zupełnie inny kolor niż w symulatorze?

— jest zupełnie inna. Jest taka... śliczna.

Ceia rozwijała z nabożeństwem małe zawiniątka. To na zawartość tego zawiniątka poszła większość naszych talonów. Nie mówiąc już o cholernej sumie pieniędzy.

— Co to? — zapytała znowu nasza córeczka.

— To jest fasolka. Zasiejemy ją najpierw. Nawet sobie nie wyobrażasz, jakie to smaczne!

Obok miniaturowej altanki stały narzędzia. Na ich widok zrobiło mi się jakoś smętnie na sercu. „Gdyby tak mały samobieżny pług... — pomyślałem. — Pięć minut i byłoby gotowe!” Ale potem przypomniał mi się wielki napis nad wejściem do tunelu.

— Żadnych maszyn! — powiedziałem stanowczo i wbiłem blachę szpadla w tłustą, urodzajną glebę.

ŚWIERSZCZ

Cała ta historia to przecież jedna z nieskończonej liczby wersji samotnego człowieka w kosmosie. Nie sądzę, abym mógł was nią zainteresować. Po prostu spotkaliście emerytowanego astronautę i chcecie go naciągnąć na opowiadanie. Nie, nie dam się namówić...

Lepiej dajcie mi spokój. Popatrzcie na niebo. Gwiazdy świecą dziś tak jasno, jak w noc przed startem „Arpege”. Jesteście młodzi i przed wami jest wszystko. Natomiast dla mnie wszystko już minęło... Mam wprawdzie dopiero trzydzieści jeden lat, co każdemu kiedyś wydawało się wiekiem bardzo dojrzałym, zanim zrozumiał, jak bardzo jest to mało.

Od dwóch lat jestem na emeryturze i mogę robić, co mi się tylko podoba. Teraz usiadłem, aby przez kilka godzin patrzeć na niebo. Spójrzcie! Robi się zupełnie ciemno i wciąż zapalają się nowe gwiazdy. Gwiazdy, których nazw uczyłem się na pamięć wraz z kolegami. Tak! Wielu z moich kolegów mknie teraz wśród nich, śpiąc w cudownych statkach...

Dajcie mi spokój, nie mam chęci opowiadać. Robi się chłodno i pora wracać do domu...

Tak, to prawda. To była głośna wyprawa i potem mówiono i pisano o niej przez miesiące. Mnie pozostał tylko niesmak. Niesmak, jaki daje widok witających cię ludzi, którzy nie mają już kogo witać..

Nie. Naprawdę nie mam ochoty opowiadać o mojej pierwszej i zarazem ostatniej wyprawie. „Arpege” zdołała wprawdzie wrócić, ale z załogi ocalałem tylko ja. Ocalałem właściwie przez przypadek...

Czy istotnie domagacie się, abym wygrzebał z mroku zapomnienia obraz dni tak już odległych? Dajcie mi lepiej spokojnie podumać, nim chłód wygna mnie z parku.

Tak, to prawda. Byłem drugim pilotem. Dowódca Baler, stary wyga kosmosu, mógłby być moim ojcem. Trzeci z nas, Tchon, też był niewiele młodszy.

Nie licząc startu i wstępnych manewrów — te są zawsze emocją — przez pierwsze dwa miesiące lot był jednym ciągiem monotoności. Dzień za dniem, noc za nocą. Dobrze i to! Gdyby nie ten sztuczny podział, można by chyba oszaleć z nudów.

Kiedy się to zdarzyło, spałem od kilku godzin, mocno i spokojnie. Zbudził mnie wstrząs i wibrujący huk. Niewiele zapamiętałem. Gdy odzyskałem przytomność, leżałem skurczony w rogu kajuty, czując, jak ciepła, lepka krew spływa mi po twarzy. Słyszałem, a raczej czułem, że „Arpege” rozlatuje się w kawałki. Ogarnął mnie lęk. Próbowałem wstać, ale prawa noga ugięła się niespodziewanie, w jakiś dziwny sposób, pomiędzy kolanem a kostką i znów straciłem przytomność. Nie wiem, jak długo to trwało. Gdy na chwilę powracały mi siły, wołałem towarzyszy pełnym strachu, matowym głosem. Czołgałem się po kajucie, nie mogąc sięgnąć do słuchawki telefonu, który wisiał zbyt wysoko.

Kiedy znów odzyskałem przytomność, czując, że jest to właśnie owa ostatnia, pełna jasności myśli przytomność poprzedzająca śmierć, przypomniałem sobie to, co jest dla każdego astronauty instrukcją numer jeden, co każdy marzący o gwiazdach chłopak wypisuje sobie nad łóżkiem na długo przedtem, zanim wymusi na rodzicach pozwolenie pójścia do szkoły pilotów: *Zrób wszystko, co w twojej możliwości, dla ratowania statku! Od jego sprawności zależy twoje życie. Potem zajmij się sobą.*

Pozostawało mi to ostatnie. Aby nie utracić reszty krwi, zacisnąłem nogę powyżej rany. Posługując się pasem, podciągnąłem się na wysokość luku, niemal do pionowej pozycji; otworzyłem pokrywę i, wbiwszy się weń zębami i palcami, wyszarpnąłem skafander, po czym

opadłem na plecy.

Nie pamiętam szczegółów. Wiem, że udało mi się wcisnąć w nogawkę to, co jeszcze niedawno było moją nogą. Pomagając sobie pasem, posuwając się mozolnie przy pomocy rąk, powlokłem się przez zdewastowany korytarz ku centrali. Rzuciłem się, a właściwie upadłem na fotel.

Minęło kilka chwil, zanim mogłem spojrzeć na ekran. Przede mną błyskał napis: AWARIA. Mimo to doznałem uczucia ulgi, system nadzoru działał. Ukryty w najbezpieczniejszym miejscu statku miliard elektronowych komórek pracował — badał, przeliczał, radził, polecał...

Zażądałem szczegółów. Tak jak przypuszczałem od początku, eksplodowało paliwo, zdarzają się takie rzeczy. Przyczyny, jak wiecie, nie udało się ustalić nigdy.

Nie wiem, skąd mi się brały siły. Każdy ruch wydawał się ostatnim, a jednak zawsze przychodził po nim następny...

Obaj moi towarzysze nie żyli. Dowódcę i pierwszego pilota eksplozja dosłownie wymiotła ze statku. Pamiętam makabryczny widok rąk pilota zaciśniętych na metalowym uchwycie w sterowni. Tuż obok poszarpanych kikutów widniał ogromny, z poskręcany krawędziami otwór, a potem studnia bez dna — niebo z wolno wirującymi gwiazdami.

Powrót na Ziemię wydawał mi się wtedy czymś odległym, nierealnym i zgoła nieistotnym, przetrwanie — zanim nadejdzie ratunek—nonsensem. Czułem, że wołałbym zginąć wraz z nimi. Była to myśl zupełnie naturalna. Tak myślę nawet teraz, z perspektywy czasu. Ta słabość natury — chyba jedyna wada człowieka na międzygwiazdnych szlakach — rozpuszcza się jednak łatwo w różnych medykamentach...

„Ten, który myśli o wszystkim” — jak nazywają elektronowy kalkulator astronauty — nie znał zwątpienia. Podczas gdy ja marnowałem czas na rozwiązywanie problemów moralnych, on nieugięcie liczył, badał, kalkulował. Wysłane przez niego automaty, metalowe kraby o setce wymiennych kończyn, już obsiadły poszarpane krawędzie blach, tnąc, prostując i spawając.

W jego przepastnym wnętrzu już przeliczały się najekonomiczniejsze manewry, szansę ocalenia. W odruchu goryczy pomyślałem, że to nierozsądne, aby tak trudzić się nad uratowaniem na wpół żywego człowieka w odległości miliardów kilometrów od Ziemi.

Mimo to zrobiłem jeszcze jeden wysiłek — może podziałał tu nawyk posłuszeństwa — dowlokłem się do ambulatorium i, otepiąły z bólu, ułożyłem się na niskim stole. Wszystko miałem już poza sobą...

Z góry, jakby z daleka, z bardzo daleka, rozległ się miękki, niski głos:

— Zaufaj mi, pilocie, wszystko na pewno będzie dobrze. Boli?

— Nie, nie boli — skłamałem.

— Powiedz, że boli — poprosił. — Tak trzeba.

— Boli. Bardzo mnie boli — powiedziałem.

— To dobrze. To znaczy, że dobrze.

Poczułem jeszcze, jak opada ze mnie rozcinany kombinezon, jak mocne uchwyty obejmują przeguby moich dłoni, jak coś ciepłego (transfuzja?) sączy się w żyły. Słyszałem jeszcze życzenie dobrego snu. Przestałem myśleć...

Wylizałem się z tego, chociaż, jak widzicie, noga nie jest całkiem sprawna. Ale to przecież nie z nią było źle.

Ten, który myśli o wszystkim, ma na podobieństwo hinduskiego boga tysiąc rąk. Jedne potrafią trzymać palnik do spawania, inne — cyrkle, inne — narzędzia chirurgiczne. Leżałem, doba za dobą, pielęgnowany przez v automaty. Ale mimo że wszystko goiło się prawidłowo, czułem się coraz gorzej. Brakowało mi sił do życia, dręczyła myśl, czemu los mnie właśnie oszczędził. Myśl ta zamieniała się zaraz w dokuczliwe pytanie, czy istotnie mnie oszczędził, a nie

właśnie ich? Bezustannie roztrząsałem, czy ma sens tłuc się przez dwa lata na Ziemię, by odwlec śmierć o tych kilkadziesiąt bezradnych lat z inwalidzką rentą.

Trułem się myślami, dręczyłem i było mi coraz gorzej. Na darmo ten, który myśli o wszystkim, aplikował najskuteczniejsze ponoć leki, podsuwał stare i nowe książki, namawiał do rozrywek. Leżałem niemal nie jedząc, spędzając bezsenne, męczące noce lub, co gorsza, gdy obezwładniały mnie środki nasenne, trapiiony złymi, natrętnymi snami odganiałem od siebie wciąż powracający motyw ślepego dziecka ze zdechłym kretem i pękiem kluczy.

Pewnego dnia, podobnego do innych jak dwa ogniwa w baterii, zaraz po obudzeniu, zmęczony i rozdrażniony, doznałem niespodziewanego, kojącego przypiływu świadomości: umrę! Nie, nie przerwę łańcucha monotonii. Tego nie należało się spodziewać po absolwencie akademii astronautycznej. Po prostu usnę, tak jak usypiają na zimę nasiona kwiatów. Rozpłynę się w nicość. Stopię w jedność z otaczającą mnie pustką...

Leżałem spokojnie, nie reagując na pytania. Dopiero w południe wypowiedziałem starannie— wyważone słowa:

— Nie przysyłaj mi jedzenia, nie będę więcej jadł. Nie będę też rozmawiał.

Robot skłonił się i z nieodgadzionym uśmiechem odniósł porcelanową zastawę balansując taczą.

Leżałem i byłem zupełnie obojętny na wszystko.

Przed nocą wyłączyłem muzykę.

Myśli moje coraz bardziej oddalały się od spraw realnych. Czuję, że oddech powoli zaczyna stawać się głębszy. Byłem jak pływak zanurzający się nieubłaganie w zdradliwą toń.

Nagle usłyszałem głośnie i wyraźne: ćwir, ćwir... ćwir, ćwir.

Podniosłem głowę nasłuchując.

Ćwir, ćwir, ćwir...

Zupełnie jak polny świerszcz. Co to może być?

Ćwir, ćwir, ćwir...

Pomyślałem, że obojętne, co to może być (najprawdopodobniej kawitacja w rurociągach), nic mnie to już nie obchodzi.

Ćwir, ćwir...

Zawładnęła mną złość. Pustym, jak gdyby nie swoim głosem zawyłem wyrwaną z lamusa pamięci ludową śpiewkę:

— *Ćwir, ćwir, ćwir za kominem,
tańczy Mazur ze swym synem.
A Mazurka ze swą córką,
wyglądają jedną dziurką.*

Ćwir, ćwir... ćwir, ćwir — dobiegło zza bakisty.

— UUUUUUUUUU — zawyłem z całych sił. — Świat jest głupi. AAAAAAAAAA OOOOOOOOOOAAA AAAAA. Jestem głupi. Jestem kaleka. Jestem szpetny. AAAAAAAAAAAAAA!

Ćwir, ćwir, ćwir — rozległo się jakby w odpowiedzi. Chciałem zeskoczyć z koi, ale pas zatrzymał mnie stanowczo i boleśnie.

— Kalkulator! — ryknąłem.

— Słucham — odpowiedział spokojnie głośnik. Głos ludzki otrzeźwił mnie. Poczułem, że się rumienię.

— Przepraszam — wyjąkałem.

— Nie masz za co przeproszać.

— No, no — jękałem się — za to wycie i głupie gadanie...

— To mnie nie interesuje.

Sprężyłem się z wściekłości. Nie interesuje go! Pocziwiec elektronowy. Geniusz pokładowy o bebechach z płynnym helem! Nie obchodzi go! Psycholog kosmiczny! Wiedziałem, że za wszelką cenę chciał mnie zawsze prowokować do zwierzeń. Do naturalnych, nie kontrolowanych odruchów. Takie wycie i brednie to przecież, arcykasek dla psychoanalityka. Najpierw wnioski, potem analiza i wreszcie skuteczna terapia. Drutobałwan! Kretyn tranzystorowy. Pielęgniarka na tranzystorach. Bałwan druciany!

— YYYYYYYYYYYYYEEEEEEEE! Beeeeeeee! Beeeeeee! Jestem baran. Baran o krótkich rogach. Beeeeeeee! Beeee! — darłem się z całej mocy. — Beeeee! Beeee! Jestem baran. Żywię się mlekiem i daję zieloną trawę.

— Mówiłeś coś? — zapytał.

Tego było za dużo. Zapraǳnąłem obrzucić go gradem obelg. Zazwyczaj potrafiłem przebrać miarę i wtedy oświadczał, że zapominam się i że to go obraża. Miałbym wtedy na godzinę spokój. Zbierałem właśnie co lepsze perełki zasłyszane od starszych pilotów, gdy nagle:

Ćwir, ćwir, ćwir... ćwir, ćwir.

Odrzuciłem moje perły i odezwałem się pojednawczo:

— Czy mógłbym wstać?

— Nie, dopiero za kilka dni.

— Czy mógłbym wstać? — powtórzyłem. — Bardzo proszę. Ogromnie mi na tym zależy.

— Jeśli ci tak ogromnie zależy, to możesz. Poruszaj się ostrożnie.

W tej samej chwili pas rozpiął się. Zwlokłem się pierwszy raz od dwóch miesięcy I, podkurczając prawą nogę, do której zdawał się wlewać wrzątek, ruszyłem przed siebie.

Ćwir, ćwir, ćwir...

W kącie, w samym rogu kajuty, tak jak to sobie od pierwszej chwili wyobrażałem, siedział strosząc się duży, szarozielony świerszcz. Czarne ślepka patrzyły bacznie i ostro. Wyciągnąłem rękę. Momentalnie, niczym sprężyna, odskoczył na bezpieczną, jak mu się zapewne wydawało, odległość. Znowu ćwierknął kilkakrotnie, żwawo i swojsko.

Nie potrafię wam opowiedzieć, jak wielkie było moje wzruszenie. Małeńki okruch życia wśród nieskończoności i mechanizmów. Gaworzący owad — jedyna prawdziwa rzecz pomiędzy blachami, śrubami, rurami, kablami... Jedyiny towarzysz w promieniu miliardów kilometrów. Iskierka życia, wspomnienie mazowieckich pól, po których biegałem, zanim nie zagarnęły mnie na całe lata różne miasta.

Dni powrotu przestały być torturą, otępieiałym kołowrotem. Myśl, aby umrzeć, nie powtórzyła się nigdy. Nie trzeba było mnie namawiać do jedzenia. Wcinaliśmy obaj ochoczo. Ułożyłem plan codziennych zajęć. Pracowałem w centrali, zajmowałem się sprzątaniami i porządkowaniem pomieszczeń (uwąǳam, że automaty nie potrafią należycie sprzątać), a ponad wszystko przyglądałem się świerszczowi. Po kilku dniach był już zupełnie oswojony, więc karmiłem go z ręki, patrząc, jak — chciałoby się powiedzieć: „z namaszczeniem” — konsumuje okruchy, miarowo otwierając pyszczek. Posługując się lupą, całymi godzinami oglądałem go I podziwiałem doskonałość anatomii — delikatne łuski u nasady nóg, szczelnie spasowane pokrywy, delikatne i bezustannie aktywne czułki...

Zapraǳnąłem obdarzyć go modrzewiowym domkiem. Przez kilka dni majsterkowałem, siedząc nad stosem listew, które na moje życzenie wyprodukował ten, który wszystko potrafi i na wszystko ma receptę. W rezultacie powstał nie domek, lecz pałac, w którym świerszcz z wyraźną ochotą się rozgościł.

Nieraz nocą, gdy wszystkie światła były wygaszone, wsłuchiwałem się w jego ćwir, ćwir, zanim zasnął (spał w głębokim przysiadzie — stwierdziłem to za pomocą noktowizora). Ta muzyka, żywa muzyka nie mogła się nigdy znudzić.

Tak mijały dni, tygodnie, miesiące.

Czytałem biuletyny streszczeń nadawane dla astronautów, klnąc sterty nagromadzone w okresie mojej apatii. Grałem w szachy z kalkulatorem i ku mojej radości zazwyczaj wygrywałem. (Oczywiście miał programowo dostosowane możliwości logiczne do poziomu moich umiejętności szachowych.) Albo w nieskończoność przypatrywałem się świerszczowi, kiedy spacerował po krawędzi stołu lub kiedy przykucnąwszy we wnęce iluminatora, gwarzył, tak to nazywałem, z kosmosem.

Tysiąc razy myślałem, jak mógł dostać się do wnętrza statku. Podczas budowy? Wykluczone. Przy wyposażaniu? Może wraz z żywnością lub sprzętem? Nonsens. Z rzeczami osobistymi? A może potajemnie przemycił go dowódca?

Przypominały mi się wszystkie gadki o zwierzętach, które nagle pojawiały się na statkach. O owej parze wróbli z gniazdkiem miłosnym uwitym w komputerze kursowym, o roju os mieszkających w reaktorze, o papużkach, a nawet psach czy kotach. Wszystko to były jednak bajki kosmosu fabrykowane dla nowicjuszy. Jedynym odmiennym przypadkiem była historia pilota, który przysięgał, że widział na statku dwa tupiące jeże, ale w żaden sposób nie udało mu się ich schwytać. Ów przypadek stanie się jasny, jeśli dodam, że ten biedak — pilot z transportowca po powrocie na Ziemię też wszędzie dostrzegał jeże, koniec końców pojawienie się świerszcza było tajemnicą bez szans wyjaśnienia.

Pokochałem go nad wszystkie stworzenia. Może nawet ponad wszystko, jako że będąc pilotem nie miałem zbyt wiele do kochania. Kilka razy myślałem, że kiedy powrócę i komisja lekarska oficjalnie zabierze mnie z gwiazdnych szlaków, wiele świerszczy będzie muzykować wokół mego domu. Świadomość ta była dla mnie krzepiącą pociechą.

Świerszcz okazał się bardzo pojętny. Nauczył się ćwierkać takty z moich ulubionych piosenek. Wiedział, gdzie mu chodzić nie wolno — musiałem się przecież troszczyć, aby nie wchłonął go odkurzacz lub nie uśmiercił sterylizator. Miał też swoje pudełko z piaskiem — w rzeczywistości był to sproszkowany galalit.

Tak mijały, jak powiedziałem, dni i miesiące. Nieszczęście zdarzyło się dosłownie ostatniego dnia lotu. Miałem już za sobą wszystkie manewry i „Arpege” siedziała pewnie na niskiej orbicie. Pozostało już tylko czekać, aż podejdzie i zabierze mnie krążący od dawna ładownik. Pakowałem sprzęt osobisty, robiłem ostatnie porządki, dla świerszcza miałem specjalny pojemnik — puszkę po keksach, z wyciętymi otworami, wyścieloną watą, aby mały astronauta nie odczuł zbyt ładowania.

Nieszczęście nastąpiło, gdy nie mając już nic więcej do roboty zacząłem się — zresztą, nie wiadomo, po co tak wcześniej — ubierać. Wciągnąłem skafander i mocowałem się nie mogąc założyć prawego ochronnego buta. Okaleczona noga bolała mnie okropnie, ale uparłem się lądować w pełnym ekwipunku, że to niby jestem taki chwat, pilot, a nie rozbitek. Szarpiąc, przeklinając z bólu, uporałem się tym nareszcie i, zdyszany, rzuciłem się na koję. Coś chrupnęło lekko, ale wyraźnie, i w tym momencie radosny ćwierkot, jakim od rana, jakby przeczuwając lądowanie, darzył mnie świerszcz — nagle ustał...

Ze ściśniętym sercem, najdelikatniej jak można uniosłem się na łokciu i piętach. Wstałem.

Był martwy. Spod pękniętej, delikatnej pokrywy odwłoka sączyła się cieniutka strużka ciemnej cieczy. Skrzydła wygięte były w geście niemocy. Stałem jak przy łożu martwego przyjaciela. I nie wstydę się powiedzieć wam, że zwilgotniały mi oczy.

Wziąłem do ręki martwego świerszcza i patrzyłem nań pełnym bólu spojrzeniem... Najpierw

dostrzegłem tylko krótki, zgięty drucik wystający zza muskularnej kończyny. Wystarczył jeden ruch palca, a na dłoń wysypywać się zaczęły jakieś miniaturowe dźwignie, kilka, jak się domyśliłem, tranzystorów, małe kulki scalonych obwodów i cały bezlik części o zawilej budowie.

Tak, to była imitacja. Genialna imitacja żywego owada. Absolutna doskonałość, mogąca oszukać najwytrawniejszego biologa. Było to najwspanialsze arcydzieło dorównujące rangą swemu konstruktorowi. Najskuteczniejszy lek, jaki dla skołatanego katastrofą i samotnością człowieka mógł wyprodukować w swoich czeluściach ten, który o wszystkim wie i wszystko potrafi...

Pilot wstał. Rozprostował zgięte plecy i wyciągnął ramiona.

— Dobranoc — powiedział. — Wyciągnęliście jednak ze mnie tę opowieść. Nie dziękujcie mi, to ja powinienem wam podziękować. Przez tę godzinę znowu byłem astronautą. Przez tych kilkadziesiąt minut zapomniałem o kalectwie. To czasem jest potrzebne...

Było cicho, tylko z oddali dolatywał skrzyp żwiru na ścieżce.

— Ale nie myślmy o sprawach smutnych! Zwłaszcza wy, młodzi — powiedział. — Abyście poszli spać w dobrym nastroju, pomyślcie, że wypadek ten został bardzo szczegółowo zbadany i przeanalizowany. Specjaliści radzili, dyskutowali, aż w końcu...

Zawiesił głos, jakby chciał, żeby włączyli się słuchacze, ale minęła chwila i nikt się nie odezwał.

— Aż w końcu postanowili, że na każdym statku kosmicznym... że na każdym statku kosmicznym muszą być jakieś zwierzęta!

DOM

Wyprostował się w fotelu, usiłując wypędzić z ciała resztę napięcia towarzyszącego manewrom i znużenie podróżą. Nogi wyciągnął jak najdalej przed siebie, ręce zadarł ponad głowę i splótł dłonie, aż chrupnęło w stawach. Uśmiechnął się zadowolony do pilotów i techników na sąsiednich stanowiskach. Podróż skończona! Pomyślał jednak przy tym, że dwa wolne dni to zbyt mało na dobry odpoczynek i załatwienie wszystkich spraw. Obserwując na monitorze przybycie załogi orbitalnej, która przejmowała statek na czas wymiany ładunku, opuścił ramiona, a później przyjął w fotelu pozycję, jaka przystoi dowódcy transportowca kosmicznego pierwszej klasy FSS „Michelson”.

Jeszcze tylko zwykłe, zrutynizowane czynności przekazywania statku na czas pobytu na orbicie okołoziemskiej. Z przyzwyczajenia obserwował kierownika zmiany, gdy ten sprawdzał poszczególne układy, wywołując dane z centralnego komputera, ale myślami był już na Ziemi. Podniósł się z miejsca.

Oficjalna formułka: „Wszystkie układy sprawdzone, przejmuję statek”. Zdawkowa odpowiedź na pytanie o przebieg lotu. Później mniej oficjalny uścisk dłoni, życzenie przyjemnego pobytu na Ziemi. Podpisali się obaj w dzienniku pokładowym i od tej chwili był wolny.

Część załogi — nie zatrudniona przy ostatnich czynnościach orbitalnych — odleciała już wraz z pasażerami na Ziemię. W tunelu między po kład owym spotkał tylko głównego energetyka i lekarza, którzy czekali na niego. Musiał ich jednak przeprosić i wrócić do kabiny po zapomniane dokumenty. Czerwoną kopertę schował do wewnętrznej kieszeni bluzy mundurowej. I dopiero wtedy poszli razem w stronę promu, który przywiózł załogę orbitalną, a teraz miał ich zabrać na Ziemię. Podczas przejścia trzeba było uważać, gdyż prom ten — nie przeznaczony dla pasażerów — pozbawiony był wielu udogodnień i poza służą transportowca ustawało działanie sztucznej grawitacji. Lekceważąc ten fakt, można było narazić się na nieprzyjemne konsekwencje.

Czekali jeszcze kilka minut, ale nie zgłosił się nikt więcej.

— No, jazda! Dlaczego nie ruszamy? — zniecierpliwził się lekarz.

Podniósł się z fotela i zastukał w szybę dzielącą ich od kabiny pilota. Ten odpowiedział mu uspokajającym ruchem ręki. I rzeczywiście, po kilkunastu sekundach promem zakołysało, a w iluminatorze zobaczyli odsuwający się czarny owal wjazdu z pulsującym światłem sygnalizacyjnym.

Lekarz pochylił się ku dowódcy z zagadkowym uśmiechem.

— No co, stary, to pewnie nasz ostatni wspólny lot? Wypadałoby oblać, bo później się nie zobaczymy.

— Dlaczego ostatni? — zachnął się zapytany, ale w ułamku sekundy zreflektował się i uśmiechnął cierpko. — Ale skąd właściwie o tym wiecie?

— Wszyscy wiedzą. Otrzymał takiej propozycji nie da się ukryć przed załogą. W pewien sposób jesteśmy nawet dumni, że zaproponowano to naszemu dowódcy.

— Tak?!

— Będzie nam przykro rozstać się po tylu wspólnych lotach, ale rozumiem ciebie. Ja też bym się nie wahał ani chwili, gdybym był na twoim miejscu. Ale ja mam już rodzinę...

Główny energetyk pokiwał głową.

— Tak, to już jest coś. Nie to wieczne nasze kołatanie: Ziemia–Mars, Mars–Wenus, Wenus–Ziemia. Zupełnie inna skala, zupełnie inne problemy. Ale mnie już nie wezmą. Jestem za stary, a

i wykształcenia odpowiedniego nie mam, bo technika napędów kosmicznych w ostatnich latach rozwinęła się niesłychanie.

Przyzwyczajeni w swej praktyce astronautycznej do znacznie większych przeciążeń nie zwrócili nawet uwagi na rozpoczęcie hamowania. Ożywili się, dopiero gdy szarozielone smugi w iluminatorach spłynęły w widok kosmodromu.

— Nie jest tak źle, skoro dogoniliśmy pasażerów — zauważył lekarz wskazując sąsiedni sektor lądowiska, na którym ze znacznie większego promu wysypywał się w kierunku oczekujących elektrokarów spory tłum.

— Z nimi trzeba ostrożnie. Pasażer nasz pan! — Pilot promu włączył się do ich rozmowy przez interkom, uśmiechając się równocześnie porozumiewawczo przez szybę.

Luk otworzył się i zeszedł po opuszczonym automatycznie trapie do czekającego na nich służbowego wozu, który ruszył natychmiast w stronę kompleksu budynków dworca. Kiedy wynurzyli się z ostatniego tunelu, kierowca zapytał, dokąd ich podwieźć.

Lekarz chciał jak najszybciej znaleźć się w hotelu, gdzie od wczoraj czekała na niego żona z dziećmi. Główny energetyk wtrącił żartobliwie, że jeżeli ktoś tak lubi życie rodzinne, to powinien albo zabierać rodzinę na każdy lot, albo w ogóle nie latać, tylko siedzieć w domu. W ostateczności — załatwić sobie mieszkanie w najbliższej okolicy kosmodromu, żeby nie zmuszać żony i dzieci do męczących podróży i tułania się po hotelach.

Lekarz, przyzwyczajony do docinków, spokojnie wysiadł i dopiero wówczas — nim wóz ruszył — wetknął głowę przez opuszczoną szybę.

— Podczas najbliższego urlopu na Ziemi zapraszam was do siebie. Mam nadzieję, że wtedy nie będę wam musiał wyjaśniać, dlaczego za nic w świecie nie zamienię swej farmy u podnóża Gór Skalistych na najbardziej nawet komfortowe mieszkanie w mieście. No, ale ty... — popatrzył na dowódcę statku — ...ty już chyba nie zdążysz mnie odwiedzić, a szkoda. Życzę powodzenia.

Pomachał im ręką na pożegnanie.

Główny energetyk wysiadł przy stacji szybkiej kolei miejskiej, mieszkał w centrum tej gigantycznej metropolii.

— Tak trochę to ci zazdroszczę — odezwał się ściskając dłoń dowódcy i kolegi. — Mam nadzieję, że zostawisz dla nas jakąś wiadomość.

— Heliport — zwrócił się do kierowcy, kiedy zostali sami.

Wysiadł tuż przy wielopasmowych ruchomych schodach prowadzących do różnych sektorów. Rzut oka na świetlną tablicę informacyjną: jeżeli w ciągu dwóch minut zdąży na platformę „O”, złapie helikopter w swoim kierunku. Następny dopiero za pół godziny. Taśma schodów przesuwała się statecznie i powoli, ruszył więc naprzód, skacząc po dwa stopnie naraz. Już u wejścia na płytę lądowiska helikopterów napotkał karcący wzrok stewardesy, który jednak złagodniał natychmiast, gdy zobaczyła jego mundur. Uśmiechnął się do niej i wskoczył do maszyny w momencie, gdy zapowiadano już start. Znalazł nawet fotel przy oknie.

Helikopter wznosił się łagodnie i leciał na niewielkiej wysokości nad dwunastopasmową autostradą w kierunku centrum metropolii. Lądowali dwukrotnie: na lotnisku komunikacji strefowej i w obrębie wielkiego zespołu handlowego na przedmieściu. Wnętrze wypełniło się. Przed nim siadła matka z pięcio-, może sześciolatkiem, który zaraz stanął na fotelu i, przewieszony przez oparcie, uważnie lustrował jego mundur. Matka, uśmiechając się przepaszająco, zmusiła wreszcie syna do zajęcia właściwej pozycji, ale ten nadal, aż do momentu kiedy musiał wysiąść, odwracał się do tyłu, wtykając głowę między oparcia.

Wylądowali na Centralnym Dworcu Kolejowym, między kilkudziesięciopiętrowymi wieżowcami, na płycie, pod którą biegły na kilku poziomach dziesiątki peronów. Zjechał w głąb

tego komunikacyjnego kolosa, którego wewnątrz wypełniał wielotysięczny tłum wędrujący bez przerwy setkami ruchomych chodników i schodów, kilometrami korytarzy i estakad, odwiedzający niezliczone bary i restauracje, a także sklepy oferujące wszystko, co przydać się może w dłuższej podróży.

Nie zatrzymało go tu jednak nic. Najkrótszą drogą dotarł na peron osiemnasty, na poziomie czwartym, gdzie czekał kilkuwagonowy skład ekspresu. Już po paru minutach obserwował migające za panoramiczną szybą miejskie krajobrazy. Zamówił świeże jabłka. Wspominając sad przy domu, nieraz tęsknił na pokładzie kosmicznego transportowca za smakiem świeżych owoców. Gryząc jabłko założył słuchawki i, operując przyciskami na poręczy fotela, wybrał program. Zdecydował się na muzyczną podróż przez wieki.

Widok za oknem zmieniał się w kierunku przeciwnym niż muzyka, której słuchał. Po śpiewanej liryce trubadurów prowansalskich rozbrzmiewała właśnie dworska muzyka epoki renesansu, podczas gdy pociąg pędził przez dzielnice o coraz starszej, coraz mniej nowoczesnej zabudowie. Po godzinie wysiadł na stacji, która w porównaniu z Dworcem Centralnym sprawiała wrzenie pustkowi, i przesiadł się do oczekującego przy sąsiednim peronie elektrycznego pociągu podmiejskiego. Nie było tu już ani stewardes pytających, co podać, ani programów stereofonicznych. Pociąg zapełnił się.

Kiedy zauważył spojrzenia, jakimi obrzucali go współpasażerowie, zaczął żałować, że nie zmienił munduru na ubranie cywilne. Pilotów statków kosmicznych widywało się w tej okolicy wyłącznie na ekranach telewizorów. Ruszyli. Krajobraz pozieleniał. Zmieniła się zabudowa. Od czasu do czasu pojawiały się połączenia wolnej przestrzeni. Pociąg zatrzymywał się często na małych stacjach. Pasażerowie zmieniali się. Siedział zamyślony. W pewnym momencie sięgnął do kieszeni po kopertę.

Centralny Instytut Planów Astronautycznych. Wydział D — głosił czarny nadruk na czerwonej kopercie oznaczającej poufny charakter przesyłanych materiałów. Zawartość koperty znał już na pamięć, nieraz sięgał po nią, jakby jej widok miał mu pomóc w podjęciu decyzji. Była tam w miarę obszerna informacja o planowanym pierwszym locie do Alfego Centaura. Komputer działu kadr podczas poszukiwania kandydatów podał i jego nazwisko, typując go do wstępnych rozmów — na podstawie analizy sytuacji osobistej, wykształcenia i dotychczasowej pracy.

Na Marsie, gdzie mieściło się centrum tego programu i z którego orbity miał odbyć się start, rozmawiał długo z Jackiem, przyjacielem od szkoły elementarnej po Akademię kosmonautyczną, który po wypadku uniemożliwiającym mu pilotowanie statków poświęcił się bez reszty pracy nad perspektywicznymi programami astro—nautycznymi. Po tej rozmowie wiedział o planowanej wyprawie więcej niż inni, którym także zaproponowano w niej udział. Ale najdokładniejsze wiadomości nie ułatwiały podjęcia decyzji. To była zupełnie inna sprawa...

Odpowiedź miał dać jutro, najpóźniej pojutrze. Instytucja, w której pracował, była poinformowana o wszystkim i wiedział, że wstępnie wyznaczono już jego zastępcę na stanowisko dowódcy FSS „Michelson”.

Gwiazdolot jest już gotowy. Odbyły się nawet pierwsze loty próbne. Jeszcze rok, dwa lata przygotowań i... Zerwanie z rutyną dotychczasowego zajęcia? Sława uczestnika pierwszego lotu do gwiazd? Pokusa odkrywania nieznanego? Poczucie, że toruje się drogę następnym pokoleniom?

W porę ocknął się z rozmyślań. Znajomy widok za oknem. Zdażył chwycić bagaż i wyskoczyć na peron. Przeszedł przez pusty hali budynku stacyjnego i znalazł się na skwerze porośniętym wyrudziałą od słonecznego żaru trawą. Zgrzytając niemiłosiernie, na pętli końcowego przystanku wjechał tramwaj. Na razie był jedynym jego pasażerem; by nie prowokować ciekawości motorniczego, wsiadł do przyczepy. Tramwajem targało na zakrętach, przyczepa

ustawicznie się kołysała. Znajome, od lat te same ulice, kolejne przystanki Znowu zatopił się w myślach. Nie zwracał najmniejszej uwagi na wsiadających pasażerów i nie spostrzegł też, że po pewnym czasie znowu pozostał sam w wagonie.

Nagle ocknął się— i zauważył ze zdziwieniem, że wóz silnikowy odjechał, pozostawiając przyczepę. Nie ujechał jednak dalej niż kilkadziesiąt metrów i motorniczy wysiadł z hakiem do przekładania szyn — zobaczywszy go, uśmiechnął się na widok munduru.

— A, to pan stamtąd. Tramwaj dalej nie jedzie. Prace budowlane. — I machnął ręką wskazując na zryty aż do żółtego piachu teren.

Już po kilku krokach do butów nasypało mu się piasku. Wyszukiwał twardszy grunt, przechodził przez prowizoryczne kładki nad głębokimi wykopami, omijał porzucone maszyny, stosy rur i materiałów budowlanych. Kilka razy zatrzymały go stalowe konstrukcje zaczynające wydobywać się z wykopów. Wreszcie wyszedł na nie używaną od dłuższego czasu drogę. Asfalt był splekany, w rozpadlinach bujnie krzewiła się trawa. Rozpoznał znajomą uliczkę. Przystanął i, trzymając się jedną ręką słupa latarni, wysypał piasek z butów. Później ruszył poboczem wykopu, wydobyty z niego piasek sypał się przez sztachety i siatki płotów do ogródków przed małymi, parterowymi, rzadziej piętrowymi domkami. Gdzieś w piasku bawiły się dzieci. Na ławkach siedzieli starzy ludzie. Gdy przechodził, czuł ich wzrok na sobie.

Wreszcie stanął przed jednym z domów. Uchylił furtkę. Skrzypnęły zawiasy. Przeszedł kilkanaście kroków po tkwiących w darni cementowych płytkach i zapukał do drzwi. Otworzyły się prawie natychmiast i na progu stanęła matka.

Przyzwyczajona do jego przelotnych wizyt — jeszcze w ramionach syna pytała razem o zdrowie i o termin odlotu. Pokiwała z żalem głową, gdy powiedział jej, że przeładunek na orbicie okołoziemskiej potrwa tylko dwa dni, westchnęła, że już chyba nigdy nie zobaczy go na dłużej, a później zakrzętała się w kuchni. Usiadł przy stole, rozpoznając z radością znajome sprzęty i staroświeckie naczynia. Pytaniami zmusiła go do opowiedzenia ostatniego lotu w najdrobniejszych szczegółach, chociaż nie był zupełnie pewny, czy słuchała go pochłonięta gospodarczymi czynnościami.

— Pewnie chciałbyś się umyć po podróży, a tu już czwarty miesiąc, jak odcięli nas od wodociągu, obiecując, że doprowadzą wodę prowizorycznie. Byłam, pytałam, ale teraz mówią, że nie warto, bo i tak wkrótce wybudują tu nowe osiedle. A mnie, starej, nawet dla samej siebie coraz trudniej chodzić po wodę.

Wziął wiadro i poszedł do studni znajdującej się w ogrodzie za domem. Korba wygięta od wieloletniego używania — pamiętał, że gdy był dzieckiem, służyła mu podczas nieobecności dorosłych za huśtawkę — skrzypiała przeraźliwie. Kiedy rozpiął bluzę munduru, która kępowała mu ruchy, raczej niezwykle dla dowódcy kosmicznego transportowca, z kieszeni wypadła koperta. Podniósł ją zakłopotany. Radość przywitania sprawiła, że zapomniał na chwilę o czekającej go decyzji. Teraz gdy był już w domu, chwila, w której będzie musiał podjąć nieodwołalną decyzję, stała się wyraziście bliska. Zdjął wiadro z cembrowiny i ruszył powoli w kierunku domu. Tu rosły najlepsze maliny, a na tym drzewie najwcześniej dojrzewały wspaniałe soczyste i słodkie gruszki. A tu, pod ścianą, ławka, na której siadywał z matką jako mały chłopiec i słuchał opowieści o ojcu, który zginął podczas pierwszej próby lądowania na Merkurym. Nie pamiętał ojca zupełnie. Kosmos zabrał go wcześniej, bardzo wcześniej — jemu i matce...

Zgniół powoli kopertę w dłoni. Kiedy przechodził, koło śmietnika, wrzucił czerwoną kulę papieru, przysypał ją odpadkami i zatrzasnął pokrywę. Dziwnie lekki i wesoły przekroczył próg.

Matka wystawiła na środek kuchni krzesło, umieściła na nim blaszaną miednicę.

Gdy mył się, opowiadała o tym, co Wydarzyło się podczas jego nieobecności.

— Czy pamiętasz Cristine, córkę sąsiadów? Pomagałaś jej z przedmiotów ścisłych, kiedy przyjechałaś na wakacje z Akademii Kosmonautycznej, a ona wybierała się na studia. Skończyła już naukę, zaglądała do mnie, pytała nawet o ciebie... Mógłbyś ją kiedy odwiedzić.

Prychał polewając się lodowatą wodą. Nabrał jej w usta. Miała niepowtarzalny smak. Z potem i kurzem zmywał tamte myśli o dalekich szlakach.

— Za dwa miesiące przylecę tu na dłużej. Wezmę wtedy urlop, ponaprawiam wszystko, dowiem się, co będzie z naszym domem. A przede wszystkim nagadamy się do syta. Jutro postaram się prowizorycznie doprowadzić wodę, żebyś nie musiała się tak męczyć.

Zapytał jeszcze, czy mógłby w czymś pomóc, ale matka odprawiła go mówiąc, żeby odpoczął trochę przed kolacją. Chętnie przystał na to. Teraz kiedy minęło napięcie, poczuł zwielokrotniony trud dwu ostatnich dni, gdy musieli manewrować, aby uniknąć spotkania z niespodziewanym strumieniem meteorów, a później nadganiać, aby zmieścić się w rozkładzie lotów...

Wygodnie wyciągnął się na łóżku w swoim pokoju. Mimo że w domu bywał teraz tak rzadko, nie zmieniło się tu nic od czasów tak odległych, jak tylko mógł sięgnąć pamięcią. Zawsze też pokój był przygotowany na jego przyjęcie. Sennymi oczami rozpoznawał jeszcze szczegóły: detale sprzętów, grzbiety książek na półce, deseń tapety...

Zamknął oczy. Świat ograniczył się momentalnie do zapachów. Najpierw zapach czystej, pościeli, później woń kwiatów, którą przez uchylone okno nawiewał wiatr, wreszcie doleciał z kuchni zapach świeżego placka i kawy. W końcu wszystkie te zapachy zmieszały się w jeden niezastąpiony zapach domu.

Kiedy matka otworzyła drzwi, żeby zawołać go na kolację, spał już, oparłszy policzek na pięści, zupełnie jak wtedy, gdy był jeszcze zupełnie małym chłopcem i marzył o lotach do dalekich gwiazd.